



***DONNA ANDERS***



***BEZ WIEŚCI***

Tytuł oryginału: DEAD SILENCE

# *Rozdział 1*

Niewielki ruch za Lizą MacDonough odbił się w oknie i po chwili zastygł na kropelkach deszczu pokrywających szybę. Liza odwróciła się twarzą do drzwi znajdujących się po przeciwnej stronie pokoju. Mogłaby przysiąc, że zamknęły się z cichym trzaskiem.

Jednak nikt nie wszedł do jej gabinetu. *Była sama.*

To jakieś omamy, uznała. Ostatnio często to się jej zdarzało. Dziś cierpiała również z powodu braku snu. Tak, to było to. Z niewyspania miała przywidzenia. To zły znak, zważywszy stan jej umysłu w ciągu ostatniego roku.

Założyła kosmyk niesfornych włosów za ucho. Od niedawna nawet gęsta falista grzywka sprawiała jej kłopoty. Kiedy z powrotem odwróciła się do okna, przypomniała sobie z dzieciństwa napomnienie starszej siostry, Jean: „Liza, przestań targać włosy. Wyglądają jak u Meduzy.”

Liza uśmiechnęła się cierpko. Zabawa włosami była jej nerwową reakcją na stres, kiedy miała dziesięć lat, a Jean dwanaście. Teraz, dwadzieścia jeden lat później, wróciła do tego złego nawyku. Paskudne przyzwyczajenia tak łatwo nie umierają, stwierdziła. Ta myśl była ponura. Praca na stanowisku psychologa w firmie International Air sprawiła, że Liza znów zaczęła odczuwać dziecięce lęki i brak pewności siebie. Bardzo dobrze rozumiała cierpienia swoich klientów w tej firmie przemysłu lotniczego, która przeżywała kłopoty i zwalniała pracowników. Kiedyś jej rodzina też znalazła się w trudnym położeniu i skończyło się to tragicznie.

Patrzyła przez okno na pobłyskujący na południu pejzaż Seattle. Prawie nie zwróciła uwagi na zapalające się światła uliczne, które

zapowiadały zbliżanie się kolejnej długiej zimowej nocy. Wciąż myślała o słowach ostatniej klientki, rozwódki wychowującej małe dziecko, nie mającej żadnej rodziny.

— Pani nie wie, jak to jest zebrać o pracę! Nie stać mnie, do cholery, nawet na opiekunkę do dziecka, żebym mogła jej szukać!

Nigdy nie znałam rozpaczliwego uczucia bycia osobą samotną, uświadomiła sobie Liza. Nawet podczas trudnych lat po śmierci ojca, kiedy była jeszcze w szkole podstawowej, miała Jean i mamę. Chociaż znalazły się na dole drabiny społecznej — chodziły w używanych ubraniach, jadały najtańszą żywność, a matka męczyła się w pracy za najniższą stawkę — wszystkie trzy z poczuciem humoru znosiły życie w biedzie.

— Posłuchajcie no dziewczynki, bank chce spłaty długu hipotecznego, więc musimy zacisnąć pasa — oznajmiła kiedyś matka.

Chodziła tanecznym krokiem po pokoju, na zmęczonej twarzy przybrała poważną minę bankiera. I naśladowała pompatyczny męski głos: — Ten dom jest jedynym pani majątkiem, zabezpieczeniem dla pani córek.

Liza i Jean chichotały, przez chwilę nie zastanawiały się, co znaczy „zacisnąć pasa”, przypatrywały się wygląpom mamy, która obracała się, gładziła włosy i mówiła półgłosem:

— „Pani dziewczynki są ładne, utalentowane i wyrosną na odpowiedzialne osoby, bo wszystkie dbacie o utrzymanie domu. ”

Po wielu latach Liza zdała sobie sprawę, jak mądre było postępowanie matki — terapia poprzez komedianctwo. Prowadziła z córkami otwarte rozmowy bez zrzucania na nie ciężkich obowiązków.

Nieświadomie ona i Jean korzystały z przykładu matki — jak zrobić coś z niczego. Jean, która miała wycucie stylu i talent do szycia, ośmielona

piątkami z zajęć z gospodarstwa domowego w szkole średniej, postanowiła ubierać się bardziej przyzwoicie. A stare ubrania przeznaczyła na stroje dla marionetek.

Och, te ulubione marionetki... Dzięki nim właśnie ona i Jean sprowadzały rzeczywistość do absurdu.

W zamyśleniu Liza wygładziła spódnicę na biodrach. Światło z lampki stojącej za nią rzuciło jej odbicie na szybę w oknie. Wysoka i szczupła, wyglądała teraz jak wyrafinowana profesjonalistka — z wyjątkiem rozwichrzonych włosów połyskujących rudawym odcieniem. Pokręciła głową. Nie możesz oszukać lustra, stwierdziła. Tak naprawdę to jestem kobietą, która powinna chodzić w dżinsach, a nie ukrywać się pod eleganckimi strojami...

Rozległo się pukanie do drzwi. Znów rozejrzała się po gabinecie; spojrzała na biurko zarzucone teczkami z dokumentami, na wyściełane krzesła, gdzie siadali zdesperowani klienci oraz na grafiki przedstawiające ocean, wiszące na pożółkłych ścianach. Kiedyś była dumna z awansu, po którym dostała duży gabinet. Dostała nawet zaszczytu korzystania z usług sekretarki swojego szefa, Ala Starka. Ale teraz zastanawiała się, czy naprawdę chciałaby być psychologiem w tej firmie. Pomoc w znajdowaniu zwalnianym pracownikom nowego zajęcia stawała się powoli koszmarem.

— Proszę.

Otworzyły się drzwi i wszedł Al. — Hej, co ty tu jeszcze robisz? Pracujesz po godzinach?

Liza pokręciła głową. — Ostatni klient wyszedł dopiero przed chwilą. — Wzruszyła ramionami. — Teraz analizuję skargi.

— Przeciwno firmie?

— Tak. Musiałeś słyszeć te plotki.

Zawahał się. Badawczo spoglądał na nią niebieskimi oczami zza grubych szkieł okularów. Nagle zerknął w bok i rzucił na biurko kilka teczek z dokumentami. — Chyba wiesz, że przy zwolnieniach zawsze pojawiają się plotki.

— Oczywiście — obruszyła się. Już wcześniej o tym rozmawiali. — Ale to co innego. Po prostu zbyt wielu ludzi mówi, że...

— ... firma postępuje nieuczciwie... że coś tu śmierdzi — przerwał jej w pół zdania. — Myślałem, że jesteś profesjonalistką — dodał ostrzejszym tonem — ale, szczerze mówiąc, ostatnio zaczynam się zastanawiać, czy ci ludzie nie mają zbyt dużego wpływu na twoje zdanie.

— To nieprawda. — Poczerwieniała na twarzy. — Jeśli wszyscy mówią to samo, należy do moich obowiązków traktowanie tego poważnie.

— Więc co teraz mówią?

Zignorowała jego złośliwość. — Zwalnia się ludzi, choć jest dla nich praca. Pozostali muszą harować za dwóch, są przemęczeni. Uważają, że to dyskryminacja.

— Słuchaj, Liza — rzucił ostro — czy aby nie zapomniałaś, że firma przeżywa kłopoty. Zmniejsza się liczba etatów.

— A jeśli ludzie mają rację? Może coś jest nie w porządku? Czy nie należy do moich obowiązków upewnić się, że...

— Zrozum — znów jej przerwał. — Właśnie o to chodzi. — Podciągnął spodnie nad wałek tłuszczu, który okalał jego brzuch. Jego łyšina lśniła w świetle lampy, a nad wąskimi ustami błyszczały kropelki potu.

— Myślę, że tracisz obiektywizm. Biorę pod uwagę twój stan psychiczny, uczucie pustki, które nieświadomie przenosisz na swoich klientów.

— Ciężko wciągnął powietrze do płuc. — To już tak od roku...

— Al, co od roku? — Jej głos nagle zaczął drżeć ze złości. Jak śmie wykorzystywać jej osobistą tragedię przeciwko niej. To, co się dzieje w International Air, nie ma nic wspólnego ze zniknięciem jej męża.

Wytrzymał jej spojrzenie.

— Co? — naciskała. — Powiedz mi. Pokręcił głową, nie chciał dokończyć zdania.

Zapadła cisza między nimi. Liza wzięła głęboki oddech. Nie trać spokoju, nakazała sobie. Pamiętaj, że Al jest tak samo jak ty zdeprimowany zwolnieniami.

— Nie mam zamiaru brać na swoje barki problemów całego świata

— stwierdziła w końcu, lekceważąc jego aluzję do Martina. Skąd mógł wiedzieć, że jej lęk o męża zamienił się w uczucie opuszczenia. — Ja chcę tylko wywiązywać się z moich obowiązków w stosunku do klientów.

— To dobrze. — Podszedł do drzwi. — Oboje wiemy, że to gadanie o spisku firmy to absurd.

— Całkowicie się zgadzam. To bez sensu.

— No tak. — Zatrzymał się, zanim wyszedł na korytarz. — Ludzie bzikują, kiedy tracą pracę. Liza, pamiętaj, że masz tu dobre stanowisko, zwłaszcza jak dla osoby w twoim wieku. Nie narażaj na szwank swojej pozycji.

Liza patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi. Czy to było ostrzeżenie? Groźba? Wzięła płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka i włożyła go. Potem

wrzuciła kilka teczek z dokumentami do swojej aktówki. Zaczęła szukać teczki Nate'a Garreta, którego sprawa była nagląca, ale potem przypomniała sobie, że wzięła ją do domu dzień wcześniej. Miała nadzieję popracować dziś wieczorem nad jego oceną pracy, jeżeli w ogóle będzie w stanie opuścić biuro. W ostatniej chwili zgarnęła notatnik z zapiskami ze spotkań.

Założyła torebkę na ramię, wyłączyła światło i zamknęła gabinet. Skierowała się na parking z tyłu budynku. Pół godziny ćwiczeń na siłowni pomoże jej później zasnąć. Tego właśnie teraz najbardziej potrzebowała.

Deszcz smagał o jezdnię, kiedy biegła do kabrioletu, miaty. Rozwiewane przez wiatr poły jej płaszcz wyglądały niczym rękaw lotniskowy. Przycisnęła aktówkę do piersi i niezdarnie włożyła kluczyk do zamka drzwi samochodu. Kiedy usiadła za kierownicą, krople deszczu spływały jej z włosów na twarz i ramiona.

Biurowiec International Air sąsiadował z laboratorium komputerowym. Był to ogromny budynek, do którego wstęp miały tylko upoważnione osoby. Główne zakłady koncernu znajdowały się wiele kilometrów na północ od miasta. Tam montowano i testowano samoloty. Liza wyjechała z parkingu na ulicę, trzymając się z dala od laboratorium, w którym pracował Martin.

Westchnęła. Martin nienawidził pracy na etacie. Jego marzeniem było zostać gwiazdą rocka. Chciał być znany jako piosenkarz i gitarzysta. W wieku trzydziestu pięciu lat wciąż miał nadzieję, że jego trzyosobowy zespół podpisze kontrakt na płytę. Biedny Martin... Jego talent nie dorównywał ambicjom ani jego miłości do muzyki. Zawsze był Salierim dla Mozartów rocka.



Liza skręciła na południe, w kierunku centrum miasta. Próbowała stłumić w sobie poczucie winy. Może gdyby bardziej go wspomagała, nie nakłaniała go cztery lata po ślubie, by znalazł sobie jakieś *poważne* zajęcie. Jednak niepokoiła się, że te niepowodzenia artystyczne wpędzą go w przygnębienie, więc miała nadzieję, że systematyczna praca stłumi narastające w nim kompleksy. Kochała go tak bardzo, pragnęła jedynie, by był szczęśliwy. Chciała, żeby jego pociągłą twarz radowały nie tylko sukcesy muzyczne.

Zaparkowała na ulicy Oliwnej w centrum Seattle, chwyciła torbę sportową, a potem się zawahała. Czy aktówka z dokumentami i notatnik będą bezpieczniejsze w samochodzie czy na sali gimnastycznej? Włamania do aut były powszechne w tej części miasta, ale w klubie też zdarzały się kradzieże. Liza uznała, że najbezpieczniejszy będzie bagażnik samochodu. Już bez tych dokumentów pospieszyła do wieżowca. Po schodach weszła na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się siłownia. Po przebraniu się w dresy szybko zaczęła podnosić ciężary. Rozglądała się za Alice Emery z działu kadr, która była jej partnerką na siłowni i towarzyszką spotkań. Kiedy Kristi, młoda dziewczyna siedząca przy biurku przy drzwiach, powiedziała, że Alice już wyszła, Liza darowała sobie dalsze podnoszenie ciężarów. Moja wina, pomyślała. Nie spotkała się z Alice, bo długo pracowała.

Piętnaście minut biegała na ruchomej bieżni, a następne dwadzieścia jeździła na rowerze treningowym. Rozmyślała wtedy o przyczynach swojego spóźnienia: o zrozpaczonym petencie, który tracił pracę. Przypomniała sobie łagodne napomnienie Martina, które w jej wyobraźni uzupełnił widok jego ładnej twarzy. Był zaniepokojony, że za bardzo angażuje się emocjonalnie w problemy swoich klientów.



— Kochanie, tylko tyle mogłaś zrobić — powiedział kiedyś, biorąc ją w ramiona. — Wiem, że utożsamiasz się z tymi ludźmi ze względu na tragedię, którą przeżyłaś w dzieciństwie, bo twój ojciec popełnił samobójstwo i zostawił rodzinę w biedzie... — Pokrył jej twarz pocałunkami, by złagodzić swoje słowa. — Twoje współczucie dla innych ludzi to jeden z powodów, dla których cię kocham, ale nie chcę, żebyś straciła zawodowy obiektywizm.

Poruszył ją swoimi słowami, odkryciem, co skłoniło ją do wybrania takiej kariery. Byli tak blisko siebie. Jednak kiedy podjął pracę w IA, stał się bardzo zajęty, a wolny czas spędzał, latając starą cessną, którą kupił wspólnie z dwoma przyjaciółmi z zespołu. Wydawało się, że próbuje uciec od rzeczywistości, próbuje poradzić sobie ze śmiercią — śmiercią jego muzycznej kariery. A ona czuła się odpowiedzialna.

Nie, skarciła się. Przestań gdybać, rozważać wszystkie przyczyny i możliwości. To nie twoja wina, że Martin zniknął z powierzchni ziemi. Kochał cię; nigdy by cię nie skrzywdził ani nie opuścił bez słowa pożegnania. Nie popełnił samobójstwa, jak sugerowali jego przyjaciele. Nie mógł ci tego zrobić; wiedział, że to by było wyjątkowo okrutne. Martin był wrażliwym człowiekiem, marzycielem, ale nie okrutnikiem.

*Więc co się z nim stało?* Wciąż o tym myślała, kiedy skończyła ćwiczenia, ubrała się i skierowała do wyjścia.

— Pani MacDonough — zawołała za nią Kristi. Liza wróciła do klubu. — Słucham?

— Dwa razy już panią wołałam, ale pani nie słyszała! — Uśmiechnęła się, żeby złagodzić naganę w głosie. — O mało nie zapomniałam. Ktoś pani szukał. Kazałam mu pójść na górę. Znalazł panią?

— Dziś wieczorem?

— No tak.

Liza pokręciła głową. — Na sali było tylko kilka osób, żadnej z nich nie znam.

Okrągła twarz Kristi wyrażała zmieszanie. — Czytałam i za bardzo nie uważałam, ale widziałam, jak potem wychodził, i myślałam...

— Jak wyglądał? — spytała Liza nagle zaniepokojona. Dziewczyna wychyliła się do przodu. Na jej twarz opadły długie

i proste czarne włosy. — Nie jestem pewna. — Na chwilę się zamyśliła. — Dość wysoki, brązowawe włosy, ciemne oczy jak u pani. Po prostu przeciętny.

— Czy podał nazwisko?

— Nie. — Zmarszczyła czoło. — Zwykle nie rozmawiam zbyt długo ze starszymi facetami.

— Starszymi facetami?

— No tak — odparła. — Z takimi po trzydziestce.

Liza uśmiechnęła się, usiłując sobie przypomnieć, jak to jest mieć osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Uniosła dłoń w pożegnaniu i wyszła. To jakaś pomyłka. Opis nie pasował do Martina. Kiedy Kristi powiedziała, że ktoś jej szukał, właśnie o nim najpierw pomyślała.

Liza, skończ z tym, nakazała sobie. Jednak, idąc chodnikiem do samochodu, uznała, że to niemożliwe. Musi najpierw się dowiedzieć, co stało się z Martinem.

Deszcz przestał padać, a wiatr rozwiał chmury nad nią. Głęboko wciągała do płuc orzeźwiające wieczorne powietrze. Przypomniała sobie, jak z Martinem bardzo lubili jeździć samochodem z opuszczonym dachem,

zimą czy latem, o ile nie padało. Zawahała się, kiedy wrzuciła worek marynarski do bagażnika i wyjęła z niego aktówkę. Dlaczego nie, uznała. Nie powinnaś rezygnować z drobnych przyjemności tylko dlatego, że Martin oszedł.

Szybkimi ruchami opuściła dach kabrioletu. Miała niedaleko do swojego mieszkania własnościowego na First Hill, więc nie obawiała się chłodnego zachodniego wiatru wiejącego znad Zatoki Elliotta. Przez kilka minut, z rozwiewanymi włosami i chłodnym powietrzem szczypiącym ją w policzki, czuła się tak młoda i beztraska jak Kristi. Mogła sobie wyobrazić Martina siedzącego obok niej.

Podróż trwała zbyt krótko, by wywietrzały wszystkie myśli z głowy. Obawiała się wejść na górę i wypuścić Bellę z kuchni, gdzie ją zostawiła dziś rano. Jej perski kot wciąż leczył się z przeziębienia i nie kontrolował pęcherza.

Wjechała do garażu pod blokiem. Czekwała, aż zamknie się za nią brama, a potem postawiła samochód na miejscu parkingowym. Przez chwilę siedziała, wzrokiem omiatając spokojne miejsce z zaparkowanymi samochodami. Wkrótce po zniknięciu Martina po raz pierwszy włamano się do tego budynku — do jej mieszkania. Odsunęła od siebie tę myśl. Nie chciała, by straszyły ją wspomnienia.

Szybko podniosła dach samochodu i zabezpieczyła go. Z torebką i aktówką w rękę pospieszyła do windy. Po chwili jechała na jedenaste piętro. Nagle poczuła się wyczerpana po długim dniu pracy.

W mieszkaniu zostawiła szybko rzeczy na korytarzu i zdjęła buty. Potem po białym dywanie w salonie podeszła do wysokich okien wychodzących ponad miastem na Zatokę Elliotta. Poniżej światła Seattle

migotały niczym gwiazdy na letnim niebie, oświetlały pokój łagodnym blaskiem. Ten widok uspokajał.

Nie włączając światła, potruchtała do kuchni i nalała sobie kieliszek chardonnay. Był to jej sposób na relaks po ciężkim dniu. Wróciła pod okna i usiadła na wyściełanym fotelu. Wypiła łyk wina. Bella ocierała się o jej nogi, miauczeniem domagała się jedzenia.

*Bella.*

Liza na chwilę zapomniała o kocie, który był zamknięty w kuchni.

*Kiedy przyszła, drzwi do kuchni były otwarte.*

Liza zamarła w fotelu, całe jej ciało było w pogotowiu. Niespokojny wzrok przyciągały wszystkie ciemne miejsca w mieszkaniu: jadalnia, korytarz, który prowadził do sypialni, jej gabinet i łazienka.

Bella została przecież w kuchni. Liza wyraźnie sobie przypominała, że zamykała drzwi z kuchni do jadalni i na korytarz. W jaki sposób wyszła?

*Kto otworzył te drzwi?*

## *Rozdział 2*

Ktoś był w jej mieszkaniu. O Boże! Dlaczego znów?!

Serce Lizy zaczęło walić jak młotem. Głęboko oddychała. Potem powoli i spokojnie odstawiła kieliszek z winem i wstała. Czy powinna przejść się po mieszkaniu i sprawdzić wszystkie możliwe kryjówki? A może wynosić się stąd do stu diabłów?

Uspokój się, nakazała sobie. Teraz mieszkanie nie wygląda jak po poprzednim włamaniu. Wtedy doniczki z kwiatami zostały rozbite, poduszki na sofie pocięte, a zasłony zerwane. Poza tym jak ktoś mógł się dostać do mieszkania? Nie wyłamano zamka u drzwi, a nikt nie miał klucza — z wyjątkiem dozorca. Ale Joe nie wchodził do mieszkań, chyba że zaszła taka konieczność: awaria kanalizacji, włączony alarm, właściciele zatrzaśnięci w środku.

Bella wciąż ocierała się o nogi Lizy. Kotka była nieporuszona, okrągłymi żółtymi oczami wpatrywała się w twarz Lizy. Koty to jednak nie psy obronne, stwierdziła Liza. Ktoś mógł się ukryć. Włącz światła. Zachowuj się normalnie. Podejdź do okna.

Wzięła na ręce Bellę, białą kulkę puchu, która przytulała się do jej piersi, głośno mrucząc. Na palcach przeszła przez salon do przeszklonych drzwi wychodzących na zadaszony balkon. Dźwignia była w pozycji zamkniętej, a długi drewniany kołek tkwił w prowadnicy. Nikt nie wszedł przez balkon.

Ale czy ktoś byłby w stanie? Czy jakiś włamywacz mógłby wejść po budynku z betonu i stali na jedenaste piętro?

Poszła do jadalni, chwilę wyglądała przez okno na odległy Space Needle i na punkciki światła na znajdującym się za nim Wzgórzu Królowej Anny. Pokój był taki, jakim go zostawiła: stary kryształowy żyrandol jej mamy wisiał nad stołem, serwantka stała wypełniona połową rodzinnego srebra i chińskiej porcelany — pozostałością z czasów, gdy żył ojciec. Mama każdej niedzieli, nakrywając do stołu, stawiała na nim pamiątkową zastawę. Kontynuowała ten zwyczaj aż do śmierci kilka lat temu. Od tego czasu Liza nie była w stanie używać tej zastawy. Tak samo do swojej połowy odnosiła się jej siostra, Jean.

Drzwi między jadalnią a kuchnią były rozsunięte. Cholera. Czyżby o nich zapomniała, nie zamknęła ich dziś rano?

Przemknęła przez kuchnię na korytarz i włączyła resztę świateł. Zatrzymała się przy wejściu. Nasłuchiwała. W całym mieszkaniu panowała absolutna cisza.

Zaczęła wolniej oddychać, kiedy zastanawiała się nad sytuacją. Może jej się tylko wydawało, że zamknęła drzwi? Ostatnio często o czymś zapominała, na przykład o rozmowach telefonicznych, o umówionych wizytach u dentysty lub fryzjera. Może tym razem też zapomniała. Dziś rano bardzo się spieszyła.

Gdyby ktoś się tu ukrył, do tej pory chyba już wyskoczył. Dlaczego jednak ktoś miałby się włamywać do jej mieszkania? Nie miała tu nic cennego, a na pewno żadnej biżuterii ani pieniędzy. Stare meble, które kupiła na licytacjach, wyprzedażach i w sklepach z antykami nie miały większej wartości. W przeciwieństwie do innych mieszkańców tego budynku nie była bogata. Gdyby nie spadek po matce — dom, który starały

się utrzymać w ciężkich latach — ona i Martin nie mogliby sobie pozwolić na apartament w mieście. To śmieszne myśleć, że złodziej wybrał ją.

Wszystkie te rozmowy z samą sobą nie uspokoiły Lizy. Ale nie wybiegła na korytarz i nie wołała o pomoc. Na każdym piętrze były cztery mieszkania i tylko jej i jeszcze jedno były zamieszkałe zimą. Pozostali dwaj właściciele lokali spędzali deszczowe miesiące w cieplejszym klimacie. Jej sąsiadka prowadziła aktywne życie towarzyskie i dziś wieczorem mogło jej nie być. Krzyki na piętrze przyciągnęłyby najpierw uwagę intruza — jeśli taki był — i od razu by ją uciszył.

Uspokój się, powiedział jej wewnętrzny głos. Nie pozwól się ponieść wyobraźni. *Sprawdź inne pokoje.*

Trzymając Bellę blisko piersi, Liza zbierała się w sobie. Jest inaczej niż poprzednim razem, kiedy mieszkanie zostało zdewastowane. Dziś nikt niczego nie dotykał.

Jednak nie zapominaj, że wtedy też nikt nie wyłamał drzwi. *Ktoś użył klucza.*

— Przypuszczalnie użył klucza uniwersalnego, ale tylko wewnątrz budynku, a nie do głównego wejścia — powiedział wtedy policjant. — Wandal najprawdopodobniej wślizgnął się drzwiami frontowymi lub przez wejście z garażu wraz z innymi gośćmi wchodzącymi do budynku. Często to się zdarza w dużych blokach, gdzie jest tylko jeden portier — stwierdził.

Z drżącym sercem włączyła światło i rozejrzała się po dużym korytarzu, gdzie po prawej stronie znajdowały się główne drzwi do łazienki, po prawej do jej gabinetu, a na wprost — drzwi do sypialni. Powoli obeszła mieszkanie, włączając światła w każdym pomieszczeniu.

*Naprawdę nikogo nie było w jej apartamencie!*



Zdenerwowanie dało znać o sobie. Kolana ugięły się pod nią i usiadła na taborecie przed toaletką. Bella zeskoczyła z jej ramion, długie włosy kotki zamiatały dywan, gdy biegła korytarzem.

Po chwili uspokojona Liza poszła za nią do kuchni. Poszukała karmy dla kota i napełniła miskę Belli. Zwierzę natychmiast zaczęło jeść, wściekle wywijając różowym językiem.

— Łakoma kicia — mruknęła Liza. — Pewno myślałaś, że chcę cię zagłodzić.

Ponownie wzięła kieliszek z chardonnay. Powinna trochę zwolnić bieg. O ilu jeszcze rzeczach zapomniała? Miała nadzieję, że o niczym szczególnie ważnym. Jednak sama myśl była denerwująca. Może potrzebne jej są leki antydepresyjne, których teraz się używa. Prozac, Zoloft, cokolwiek. Czekala, choć już wcześniej konsultowała się ze swoim lekarzem — chciała się przekonać, jak rozwinie się sytuacja.

Oparła się o bufet. Pijąc wino, obserwowała jedzącą Bellę. Wtedy zadzwonił telefon wiszący za nią na ścianie. Aż podskoczyła na jego odgłos, wino z kieliszka rozlało się po jej palcach. Chwyciła słuchawkę wolną ręką. — Halo.

— Cześć, Liza. W końcu jesteś w domu. — Głęboki głos Dave'a Farrara brzmiał łagodnie w jej uchu. — Znów pracowałaś po godzinach?

Nienaganne maniere wywołały obraz mężczyzny. Był rudowłosy, inteligentny, dbający o pracowników; rozwodnik będący dobrym ojcem dla nastoletnich synów. Niedawno zaprzyjaźnili się w pracy.

— Dziś nie tak długo. Po drodze wstąpiłam do klubu, żeby trochę poćwiczyć.

— Więc mam szczęście. — Przerwał. — Zapomniałaś, że zaprosiłaś mnie na kolację, prawda?

Odstawiła kieliszek z winem. Cholera! Zapomniała sprawdzić telefony. I zapomniała o randce, na którą się wstępnie umówili. — Ale to nie było tak na mur. Mówiłeś, że może będziesz musiał pracować.

— Na mur. — Usłyszała wesołość w jego głosie. — No, Brązowe Oczy, przyznaj się. Byłaś ostatnio tak zajęta, że zapomniałaś.

— Oczywiście, że nie — skłamała, zakłopotana przezwiskiem, którego użył, mimo że jej schlebiał. Ostatnio zaczął ją nazywać Brązowe Oczy. Wypowiadał to tonem, którym równie dobrze mógłby mówić „słonko” lub „kochanie”. Niepokoiło ją to. Nie dlatego, że Dave jej nie pociągał, ale nie była jeszcze gotowa na związek z nim. — Właśnie wyjmowałam z lodówki warzywa na danie chińskie...

— No to dobrze, że cię złapałem. Muszę jednak zostać w pracy. Bez przerwy powtarza się ten nasz błąd w programach, a my nie mamy czasu. — Zamilkł. — Przepraszam, ale zawsze muszę się z tobą podrażnić.

Powstrzymała się, żeby nie westchnąć z ulgą. Perspektywa spotkania towarzyskiego nie pociągała jej dzisiaj, choć lubiła towarzystwo Dave'a. Chciała jedynie położyć się i zrelaksować, być może wypić drugi kieliszek wina.

— Daję ci drugą szansę; spotkamy się kiedy indziej.

— Dzięki, będę czekał. — Chrząknął. — Jak nie będzie za późno, to wpadnę jeszcze dziś do ciebie. Mogę?

Zgodziła się, bo wiedziała, że znalezienie błędu w programie komputerowym tworzonym w laboratorium dla nowej serii pasażerskich samolotów odrzutowych to nie jest prosta sprawa. Dave był kierownikiem w

laboratorium komputerowym. Nadzorował pracę programistów usiłujących zdążyć przed wyznaczonym przez Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego terminem zdobycia certyfikatu. Kiedy Liza odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od zniknięcia Martina poczuła się jak kobieta, której ktoś pożąda. Uznała, że to dobry znak.

— Czy słyszałaś o samolotach, które latają same, z mikroprocesorami zamiast pilotów? — spytała Belle. — Czy to nie najgłupsza... najstraszniejsza... rzecz, jaką kiedykolwiek wymyślono?

Bella zamiatała tylko ogonem drewnianą podłogę, gdy szła przez kuchnię. Zniknęła na korytarzu, zmierzała na łóżko Lizy, by uciąć sobie drzemkę. Liza poszła za nią. Bata się wziąć już prysznic i włożyć koszulę nocną. Musiała przejrzeć dokumenty dotyczące Nate'a Garreta. Szef Nate'a obawiał się, że jego najlepszy programista wpadnie w depresję. Muszę użyć całej swojej inteligencji, żeby do tego nie dopuścić, stwierdziła. Jeszcze jedna ofiara zbliżających się szybkim krokiem nieprzekraczalnych terminów.

Niektórzy pracownicy zaharują się na śmierć, podczas gdy inni są zwalniani ze względu na brak pracy. Pokręciła głową. Coś jest tu nie tak. Ale co?

Domofon zadzwonił, kiedy dodawała posiekaną pierś kurczaka do podsmażonych warzyw. Pierwszy kieliszek wina uspokoił ją i wciąż zastanawiała się nad drugim. Podniosła słuchawkę. Mimo wszystko miała nadzieję, że to Dave stojący na dole przed frontowymi drzwiami.

— Liza? Tu Erik, jestem na dole. Byłem akurat w pobliżu. Otworzysz mi drzwi?

— Erik?

— Tak. Z butelką twojego ulubionego chardonnay.

— Właśnie przygotowuję danie chińskie. Jesteś głodny?

— Proszę, ślicznotko. Wpuść mnie tylko na górę. Ten domofon zaraz się rozgrzeje!

— Robi się — odparła Liza, chichocząc. Wcisnęła dziewiątkę na klawiaturze. Usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi, odwiesiła słuchawkę. Ucieszyła się z towarzystwa Erika Lindstroma. Był to jej stary przyjaciel jeszcze ze studiów, psychoterapeuta. To on zapoznał ją z Martinem. Był jak członek rodziny; nie miało znaczenia, że zmyła już cały makijaż i włożyła koszulę nocną. Jego specyficzne poczucie humoru było właśnie tym, czego najbardziej potrzebowała.

Liza przywitała go, gdy wyszedł z windy. Wysoki mężczyzna szybko przemierzył korytarz. Uniósł pytająco brwi.

— Już w łóżku? — Gwizdnął z dezaprobatą. — Dziecko, dawno ci mówiłem, że świat korporacji nie jest dla ciebie. Wykorzystają cię do końca, a potem wyrzucą jak wyciśniętą cytrynę.

Uścisnęła go. — Erik, cieszę się, że cię widzę. — Cmoknęła go w policzek i zaraz się cofnęła. — Przepraszam za mój wygląd. Znasz mnie, lubię komfort. — Przechyliła głowę. — Poza tym zawsze mówiłeś, że wyglądam lepiej bez makijażu.

— No pewnie. — Zmrużył bladoniebieskie oczy, by przyjrzeć się jej twarzy. Oczy wilka, pomyślała, kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Jest taki atrakcyjny z czarnymi włosami i brodą. — Wciąż wyglądasz na dwudziestkę bez całego tego paskudztwa. — Duże białe zęby zabłysły mu w uśmiechu. — Do diabła, nigdy nie zrozumiem, dlaczego kobiety to robią, najpierw, żeby się postarzyć, potem, żeby się odmłodzić.

— Erik, spójrz prawdzie w oczy. Po prostu nie rozumiesz kobiet. Na chwilę zapadła cisza.

— A może to one mnie nie rozumieją. Może mój wizerunek macho jest tylko fasadą...

— No, coś ty! Zapomniałeś? Przejrzałam cię na wylot — powiedziała w żartach. — Poza tym przyzwyczałeś się do swojego stylu życia. Jaka kobieta chciałaby uprawiać z tobą akrobacje spadochronowe, wspinać się w górach lub mieszkać w łodzi na jeziorze

— Tak myślisz? — Uśmiech na jego twarzy stał się poważny. — Może lubię pomalowane na biało parkany, gotujące się zupy i dzieci. Czas pokaże. — Wzruszył ramionami. — Może już zmiękłem, spotkałem kobietę swoich marzeń...

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, nie zwracając uwagi na sugestię zawartą w jego komentarzu. Wiedziała, że bagaż jego osobistych przeżyć sprawia, iż troszczy się o innych, ale nie chce się z nikim wiązać. Jego dzieciństwo i młodość były trudne: rodzice alkoholicy, walka z burzliwym temperamentem, by skończyć studia. Po zrobieniu doktoratów planowali razem prowadzić praktykę, ale Liza wyszła za Martina i zatrudniła się w International Air. Wybrała poczucie bezpieczeństwa.

— Wracając na ziemię, tak naprawdę to gotowałam, a nie spałam. — Zaprosiła go do kuchni. — Jesteś głodny?

— Jak wilk.

Uniosła pokrywkę z rondla i aromat przysmażanych warzyw i mięsa wypełnił kuchnię. — Jak to wygląda?

— Pysznie. — Wciągnął nosem zapach. — Przypominają mi się dawne czasy, kiedy gotowaliśmy warzywa na parze, bo tylko na nie było nas stać.

Roześmiała się. — I zrzucaliśmy się, żeby je kupić!

— Nikt nie był w stanie zrozumieć naszej miłości do warzyw.

Pamiętasz, wszyscy myśleli, że jesteśmy przeżytkiem z epoki hipisów...

— Opowiadasz o tym tak, jakbyśmy byli małżeństwem lub czymś w tym rodzaju. — Wyciągnęła z szafki dwa talerze, podczas gdy on odkorkował butelkę chardonnay.

— Lub czymś w tym rodzaju... — Nalał wina do kieliszków. Uniosła swój do toastu. — Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

— Na zdrowie — rzekł. — Małżonkowie powinni się od nas uczyć. W dzisiejszych czasach przyjaźnie trwają dłużej niż małżeństwa.

Liza położyła podstawki na stole, zapaliła świece i kazała Erikowi usiąść. Kiedy jedli, opowiedział o jednym ze swoich kłopotliwych klientów, mężczyźnie, który wpadł w depresję ze względu na pogarszający się stan zdrowia. Erik rozmawiał z nim w jego domu w Madison Park po telefonie żony, która prosiła, by się z nim spotkał, zanim zdecyduje się na jakiś drastyczny krok.

— Smutny przypadek — stwierdził Erik. — Ten facet się załamał. Rozmawiałem z jego lekarzem, żeby mu coś przepisał na depresję. Lepiej, żeby każdy zainteresowany wiedział, co się dzieje...

— Więc wpadłeś tu po drodze do domu?

Przytaknął. — Sam potrzebowałem czułości i wsparcia. Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. Przecież zawsze podtrzymywałeś mnie na duchu.

Zapadła cisza. Liza wiedziała, że oboje myślą o Martinie i o tym, jak zrozpaczona była po jego zniknięciu, i w jaki sposób Erik ją wspierał, aż w końcu sama była w stanie sobie radzić.

Ale tak naprawdę czy sobie radzi, czy tylko się oszukuje? Jej życie wciąż znajdowało się w stanie zawieszenia. Niejasna była jej sytuacja osobista, miała kłopoty finansowe. Policja nie zamknęła śledztwa, choć przepytano wszystkich, którzy znali Martina: muzyków, współwłaścicieli starej cesseny, kolegów z pracy, rodzinę i przyjaciół. Często się zastanawiała, czy oni zakładają, że Martin wciąż żyje, że tak naprawdę nie wypadł z jachtu, na którym grał ze swoim zespołem. Ponieważ Liza chciała znać odpowiedź, wynajęła Steve'a Wendalla, prywatnego detektywa, żeby zajął się sprawą zniknięcia Martina.

— Wendall niczego jeszcze nie znalazł?

To pytanie podsunęła mu intuicja, ale on zawsze czytał w myślach Lizy. Pokręciła głową. — Rozmawiał z uczestnikami tego świątecznego rejsu akrobatów. Podobno wszystkim się podobał ten występ zespołu, dobrze się bawili, dopóki Martin nie zniknął. Przypuszcza się, że wypadł za burzę.

— Pluję sobie w brodę, że mnie tam nie było. — Erik wyjrzał przez okno, które znajdowało się za Lizą. — Woląłem pójść na przyjęcie na łodzi mieszkalnej niż spotkać się z kolegami z klubu...

Skinęła głową. — A ja miałam trzydzieści dziewięć stopni gorączki. — Jej widelec zawisł nad talerzem. — Policja powiedziała, że tego wieczoru Martin dużo pił.



— Wiem. Ja też to słyszałem.

— Erik, mogę cię o coś zapytać? O coś, o co cię jeszcze nie pytałam?  
Odłożył serwetkę. — Śmiało.

Spuściła wzrok. — Czy uważasz, że Martin wyskoczył z łodzi?

Popełnił samobójstwo?

Czuła, że powstrzymał się, żeby nie wstać, obejść wokół stołu i objąć ją. Odchylił się tylko do tyłu i położył dłonie na kolanach. — Ani przez chwilę tak nie myślałem. Znam Martina od dziecka. Nigdy by nie popełnił samobójstwa.

— Więc co...

— Liza, nie wiem. — Zamyślił się. — Wiem, że nienawidził swojej pracy w laboratorium komputerowym International Air, choć był zdolnym programistą i interesował się nowoczesną technologią. Ale muzyka była jego pierwszą miłością. Bał się, że będzie za stary, żeby podpisać kontrakt na nagrania. — Wziął głęboki oddech. — Wiem, że wasze małżeństwo przechodziło lekki kryzys ze względu na jego pracę. — Kolejna przerwa. — Martin wciąż wierzył w swoją przyszłość i nie mógł popełnić samobójstwa.

— Może uważał, że znalazł się w pułapce ze względu na pracę, na mnie... na wszystko. Jak sądzisz?

— Powiedzieć prawdę? Z trudem przytaknęła.

— Tak, czuł się osaczony. Ale przewyciężyłby to uczucie. Musiałby tylko jeszcze trochę dojrzeć.

Wpatrywała się w talerz, bez celu mieszała warzywa. Zastanawiała się, czy Erik wie, że Martin wciąż od czasu do czasu brał narkotyki. Obaj brali w szkole średniej, ale Erik poradził sobie z tym przed studiami. Miał rację.

Martin pod pewnymi względami nie wyrósł na odpowiedzialnego dorosłego człowieka.

— Nie sądzisz, że on po prostu... uciekł? Nie mógł znieść odpowiedzialności ciążyącej na nim w małżeństwie.

— Nie — odparł ostrym głosem. — Liza, cokolwiek się stało, to nie była twoja wina. Już ci to mówiłem.

Musiała zapytać, choć jego szczerą odpowiedź nie była tym, co chciała usłyszeć. Był najlepszym przyjacielem Martina i dlatego nigdy wcześniej nie stawiała go w niezręcznej sytuacji.

— Była jakaś inna kobieta?

— Ależ skąd! — zaprzeczył stanowczo. — Martin miał wiele wad, ale nigdy cię nie oszukiwał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Oboje się przestraszyli. Liza zerwała się z krzesła, przypomniała sobie o swojej wcześniejszej obawie, że ktoś był w domu. Erik odsunął się od stołu i wstał.

— Spodziewasz się kogoś?

Pokręciła głową. — Nikt nie dzwonił domofonem. To ktoś z sąsiadów.

Wyszła na hol i wyjrzała przez judasza. Otworzyła drzwi Dave'owi Farrarowi. Uśmiech zamarł mu na twarzy, kiedy oderwał wzrok od Lizy i spojrzał na Erika.

Zapanowała cisza.

— Dave — odezwała się Liza, przerywając milczenie. — Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że całą noc będziesz szukał błędu w programie.

Przestań wygadywać bzdury, skarciła się. Mówisz, jakbyś popełniła jakieś przestępstwo, a przecież nic złego nie zrobiłaś. Choć w tej koszuli

nocnej wyglądasz na jeszcze bardziej winną. Całe szczęście, że Erik jest ubrany, pomyślała bezsensownie, tłumiąc chichot.

— Dla odmiany to była drobnostka. — Rozłożył ręce. — Przepraszam, że przeszkodziłem, ale twój sąsiad mnie rozpoznał i wpuścił do domu.

— Wcale nie przeszkodziłeś. — Roześmiała się nerwowo. — To jest wieczór na wizyty przyjaciół u mnie.

Widziała, jak Dave zastanawia się, czy Erik jest kimś szczególnym. Erik natomiast zdawał się mieć kilka pytań. Krańcowo się od siebie różnili, choć byli równie atrakcyjnymi mężczyznami.

Liza przedstawiła ich sobie, zaskoczona, że nie spotkali się do tej pory, choć mieli wspólnych przyjaciół. — Dave jest kierownikiem działu eksploatacji w laboratorium komputerowym — poinformowała Erika, zanim zwróciła się do Dave'a. — A Erik jest psychoterapeutą, prowadzi prywatną praktykę. Jest starym przyjacielem Martina. I moim — dodała.

Mężczyźni podali sobie ręce.

— To ty prowadzisz naukę skoków spadochronowych w Centrum Sampsona? — spytał Dave, mrużąc oczy, jakby nagle przypomniał sobie tę informację.

— Aha. — Erik oparł się o futrynę drzwi. — Skąd wiesz?

— Ktoś w laboratorium opowiadał o tobie, mówił, że byłeś przyjacielem Martina. Skojarzyłem, jak usłyszałem, że jesteś terapeutą. Ten zawód nie pasuje do twojego sposobu spędzania wolnego czasu...

— I oczywiście wiesz, czym się zajmuję? — Przytłumiony głos Erika wprowadzał w błąd.

— Słyszałem o akrobacjach spadochronowych i górskich wspinaczkach. — Dave tak samo kontrolował swoje słowa.

— I nie pochwalasz tego? — Erik złagodził swoje pytanie uśmiechem.

— To nie w moim stylu. — Dave wzruszył ramionami. — Jestem za bardzo zajęty, żeby uprawiać sporty, które pochłaniają dużo czasu.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś pracoholikiem?

Twarz Dave'a pociemniała. — Tak, dużo pracuję, ale poza tym mam prawdziwe życie i nie zamierzam go narażać dla niebezpiecznego hobby.

— Wejdz, Dave — wtrąciła się Liza, przerywając ten pojedynek słowny. Ich wzajemna antypatia była wyraźnie widoczna.

Wciągnęła Dave'a do środka i zaproponowała mu drinka. Odmówił, podobnie jak Erik, który powiedział, że musi jechać do domu przepisać na czysto swoje notatki.

Po kilku minutach znów znaleźli się przy drzwiach. Liza odetchnęła z ulgą. Nie znosiła warczących na siebie facetów. Nie polubili się i bez skrepowania to okazali. Obrzydliwy pokaz męskiej siły, wyznaczanie granic własnego terytorium.

Na tę myśl nagle się zatrzymała. Dlaczego tak pomyślała? Obaj mężczyźni byli tylko jej przyjaciółmi, choć jeszcze niedawno zastanawiała się, czy mogłaby zakochać się w Davie, gdyby była uczuciowo wolna. Nie wiedziała. A Erik? To po prostu Erik, jak brat, którego zawsze chciała mieć.

Próżność i testosteron, pomyślała, kiedy wyszli. Pod pewnymi względami faceci przypominają małych chłopców, zawsze są gotowi walczyć, kiedy czują się zagrożeni.

Westchnęła. Czas do łóżka. Nie mogła zajmować się duszami mężczyzn po psychicznie wyczerpującym dniu. Miała nadzieję, że jutro będzie lepiej. Sprawa Nate'a Garreta może poczekać do rana.

W łóżku starała się nie rozpamiętywać, jak łatwo Dave dostał się do budynku. Znów spanikowała. Po raz drugi dzisiaj zaczęła się bać. Była jedynie zadowolona, że po włamaniu rok temu do dwóch zamków w drzwiach dołożyła łańcuch.

Miała cykora. Sen powinien ją z tego wyleczyć. W świetle dnia świat wyda się bezpieczniejszy.

RS

## *Rozdział 3*

Następnego ranka Liza wstała pół godziny wcześniej niż zwykle, by przed wyjściem do pracy zastanowić się nad sprawą Nate'a Garreta. Miała mało czasu. Był już piątek, a Hawk Bohlman, szef Dave'a, potrzebował jej raportu w poniedziałek. Hawk, człowiek żyjący tylko sprawami firmy, ukreśli jej głowę, gdy się spóźni.

Do diabła, gdzie to jest? — zapytała się sfrustrowana.

Przerzucając teczki na biurku, zastanawiała się, jak w ogóle coś można znaleźć w tych stertach notatek i dokumentów. W jej małym gabinecie w domu, gdzie znajdował się komputer, drukarka, kopiarka i faks, wystarczyło tylko miejsca na podstawowe wyposażenie, krzesło i półki na książki. Często pracowała wieczorami i w weekendy, by nadażyć ze sprawami swoich klientów. Czterdziestogodzinny tydzień pracy nie wystarczał. Jednak nie uskarżała się na nadmiar pracy. Uniemożliwiał to jej rozpamiętywanie własnych problemów.

Oddychaj głęboko, poinstruowała się Liza. Nie zgubiłaś tej teczki. Gdzieś tu musi być.

Ale nie było.

A gdzie jest notatnik z zapiskami zrobionymi podczas sesji z Nate'em? Opadła na krzesło i nagle sobie przypomniała. Jest w bagażniku samochodu. Zapomniała go zabrać wieczorem.

Zdenerwowana na siebie przeszukała jadalnię, salon, kuchnię, sypialnię, a nawet łazienki. Teczki Nate'a nigdzie nie było na widoku, ale nie spodziewała się jej tam znaleźć. W przeciwieństwie do jej gabinetu w pozostałych pomieszczeniach panował nieskazitelny porządek.

Wyobraziła sobie twarz Hawka Bohlmana, sześćdziesięcioletniego mężczyzny z wiecznym grymasem na twarzy. Liza już wcześniej się z nim kłóciła z powodu jego grubiańskiego stosunku do podwładnych i nie cieszyła jej perspektywa następnego konfliktu. Myśl o zgubieniu teczki Nate'a zniechęcała.

Nie zgubiłaś jej, napomniała się. Zostawiłaś ją w pracy. Na pewno. *Tylko ci się wydawało, że zabrałaś ją do domu w środę wieczorem...*

Liza wzięła kawę do łazienki. Popijała, robiąc makijaż i fryzurę. Wciąż było wcześnie, kiedy zjechała do garażu. Już miała włożyć kluczyk do zamka, **gdy** zauważyła, że drzwi do samochodu nie są zamknięte.

Zamarła. Jak mogła też o tym zapomnieć? Czyżby była tak przejęta podnoszeniem dachu, że zapomniała o nawyku zabezpieczenia samochodu?

Zajrzała do środka, jej wzrok przyciągnął notatnik leżący na siedzeniu pasażera. Patrzyła z niedowierzaniem. Wieczorem na pewno tu nie leżał, bo zabrałaby go na górę. *Pamiętała, że zostawiła go w bagażniku, kiedy wyszła z siłowni i wyjęła aktówkę. Dałaby za to głowę.*

— Wielki Boże — odezwała się głośno. — Powiedz, że nie straciłam kontroli nad sobą.

Jednak znała objawy przepracowania: roztargnienie, nieostrożność podczas prowadzenia samochodu, skłonność do irytacji, bezsenność. Liza wszystko to miała. Kiedy wyjeżdżała z garażu, była zaniepokojona i lekko przestraszona.

**Nie** mogę uwierzyć!

Teczka Nate'a Garreta była pierwszą rzeczą, którą Liza zobaczyła, kiedy weszła do swojego biura. Z zaskoczenia zmarszczyła czoło. Nie



zostawiła jej przecież na samym środku swojego biurka. Stało się coś dziwnego. Ona nie zwariowała.

Czy ktoś dostał się do jej mieszkania i ukradł teczkę Nate'a? To jedyne wyjaśnienie, bardzo naciągane. Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

I w jaki sposób się włamał? To nie ma sensu.

Powiesiła płaszcz, ale cały czas wbijała wzrok w teczkę z napisanym na niej nazwiskiem Nate'a. Usiadła i położyła ją przed sobą; obawiała się, że coś mogło zginąć. Sekretarka przepisała wszystkie jej notatki, z wyjątkiem tych, które zrobiła podczas ostatniego spotkania z Nate'em i miała w notatniku. Wydawało się, że komplet informacji, które zebrała do raportu, jest w teczce, łącznie z oceną postępowania tego drobnego nerwowego człowieka.

Może samego Nate'a niepokoiło, co umieściła w raporcie, i zaczął myszkować; ukradł swoją teczkę i zamierzał ją zwrócić, zanim ona zauważy jej zniknięcie? Wiedziała, że bał się stracić pracę.

Cierpliwość Hawka była na wyczerpaniu, bo nieprzeciętny talent Nate'a miał ogromne znaczenie w tworzeniu programów dla nowej serii odrzutowców. Jednak Liza zdała sobie sprawę, że Hawk zwolniłby Nate'a, gdyby był przekonany, że projekt — i jego własna kariera — są zagrożone.

Stan psychiczny Nate'a musiał być gorszy, niż myślała, skoro włamał się do jej samochodu i mieszkania tylko po to, żeby przeczytać informacje o sobie. Nie, nie mógł, stwierdziła, rozważając inne możliwości. Nie ma żadnych śladów włamania. Jeśli ktoś u niej był, użył klucza, a Nate go nie ma.

Aż podskoczyła, kiedy otworzyły się drzwi. Uznała, że łatwość, z jaką wpada w przerażenie, to kolejny objaw stresu.

Do biura wszedł Dave. — Hej, co ty tu robisz tak wcześnie? —  
Uśmiechnął się szeroko. — Najpierw zaczęłaś pracować po godzinach, a  
teraz przychodzisz przed czasem. Jakaś trudna sprawa?

Z uśmiechem skinęła głową. Spokój Dave'a był przeciwieństwem  
bardzo nerwowego, artystycznego charakteru Martina. Umiał postępować ze  
swoimi pracownikami, nie stresował ich, pochwałami skłaniał do większej  
wydajności. Hawk powinien uczyć się od Dave'a, pomyślała. Ciekawiło ją,  
czy wie, w jaki sposób Hawk ciśnie swoich programistów.

Spoważniał, dodając: — Liza, zwolnij trochę. Nie chcemy, żebyś się  
wypaliła. — *Zauważył jej nerwową reakcję, kiedy zjawił się w drzwiach do  
gabinetu.*

— Przyganiał kocioł garnkowi.

— No tak. Przepraszam, że się wpakowałem wczoraj wieczorem.

Wcale nie chciałem przerywać wizyty... aa... Erika.

— Nic się nie stało. — Krzesło zazgrzytało o podłogę, kiedy wstawała.  
— Erik wpadł niespodziewanie.

— Stary przyjaciel? — spytał swobodnym tonem. Zbyt swobodnym?  
Wiedziała, że słowo „lubi” nie wystarczy do opisanego stosunku do niej.  
Czy była na *to* gotowa?

Przestała palcami skręcać włosy. — Erik i mój mąż, Martin, byli  
przyjaciółmi z dzieciństwa. — Spojrzała szybko w bok. — Erik pomagał mi  
po zniknięciu Martina.

— Więc to przez Martina poznałaś Erika?

— Nie, odwrotnie. Erik przedstawił mnie Martinowi.

— Aha. — Przez chwilę był zaskoczony. Uświadomiła sobie, że Dave teraz zapewne przypuszcza, iż umawiała się kiedyś z Erikiem i być może znów się z nim spotyka.

— Poznałam Erika na studiach. Razem robiliśmy doktoraty i planowaliśmy nawet wspólnie prowadzić praktykę. — Zrobiła przerwę. — Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, to wszystko.

Jego twarz pojaśniała. — Och, wybacz. Twoje życie osobiste nie powinno mnie interesować. — Ton jego głosu sugerował, że chętnie zmieniłby ten stan rzeczy. Odgarnął rude włosy z czoła i zmienił temat rozmowy: — Chyba nie zapomniałaś o moim zaproszeniu jutro na obiad?

— Pewnie, że nie. Czekałam z niecierpliwością. — Roześmiała się. — Przypominasz mi, bo myślisz, że wczoraj wieczorem zapomniałam?

— Niemożliwe, żeby przepracowana konsultantka o czymś zapomniała. Nic takiego nie pomyślałam. — Stłumił uśmiech. — Zatem o siódmej. Byłoby wspaniale, gdybyś przyszła wcześniej i pomogła kucharzowi.

— Zamawiałeś gdzieś ten obiad? — Nie mogła się powstrzymać, by mu nie dokuczać. — Żartujesz. A chodzą słuchy, że jesteś wyśmienitym kucharzem. — Zachichotała. — Postaram się przyjść wcześniej... żeby popatrzeć. Nie mam pojęcia o przyrządzaniu wyszukanych potraw. Moja specjalność to smażone warzywa z mięsem.

— Zauważyłem to wczoraj wieczorem. Wspaniale pachniało. Szkoda, że nie jadłem.

— Znów kiedyś wieczorem przygotuję to danie, o ile nie zniechęcisz mnie swoimi talentami kulinarnymi.

— Umowa stoi. — Wyszedł już, ale po chwili wsunął głowę do środka. — Do zobaczenia jutro wieczorem.

Wciąż się uśmiechała, kiedy zamknęły się drzwi. Lubiła Dave'a. Wydawało się, że ujawniał najlepsze jej cechy. Nawet sprawiał, że tryskała humorem. Dobry znak.

Zamknęła teczkę Nate'a i położyła ją na torebce w szufladzie biurka. Tym razem nie zapomnę tej cholерnej teczki, stwierdziła. Będzie przy mnie, dopóki nie oddam raportu Hawkowi.

Ze względu na wielu interesantów ranek szybko minął. W południe Liza poczuła się wyczerpana. Trzech mężczyzn domagało się kontynuacji zatrudnienia, ale nie chcieli opuszczać stanu. Samotna kobieta już załatwiła sobie pracę w Boeingu, koncernie mającym siedzibę w Seattle, który opanował znaczną część rynku przemysłu lotniczego. Wszyscy czworo okazywali wściekłość i frustrację związaną ze zwolnieniami. Uważali to za dyskryminację. Byli przekonani, że ich skargi nie są słyszane, bo coś dziwnego dzieje się za kulisami.

Liza stwierdziła, że jest zbyt wiele takich skarg. Zadzwoiła do przyjaciółki, Alice Emery, szefowej działu kadr. Alice zaprosiła ją na lunch w stołówce, żeby porozmawiać o jej wątpliwościach.

Liza wyjęła torebkę i zamknęła szufladę na klucz. Może to paranoja, ale nie chciała znów ryzykować utraty teczki Nate'a. Szła do drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Cholera! To był pech; ciągle tak nie mogła wyjść z biura na lunch. I podjadała tylko kanapki.

— Liza MacDonough — powiedziała do telefonu.

— Liza, tu Jean. — W słuchawce rozległ się miękki kontralt jej siostry. Chłopcy w szkole średniej określali ten głos jako seksowny.

— Jean? — Była zaskoczona. Siostra rzadko dzwoniła do niej do pracy, chyba że było coś ważnego, co nie mogło czekać, aż Liza wróci do domu. — Co się stało?

— Od kilku dni nie dzwoniłaś i chciałam się upewnić, czy pamiętasz o przedstawieniu lalkowym dziś wieczorem.

— Co?

— No, o tym w Centrum Medycznym Hilltop. — Chwila przerwy. — Zapomniałaś...

Liza oparła się o biurko. Boże, rzeczywiście zapomniała, ale nie tak zupełnie jak o teczce Nate'a. Dni tak szybko mijały; myślała, że występ zespołu lalkarskiego Pugeta jest w przyszłym tygodniu.

— Oczywiście, że nie — skłamała. — Dziś po południu miałam do ciebie zadzwonić, żeby zapytać o dokładną godzinę. — Jestem przepracowana, znów pomyślała. Teraz na dodatek zaczęła kłamać. Musiała wziąć się w garść, zanim nie stanie się jeszcze bardziej roztargniona.

— To dobrze, bo przez chwilę myślałam, że zapomniałaś. — Zapadła cisza. Liza niemal widziała, jak na klasycznych rysach Jean maluje się powaga, gdy się zastanawia. — Lizzy, dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Liza skupiła uwagę. Od lat siostra nie nazywała jej Lizzy. Czy wygląda na tak rozkojarzoną, że Jean martwi się o nią? — Mam dużo klientów z powodu zwolnień z pracy i nie miałam czasu do ciebie zadzwonić. To wszystko. Jean, wiesz, że nie mogłabym cię zawieść.

— Wiem. — Kolejna przerwa. — Mogłabyś być o wpół do siódmej, żeby pomóc w przygotowaniu przedstawienia?

— Zrobię wszystko, żeby zdążyć.

W słuchawce rozległo się westchnienie. — Dzięki. Naprawdę znalazłam się na lodzie, kiedy moja praktykantka zachorowała.

— Cieszę się, że zadzwoniłaś, siostrzyczko. Do zobaczenia.

Liza odłożyła słuchawkę i potem wpatrywała się w nią. Przypomniała sobie przedstawienie, które ona i Jean wystawiały na podwórku dla dzieci z sąsiedztwa. Tam należy szukać narodzin zespołu lalkarskiego, który teraz Jean prowadzi.

Kręte są drogi życia... I czasami tak niespodziewane. Założyła włosy za uszy i wróciła do drzwi. Musisz twardo stąpać po ziemi, powiedziała w myślach. Nie ma czasu na roztkliwianie się nad przeszłością.

Alice pomachała do niej z zatłoczonej stołówki i Liza przecisnęła się jakoś między stolikami.

— Kupiłam ci sandwicza klubowego i kawę — oznajmiła Alice, wskazując na jedzenie na stoliku. — Zajęłam miejsce, jak było mało ludzi, i pomyślałam, że zamówię dla nas obu, zanim zwałą się tłumy.

— Dzięki. — Liza uśmiechnęła się i usiadła. — Znasz mnie dobrze. Nienawidzę kolejek.

— A kto je lubi? — Oczy Alice zaiskrzyły się na jej pulchnej twarzy. — Chyba... — Uniosła wyskubane brwi i spojrzała za Lizę. — Chyba że stoisz za jakimś seksownym facetem... !

Liza podążyła za jej wzrokiem i spojrzała na dwóch mężczyzn, którzy weszli właśnie do stołówki. Jednym z nich był Nate Garret, ale nie знаła drugiego, choć wydawał się znajomy. — Za Nate'em Garretem?

— O Boże, nie! — Alice nastroszyła grzywkę i wygładziła obcięte na pazia włosy. — Za Cooperem Delmontem. To jeden z programistów Hawka Bohlmana.

On więc też pracuje u Dave'a, pomyślała Liza, obserwując wysokiego muskularnego mężczyznę, którego ostre rysy i urok kontrastowały z nerwowym zachowaniem Nate'a. A trzydziestopięcioletnia Alice rozpaczliwie i bez przerwy szukała mężczyzny.

— Ten Cooper to kawaler?

— Pewnie, że nie. Czy wszyscy porządni faceci muszą być żonaci?

Alice uśmiechnęła się szeroko do mężczyzn, ukazując idealne uzębienie. Jej najlepsza cecha, pomyślała Liza. To i otwartość. Jednak nigdy nie znajdzie męża, gdy będzie sprawiała wrażenie kobiety zbyt łatwej. Liza nie ośmieliła się niczego sugerować, bo Alice była zbyt drażliwa na tym punkcie.

Nate i Cooper zajęli stolik za przepierzeniem i uwaga Alice znów skupiła się na Lizie. —Więc o czym chciałabyś porozmawiać?

Liza krótko przedstawiła fakty: jej klienci oskarżali firmę, że zwalnia pracowników, choć wzrasta obciążenie pracą; są przekonani, że przyczyną zwolnień jest dyskryminacja.

— Sądzą, że dzieje się coś tajemniczego; firma coś ukrywa... Alice słuchała jej uważnie.

— Liza, jestem pewna, że procedury zwalniania i zatrudniania pracowników stosowane w International Air są uczciwe. — Odłożyła sandwicza, którego zaczęła jeść. — Na nic innego nie mogą sobie pozwolić. W przeciwnym razie firma stałaby się przedmiotem dochodzeń prokuratorskich. Nasze kierownictwo jest świadome, że wszystko tworzy właściwy obraz firmy: od życzliwego stosunku społeczności po certyfikaty Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego.



Wyraźnie zmieniło się zachowanie Alice. Przypomniało to Lizie, dlaczego Alice jest szefową działu kadr. Jeżeli chodzi o jej karierę zawodową, była profesjonalistką pod każdym względem.

— Zgadzam się z tobą. Wiem, że w firmie zawsze odpowiednio postępowano z pracownikami. — Pokręciła głową. — A teraz coś jest nie tak i dokładnie nie wiem co.

— W czasie zwolnień zawsze jest zamieszanie. — Napiła się kawy. — Wichrzyciele mają pole do popisu.

— Wiem, ale...

— Współczujesz zwalnianym, razem z nimi przeżywasz rozpacz.

— Być może, ale to chyba nie jest powód mojego niepokoju.

— Liza, pomyśl jednak o tym. — Przerwała. — Nie pogniewasz się, jak przez chwilę wystąpię jako adwokat diabła?

— Mów. Cenię sobie twoje zdanie.

— Ale niech to zostanie tylko między nami. Dobrze? Liza przekrzywiła głowę.

— Kiedy byłaś podatnym na wpływy dzieckiem, twoja rodzina też przez to przeszła z tragicznym skutkiem.

Liza niemal pożałowała, że podzieliła się tą informacją z Alice.

— A zaledwie rok temu zniknął twój mąż, zostawiając cię z pytaniami bez odpowiedzi — dodała łagodnie Alice.

Zapanowało milczenie.

Alice wyglądała na skrepowaną. — Nie chcę przywoływać bolesnych wspomnień, ale jestem chyba najlepszą twoją przyjaciółką, nie licząc oczywiście Jean. Więcej wycierpiałaś niż twoi interesanci razem wzięci. —

Zamilkła na chwilę. — To normalne, że w takiej sytuacji reagujesz zbyt mocno.

— Chcesz powiedzieć, że tracę głowę?

— Do diabła, nie! Tylko że mogłabyś trochę zwolnić... Słuchaj, dam ci kompletną listę zwolnionych do tej pory pracowników. Zasięgniesz o nich informacji i wszystko wróci do właściwych proporcji. Zobaczysz, że skargi są oparte na bezpodstawnych plotkach.

— Byłabym wdzięczna.

— Załatwione. — Na ustach Alice pojawił się jej słynny uśmiech. — Uprzedzam tylko, że to będzie wymagało trochę czasu i wysiłku.

— Ale jak mówiłaś, warto znać fakty. Będę mogła walczyć z plotkami i pomóc moim klientom ruszyć z miejsca. — Liza wstała. Za chwilę miała następne spotkanie. — Alice, dzięki za troskę.

Wyszły razem. Przed rozstaniem umówiły się na trening w siłowni w przyszłym tygodniu. Liza zamyśliła się. Czy Alice, jak ostatnio Al i inni, sugeruje, że straciła obiektywizm? To się zobaczy. Miała nadzieję, że nie.

A jeśli ma rację, a jej klienci mówią prawdę? Liza stłumiła tę myśl. Później będzie rozgryzała ten problem, kiedy pozna fakty.

## *Rozdział 4*

Liza już miała wjechać swoją miatą do podziemnego parkingu naprzeciw Centrum Medycznego Hilltop, ale nagle ogarnął ją niepokój i zmieniła decyzję. Tak późno podziemny garaż będzie pusty... i straszny. Jej wyobraźnia już i tak miała nadgodziny i nie należało jej drażnić. Znalazła więc miejsce na ulicy, przecznicę od głównego wejścia do centrum. Nagle przypomniała sobie, że po szóstej parkometry są wyłączone.

W szpitalu skierowała się na oddział dziecięcy. Czowała, że z każdym krokiem na długim korytarzu podnosiła się na duchu. Lubiła brać udział w przedstawieniach lalkowych, wiedziała, że dzieci, które cierpią na poważne choroby takie jak rak, w jednej chwili przenoszą się do świata spełniających się marzeń. Obie, ona i Jean, rozumiały, że dzieci muszą podtrzymywać w sobie nadzieję; czasami jedynie to im zostało.

— Cześć, Liza. Cieszę się, że cię widzę — przywitała ją Jean. Liza spojrzała na zegarek. — Zdażyłam na czas.

Weszła do poczekalni, która została przekształcona w teatr. Małe krzesła postawiono w rzędach przed przenośną sceną, którą montowała Jean. Z obu stron zostawiła miejsce na wózki inwalidzkie.

— Ty tak — rzekła Jean i zeskoczyła ze składanych schodków, z których poprawiała światła. Ciemne, obcięte na pazia włosy opadły jej na twarz, na chwilę zasłaniając delikatne rysy. — Ale ja się spóźniłam. Utknęłam w korku.

— Nie ma problemu. Wciąż mamy dużo czasu.

Jean uśmiechnęła się szeroko. — Tak jak wiele lat temu, co?

Liza przytaknęła, przypominając sobie. Wtedy tak jak i teraz Jean całym sercem oddawała się lalkarstwu. W dzieciństwie tworzyła historie, swoje lalki przerabiała na kukielki, z resztek materiałów szyła sukienki, a scenę robiła ze stołów, używając koców jako kurtyn. Były to skromne początki profesjonalnych przedstawień, które teraz wystawiała. Praca w zespole lalkarskim Pugeta była jej zawodem, zapewniała jej dostatnie życie, mimo że regularnie organizowała charytatywne przedstawienia dla dzieci.

— Tak, zawsze się spieszyliśmy, w ostatniej chwili robiliśmy zmiany z nadzieją, że zaskoczmy dzieci z sąsiedztwa.

— No i udawało się. Tłumnie przychodziły do naszego ogródka, choć im żyło się znacznie lepiej... — Dawny smutek odmalował się w dużych brązowych oczach Jean.

— Przecież żadne z nich nie wiedziało, że jesteśmy biedne.

— Niby tak... — Jean zawiesiła głos. — Mimo że trzymałyśmy fason, zabawiałyśmy je scenkami lalkowymi i...

— Masz na myśli nasze wielkie widowiska — przerwała jej Liza, próbując rozładować atmosferę.

Uśmiech rozjaśnił twarz Jean. — Na pewno dobrze się bawiły, a ty jak wczuwałaś się w rolę, jeśli wymagał tego scenariusz. Byłaś prawdziwą aktorką! — Spoważniała. — Dzieci potrafią być okrutne, a wtedy miały okazję.

— Zawsze były dla mnie dość miłe.

Jean przekrzywiła głowę i przyjrzała się światłom przy podłodze. — Ja to brałam na siebie. Wiedziały, że gdyby ci dokuczały, śmiały się z twoich ubrań albo z czego innego, ze mną by miały do czynienia, a to oznaczało, że nie mogłyby oglądać naszych przedstawień. — Roześmiała się. — Mała

myszka przeszła długą drogę. Poza tym mama pouczyła mnie, jak mam postępować.

— Co oznaczało, że masz mnie chronić?

— Coś w tym rodzaju. Po śmierci taty było ci ciężko, więc mama i ja uznałyśmy, że nie powinnaś słuchać bezmyślnych wyzwisk.

Lizę ścisnęło w gardle, obserwowała, jak Jean przestała zajmować się światłami i podeszła do rekwizytów. O tym nie wiedziała. Potrzeba było jej trochę czasu, więc zaczęła rozpakowywać kukielki owinięte z czułością w bibułkę; były to dzieci jej siostry. Kiedy kładła na stole przed sceną lalki z wypchanymi ciałami i porcelanowymi głowami i oddzielała kukielki od marionetek, zdała sobie sprawę, jak bardzo nie rozumiała cierpień Jean. Bo była dwa lata od niej młodsza i pochłonięta własnym nieszczęściem? — zastanowiła się.

— Dopiero jako dorosła osoba zrozumiałam, jak bardzo mama się dla nas poświęcała — przyznała głośno. — Ale tak naprawdę nigdy nie przypuszczałam, ile to ciebie kosztowało. — Teraz rozumiem, dlaczego ty i Bill nie macie dzieci, powiedziała sobie w myślach. Bezpieczniej jest zajmować się lalkami. — Przepraszam, Jean.

— Za co? — Dłonie zeszywniały na trzymany przez nią rekwizytach, które mogły zaraz wyslizgnąć się i spaść na podłogę.

Liza rozłożyła ręce. — Sądzę, że byłam samolubnym dzieckiem. Nie dostrzegałam, jak moja siostra się o mnie troszczy.

— Na Boga, skąd to ci przyszło do głowy?! Zapadła cisza.

Jak mogła powiedzieć, że ich dzieciństwo wyrządziło nieodwracalne szkody Jean, jej opiekuńczej, odpowiedzialnej siostrze. Większe niż ktokolwiek mógłby sądzić. Choć fizyczne podobieństwo między nimi było

wyraźnie widoczne, Jean była niższa, miała łatwo układające się włosy i rzadko mówiła o swoich uczuciach — inaczej niż Liza.

— Gdy pracuję z kukielkami, zawsze nachodzą mnie wspomnienia — wyznała Liza.

— Mam nadzieję, że miłe. Miałyśmy przecież dobrą zabawę, gdy robiłyśmy lalki i wymyślałyśmy banalne historie. — Uniosła wzrok i spojrzała Lizie w oczy. — Starsze siostry zawsze opiekują się młodszymi. Po prostu cię kocham.

— Ja ciebie też. — Liza skupiła się na lalkach i rekwizytach. Choć miały kochającą matkę i teatr lalkowy — w którym przedstawiały wzloty i upadki swojego trudnego dzieciństwa — podejrzewała, że Jean mogła sobie nie poradzić z tkwiącym w niej od dawna brakiem pewności siebie.

— No dobrze — orzekła Jean. — Wszystko gotowe.

— Wspaniale! Zatem zaczynamy widowisko.

Liza uśmiechnęła się szeroko. Zapomniały o swojej rozmowie. „Księżycowa prządka”, historia o biednej dziewczynie i jej chorym małym bracie, którzy w księżycową noc spotykają wróżkę, miała za chwilę się rozpocząć. Nie pozwoliła sobie na smutne myśli. Ona i Martin zawsze pomogli w wypchaniu i szyciu wielu lalek oraz służyli radą przy pisaniu scenariuszy. Jean od początku do końca sama tworzyła każde przedstawienie, ale czasami potrzebowała Lizy, żeby pomogła jej zdążyć na czas lub wystąpiła jako lalkarz.

Przez następną godzinę, podobnie jak młodą widownię, pochłoneła ją ta fantastyczna historia. Dzieci śmiały się i krzyczały, kiedy spełniały się nieprawdopodobne marzenia lalek.

Czy pani Liza MacDonough?

Liza oderwała się od pakowania lalek do pudełka. Odwróciła się i stanęła przed szczupłą blondynką. — Tak.

Kobieta uśmiechnęła się trwożliwie. Wyciągnęła rękę. — Widziałam panią kiedyś na lotnisku z Martinem. — Zawahała się. — Abbey Delmonte. Jestem żoną Coopera.

Przez chwilę Liza była zakłopotana, ale potem przypomniała sobie, że Cooper Delmonte to mężczyzna, który był w stołówce z Nate'em. Nic dziwnego, że wydawał się znajomy. Martin kiedyś przedstawił ją jemu; był pilotem, posiadaczem niewielkiego samolotu. Jednak nie mogła sobie przypomnieć, żeby spotkała Abbey, bladą kobietę, której szary strój pasował do jej pospolitych rysów. Było irytujące, że mówiła, jakby Martin wciąż żył.

— A ja jestem Brandon — piskliwym głosem przedstawiło się dziecko stojące obok Abbey. — Czy Księżycowa Prządka odwiedzi mnie... jak w przedstawieniu?

Jego piwne oczy wydawały się nieproporcjonalnie duże na wymizerowanej twarzy. Liza przypomniała sobie, że widziała go na widowni i pomyślała, że jest pewnie chorym małym chłopcem. Uśmiechnęła się do niego. Zastanawiała się, czy choruje na raka.

— Brandon, wszystko jest możliwe. — Liza powstrzymała się od uściskania go. — Jeśli tylko wierzysz.

— Chcesz, żebym ci pokazała, jak ozywają lalki? — spytała Jean, podsluchując rozmowę.

Brandon przytaknął nieśmiało.

— Więc chodź ze mną. Będiesz mógł pobawić się pacynką. — Pokrzepiła go uśmiechem. — To łatwe. Zdziwisz się tym, co lalki ci powiedzą.



— Mamo, mogę? — spojrzał na nią.

— Możesz. Będę tutaj.

Brandon oddalił się, by przypatrywać się Jean, której pacynka nałożona na dłoń już mówiła do niego. Matka obserwowała go czujnym wzrokiem. — Od czasu kiedy zaczęło się leczenie, nie widziałam go tak ożywionego... Chciałam pani i pani siostrze podziękować za wspaniałe przedstawienie. Nie jestem w stanie wyrazić, ile to dla mnie znaczy widzieć moje dziecko uśmiechnięte i szczęśliwe. — Spuściła wzrok. — Nawet jeśli nie będzie to trwało wiecznie.

— Bardzo mi przykro — rzekła delikatnie Liza.

— Mnie też. — Wytarła dłonią czoło, jakby chciała wygładzić zmarszczki spowodowane zmartwieniem. — To niesprawiedliwe, że pięcioletnie dziecko ma guza mózgu.

O Boże, pomyślała Liza, spoglądając na małego chłopca rozmawiającego wesoło z Jean. Oblizwała usta, nie wiedziała, co powiedzieć. W niebieskich oczach Abbey zobaczyła lęk, kiedy kobieta mówiła dalej. Opowiedziała o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy: o objawach, które pojawiły się u Brandona, o wykryciu guza będącego efektem nieprawidłowego rozwoju płodu oraz o leczeniu promieniami rentgenowskimi, co poprzedza zbliżającą się operację.

— Czuję się winna. — Jej usta drżały. — Wiem, że w czasie ciąży musiałam zrobić coś złego, co spowodowało pojawienie się guza u Brandona.

— Abbey, jestem pewna, że to nie pani wina. — Liza odłożyła lalkę i uścisnęła kobietę. Nie była w stanie wyobrazić sobie jej cierpienia. Chociaż współczuła, krępowało ją, że ta krótka rozmowa skończyła się myślą o

śmierci dziecka. Taka jest rzeczywistość tego oddziału szpitala, pomyślała. Niektóre z dzieci oglądających przedstawienie tutaj umrą.

— Tak samo mówi lekarz. — Cofnęła się i uniosła rękę niczym w błagalnym geście. — Przepraszam, że zwierzam się ze swoich problemów, ale jestem zrozpaczona i nie mogę się powstrzymać. — Zniżyła głos: — Brandon jest całym moim życiem.

— Niech pani nie przeprasza. — Liza poklepała ją po ramieniu. — Proszę pamiętać, że Brandon jest w dobrych rękach. Chyba są szanse, że wyzdrowieje?

Przytaknęła. — Ale jest dużo zagrożeń, niewiadomych i... — Jej głos się załamał.

— Proszę mówić — nalegała łagodnie Liza.

Abbey spuściła wzrok. — Najbardziej nienawidzę myśli, że moje dziecko będzie miało tę operację. Wiem, że musi ją mieć, ale nie mam pojęcia, jak za nią zapłacimy dziesiątki tysięcy dolarów, jeżeli stracimy ubezpieczenie medyczne. Szpital nie oferuje kredytów.

— Dlaczego mielibyście je stracić?

— Ze względu na zwolnienia w International Air. Zapadła cisza.

Liza pomyślała, że Cooper Delmonte, człowiek, który był właścicielem prywatnego samolotu, nie powinien bać się, że straci ubezpieczenie; nawet jeśli zwolnią go z pracy; powinno go stać, żeby samemu płacić składki. Na pewno miał wysokie zarobki i zgromadził oszczędności. Chociaż koncern zatrudniał setki pracowników i Liza z większością z nich nigdy się nie spotkała, zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie widziała Coopera, dopiero dzisiaj.

— IA rzeczywiście zmniejsza zatrudnienie w kilku działach — rzekła w końcu, zastanawiając się, co wywołało niepokój u Abbey. — Ale proszę się nie martwić. Jestem pewna, że pani mąż nie musi się niczego obawiać.

— Cooper mówi, że kiedy oprogramowanie zostanie dopracowane i Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego wyda certyfikat na nową serię odrzutowców, niektórzy programiści zostaną zwolnieni. — Zamilkła. — Wiem, że Cooper też się martwi o ubezpieczenie.

— Kiedy Brandon ma tę operację?

— Zależy jak długo będzie trwało leczenie przedoperacyjne. Liza powoli pokręciła głową. — Nie sędzę, żeby teraz musiała się pani martwić o ubezpieczenie. Proszę się skupić na opiece nad synem. — Chciała powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale się nie ośmieliła. Niepokój Abbey mógł być uzasadniony. Zdesperowani klienci, którym codziennie udzielała konsultacji, byli w stanie to potwierdzić.

W tym momencie wrócił Brandon, trajkocząc, że zostanie lalkarzem, jak dorośnie. Liza głęboko odetchnęła. Koniec tej rozmowy przyjęła z ulgą. Powiedziały sobie do widzenia i Abbey chwyciła syna za rękę. Podeszli do drzwi, gdzie się zatrzymali.

— Dziękuję, że pani mnie wysłuchała — odezwała się Abbey i spojrzała Lizie w oczy. — Niech pani pozdrowi Martina. — Potem znikli na korytarzu.

Liza patrzyła za nimi. Abbey z pewnością nie wiedziała o Martinie. Znów ścisnęło ją w gardle. Poza tym była wyczerpana. Pospiesz się, nakazała sobie. Zapakuj rzeczy i jedź do domu. Dziewczyno, potrzebujesz snu — słodkiego zapomnienia.

Następnego ranka Liza twardo spała, dopiero po ósmej obudził ją telefon. Dzwonił Dave, przepraszał, że wieczorem nie może zaprosić jej na obiad.

— Diabli nadali! — mruknął. — Ten cholerny błąd w programie wcale nie został usunięty. Nie dość tego, wywołał reakcję łańcuchową. — Dało się słyszeć jego poirytowanie. — Chyba nie będę miał wolnych sobót, dopóki nie skończymy tego projektu.

— Nie przejmuj się — pocieszyła go, próbując ukryć senność w głosie. — Ja też jestem obłożona pracą i wykorzystuję wolne, żeby nadgonić czas.

— Dzięki za zrozumienie.

Połączenie zostało przerwane, Liza rozpoczęła swój dzień. Ucieszyła ją, że nikt nie będzie jej przeszkadzał podczas pracy nad dokumentami, które przyniosła do domu. Potem, wieczorem, była zmęczona, ale szczęśliwa; dokumenty dotyczące Nate'a zostały przygotowane. W poniedziałek rano Hawk Bohlman je otrzyma.

W niedzielę za to obudziła się odświeżona po kolejnym mocnym śnie. Już miała wyjść do kościoła misyjnego, gdzie grała na pianinie podczas porannej mszy, kiedy zadzwonił telefon. Myśląc, że to Dave, podbiegła do aparatu, by podnieść słuchawkę, zanim włączy się automatyczna sekretarka.

— Halo. — Odłożyła torebkę i skórzane rękawiczki.

— Pani MacDonough?

— Tak. — Głos wyrzucający szybko słowa wydawał się jej znajomy.

— Mówi Nate Garret. Przepraszam, że zadzwoniłem do domu, ale muszę z panią porozmawiać.

Zapadła cisza, kiedy Liza zaczęła intensywnie myśleć. Dlaczego Nate zadzwonił do niej do domu? Skąd miał numer telefonu?

— To proszę szybko powiedzieć, o co chodzi. Mam tylko kilka minut czasu.

— Nie przez telefon. — Zawahał się. — Możemy się gdzieś spotkać?

— Będę w swoim biurze jutro przed ósmą i wtedy...

— Nie, nie tam — przerwał jej. — Dzisiaj, zanim odda pani moje dokumenty Hawkowi.

Kolejna chwila wahania.

— Poczekajmy lepiej do jutra. Obiecuję, że nie dam mojej oceny Hawkowi, zanim z panem nie porozmawiam. Zgoda?

— Proszę. Możemy się spotkać, gdzie pani najwygodniej. — W jego głosie słyszała niepokój... może strach?

— Naprawdę nie możemy poczekać?

— Pani MacDonough, to sprawa życia i... — Przerwał. — To bardzo ważne. Proszę.

Milczała, zastanawiała się. Przepisy obowiązujące w firmie nie zabraniały jej spotykania się z klientami poza biurem. — No dobrze.

Liza dała mu adres kościoła. Umówili się na dziesiątą, godzinę przed mszą.

— Dziękuję, będę punktualnie — zakończył rozmowę. Zmieszana odłożyła słuchawkę. Co Nate zaczął mówić? Sprawa życia i... śmierci?

Spojrzała na zegarek. Za około czterdzieści pięć minut będzie wiedziała.

## *Rozdział 5*

Prezenter pogody zapowiadał mocne opady śniegu; Liza zmarzła, idąc kilka przecznic z parkingu do kościoła misyjnego. Cholerne zimno, orzekła w myślach. Mam nadzieję, że synoptyk się mylił. Chociaż lubiła śnieg, bała się, że utknie wtedy na First Hill i będzie musiała czekać, aż się pojawią służby. Nie było sposobu, by zatrzymać samochód na stromych podjazdach prowadzących od Zatoki Elliota. Na pokrytej lodem nawierzchni można było jedynie wjeżdżać pod górę i zaraz zjeżdżać.

Kościół misyjny, nijaki drewniany budynek, znajdował się w pobliżu placu Pioniera, historycznej części centrum Seattle, i miejsc, które przyciągały ludzi ulicy. Jego budowa została sfinansowana z datków i przy pomocy lokalnych stowarzyszeń religijnych. Pierwotnym celem parafii była pomoc biednym i pozbawionym środków do życia.

Wiele lat temu, zaraz po śmierci ojca, dzięki pomocy misji rodzina Lizy mogła urządzić święta Bożego Narodzenia. Ona i Jean dostały lalki, a matka indyka i inne niezbędne składniki do przygotowania świątecznego obiadu. Ani ona, ani Jean nigdy nie zapomniały o wspaniałomyślności misji: Liza od czasu studiów grywała na pianinie podczas niedzielnej mszy, a Jean wykonała kukielkę, Księżycową Prządkę, na podobieństwo tej właśnie lalki.

Liza minęła kilkoro bezdomnych kulących się w bramie nad opróżnioną do połowy butelką wina. Jakie to smutne, pomyślała, wiedząc, że wielu przyjezdnych woli ulicę od łóżka w misji, bo nie chcą być „nawracani”.

Weszła do kościoła; spodziewała się, że zobaczy czekającego na nią Nate'a. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że pozostała prawie godzina do

porannej mszy. Kiedy czas powoli upływał, Liza najpierw się zastanawiała, a później zdenerwowała. Przed rozpoczęciem mszy zdała sobie sprawę, że Nate wystawił ją do wiatru. Porozmawia z nim jutro rano w pracy. Uznała, że to brak poszanowania, zwłaszcza po tym, jak zadzwonił do niej do domu.

Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki hymnu i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, Liza zamknęła teczkę z nutami i wstała. Była gotowa do wyjścia.

— Jak zwykle byłaś wspaniała. — Podeszedł do niej pastor Larsen. — Nie wiem, ile razy błogosławiłem twoją mamę, że nauczyła cię grać na pianinie.

— Dziękuję — odparła Liza z uśmiechem. Pastor był drobnym mężczyzną po sześćdziesiątce, od wielu lat posługującym w misji. Liza i Jean bardzo go lubiły. — Miałam szczęście, że mama znalazła czas, żeby mnie uczyć i że odziedziczyliśmy rodzinny fortepian po dziadkach, którzy zmarli kilka lat przed śmiercią ojca.

Skinął głową. Zanim się z nim pożegnała i podeszła do drzwi, ustalili, jakie utwory zagra w przyszłym tygodniu. Po wyjściu ogłuszył ją odgłos zbliżających się syren.

Zatrzymała się i spojrzała na tłum gromadzący się wokół osoby leżącej na ulicy. Większość z gapiów właśnie wyszła z kościoła. Na miejscu zjawiono się już kilka wozów policyjnych. Zza rogu wyjechała karetka pogotowia i zatrzymała się z piskiem opon. Liza podeszła bliżej, słuchała uwag wypowiedzianych cichymi z przerażenia głosami.

— Wyglądało, jakby rzucił się pod samochód — ktoś powiedział.

— Tak, wyskoczył z chodnika na ulicę, a samochód jechał za szybko, żeby się zatrzymać — dodała inna osoba.



— Wielki Boże! On jest bardzo ciężko ranny — odezwał się mężczyzna stojący obok Lizy.

Przez kilka minut lekarze badali mężczyznę, a potem umieścili go ostrożnie na noszach.

Tłum patrzył w milczeniu.

Ranny leżał zupełnie nieruchomo. Potem powoli obracał głowę, przypatrując się ludziom w tłumie, aż spojrzał w oczy. Lizie. *To był Nate!*

Próbował coś powiedzieć. Liza przepchnęła się do przodu. — Proszę mnie przepuścić — zażądała przerażona. — Znam tego człowieka!

Umundurowany policjant przytrzymał ją za ramię, by nie podeszła do Nate'a. — Ale ja go znam — protestowała.

— Pani rodzina? — spytał.

— Nie, ale...

— Zatem proszę się cofnąć. Musimy zawieźć go do szpitala.

Liza wpatrywała się w Nate'a, który znów próbował się odezwać. Jednak był to dla niego zbyt wielki wysiłek. Zamknął oczy, kiedy sanitariusze umieszczali go w ambulansie. Po chwili pojazd ruszył na sygnale pod górę, w kierunku oddziału pomocy doraźnej szpitala Harborview. Kiedy sygnał stopniowo ucichł, policjant przepytął Lizę. Podała mu swoje nazwisko, powiedziała, skąd go zna, ale nic nie wspomniała o materiale, który o nim pisała. Ujawni poufne informacje dopiero, gdy będzie to konieczne.

— Spóźnił się na spotkanie ze mną — dodała wstrząśnięta. — Może spieszył się i nie zauważył samochodu.

— To jest możliwe. — Policjant uniósł wzrok znad notatnika, w którym pisał. — Jaki był cel waszego spotkania?

— Uff, sprawy firmy.

— Sprawy firmy? W niedzielę do południa? Zapadła cisza.

Powstrzymała się od zrobienia jakiegoś gwałtownego ruchu. — Nate ma jutro ważne spotkanie i potrzebował mojej rady. — Nie skłamałam, stwierdziła.

— Okay, dziękuję, że pani się zgłosiła — rzekł policjant, zamykając notatnik. — Mamy numer pani telefonu, pani MacDonough.

Skinęła głową. Mogła odejść. Pospieszyła do swojego samochodu. Wkrótce wjeżdżała na wzgórze tą samą drogą co ambulans. Nate musi wyjść z tego, powtarzała w myślach; wiedziała, że ma żonę i dzieci.

Była niespokojna. Policjant miał rację. Co było tak ważnego, że Nate nalegał na spotkanie w kościele? I dlaczego się spóźnił? Co próbował jej powiedzieć?

Zaparkowała samochód i szybkim krokiem skierowała się na pogotowie. Kobieta w informacji powiedziała, że dowie się o stan zdrowia Nate'a. Poprosiła ją, by poszła do poczekalni.

Minęło pół godziny. Kiedy zamierzała znów pójść do informacji, w drzwiach pojawił się policjant, który badał miejsce wypadku.

— Pani MacDonough?

Wstała. Zanim zdążyła zapytać, pokręcił głową.

— Nie... nie żyje? — spytała łamiącym się głosem.

— Nie mogli przywrócić mu przytomności... Powiadomiliśmy rodzinę. — Znow pokręcił głową, na jego ładnej twarzy pojawił się grymas. — Takie wypadki kończą się tragicznie.

— Więc to był wypadek? Przytaknął. — Na to wygląda.

Oszołomiona Liza podziękowała mu i wyszła ze szpitala, by pojechać do domu. Biedny Nate. Jego niepokój o pracę odszedł w przeszłość. Teraz będzie się zastanawiała, co chciał jej powiedzieć.

Przytłoczyło ją poczucie winy, w oczach pojawiły się łzy. Jak mogła nie docenić jego obaw? Czy był tak zdenerwowany, że na oślepie wszedł pod samochód? Teraz nie żyje. To częściowo moja wina. Powinnam to przewidzieć.

*Wścibska suka! — mruknął z zaciśniętymi zębami, — Pieprzona cipa! Zaparkował na ulicy, gdzie znajdowało się pogotowie, niecałą przecznicę od miaty, samochodu Lizy. Jechał za nią na wzgórze, obserwował, jak zamyka wóz i szybko idzie do szpitala. Oddychał głęboko. Tym razem nie przegrasz, poinstruował się. Zbyt duża stawka. Wszystko jest na dobrej drodze. Nate nie może wyjść z tego cało.*

*Jednak wciąż żył, kiedy przyjechało pogotowie.*

*Wyciągnął butelkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy nikt na niego nie patrzy, i wypił duży łyk whisky. Kiedy chował butelkę z powrotem, przyglądał się dwóm chuderlawym chłopcom, którzy jeździli na deskorolkach po chodniku. Sprawnie przeskakiwali nad krawężnikami i omijali ludzi. Pomyślał, że muszą gdzieś tu mieszkać. Złe miejsce dla dzieci. Pewno wkrótce wpadną w narkomanie.*

*Parsknął ironicznym śmiechem. Jakie jest złe miejsce dla dzieci? Slumsy? W przypadku rodziny, w której sam się wychowywał, może to być dzielnica zamieszkała przez klasę średnią!*

*Zaczęło padać, lodowate krople rozpryskiwały się o przednią szybę samochodu. Szyby zaparowały. Włączył silnik, podkręcił odmrażanie i*

uchylił szybę, wpuszczając mroźne powietrze do środka. Zimny podmuch podziałał na jego spocone czoło niczym wstrząs elektryczny.

*Chłopcy nie zwracali uwagi na deszcz i kontynuowali wyścigi.*

*Zauważył, że młodszy z nich ma za małą kurtkę. Od razu wrócił myślami do swojego dzieciństwa, przypomniał sobie inną kurtkę.*

*— Dlaczego nie chcesz założyć nowej kurtki? — spytała go matka.*

*— To nie jest nowa kurtka — odparował. — Była używana!*

*— Włóżysz ją i już!*

*Jego płacze i prośby nic nie pomogły. Włożył tę kurtkę do szkoły, ale tylko raz. Wrzucił ją do pojemnika na śmieci i przez okno w klasie obserwował, jak wywozi ją śmieciarka. Potem poszedł do dyrektora i poinformował o kradzieży. Rodzice coś podejrzewali i kazali mu nosić starą kurtkę, która była za mała jak u chłopca jeżdżącego na deskorolce. Nie przejmował się tym. To była jedyna nieużywana kurtka, którą dostał, aż do czasu, gdy sam mógł sobie kupić ubranie. Ten postępek był drobnym zwycięstwem nad durnymi kanalami, które kazały mu nosić ubrania po starszym bracie. Nie dbali o to, że inne dzieci śmieją się z niego...*

*Gdy jakiś van zatrąbił na dzieci, wrócił myślami do celu swojego przyjazdu-tutaj. Włączył wycieraczki, by lepiej widzieć drzwi wejściowe. Odetchnął głęboko. Pojawiła się ona. Omal jej nie zgubił.*

*Podbiegła do swojego samochodu, ocierając oczy. Deszcz? Łzy? Czy to znaczy, że Nate nie żyje?*

*Nie podążył za nią, kiedy odjechała. Wiedział, gdzie mieszka. Czekał, aż zniknie z widoku, a potem szybkim krokiem dotarł do poczekalni szpitala i skorzystał z automatu telefonicznego. Pielęgniarka z pogotowia*

*odpowiedziała wymijająco, kiedy udając zaniepokojonego świadka wypadku, zapytał o Nate'a. Ale uzyskał informację.*

*Po powrocie do samochodu znów pociągnął z butelki. Teraz musi się tylko upewnić, że Liza MacDonough nie ma obciążającej dokumentacji. Bułka z masłem, stwierdził. Ona nie jest groźnym przeciwnikiem.*

Nie wiem, czy jestem w stanie — rzekła Liza, gdy Dave zatrzymał mercedesa przed domem Nate'a Garreta w Woodinville.

Odwrócił się, ręką potarł siedzenie za nią. — Liza — odezwał się łagodnie. — Nie ponosisz winy za śmierć Nate'a. Nikt nie wiedział, że wpadł w tak ostrą depresję.

— Ale to moje zadanie, żeby to zauważyć. — Zawahała się. — Przeoczyłam sygnały. Widziałam, że jest zaniepokojony, przejęty, ale uznałam, że to wynik przepracowania i chęci przypodobania się Hawkowi.

— Nie załamuj się, nie obarczaj się odpowiedzialnością.

Liza wypuściła powietrze z płuc i odwróciła się do Dave'a. — No dobrze. — Chwyciła za klamkę. — Niech to już będzie za nami.

Wysiadł bez słowa i zanim Liza zdążyła wyjść na podjazd, znalazł się po drugiej stronie samochodu. W milczeniu podeszli do drzwi i zadzwonili. Czekając, Liza przyjrzała się otoczeniu: nowemu dwupiętrowemu domowi, przyszczyżonemu trawnikowi, ekskluzywnemu sąsiedztwu. Kosztowny, pomyślała i uświadomiła sobie, że Garretowie przypuszczalnie żyli ponad stan — od wypłaty do wypłaty.

Drzwi otworzyła Maggie, żona Nate'a. Zaskoczyło to Lizę. Spodziewała się zobaczyć jednego z jej krewnych, który zapraszał kolegów Nate'a z International Air do domu Garretów po nabożeństwie żałobnym, jakie odbyło się godzinę wcześniej.

— Cześć, Dave — rzuciła Maggie, lekko się uśmiechając. Spojrzała na Lizę. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. — Jestem Maggie, pani MacDonough. Nie spotkałyśmy się, ale słyszałam o pani. — Spuściła wzrok. — Od Nate'a.

— Bardzo pani współczuję. — Głos Lizy się załamał. Chciała powiedzieć więcej, ale nie znajdowała słów. Zamiast tego uściskała Maggie, kiedy weszli już do przedpokoju.

— Dziękuję, że przyjechaliście — rzekła Maggie, przetykając ślinę. — Ja i moi chłopcy jesteśmy wdzięczni...

Wzięła ich płaszcze i zaprosiła do salonu pełnego ludzi. Liza wielu z nich znała z International Air. Długi stół w sąsiedniej jadalni zastawiony był potrawami, ale większość gości nic nie jadła. W rogu pokoju spostrzegła trójkę chłopców siedzących ze starszym małżeństwem. Liza uznała, że są to synowie Nate'a z dziadkami.

Dave podążył za jej wzrokiem. — Mają od siedmiu do czternastu lat. — Zawahał się. — Smutne.

Skinęła głową. Zastanawiała się, jak Maggie i jej synowie sobie poradzą. Maggie była zadbaną blondynką; jej czarny jedwabny kostium, wypielegnowane paznokcie i z gustem urządzonego domu wskazywały na poziom życia, którego nie będzie w stanie utrzymać bez pensji Nate'a. Dave już zdążył powiedzieć Lizie, że Maggie nie pracowała, a chłopcy zawsze chodzili do prywatnej szkoły. Liza miała nadzieję, że ubezpieczenie na życie Nate'a, które opłacał w International Air, wystarczy jego rodzinie do utrzymania.

— Idę po kawę — rzucił Dave. — Przynieść ci?

— Tak, wypiję... żeby się wzmocnić — odparła, tylko trochę żartując. Pogrzeby zawsze przypominały jej o śmierci ojca.

— Zaraz wrócę.

Po drodze do stołu kilkakrotnie zatrzymali go znajomi. Alice Emery pomachała do Lizy z drugiej strony pokoju. Zaczęła się do niej przepychać, rozdzielając uśmiechy między tych, których znała. Jej strój — dobrze skrojona czarna suknia i pasujące do niej zamszowe czółenka — przyciągał zachwycone spojrzenia mężczyzn i kobiet. Liza powstrzymała się od uśmiechu. Zawsze i wszędzie Alice starała się wyglądać jak najlepiej.

— Nie mam jeszcze dla ciebie tej listy — rzekła, podchodząc do Lizy. Uniosła umalowane brwi. — Za dużo się dzieje. — Miała na myśli pogrzeb Nate'a. — Jutro, dobrze?

— Jak najbardziej. — Liza spojrzała na tłum w mieszkaniu. — Nie można było nie przyjść na pogrzeb Nate'a.

Alice przyglądała włosy. — Nagła śmierć zawsze jest takim szokiem.

— Tak, to prawda — za Lizą rozległ się głęboki męski głos.

Odwróciwszy się, zobaczyła Coopera Delmonte'a i Abbey. Abbey, ubrana w granatowy kostium i z makijażem, wyglądała teraz bardziej atrakcyjnie. — Trudno będzie sobie poradzić bez Nate'a w laboratorium komputerowym — dodał.

Kiedy Cooper opowiadał o swojej znajomości z Nate'em, Abbey milczała, pozwalając mężowi mówić. Liza wymieniła z nią uśmiechy, ale nie było sposobu, by przerwać Cooperowi i porozmawiać. Czterdziestoletni Cooper miał charyzmatyczną osobowość gwiazdy filmowej, wiedział, że podoba się kobietom. Jeśli zachowanie Abbey określało ich związek, to on był głową rodziny, osobą, która podejmuje decyzje. Ale nie zapominaj o



małym Brandonie, napomniała się Liza. Być może to niepokój o niego powoduje, że Abbey jest tak stłamszona.

Potem Abbey zaczęła rozmawiać z kobietą, która zapytała o Brandona. Liza, nie chcąc jej przerywać, przysłuchiwała się Cooperowi.

— Nie wiem, co by się stało z Abbey, gdyby coś mi się przytrafiło.

— Oderwał wzrok od Alice i spojrzał na Lizę brązowymi oczami, prawie tak ciemnymi jak jego starannie uczesane włosy. — Ona nie pracuje zawodowo jak wy.

— Na pewno by sobie poradziła — odparła Liza zdenerwowana, że Cooper tak protekcyjnie traktuje żonę, która umiera z niepokoju o swoje dziecko. — Kobiety są bardziej odporne, niż pan sądzi...

Została wybawiona od dalszej rozmowy z Cooperem przez Dave'a, który wrócił z kawą. Całe szczęście, pomyślała. Stosunki w rodzinie Delmonte'ów to nie jej sprawa.

Po chwili wypita kawę i zauważyła, że Dave też ma pustą filiżankę.

— Teraz ja pójdę po kawę.

— Dla mnie nie, ale możesz zanieść moją filiżankę — rzekł Dave.

Liza podeszła do termosu bufetowego w jadalni, ale po chwili uznała, że nie chce już kawy, i poszła do kuchni, gdzie natknęła się na płaczącą Maggie pochyloną nad zlewem. Chciała się wycofać, ale Maggie ją zauważyła.

— Przepraszam za najście — zaczęła Liza. — Chciałam włożyć filiżanki do zlewu.

— Proszę nie wychodzić — odezwała się Maggie i wyprostowała się nad zlewem. — Na chwilę straciłam kontrolę nad sobą. — Zawiesiła głos. — Nie chcę płakać przy moich chłopcach.

— Rozumiem. — Liza odstawiła filiżanki na ladę. — Maggie, ma pani prawo do łez. Utraciła pani męża.

Maggie pociągnęła nosem, próbując się opanować. Oczy otarła ręcznikiem do naczyń. — Tak... tak bardzo go kochałam. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę odszedł, że za chwilę nie wejdzie do kuchni.

— Wiem, o czym pani mówi — stwierdziła delikatnie Liza. — Upłynie trochę czasu, zanim minie to uczucie. — Dobrze je znała. Tak samo odczuwała przez wiele miesięcy po śmierci ojca, a teraz wciąż nie mogła się pogodzić ze zniknięciem Martina.

Maggie nerwowo wyżeła ręcznik. — To moja wina, że nie żyje. — Załamał się jej głos. — Gdybym tylko zachęciła go, żeby spełnił swoje marzenia... Ale się bałam.

— Bałam? — spytała Liza ostrzejszym tonem. — Czego?

— Ze to wszystko stracimy. — Maggie ruchem ręki wskazała na dom. — Potrzebne były nam dochody Nate'a, żeby utrzymać ten styl życia i na prywatną szkołę dla chłopców. — Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — Nate chciał założyć własną firmę komputerową, a ja uważałam, że trzeba poczekać, aż zabezpieczymy się finansowo.

— Nie powinna się pani obarczać winą. Nie mogła pani wiedzieć, że Nate... będzie miał wypadek.

— Nate przez moje naciski nie rzucał tej pracy w International Air. — Maggie opadła na krzesło. — Liza, on był tak uzdolniony... — Spuściła wzrok. — Mogę do pani mówić po imieniu?

Liza potaknęła. — Będzie mi miło.

— Wydaje mi się, że znam cię bardzo dobrze, choć dopiero przed chwilą po raz pierwszy się spotkałyśmy — kontynuowała Maggie drżącym

głosem. — Teraz rozumiem, dlaczego Nate tak bardzo cię lubił. Mówił, że ocena, którą mu wystawisz, będzie uczciwa.

— Wiedziałaś o tym?

Przytaknęła. — Nate był wyczerpany i zdruzgotany, ale, na Boga, nie rozumiem, jak mógł wybiec przed samochód.

— Nikt z nas nie jest w stanie zrozumieć. — Liza sama odczuła wyrzuty sumienia. Chyba nie zauważyła oznak, że Nate znalazł się na krawędzi załamania psychicznego.

Zapanowała cisza.

— Czy wiedziałaś, że miał talent muzyczny? — spytała w końcu Maggie. — W wolnym czasie komponował na syntezatorze, a potem robił wydruki nut.

— Nie wiedziałam.

Od drzwi doszedł jakiś odgłos. Liza uniosła wzrok i zobaczyła Dave'a.

— Przepraszam, że przeszkodziłem — zaczął. Wydawał się skrepowany tym, że wtrącił się do rozmowy. — Liza, chciałem tylko sprawdzić, co się z tobą dzieje. — Uśmiechnął się przelotnie. — Będę w sąsiednim pokoju.

— Zaraz do ciebie przyjdę — odparła. Skinął głową, a potem zniknął.

Maggie wstała. — Dzięki za to, że przyszedłeś. — Przerwała. — I za to, co zrobiłaś dla Nate'a.

— Żałuję, że nie zrobiłam więcej — stwierdziła zgodnie z prawdą. — Dzwon, jak będziesz czegoś potrzebowała. — Z torebki wyjęła wizytówkę i szybko zapisała domowy numer telefonu.

Z drżącymi ustami Maggie próbowała powstrzymać łzy. — Dziękuję. Zadzwoń.

Liza dołączyła do Dave'a i po chwili wracali do miasta. Prawie nie rozmawiali, kiedy jechali do Seattle autostradą i mostem na drodze numer 520. Liza nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że coś jest nie tak. Śmierć Nate'a *uznano* za wypadek.

Ale czy tak rzeczywiście było?

RS

## *Rozdział 6*

Następnego ranka, kiedy Liza wychodziła z domu, zadzwonił telefon. Wystraszył ją. Pasek od torby zsunął się jej z ramienia, torba wypadła z ręki. Z brzękiem uderzyła o podłogę, ale Lizie udało się utrzymać się na nogach. — Cholera! — Podbiegła do telefonu w kuchni, zanim rozmówca się rozłączył. Omal nie nadepnęła na Belle.

— Halo — odezwała się zdyszczanym głosem.

— Czy to Liza?

— Tak... Steve Wendall?

— Brawo. Zgadłaś!

Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. Wynajęty przez nią prywatny detektyw nigdy nie dzwonił o siódmej rano. W rzeczywistości prawie z nim nie rozmawiała od czasu, gdy go zatrudniła kilka tygodni temu. Zebrała się w sobie. Musiał coś znaleźć w związku ze zniknięciem Martina.

— Ale z trudem — rzekła w końcu. — Co znalazłeś?

Chwila wahania.

— Wszystko po kolei. Skończyła mi się zaliczka i potrzebuję więcej pieniędzy na kontynuowanie poszukiwań.

— Ale czy do tej pory coś znalazłeś? — Mówiła ostrzejszym tonem. Z pewnością nie sądził, że bez żadnych postępów dostanie więcej pieniędzy.

— Na razie nie jestem pewien. — Znowu wahanie. — Ale coś mnie zaintrygowało. Dlatego potrzebuję pieniędzy, żeby sprawdzić pewne ślady.

Liza przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. Steve'a Wendalla poleciła jej mieszkająca w tym samym budynku artystka wyrabiająca biżuterię, która dzierżawiła jeden z tych zwariowanych sklepików na Targu Śledziowym na

nadbrzeżu Seattle. „Może to dziwak, ale zna się na rzeczy” — powiedziała Lizie.

Była zaskoczona jego inteligencją i sensownymi uwagami. Umówiła się z nim w sobotę po południu. Jednak kiedy do kawiarni na szybkim motocyklu podjechał mężczyzna z potężnymi udami, w wypłowiałych dżinsach, od razu nabrała rezerwy. Szczupły, z długimi włosami i z brodą wyglądał jak podstarzały hipis. Ale kiedy znów porozmawiali — ona, pijąc kawę, on, oczyszczoną wodę z butelki, którą przywiózł ze sobą — jego oczywiste kompetencje rozwiały obawy Lizy.

— To będzie pomocne — stwierdził, kiedy podała mu kartkę z informacjami o Martinie: nazwiska jego przyjaciół, współpracowników, wygląd i zainteresowania. Fakt, że detektyw nie ma własnego biura, zniechęcił ją na początek, ale jego stawki były w zasięgu jej możliwości, więc go wynajęła.

— Jakie ślady? — spytała w końcu, skupiwszy się ponownie na rozmowie telefonicznej.

— Nie wiem, czy chciałabyś się tego dowiedzieć. To może być bardzo przykre...

— Oczywiście, że tak. Jak sądzisz, dlaczego cię zatrudniłam? Żebyś niezależnie od wszystkiego odkrył prawdę.

Ale czy tak naprawdę chcę ją poznać? — zastanawiała się, patrząc przez okno w salonie na odległy Space Needle. Nie było dobrego rozwiązania. Albo Martin nie żyje... albo ją porzucił. Ton w głosie Steve'a Wendalla mówił, że wiadomość, którą chce przekazać, jest przygnębiająca.

— Więc dobrze — odezwał się i gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. — Przypuszczam, że Martin żyje. Ja...

Jego słowa podziały niczym wstrząs elektryczny. — Jak to?! Ze co?!  
— zapytała gorączkowo.

— Poczekaj. Daj mi szansę wyjaśnić... Ostrzegałem cię, że nie na taką informację czekałaś.

— To kłamstwo! — odparowała. — Nie chciałam potwierdzenia, że mój mąż nie żyje, nawet gdyby prawda, co się z nim stało, była dla mnie przykra.

Kolejna chwila milczenia.

— Chcesz, żebym mówił dalej?

Przytaknęła, ale zdała sobie sprawę, że detektyw nie widział jej gestu.  
— Tak, mów.

Westchnął. — Chyba zdajesz sobie sprawę, że na razie nie są to fakty, ale podejrzenia oparte na tym, czego się dokopałem.

Przycisnęła słuchawkę do ucha. — Tak.

— Więc dobrze. Martin mógł wplątać się w coś nielegalnego, wpadł w kłopoty i uciekł przerażony. Jego niespodziewane loty samolotem w dziwnych porach dnia i nocy na pierwszy rzut oka wydają się podejrzane.

— Podejrzane? Ależ to bzdura.

— Być może. Ale twój mąż był tak tajemniczy, jeżeli chodzi o plany wylotów, nikomu nie chciał ich zdradzić...

— Bo ich nie znał. To była część jego miłości do latania. Poddawał się kaprysom chwili, wybierał terminy i cele lotów pod wpływem impulsu. Nienawidził jakichkolwiek ograniczeń.

— Tak, słyszałem o tym.

— Słuchaj, Steve, ta twoja informacja niczego nie dowodzi. Zapadła cisza.



— Oczywiście możesz mieć rację, gdyby tylko o to chodziło.

— Nie brzmisz przekonująco...

— Niestety, nie jestem jeszcze niczego pewien. Krążą plotki, że on i kilku innych pilotów mogło być zamieszanych w przemyt.

— Przemyt?

— To właśnie słyszałem, ale nie jestem w stanie podać żadnych szczegółów, dopóki nie ustalę pewnych faktów.

— Ale powiedziałeś, że Martin być może żyje. Musisz być czegoś pewien. — Chodziła po kuchni, ciągnąc za sobą długi sznur telefonu. — Nie możesz zostawić mnie w niepewności, jeżeli coś wiesz.

— Nie będę cię trzymał zbyt długo w niepewności — stwierdził lekko obrażonym głosem. — Taki mam zwyczaj, że informuję na bieżąco o moich postępach, zwłaszcza gdy potrzebne są mi pieniądze na dalsze poszukiwania. — Zaczął mówić szybciej: — Ale jak już mówiłem, muszę sprawdzić kilka wskazówek, zanim ustalę fakty. — W słuchawce rozległo się westchnienie. — Pierwsza się o tym dowiesz.

— Okay, więc je ustal.

— No cóż, będę pracował dla ciebie, dopóki będziesz płaciła. — Znów chwila przerwy. — Gotowa jesteś wydać pięć tysięcy dolców?

— A dostanę rozliczenie wydatków? — Musiała zapytać. Choć była w stanie zapłacić podwójną cenę za prawdę, nie chciała, żeby detektyw ją wykiwał.

— Nie ma sprawy.

Nie przejmując się o malejące konto, obiecała, że prześle mu czek. Musiała wiedzieć, co się wydarzyło — niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało lub jak bolesna będzie prawda — by móc dalej radzić sobie w

życiu. Potem długo jeszcze wpatrywała się w telefon. Być może Martin żyje. Zatem co skłoniło go do tak drastycznego kroku jak ukrycie się, że nawet jej się nie zwierzył? Strach o swoje życie? A może jej?

Po drodze do pracy cały czas myślała o rozmowie ze Steve'em Wendallem. W jej głowie kłębiły się setki pytań i dziesiątki możliwości. Dopiero później, kiedy zapoznawała się z problemami kolejnego klienta, mogła na chwilę o nich zapomnieć.

Był to dzień kłopotliwych telefonów. Kiedy po lunchu podniosła słuchawkę, usłyszała głos Maggie Garret.

— Przepraszam, że dzwonię do pracy — odezwała się — ale przypomniałam sobie coś, co Nate niedawno mi powiedział. Było to niepokojące... i czuję, że muszę o tym komuś powiedzieć.

— Dobrze, że zadzwoniłaś. — Wyprostowała się na krześle. — Mam dziesięć minut czasu do spotkania z następnym klientem.

— Dzięki — rzekła Maggie. Liza usłyszała ulgę w jej głosie. — Wiem, że chyba jestem niemądra...

— Bzdura. Kiedy tracimy kochaną osobę, musimy ujawnić wszystkie swoje uczucia — powiedziała Liza, wiedząc, że mówi jak psycholog, którym oczywiście była.

— Jesteś bardzo życzliwa, Liza. To chyba dlatego uznałam, że mogę do ciebie zadzwonić.

Liza chciała powiedzieć: „Ja tylko znam to uczucie. Sama znalazłam się w takiej sytuacji”, ale ugryzła się w język. Właśnie teraz Maggie nie powinna słuchać kolejnej smutnej historii.

— Więc co sobie przypomniłaś? — zapytała zamiast tego. Maggie chrząknęła i Liza odkryła, że kobieta powstrzymuje się od płaczu. — Nate

powiedział, że jest zaniepokojony tym, co się dzieje w laboratorium komputerowym.

— Powiedział, co go niepokoi? — naciskała łagodnie Liza.

— Nie, ale sposób, w jaki to mówił, zaalarmował mnie. Poza tym ze zdenerwowania nie mógł spać po nocach.

— Może przejmował się błędami w oprogramowaniu. Wiem, że jest to trudne do usunięcia.

— Pytałam go o to. Zaprzeczył, nie chciał niczego wyjaśniać, powiedział tylko, że znajdzie sposób na wydobyć się z tego bagna.

— Powiedział *bagna*?

— Właśnie.

Czy wypadek był jego sposobem ucieczki? Taka myśl mimo woli przyszła jej do głowy. Czy mimo wszystko było to samobójstwo. Chyba z wdową nie mogła się podzielić tą myślą. Wtedy jakby Maggie odgadła jej pytanie, bo powiedziała:

— Liza, on nie popełnił samobójstwa. — Mówiła drżącym głosem. — Znałam Nate'a lepiej niż ktokolwiek inny. Kochał mnie i chłopców. Byliśmy całym jego światem. Bez względu na wszystko, nie rzuciłby się pod samochód.

Zapewne jest to prawda. Liza poprawiła palcami włosy. Jednak poczuła też, że Maggie nie chce wziąć tej możliwości pod uwagę. Ona sama nie mogła zaakceptować przypuszczenia, że Martin popełnił samobójstwo. Tak samo nie mogła przyjąć do wiadomości, że oszukał ją i wciąż żyje. Prawdziwy pat.

Ktoś zapukał do uchylonych drzwi. Liza ruchem ręki zaprosiła do środka asystentkę Alice. — Maggie, mogłabyś poczekać minutę — rzekła. — Ktoś do mnie przyszedł i ma sprawę. To nie zajmie dużo czasu.

Maggie zgodziła się i Liza zawiesiła rozmowę telefoniczną, by wziąć od młodej kobiety listę zwalnianych. Liza podziękowała jej i powiedziała, że później zadzwoni do Alice.

— I podziękuj Alice — zawołała za asystentką, która odwróciła się do wyjścia.

Kiedy zamknęły się drzwi, Liza podniosła słuchawkę.

— Przepraszam. — Odłożyła wydruk. Miała zamiar go przejrzeć po umówionych spotkaniach. Rozmawiając z Maggie, Liza wciąż myślała o liście, którą dostała od Alice; zastanawiała się, czy znajdzie tam rozbieżności wskazujące, że coś nie jest w porządku. Pożegnały się, kiedy Maggie obiecała, że znów zadzwoni, gdy będzie miała powody do niepokoju.

Potem nie mogła doczekać się końca dnia. Rozpoczął się niepokojąco i nic nie zmieniło się na lepsze. Spokojny wieczór z Bellą, długa kąpiel w wannie i kieliszek wina wyglądały zachęcająco. Potrzebowała odpoczynku.

Liza chodziła po pokładzie statku wycieczkowego. Prawie nie czuła zimowego wieczornego wiatru. Z głównego salonu dobiegała muzyka. Trio jazzowe Martina grało jego ulubione kompozycje Dizzy Gillespiego i Louisa Armstronga. Nuciła melodie i zastanawiała się, czy powinna przyłączyć się do przyjęcia. Wahala się, jej ciało nie chciało dostosować się do poleceń płynących z mózgu. W tym momencie była zadowolona, że może patrzeć na niebo okraszone milionami gwiazd i na księżyc w pełni, który wzniósł się nad odległe wyspy i oświetlał Zatokę Elliotta

błyszczącymi smugami, jakby ścieżkami. Ścieżkami do magicznych miejsc, gdzie marzenia stają się rzeczywistością — *gdzie ci, których kochamy, nigdy nie umierają*. Choć jej sukienka była mocno wydekoltowana i bez rękawów, Liza nie odczuwała chłodu. Pomyślała, że to dziwne. Zwykle jako pierwsza zaczynała ciepło się ubierać.

W drzwiach ukazał się kelner, na tacy niósł kieliszek z winem. Miała go wziąć, ale kelner szedł za szybko i zniknął za sterem statku. Jeszcze przez chwilę się ociągała, a potem ruszyła w kierunku muzyki. Najwyższy czas, by dołączyć do przyjęcia.

Pchnęła drzwi do salonu... i otoczyła ją cisza. Szeroko otworzyła oczy, jej serce waliło jak oszalałe. Pomieszczenie było puste.

— Człowiek za burta! — krzyknął ktoś z pokładu.

Liza zaczęła biec w stronę głosu, jakby urosły jej skrzydła u nóg. Biegając, obcasem pantofla nadepnęła na rąbek spódnicy i upadła jak długa. Uniosła się jakoś na rękach i pobiegła dalej.

— Tutaj! — krzyknął ktoś inny, tym razem bliżej. Spoza zasięgu jej wzroku dochodziły mieszające się krzyki o pomoc. Obiegła ster i znalazła się na... pustym pokładzie. Zatrzymała się i wychyliła za burte, przytrzymując się relingu. Jakiś ruch w wodzie przyciągnął jej wzrok.

Coś wynurzyło się nad powierzchnię. Nagle światło księżyca oświetliło twarz mężczyzny. *Twarz Martina!*

Przechyliła się za reling i wyciągnęła ręce. — Złap się! — wrzasnęła. — Zaraz cię wyciągnę!

Spojrzał na nią matowymi oczami, poruszyły się też jego blade usta. Odgłos fal rozbijających się o statek i krzyki ludzi znajdujących się gdzieś za nią zagłuszyły jego słowa. Wychyliła się jeszcze bardziej nad reling.

Martin uniósł ręce, woda kapiała z rękawów jego koszuli, ale nie mógł dosięgnąć wyciągniętych dłoni.

Ktoś znajdujący się za nią chwycił ją w pasie, więc mogła wychylić się jeszcze bardziej. Potem tamten zwolnił uścisk i wpadła do atramentowej wzburzonej toni. Straciła oddech, gdy jej głowa znalazła się pod powierzchnią lodowatej wody. Rozpaczliwie próbowała się czegoś chwycić. Martin zniknął, wciągnięty jeszcze głębiej przez prąd wodny.

Liza nie mogła oddychać, czuła, że za chwilę popękają jej bębunki w uszach. Wynurzyła się na powierzchnię, ale po chwili znalazła się pod wodą. Zanim zamknęły się jej oczy, spleciony w warkocz sznur przymocowany do kółka z kluczami prześlizgnął się za nią niczym prehistoryczny jeż morski. Ponownie usłyszała głosy, były coraz bliżej... upewniały, że ona...

Nagle Liza zaczęła znów oddychać, haustami wciągała powietrze do płuc. Zerwała się z łóżka, zrzucając z kołdry Bellę. Przez dłuższą chwilę była zdezorientowana. Miauczenie kota przywróciło ją do rzeczywistości. Stojąc w swoim spokojnym pokoju, cała drżała, jej koszula nocna była mokra od potu.

To sen, uświadomiła sobie. Jedynie zły sen. Słaniając się na nogach, poszła do kuchni po szklankę wody, ale zmieniła decyzję i naląła sobie chardonnay, z którego wcześniej zrezygnowała. Kuracja na własną rękę, stara babo? Wystraszyły cię koszmary nocne?

Zrzuciła z siebie koszulę nocną i naga wróciła do łóżka. Usiadła w nim, opierając się na poduszkach. Chciała wypić wino. Jednak nie mogła się uspokoić. Bella obserwowała ją z krzesła stojącego obok łóżka, bała się ponownie położyć na kołdrze.

Liza nie mogła wymazać z pamięci pozbawionej życia twarzy Martina.  
Dobry Boże, modliła się. Co on próbował powiedzieć? Co to wszystko  
znaczyło?

RS



## *Rozdział 7*

Do cholery! — zaklęła znów zdenerwowana Liza. — Gdzie jest ten pieprzony wydruk?

Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa, z niewyspania szczypało ją w oczy, w głowie kłębiły się myśli. Jak mogła zapodziać listę zwalnianych pracowników. Zostawiła ją przecież na biurku, gdzie nie mogła zginąć.

Pomyślała, że to sprawka ekipy sprzątajacej w nocy. Wyrzucili ją. To jedyne wyjaśnienie. Ale oni nigdy przedtem niczego nie dotykali na biurku, przekonywała się. Więc co się z nią stało? Czyżby ktoś ją ukradł? Głupia myśl. Komu byłaby potrzebna lista zwalnianych pracowników? Tylko jej, bo chciała znaleźć rozwiązanie problemów. W głowie miała pustkę. Nie było żadnego sensownego wyjaśnienia zaginięcia dokumentu, jedynie taki, że nie może sobie dokładnie przypomnieć, gdzie go położyła.

Jestem kłębkim nerwów, pomyślała, opadając na krzesło. Głęboko oddychała, próbowała się uspokoić. Boże, najbardziej pragnę, żebyś pozwolił mi zapomnieć o dzisiejszym koszmarnym śnie.

Ten sen — przerażający scenariusz śmierci Martina — przypominał się jej cały ranek. Nie myśl o nim. Zajmij się pracą...

Uśmiechnęła się cierpko. A więc doszło do tego, że jako psycholog każe sobie stłumić swoje lęki. Miała jedynie nadzieję, że nie skończy na kanapie w gabinecie kolegi. Jednak myśl o kolegach nie była zła; pójdzie do Alice, przyzna się do roztargnienia i poprosi o drugi wydruk.

Spojrzała na zegarek. Pierwszy klient zjawi się za pół godziny. Teraz pójdzie. Gdy była przy drzwiach, przypomniała sobie o Samie Paparichu, który został zwolniony i rozpaczliwie szukał nowej pracy. Był jedynym

żywicielem rodziny. Potrzebował pomocy przy tworzeniu życiorysu; napisała go na nowo. Życiorys był już gotowy, ale musiała go omówić z Samem. Zadzwoiła więc zaraz do niego i umówili się na niedzielę po południu, jedyny dzień, kiedy oboje byli wolni.

Odłożywszy słuchawkę, przypomniała sobie, ile to razy Martin niepokoił się, że ona pracuje w weekendy. — Powinnaś zostawiać pracę w biurze — powiedział, przyciągając ją do siebie i pokrywając jej twarz pocałunkami. — Obawiam się, że możesz przenosić doświadczenia z twojego trudnego dzieciństwa na ludzi, którzy stracili posadę w International Air...

Liza znów podeszła do drzwi, otworzyła je i omal nie zderzyła się z Dave'em, który miał zamiar właśnie wejść. — Cześć, Brązowe Oczy — przywitał się z uśmiechem. Wzrokiem wyrażał zachwyt, gdy zauważył, że ubrała się na czerwono. — Dokąd się tak spieszysz?

Uśmiechnęła się odprężona. — Taka niepotrzebna sprawa przez moją głupotę.

— Co się stało? — W zaciekawieniu zmrużył oczy.

— Ach... — Wzruszyła ramionami. — Coś zgubiłam i muszę mieć kopię.

— Nie rozumiem więc, dlaczego mówisz o swojej głupocie. — Uniósł gęste rude brwi, czekał.

— Wyjaśnię ci później — wykręciła się od odpowiedzi.

— Zgoda. — Zawahał się. — Po lunchu?

— Nie wiem, czy będę mogła — zaczęła. — Mam chyba jakieś spotkanie...

— Nie możesz sprawdzić w terminarzu? — Podeszedł za jej plecami do biurka. — Mam ponad godzinę czasu. Jak ci pasuje, zabiorę cię do Nożowników.

— To ten lokal na północ od Rynku?

— Świetne miejsce. — Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając lekko krzywe zęby. — W sam raz dla yuppie. I tylko kilka minut drogi stąd, jak nie ma korków! Lunch przy oknie wychodzącym na zatokę to dobry sposób dla starego ciała na zwolnienie tempa.

Zapadła cisza.

— Bez obrazy. — Pochylił głowę nad jej terminarzem. — Chodź, zobacz, jaki masz plan.

Liza spojrzała w terminarz. — Od pierwszej mam półtorej godziny wolnego, ale muszę jeszcze przejrzeć teczki moich klientów.

— Absurd. Musisz zrobić sobie przerwę, żeby nabrać sił przed popołudniowymi konsultacjami. — Przybrał łagodny wyraz twarzy. — Sama praca bez rozrywek równa się... wycieńczenie, a chyba nie chcemy znaleźć takiego rozwiązania?

Pokręciła głową, kosmyk niesfornych włosów opadł jej na czoło. — Dla ciebie to nie za późno na lunch?

Przysunął się bliżej i zanim zdążyła się cofnąć, odgarnął włosy z jej czoła. Niespodziewanie spojrzał jej w oczy. — Nie ma odpowiedniejszej pory — rzucił miękkim głosem. — Dziś jestem spokojny. Po raz pierwszy nie pojawiły się żadne błędy w programach, żadnego kryzysu w zespole, żadnych sfrustrowanych pracowników.

Oderwała wzrok od jego zachwyconych oczu, nie była pewna swoich uczuć. Z powrotem podeszli do drzwi.

— Zatem jesteście umówieni?

— Tak. — Liza uśmiechnęła się i zmusiła do mówienia łagodniejszym tonem. — Na lunch w Nożownikach.

— To spotkajmy się w moim biurze o pierwszej albo wcześniej, jak będziesz mogła. — Uścisnął jej ramię, by podkreślić swoje słowa. — Zrelaksujemy się przy lunchu. Daj mi szansę, żebym nadrobił wszystkie wspólne obiady, które ostatnio nam przepadły.

— Nie ma takiej potrzeby...

— Oczywiście, że jest — przerwał jej. — Nie chcę, żeby moja najlepsza przyjaciółka była na mnie zła.

— Nie jestem...

— Porozmawiamy o tym później. Dobrze, Brązowe Oczy? Przytaknęła.

— Nawiasem mówiąc, czerwony kolor ci pasuje, podkreśla kasztanowy odcień twoich włosów. — Pozdrowił ją gestem i nie czekając na odpowiedź, zniknął na korytarzu.

Wróciła do biurka, przypomniawszy sobie, że kiedy wychodzi, powinna włączyć pocztę głosową. Boże, ale jestem zapominalska, stwierdziła. Może Dave ma rację. Potrzebuję spokojnego lunchu, żeby odetchnąć w tym zwariowanym dniu.

**Na Boga, Liza, już go zdążyłaś zgubić? Taki ważny wydruk?**

Alice wydawała się zdenerwowana, jakby niepokoiło ją coś innego niż zgubiona przez Lizę lista. Ubrana w obcisły zielony sweter z głębokim okrągłym dekoltem i czarną skórzaną spódnicę, a nie w kostium, dziś wyglądała inaczej niż zwykle. Liza zastanawiała się, czy umówiła się na randkę po pracy. Miała nadzieję, że o to chodzi. Alice, która ostatnio

pracowała nad swoim wyglądem poprzez ćwiczenia fizyczne i liczenie kalorii, wyglądała wspaniale.

— Jak mówiłam, zostawiłam go na biurku i chyba przypadkowo wyrzuciła go ekipa sprzątająca. — Zawahała się, spojrzała na ścianę z wielkimi oknami. Na zewnątrz było ponuro, padał deszcz. — Przepraszam, jeśli sprawiam kłopot.

— Liza, nie ma sprawy, ale chyba nie mam drugiego wydruku. Liza stanęła z boku, gdy Alice obeszła biurko, by otworzyć szafę na dokumenty. Kiedy przerzucała teczki, Liza spojrzała na swoje odbicie w oknie i zdała sobie sprawę, że i ona ubrała się dziś inaczej. Nigdy przedtem nie wkładała do pracy czerwonego kostiumu z aksamitu i zamszowych czółenek; zawsze uważała, że jako psycholog nie może się tak ubierać.

Odwróciła się od okna. Wiedziała, dlaczego wybrała czerwony kostium; Martin bardzo go lubił i chciała też zapomnieć o nocnych koszmarach. Potrzebowała jasnego koloru, by podnieść się na duchu.

— Tak jak myślałam. — Alice zamknęła szufladę z teczkami i odwróciła się do Lizy. — Nie mam kopii. — Uniosła pomalowane brwi, które zniknęły pod jej grzywką. — Każę asystentce zrobić drugi wydruk i ci podrzucę. — Zawiesiła głos. — Jutro albo pojutrze. Dobrze?

Liza skinęła głową. — Będę wdzięczna.

Alice rozłożyła ręce. — Wiem, że jest to ważne dla ciebie, ale czuję, że nie ma to sensu.

Na chwilę zapadła cisza.

— Może masz rację. Zobaczymy.

— Tak, zobaczymy. — Alice wróciła do swojego biurka. — Przynajmniej raz na zawsze będziesz miała ten problem z głowy.

Dla Alice ten pomysł z listą zwalnianych pracowników to był ślepy zaułek. Liza zignorowała jednak możliwość, że Alice traktuje ją protekcyjnie, bo przecież Alice nie słyszała historii opowiadanych przez zwalnianych pracowników. Ona *słyszała* i miała zamiar to *z badać*, nawet wbrew opiniom wszystkich wokół. Jej uczciwość zawodowa tego wymagała.

Liza pierwsza przerwała ciszę.

— A co z naszym spotkaniem na siłowni? Sauna i trochę wysiłku dobrze nam zrobią na stresy.

Alice pokręciła głową. — Dziś nie mogę.

— Co się stało?

Wyraz twarzy Alice złagodniał po raz pierwszy od chwili, gdy Liza weszła do jej biura. — Mam randkę.

— Wspaniale — uśmiechając się, stwierdziła Liza. — Czy znam...

Alice oblizwała wargi i zaczęła szybko mówić, jakby nie chciała, żeby Liza zapytała o jego imię: — Podobno to niezły ogier. Nie do końca w to wierzę, ale chyba uda mi się go sobą zainteresować.

— Hm... Alice, powinnaś w to wierzyć. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą i masz dużo do zaoferowania mężczyznom. — Zawahała się. — Ten facet ma szczęście.

— Dzięki. — Alice głęboko wciągnęła powietrze do płuc. — Może w przyszłym tygodniu umówimy się na siłownię. — Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. — I opowiem ci wszystko dokładnie.

— Czekam na to. — Liza przekrzywiła głowę. — Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby zostać matką i żoną. Mam nadzieję, że znajdziesz

swojego księcia. — Mówiła szczerze, ukrywając w ten sposób głupotę swojego komentarza.

— Księcia? No, jeszcze nie wiem. — Spuściła wzrok. — Może on nie jest dobrym materiałem na męża... Ale jest cholernie seksowny i na razie to mnie interesuje. Zobaczymy, co się wydarzy.

*Jest żonaty* — było pierwszą myślą Lizy. Może jednak nie, sprzeczała się z sobą. Może jest tylko ostrożnym mężczyzną, który boi się wpaść w ręce złej kobiety. Miała nadzieję, że to drugie przypuszczenie jest prawdziwe. Alice zasługiwała na porządnego faceta.

— W każdym razie mam nadzieję, że w najbliższym czasie moja sytuacja się zmieni — kontynuowała Alice.

Znów Liza powstrzymała się od zadawania pytań. Było jasne, że Alice nie chce rozmawiać o szczegółach. Podeszła do drzwi. — To czekam na kolejny wydruk.

— Podrzucę ci go możliwie jak najszybciej. — Alice uniosła rękę w pożegnaniu. — I pogadamy później.

Liza skinęła głową, zamknęła drzwi za sobą i ruszyła w dół schodów do swojego biura. Spojrzenie na zegarek powiedziało jej, że powinna się spieszyć. Za chwilę pojawi się pierwszy klient.

Hej, chyba mam jeszcze parę minut! — zauważył Dave, odrywając wzrok od notatek, które dyktował sekretarce. Jego obszerne biuro z rozległym widokiem na Zatokę Pugeta znajdowało się na ostatnim piętrze budynku. Było bardzo wystawne w porównaniu z jej małym funkcjonalnym gabinetem.



Liza uśmiechnęła się; czuła się teraz znacznie lepiej niż rano. — Nie mogłam się doczekać lunchu w Nożownikach! Poza tym mówiłeś, żebym była wcześniej, jeśli to możliwe.

— Tak, rzeczywiście. — Dave wstał. — Mamy więc dużo czasu. Zarezerwowałem stolik na pięć po pierwszej.

Jego sekretarka, starsza kobieta taktownie wyszła z pokoju, a Dave wziął marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Potem wyprowadził Lizę na korytarz. Wtedy spojrzał na zegarek.

— Moglibyśmy zahaczyć o laboratorium? Muszę porozmawiać z Hawkiem. — Pytająco uniósł brwi. — To zajmie tylko kilka minut.

— Ja nie mam nic przeciwko temu. — Wzruszyła ramionami. — W końcu nie zaczęła się jeszcze przerwa na lunch.

Objął ją ramieniem. — Powiem ci to po raz drugi: dziś wyglądasz wspaniale. To nowy strój? Zapadło milczenie.

— Hm, ma ponad rok.

— Nigdy go wcześniej nie widziałem.

Roześmiała się nerwowo. — Chyba dlatego, że nigdy nie wkładałam go do pracy.

— Dlaczego? — Czuła jego spojrzenie na sobie. — Wyglądasz wspaniale, piękniej niż paryska modelka.

Liza zarumieniła się. Nie słyszała komplementów ze strony mężczyzny od czasu, gdy odszedł Martin.

— Dziękuję. — Chwilę milczała, a potem postanowiła być szczerą. — To był ulubiony strój Martina. — Mimo wszystko formalnie była zameżna i wyjaśniła to Dave'owi, kiedy po raz pierwszy zaprosił ją na obiad, ale ostatnio stał się bardziej natarczywy w wyrażaniu swoich uczuć. Nie chciała

go wprowadzać w błąd — za bardzo go lubiła. Ceniła jego przyjaźń i opinie, nawet jeśli nie zawsze zgadzał się z jej decyzjami, tak jak wtedy, gdy wynajęła prywatnego detektywa, Steve'a Wendalla.

— Martin miał dobry gust — stwierdził oschłym tonem.

Zdała sobie sprawę, że bezmyślnie uczyniła uwagę o Martinie.

Przestali rozmawiać po wejściu do windy z kilkoma innymi osobami.

Po chwili znaleźli się na parterze. Rozsunęły się drzwi windy i Dave chwycił Lizę za łokieć. Poszli zadaszonym przejściem do laboratorium komputerowego w sąsiednim budynku. Strażnik przy drzwiach, rozpoznawszy Dave'a, wpuścił ich do środka. Przy wejściu do laboratorium Dave zatrzymał się i odwrócił do Lizy.

— Brązowe Oczy, czuję, że dziś nie jesteś sobą. Mogę ci w czymś pomóc?

Spuściła wzrok. Zażenowały ją jego ciepłe słowa. Nie była przyzwyczajona do współczucia. Oprócz Jean inni najbliżsi jej ludzie wydawali się oczekiwać, że ona zawsze stanie na wysokości zadania, *bo powinna*, nawet jeśli musiała radzić sobie po zniknięciu męża.

W końcu pokręciła głową. — Dziękuję, że zapytałeś, ale ja naprawdę czuję się dobrze. — Przerwała, wiedziała, że jej wcześniejszy komentarz na temat czerwonego stroju nie może pozostać bez niedomówień.

Dave czekał, by mówiła dalej.

— Wczoraj miałam nerwowy dzień. Zaczęło się od rozmowy ze Steve'em Wendallem o Martinie, a potem zadzwoniła Maggie Garret. Mówiła o swoich wcześniejszych obawach o Nate'a i... — Liza rozłożyła ręce. — W efekcie w nocy miałam zły sen o śmierci Martina, obudziłam się i nie mogłam ponownie zasnąć. Tragedia Maggie wraz z informacjami od

prywatnego detektywa musiały wywołać ten sen. — Przypominając go sobie, zmarszczyła czoło. — Rano czułam się zmęczona i postanowiłam ubrać się na czerwono. Miałam nadzieję, że ten kolor podniesie mnie na duchu.

Znów objął ją ramieniem. Przez dłuższą chwilę milczał, podczas gdy ona próbowała zebrać się w sobie. Na litość boską — karciła się — tylko nie płacz. Nie chciała wprawiać w zakłopotanie tak wrażliwego człowieka jak Dave. Poza tym nie miałyby to nic wspólnego z jej profesjonalizmem; to ona była psychologiem, nie on.

— Maggie chciała się komuś wyzalić? — spytał mimochodem. Liza wzruszyła ramionami. Była wdzięczna, że okazał się na tyle taktowny i nie kontynuował rozmowy o Martinie. — Coś w tym rodzaju. Dałam jej wizytówkę i powiedziałam, żeby zadzwoniła, jak będzie chciała porozmawiać o Nacie. — Nie miała ochoty szczegółowo opowiadać o swojej rozmowie z Maggie. Kolejna chwila niezdecydowania.

— A Wendall? — spytał Dave bezbarwnym, chyba ganiącym tonem. — Chyba dostarcza ci ważnych informacji, skoro mu płacisz.

— Potrzebował więcej pieniędzy, żeby kontynuować swoje poszukiwania. — Zniżyła głos. — Chyba znalazł kilka dobrych wskazówek, które chce sprawdzić. — Spojrzała w oczy Dave'owi. — Sądzi, że Martin być może żyje.

Dave przetrwał jej słowa. — Rozumiem — rzekł w końcu. — Czy ten Wendall powiedział dokładnie, dlaczego tak myśli?

Pokręciła głową. — Nie chciał niczego wyjaśniać, dopóki nie sprawdzi śladów. Może się mylić...

— Liza, mogę ci coś powiedzieć jako przyjaciel?

— Oczywiście.

Sformułowanie myśli zajęło mu trochę czasu. Obok przeszło dwoje ludzi, ich kroki odbijały się echem od wyłożonej płytkami podłogi; na korytarzu zamknęły się drzwi, a za zewnętrzną ścianą do magazynu wjechała ciężarówka.

— Ulegałaś huśtawce emocji od czasu, gdy Martin... zniknął — zaczął powoli, z zatroskanym wyrazem twarzy. — Nie masz dowodu, że zginął, ani też, że wciąż żyje. Czy mam rację?

— Tak. — Czubkiem czerwonego czółenka kreśliła kółka na podłodze.

— I dlatego znalazłaś się w zawieszeniu... jesteś bezradna.

— Co masz na myśli? — Jej stopa zamarła.

Gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. — Tylko to, że są ludzie, którzy żerują na nieszczęściach innych... Skąd masz pewność, że ten Wendall nie jest jednym z nich?

— Sugerujesz, że mnie kantuje?

— Chcę jedynie powiedzieć, że Wendall powinien dostarczyć ci konkretnych informacji, zanim poprosił o więcej pieniędzy. — Bardziej zmarszczył czoło. — Równie dobrze może być oszustem.

— W to nie uwierzę. Kobieta z mojego bloku, która mi go poleciła, zna wielu ludzi zadowolonych z jego usług. Być może jego profesjonalizm nie pozwala mu spekulować bez znajomości faktów.

Liza nie mogła uwierzyć, że broni detektywa, człowieka, co do którego sama nie była przekonana. Jednak podczas rozmowy telefonicznej wydawał się szczery i nawet gdyby był oszustem, nie miała wyboru, musiała dalej mu ufać, jeśli istniała niewielka nawet szansa odkrycia, co się stało z Martinem. Jej przyszłość zależała od poznania prawdy.

— Okay — rzucił Dave. — Może bym z nim porozmawiał i dał mu do zrozumienia, że ktoś się tobą opiekuje...

— Chcesz odgrywać rolę macho, bo jestem bezbronną kobietą?

— Nie denerwuj się — rzekł Dave, unosząc obie dłonie w geście poddania. — Nie jestem żadnym macho, tylko się o ciebie troszczę.

— Dziękuję ci za to, Dave. — Liza zdobyła się na normalny ton. To nie jego propozycja ją zdenerwowała, ale przypuszczenie, że jest oszukiwana. *Taka była twoja pierwsza reakcja przed spotkaniem ze Steve'em Wendallem*, przypomniała sobie. Dave chciał ci tylko pomóc.

— Pomyśl o tym. — Uśmiechnął się, łagodząc napięcie między nimi.  
— Ja podtrzymuję ofertę.

— Pomyślę — odparła zyczliwym tonem. — Dziękuję, Dave. Może później skorzystam z twojej propozycji. Na razie zobaczę, z czym zjawi się Wendall. Twierdzi, że wkrótce coś będzie miał.

Dave przytaknął, pchnął drzwi i weszli do laboratorium komputerowego. — Biuro Hawka jest z tyłu — zwrócił się do Lizy. — Mogłabyś tu poczekać? Zaraz wrócę.

— Nie ma sprawy. — Już rozglądała się po ogromnym pomieszczeniu bez okien. Pracownicy siedzieli przed komputerami, najwyraźniej pisali programy dla nowej serii odrzutowców. Spojrzała na Dave'a, mimowolny uśmiech ściągnął jej usta. — Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Jestem oszołomiona.

— Tak, to typowa reakcja. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jakie to duże przedsięwzięcie. Przypuszczalnie dlatego, że bez pozwolenia nie można wejść do laboratorium.

Roześmiała się. — Rozumiem. I obiecuję, że nie ośmielę się wejść dalej. Będę tutaj czekała.

— Dobrze — powiedział ze śmiechem w głosie.

Zostawił ją, by dostać się w drugi koniec laboratorium; pozdrawiał pracujących ludzi, kiedy przechodził. Usiadła na krześle, które przesunęła do ścianki, i próbowała się zrelaksować.

Szum komputerów hipnotyzował. Liza oparła się o przesuwana ściankę i zamknęła oczy. Brak snu dał znać o sobie, niemal zasypiała, kiedy dotarły do niej głosy dwóch mężczyzn rozmawiających o Internecie.

— Forum CB jest na United Online — powiedział jeden z mężczyzn, lekko unosząc głos. — Obserwuj osobę o pseudonimie Wężojad... — Następne słowa zostały wymówione szeptem i Liza ich nie dosłyszała. —... i Bojanglesa.

Liza znów zamknęła oczy. Maniacy komputerowi, pomyślała. Cały dzień pracują przy komputerze, potem idą do domu i dla rozrywki surfują jeszcze po sieci.

Kolejny fragment rozmowy sprawił, że wyprostowała się na krześle i próbowała usłyszeć więcej. —... powiedział, że nie pasują dane zwalnianych.

— Tak... tutaj dzieje się coś dziwnego i... Zapadła cisza.

Liza wyteżyła słuch. Wstała i podeszła do końca krótkiej ścianki. Rozglądała się wokół, miała nadzieję zobaczyć, kto to mówił. W pobliżu nikogo jednak nie było, a w całym pomieszczeniu pracowało mnóstwo osób, przeważnie mężczyzn. Nie można było określić, kto rozmawiał przed kilkoma sekundami.

— Gotowa do wyjścia?

Pytanie Dave'a wystraszyło ją. Nie widziała, jak podszedł do niej z tyłu. — Ach, tak.

Uniósł brwi. — Wszystko w porządku? Przytaknęła. — Chyba tak. Przekrzywił głowę, czekał.

— Właśnie podsłuchałam niepokojącą rozmowę.

— Czyją?

— Nie wiem. Byli po drugiej stronie ścianki, poszli, zanim zdążyłam ich zobaczyć.

— I co cię zaniepokoiło w tej rozmowie?

Zawahała się. — Tego też do końca nie wiem. Pomyślę o tym i powiem ci przy lunchu. — Wtedy nikt mnie nie podsłucha, dodała w myślach. Co to znaczyło, że tutaj dzieje się coś dziwnego?

Skinął głową, potem wziął ją pod ramię i wyprowadził z laboratorium. Korytarzem wyszli na zewnątrz, do jego mercedesa, który stał na oznaczonym miejscu, zaraz przy strzeżonym wejściu. Zastanawiała się, dlaczego nie opuścili budynku prywatnym wejściem, którego Dave używał, by dostać się z parkingu do laboratorium. Przypuszczała, że jest zamknięte, pod alarmem i ona nie może z niego korzystać.

Po kilku minutach zostawili samochód na podziemnym parkingu pod Nożownikami i garażową windą wjechali do restauracji. Usiedli przy oknie. Kelnerka przyjęła ich zamówienie na potrawę z krabów, a potem Dave poprosił o chardonnay dla nich obojga.

— Dave, nie mogę pić w południe — rzekła, kiedy kelnerka odeszła od stolika. — Zaraz zasnę.

Wyciągnął rękę nad stołem i położył ją na jej dłoni. — Jak zaśniesz, zawiozę cię do domu i położę do łóżka.



— Ale...

— Żadnych ale.

Podano wino i kiedy wypili po małym łyku, pierwszy odezwał się Dave: — To co się wydarzyło w laboratorium?

Opowiedziała, co słyszała. — Przypadkowo podsłuchałam tę rozmowę. Na początku myślałam, że rozmawiają o grach komputerowych, ale kiedy usłyszałam, że coś dziwnego dzieje się ze zwolnieniami, zrozumiałam, że mówią o International Air.

Przechylił głowę, czekał, żeby kontynuowała.

— Mówili podobnie jak moi klienci.

— Czyli co?

— Że coś jest nie tak. Nie ma powodów do zwolnień, skoro pozostali nie są w stanie podolać obowiązkowi.

— Którzy twoi klienci to mówili? Gdzie ich dowody, że stoi to w sprzeczności ze statystyką i planami firmy?

Zapadła cisza.

— O jakim rodzaju dowodów myślisz? — zapytała delikatnie, skrywając swoje opinie na ten temat.

— O dokumentach — odezwał się Dave ostrzejszym tonem. — Trzeba po nazwiskach sprawdzić skargi i ludzi stojących za nimi.

— Przecież wiesz, że nie mogę dać ci nazwisk bez zgody zainteresowanych. Jednak to tylko sprawa formalna. Ktoś z zarządu chce dotrzeć do podłoża oskarżeń wysuwanych przez pracowników i odkryć, co jest przyczyną plotek.

— *Niektórych* pracowników — poprawił ją. — Na pewno nie jest to zbyt duży procent.

Wypiła łyk wina. Chciała mieć czas do namysłu. Już nie czuła, że odpoczywa.

— Musisz zdać sobie sprawę, że te plotki mogą doprowadzić do załamania się projektu nowych odrzutowców. — Dave poprawił się na krześle. Wyraźnie był zdenerwowany. — Nie mówiąc już o karierach, nie wyłączając mojej, jeśli nie zdążymy na czas.

Wyjrzała przez okno na Zatokę Elliotta. Prom z wyspy Bainbridge zbliżał się do terminalu; kontenerowiec podpływał do ulicy Juana de Fuki; szkwał pędził nad wodą ciężkie chmury zapowiadające więcej deszczu.

— Trzeba zacząć od nazwisk wichrzycieli — dodał.

— Dave, nie mogę naruszać prywatności moich klientów. Zostanę oskarżona i moja kariera się skończy. — Wciągnęła powietrze do płuc. — Firma zwolni mnie jako pierwszą.

Spuściła wzrok i zakręciła winem w kieliszku. Nie mogła nic odczytać z oczu Dave'a, ale czuła jego zdenerwowanie.

— Przepraszam, Dave. Podzieliłabym się z tobą informacjami, gdybym mogła. Mam zamiar zbadać zarzuty, upewnić się, czy plotki nie wynikają z rozżalenia. — Nie dodała, że wszyscy w firmie nie wierzą jej tak samo jak on.

Nagle Dave podniósł wzrok i uśmiechnął się. — Liza, wiem o tym. Nie ma osoby bardziej oddanej i uczciwej niż ty.

Przywołał kelnerkę i powiedział, żeby się pospieszyła, bo mają mało czasu. Młoda kobieta skinęła głową i niedługo podała im sałatkę z krabów.

Liza ucieszyła się, gdy znów znaleźli się w mercedesie i skierowali do International Air. Kiedy zaparkowali i mieli się rozejść, Dave położył dłonie na jej ramionach, opóźniając rozstanie.

— Przepraszam, że się zdenerwowałem rozmową o krążących plotkach, ale martwię się jedynie, żeby coś nie zaszkodziło projektowi nowych samolotów. — Spojrzał przenikliwym wzrokiem. — Wybaczysz mi?

Uśmiechnęła się, widząc szczerłość na jego twarzy. — Nie ma czego wybaczzać.

— Zadzwoń do ciebie — rzekł, a potem się oddalił.

Liza wróciła do swojego biura. Dave był miłym człowiekiem, jednak nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że nie tylko oddanie dla pracy go motywuje.

Głupia, powiedziała do siebie. Nie pozwól, żeby paranoja zakłócała twoje sądy. Dave jest jednym z najlepszych twoich przyjaciół w International Air.

## *Rozdział 8*

Reszta tygodnia minęła szybko, a sobotę Liza spędziła w domu na nadrabianiu zaległości z pracy. Była zadowolona, że Dave musi pracować, Erik uczyć początkujących spadochroniarzy w Centrum Spadochronowym Sampsona, a Jean ma zakontraktowane występy teatru lalkowego. Z radością powitała niedzielę. Właśnie wychodziła z kościoła misyjnego po skończonej mszy, gdy zatrzymał ją pastor Larsen, by jak zwykle ją pochwalić.

— Utwory, które na dziś wybrałaś, były bardzo inspirujące — rzekł z uśmiechem, który rozjaśnił jego pociągłą, zmęczoną twarz. — Zauważyłem, że kilkoro wiernych ocierało łzy.

— Dziękuję, ale jestem pewna, że bardziej sprawiło to kazanie pastora niż moje hymny. — Liza uśmiechnęła się szeroko, zapinając płaszcz przeciwdeszczowy. Spojrzała z nawy kościoła na główne drzwi, które zamknięto ze względu na porywisty zimowy wiatr. Wyszedł ostatni z przemoczonych parafian; kościół był pusty.

Pastor położył dłoń na jej ramieniu. — Liza, dziękuję, że tak dużo czasu poświęcasz misji. Gdyby nie tacy ludzie jak ty, te biedne dusze nigdy nie wyrwałyby się z ulicy. To dlatego tak ważna jest pomoc.

Przytaknęła, ale każdy w mieście wiedział, że to dzięki jego wysiłkom wielu bezdomnych dostało możliwość rozpoczęcia życia na nowo. Drobnym mężczyzną o niewyczerpanej energii, niewzruszenie przekonany, że jest w stanie wszystko zmienić. Wiedza, że większość z włóczęgów, którzy przyszli na mszę, uciekła przed pogodą, chciała posiedzieć w cieple przez godzinę lub trochę więcej, ani na chwilę go nie zniechęciła.

— Co porabia Jean? — spytał. — Dawno jej nie widziałem.

— Cały czas jest zajęta. — Uśmiechnęła się szeroko. — Zna pastor Jean. Nie powie nie, jeśli myśli, że jej przedstawienia lalkowe są dla dzieci wszystkim. — Zapanowała cisza.

— Wy obie, dziewczęta, jesteście takie same... — Złagodniał mu wyraz twarzy, gdy zaczął przywracać wspomnienia.

Dziewczęta — pomyślała, tłumiąc uśmiech. Pastor miał ponad sześćdziesiąt lat i wciąż pamiętał ją i Jean jako małe dziewczynki, które utraciły ojca, a później matkę. To on odprawiał mszę po jej śmierci.

— Chciałbym, żeby na wiosnę dała przedstawienie dla bezdomnych dzieci — powiedział, a potem się zamyślił. — Jak sądzisz, Jean się zgodzi?

— Powinien pastor zadzwonić. — Liza odwróciła się do drzwi. — Im wcześniej, tym lepiej. Teraz jest bardzo zajęta, ale wiem, że zgodzi się z przyjemnością, jeśli tylko będziecie mogli uzgodnić termin.

— Jutro do niej zadzwonię. — Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej kopertę. — Prawie zapomniałem. — Podał ją Lizie. — Znalazłem w homiliarzu. Nie mam pojęcia, jak długo tu była ani kto ją włożył... Ty jej nie zostawiłaś?

Pokręciła głową.

— Nie otwierałem jej, bo jest zapieczętowana i napisano na niej twoje nazwisko. — Wzruszył ramionami. — Pewno ktoś poprosił o jakiś hymn na niedzielną mszę.

Liza obracała kopertę w dłoni; nie była w stanie rozpoznać charakteru pisma. Kiedy ją otwierała, pastor zaczął mówić o człowieku, który zaprzętał jej umysł — o Nacie Garrecie.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo przeżywam jego śmierć. Nie wiedziałem, że go znałaś.

Jej palce zeszywniały na złożonej kartce papieru, którą wyjęła z koperty. — On był tylko moim klientem z pracy. Umówił się ze mną tutaj w kościele.

— Miał kłopoty?

Przytaknęła. — Myślę, że miał problemy psychiczne ze względu na stres w pracy.

— Rozumiem. — Pastor nagle spojrzął badawczo niebieskimi oczami. — Był na tyle zdenerwowany, że chciał się spotkać w niedzielę? A ty byłaś zaniepokojona i się zgodziłaś?

Zapadła cisza.

— Myślę, że pastor dobrze przypuszcza. — Pastorce Larsen, przenikliwość sądów to jeden z darów, jakie pastor posiada, powiedziała do niego w myślach. Pastor zawsze dostrzeże sedno sprawy. — Kiedy stworzyłam charakterystykę jego osoby, uświadomiłam sobie, że być może wszystkiego mi nie powiedział. — Palcem gładziła trzymaną w dłoni kartkę papieru. — Powinnam zauważyć, jak bardzo był przygnębiony.

— Domyślasz się, czego mógł ci nie powiedzieć?

— Nie jestem pewna. Przypuszczalnie nigdy się tego nie dowiem.

— Dziecko, nie możesz się oskarżać — rzekł łagodnym głosem. — Bóg nie oczekuje od nas, żebyśmy byli idealni.

— Dziękuję. — Liza uśmiechnęła się, była wdzięczna za te słowa pokrzepienia. Właśnie teraz ich potrzebowała. Założyła torbę na ramię i włożyła parasol pod pachę, by uwolnić drugą rękę. Rozwinęła kartkę papieru.

— Muszę iść do kuchni — odezwał się pastor Larsen z uśmiechem. — Za godzinę podajemy niedzielny obiad.

Przyjaźnie uścisnął ramię Lizy i ruszył w kierunku drzwi, które łączyły kościół z jadalnią i sypialnią. Obserwowała, jak wychodzi. Miały dużo szczęścia z Jean, że spotkały go na swojej drodze życia. Był bezdzietnym wdowcem, jego współczucie dla innych osób nie znało granic. Włożył właśnie inne nakrycie głowy — będzie teraz serwował jedzenie głodnym ludziom z Seattle.

Zerknęła na kartkę, którą trzymała w dłoni. Spodziewała się zobaczyć notatkę i podpis. Patrzyła zaskoczona. Na kartce nie było żadnego pisma, tylko niestarannie narysowana pięciolinia i nuty.

Z burzą myśli w głowie powoli podeszła do pianina. Kiedy pastor Larsen dał jej kopertę, natychmiast pomyślała o Nacie, że to on mimo wszystko przekazał jej informację. Teraz była zdezorientowana.

Położyła torebkę i parasol na podłodze i usiadła przy pianinie. Kartkę postawiła przed sobą, podkładając pod nią kopertę. Palcem zaczęła wybierać nuty, jednak kartka zsunęła się na jej palce. Zdenerwowana wcisnęła górę kartki do jednej z leżących na pianinie książek z hymnami i znów zaczęła grać. Ponownie rozległy się nieharmonijne dźwięki. Była to muzyczna kakofonia.

W końcu Liza wstała. Koperty nie mógł zostawić Nate, który według jego żony był świetnym muzykiem, ale na wszelki wypadek postanowiła się skontaktować z Maggie. Złożyła kartkę papieru i wsunęła ją do torebki, a potem chwyciła parasol i po raz drugi skierowała się do drzwi.

Spojrzała na zegarek. Lepiej się pospiesz, bo spóźnisz się na spotkanie z Samem Paparichem.



Zanim wyszła na chodnik, zatrzymała się i włożyła rękawiczki. Deszcz wciąż mżył i Liza szybko rozłożyła parasol, a potem naciągnęła na głowę kaptur kurtki. Wciąż ociągała się z wyjściem z kościoła; porywisty wiatr pędził ulicami i porywając wodę z kałuż, opryskiwał wszystko na swojej drodze.

Na Pierwszej Alei nie było widać ludzi, choć jezdnią sunął sznur samochodów z zaparowanymi szybami. — Teraz albo nigdy — mruknęła Liza i wyszła na deszcz.

Kątem oka dostrzegła, że inna osoba wyszła z oddalonego o kilka budynków domu i skierowała się w jej stronę. Liza obejrzała się do tyłu i stwierdziła, że to mężczyzna. Ukrywał twarz pod parasolem. Liza wykrzywiła usta w uśmiechu. Dziś na pewno trzeba się chronić przed przemoknięciem.

Buty przesiąkły, zanim przeszła pół przecznicy, a miała do pokonania jeszcze dwa skrzyżowania. Dziś rano nie znalazła wolnego miejsca do parkowania w pobliżu kościoła misyjnego ze względu na imprezę w SAFECO, na południe od placu Pioniera.

Czasami odczuwała niepokój, gdy musiała pieszo odbywać zbyt długą drogę do misji — nie była to bezpieczna część miasta dla samotnej kobiety.

Ale to jest niedzielne południe — napomniała się — a nie późny wieczór.

Przeszła na drugą stronę Pierwszej Alei i skierowała się w boczną uliczkę. Zwolniła. Do cholery, po co się spieszysz, pomyślała. Już i tak jesteś mokra. Jedna minuta lub dwie na deszczu niczego nie zmieniają.

Kiedy oddaliła się od ruchu ulicznego, usłyszała inne hałasy. Spojrzała do tyłu, zaskoczyło ją, że ten mężczyzna wciąż za nią idzie. Przypadek? Na pewno jej nie śledzi.

Liza zadrżała, nagle poczuła chłód mokrego, zimnego dnia. Podmuch wiatru wygiął jej parasol na drugą stronę. Szybko ustawiła się pod wiatr, by metalowe pręty same wróciły do właściwej pozycji.

Znów się obejrzała. Tamten był coraz bliżej. Przyspieszyła kroku, jednak cały czas za nią rozlegały się kroki. Coraz bardziej wystraszona zaczęła biec. Kolejny podmuch wiatru w parasol spowolnił jej bieg. Kolejne spojrzenie za siebie napełniło ją prawdziwym przerażeniem.

*On też biegł.*

Bez zastanowienia wyrzuciła parasol do rynsztoka i ze wzrokiem wbitym w samochód zaparkowany na następnej przecznicy rzuciła się naprzód.

Na Boga, dlaczego on za mną biegnie? Nie miała jednak czasu na zastanawianie się. Musiała dostać się do auta, zanim ją złapie. A potem co? Mąciło się jej w głowie. Teraz nie będzie o tym myślała.

Jej miata to ostatnia deska ratunku. Choć stała z dala od restauracji, a w pobliżu nie było żadnych otwartych sklepów. Nie zwracała uwagi na kałuże, biegnąc, ochlapała błotem pończochy i brzeg płaszcza.

Wyciągnęła klucze, zanim dobiegła do samochodu. Jednocześnie włożyła go do zamka i szarpnęła za klamkę.

Po kilku sekundach była w środku. Rzuciła torebkę na siedzenie pasażera i zamknęła drzwi, ale nie była jeszcze bezpieczna. Samochód miał brezentowy dach. Można go rozciąć nożem.

Uruchomiła silnik, zwolniła sprzęgło i szybko wjechała na ulicę. Wzrokiem omiotła zaparkowane pojazdy, wejścia do domów i chodniki. Mężczyzna zniknął.

Wjeżdżając na wzgórze, zaczęła drzeć, jej ciało trzęsło się w niekontrolowany sposób. Ściągnęła rękawiczki i odrzuciła je, podkręciła ogrzewanie, a potem zaczęła szukać w torebce telefonu komórkowego. Zanim dojechała do autostrady prowadzącej na północ, w kierunku Leśnej Alei, znalazła też numer telefonu do Sama Papparicha. Chciała mu powiedzieć, że będzie trochę później.

Czekała jednak chwilę, aż się uspokoi. Musiała też sprawdzić, czy nikt za nią nie jedzie.

RS

## *Rozdział 9*

Liza jechała powoli ulicą równoległą do Leśnej Alei, szukała domu Sama Paparicha. Kiedy znalazła wybudowany w latach trzydziestych skromny drewniany domek, postawiony z tyłu działki, nie miała gdzie zaparkować. Westchnęła. Po prostu dzisiaj ma takie szczęście.

Po raz drugi objechała kwartał domów, szukając wolnego miejsca na ulicy. Znów westchnęła, z nienawiścią patrzyła na stojące jeden przy drugim samochody osobowe, dostawcze i przyczepy. Sprawiało to, że ta część miasta wyglądała na zaniedbaną, choć ceny parcel były tu bardzo wyśrubowane. Nie chciałyby mieszkać tutaj, bez garażu, nie wiedząc nawet, jak daleko od swojego domu będzie musiała zaparkować samochód.

Przestało padać, kiedy wjeżdżała tyłem między małą ciężarówką a dżipa. Mam szczęście, że jeżdżę sportowym samochodem, a nie sedanem. W promieniu mili od domu Sama nie znalazłabym wtedy miejsca do parkowania.

Kiedy Liza wyłączyła silnik, poczuła strach. Ciągle drżała na myśl o tym, co wydarzyło się po wyjściu z kościoła misyjnego. Przynajmniej ten mężczyzna przestał ją ścigać, gdy znalazła się w samochodzie.

Wciąż była niezdecydowana.

Rozejrzała się wokół, ale nie zauważyła niczego szczególnego. Kilka przecnic dalej ciągnęła się główna ulica, skąd dochodził odgłos ruchu samochodowego. Dwa domy dalej czarny pies obwąchał trawę przed domem, a potem pobiegł chodnikiem na następną działkę. W pobliskim domu na werandzie siedział kot, obserwował teren. Normalne popołudnie na przedmieściu, pomyślała Liza.

Rusz się, nakazała sobie. W przeciwnym razie twoje lęki sparaliżują cię.

Zabrała aktówkę z półki pod tylnym oknem i założyła torebkę na ramię. Wsiadła z samochodu i zamknęła go. Po raz drugi się rozejrzała, by stwierdzić, że w pobliżu nikogo nie ma. Przeskoczyła krawężnik i ścieżką między chwastami dotarła do chodnika. Kiedy skierowała się do domu Sama, zauważyła, że błoto na jej płaszczu i pończochach już wyschło, ale przemoczone buty piszczą przy każdym kroku. Myśl o gorącej kąpieli była bardzo pociągająca.

Uśmiechnęła się, zobaczywszy Sama otwierającego drzwi i zapraszającego ją do małego salonu. Zdjęła buty na niskich obcasach, wyjaśniając, że zaskoczyła ją ulewa. Jedno spojrzenie na nieskazitelnie czysty dywan powiedziało Lizie, że nie powinna wchodzić do środka w zabłoconych butach.

— Ależ pani MacDonough, to nie jest konieczne — odezwała się Mary Papparich po przedstawieniu jej przez męża. — Jesteśmy tacy wdzięczni, że pani chce nam pomóc.

— Robię to z przyjemnością — odparła Liza, siadając na wytartej kanapie. Otworzyła teczkę i dała Samowi do przejrzania poprawiony życiorys.

Kiedy go czytał, Liza rozglądała się po domu. Sam i Mary byli parą w średnim wieku. Najwyraźniej dorastali w latach siedemdziesiątych, jeśli ich dzinsowe ubrania mogły być jakimś świadectwem. Sam opowiadał, że w początkach małżeństwa postanowili, iż Mary zajmie się domem, a tylko on będzie pracował na utrzymanie. Ich dwaj synowie, obaj studenci college'u,

mieszkali z rodzicami. Pracowali dorywczo, by pomóc w opłacaniu czynszu. Poziom życia rodziny zależał od dochodów Sama.

— Doskonały — rzekł Sam, unosząc wzrok. — Ogromnie dziękuję. Chociaż dobrze znam się na swojej pracy, to z pisaniem u mnie nie najlepiej, szczególnie życiorysów.

— A ja nie mogłam pomóc Samowi — dorzuciła Mary. — Nie mam w tym żadnego doświadczenia.

— Na szczęście to moja specjalność — rzekła Liza z uśmiechem. Była zadowolona z ich podziękowań. W domu panował nieskazitelny porządek. Wyglądało, że chłopcy wychowywani byli przez kochających rodziców. Z kuchni dochodziły wspaniałe zapachy. Ścisnęło ją w żołądku. Przypomniała sobie, że na śniadanie piła jedynie kawę.

— Sam, ma pan doskonałe kwalifikacje — kontynuowała. — Nie wyrzuciłam napisanego przez pana życiorysu, tylko dołączyłam kilka faktów, o których pan nie wspomniał, i zmieniłam kilka zdań... Proszę pamiętać, co panu mówiłam. Musi pan olśnić potencjalnych pracodawców swoją przebojowością, a to oznacza, że trzeba się przedstawić w jak najlepszym świetle, nawet trochę przesadzić. Oczywiście potem powinien pan wykazać prawdziwość swoich słów.

Mary rozpromieniła się. — Naprawdę bardzo mi się pani podoba. Mówi pani to, co zawsze przypominam Samowi: możesz być cennym pracownikiem w każdej firmie. Mój dziadek powtarzał, że nigdy nie powinno się trzymać własnych zalet pod korcem. Ze czasami musimy zwracać uwagę na siebie, nawet jeśli wygląda to na przechwałki.

Liza znów się uśmiechnęła. Sam i Mary nie mieli dużych oszczędności; inwestycja w rodzinę była ich majątkiem. Liza miała nadzieję,

że Sam wkrótce znajdzie inną pracę, bo w przeciwnym razie ich dotychczasowy styl życia legnie w gruzach.

Pułapki życia, pomyślała Liza. Przypomniała sobie o wysokim standardzie życia, jaki zapewniał rodzinie Nate Garret. Jeden człowiek umiera, drugi traci pracę, a wynik jest taki sam: kryzys finansowy w rodzinie.

Omówiła z Samem ostatnie poprawki w jego życiorysie i ulegając naleganiom Mary, wypila kawę i poczęstowała się świeżo upieczonymi ciastkami. Poprosiła też ich, żeby pozostawali z nią w kontakcie, i wyszła między kolejnymi nawałnicami. Wracając do samochodu, czuła się podniesiona na duchu. Przebywanie z ludźmi takimi jak Sam i Mary uświadomiło jej, że życie może być szczęśliwe mimo chwilowych załamaniań.

Niespodziewanie rozpętała się ulewa. Liza przebiegła ostatni odcinek drogi. Kiedy skręciła z chodnika do swojej miaty, zamarła z przerażenia. Serce zaczęło walić jej jak młotem.

— O Boże! — wykrzyknęła. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Bagażnik samochodu był otwarty. Płócienny worek, w którym miała strój do ćwiczeń i butelkę wody, został wyrzucony na ulicę. Spodnie od dresu falowały w strumieniu wody deszczowej płynącej w rynsztoku, a bluza leżała przyklejona do jezdni.

*Ktoś włamał się do jej samochodu!*

Przebiegły jej ciarki po skórze. Rozejrzała się, nikogo nie było w pobliżu. Przez dłuższą chwilę stała w bezruchu, deszcz omywał jej twarz. Czuła się bezbronna. Była celem ataku dla kogoś, kto ukrył się przed jej wzrokiem i mógł obserwować każdy jej ruch.



Mimowolnie zaczęła wszystko wrzucać z powrotem do bagażnika, niezależnie czy było przemoczone, czy nie. Zatrzasnęła klapy i podeszła do drzwi samochodu. Nie była zaskoczona, że są otwarte. Zajrzała do środka. Nikogo nie było na siedzeniu, więc wsunęła się za kierownicę i uruchomiła silnik. Znowu wcisnęła pedał gazu do deski i skierowała się na autostradę. Drżała na myśl, że ten, kto włamał się do samochodu, obserwuje teraz jej paniczną ucieczkę.

Ktoś, kto widział jej przerażenie.

Jednak kiedy dojechała do autostrady I-5 i skręciła na południe, w stronę miasta, znów zaczęła myśleć racjonalnie. Powinna pobiec do domu Sama, wezwać policję, zgłosić włamanie do samochodu i powiedzieć, że *ktoś ją śledzi*.

To szaleństwo, stwierdziła. Dlaczego ktoś miałby ją śledzić. Oba dzisiejsze zdarzenia mogły być przypadkowe.

Będąc już blisko domu, znowu zaczęła się nad tym zastanawiać. Gdzieś czytała o statystyce przypadków. W pewnym momencie zbyt wiele przypadków przestaje być jedynie zbiegiem okoliczności.

Dwadzieścia minut później Liza wjechała do garażu. Czekwała, aż zamkną się automatyczne drzwi, nim zaparkowała na zarezerwowanym miejscu. Kiedy wysiadła z miaty, wjechał kolejny mieszkaniec bloku, ale skręcił na niższy poziom i po chwili zniknął z pola widzenia. Wzięła aktówkę i torebkę, ale nie otworzyła drzwi samochodu. Ogarnął ją niepokój.

*Ktoś mógł ją teraz obserwować.*

Wzrokiem omiotła zaparkowane samochody. Wszystkie je rozpoznała; należały do osób mieszkających w bloku. Nie spostrzegła nic niepokojącego. Wypuściła powietrze z płuc. Była chyba bezpieczna.

Trzasnęła drzwiami samochodu, które zamknęły się automatycznie. Z kluczami w ręku pospieszyła w stronę korytarza z windą. Cichy odgłos, jakby drapanie o beton gdzieś w ogromnych podziemiach, sprawił, że zatrzymała się niepewna.

Kolejne hałasy, tym razem odgłos tarcia. Wydawało się, że ktoś otarł się o metalową powierzchnię, na przykład o samochód.

Jeszcze przez chwilę się wahała.

Powinna wrócić do miaty czy iść do windy? Hałas dobiegał z tyłu — *zza jej miejsca parkingowego*. Czy ktoś czekał na jej powrót, ale ukrył się, gdy drugi samochód wjechał do garaży?

Na to pytanie wyrosły jej skrzydła u nóg. Pognała do pomieszczenia z windą, pchnęła drzwi do niego i nacisnęła przycisk. Niesamowite, ale winda była na poziomie garaży. Natychmiast się otworzyła. Zadyszana Liza wskoczyła do środka i uderzyła w przycisk jedenastego piętra.

Kiedy winda się zamknęła, Liza usłyszała, jak otwierają się drzwi na korytarz. A może po prostu one się za nią zamknęły?

Przygotowała klucze, zanim dojechała do swojego piętra. Po chwili bezpiecznie znalazła się w mieszkaniu. Bella mruczała u jej stóp. Łańcuch i zasuwka zostały zamknięte.

Nie mogła opanować drżenia. Osunęła się na podłogę w przedpokoju, by siedząc w ciszy, nasłuchiwać. Na co czekała? Na zjawę, która wychynie z cienia i zmaterializuje się na jej oczach?

W to nie wierzyła, ale wciąż nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

Liza wzięła gorącą kąpiel, zanim zapadły ciemności. Wieczorem, kiedy w dole zaczęły migotać światła Seattle, odzyskała spokój. Przecież ten

prześladowca cię nie dopadł — besztala się — choć przez cały dzień czułaś się, jakbyś grała w filmie z suspensem.

Odzyskawszy zdrowy rozsądek, natychmiast zadzwoniła do Jean, Erika i Dave'a. Chciała zasięgnąć opinii o tym, co się dziś wydarzyło. Nikogo z nich nie było w domu. Później, po zastanowieniu się, zadzwoniła na policję, by zgłosić włamanie do samochodu, choć wiedziała, że niewiele to da. Opowiedziała też o zdarzeniu na placu Pioniera i swoim podejrzeniu, że ktoś mógł się ukryć w podziemnych garażach.

Teraz, kiedy usiadła wygodnie w fotelu, czuła się bezpiecznie oddalona od zgiełku miasta. W jej głowie wciąż krążyły słowa policjanta.

— Kobieta spacerująca samotnie w tej części miasta jest pierwszym celem ataku...

— Więc nic nie uszkodzono w samochodzie? Może zapomniała pani zamknąć drzwi. Wygląda to na sprawkę dzieciaków...

— W podziemnych garażach odbijają się różne odgłosy, a pani nikogo nie widziała. Możliwe, że po poprzednich incydentach stała się pani przewrażliwiona...

Wstała zdenerwowana. Nie była przekonana, że te zdarzenia nie były ze sobą związane. Ale kto ją tropił? To nie ma sensu, tę kartkę z nutami ktoś musiał dla niej zostawić.

Pomyślała o Maggie. Zadzwoni do niej i spyta, czy nie mógł zrobić tego Nate. Nie włączając światła, wzięła przenośny telefon i wróciła z nim na fotel. Zadzwonił w jej dłoni.

Wystraszona patrzyła przez chwilę na słuchawkę, zanim odebrała.

— Halo.

— Liza, to ty?

— Naturalnie, pastorze Larsen. — Rozpoznała jego głos. Mimo że zaskoczona była telefonem od niego, kontynuowała: — Pastor nie ma teraz modlitwy?

— Zaraz się zaczyna — odparł — ale najpierw chciałem się upewnić, że nic ci się nie stało.

Zapadła cisza.

— Co pastor ma na myśli? — Rzadko dzwonił do niej do domu, a nigdy w niedzielę, kiedy był najbardziej zajęty.

— Freddie, ten z naszej grupy modlitewnej, właśnie mi powiedział, że widział, jak jakiś mężczyzna cię gonił, gdy wyszłaś z kościoła... — Mówił to zatroskanym głosem.

— Kto to jest Freddie? To prawda, że ktoś mnie gonił, ale poza tym nie widziałam nikogo na ulicy.

— To starszy człowiek, z trudem chodzi. Okna jego pokoju wychodzą na ulicę i przypadkowo widział, co się wydarzyło. — Przerwał. — Mówi, że zdążyłaś dobiec do samochodu.

— Zgadza się. — Odetchnęła głęboko, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc. — Czy Freddie rozpoznał tego mężczyznę?

— Nigdy wcześniej go nie widział. — Westchnął. — Słuchaj, Liza, muszę już kończyć. Teraz chciałem tylko sprawdzić, czy nic ci się nie stało. Nie mogę pozwolić, żeby moja pianistka znalazła się w niebezpieczeństwie — dodał żartobliwie.

Omam nie powiedziała o innych incydentach, ale to mogło poczekać. Pastor Larsen i tak miał zbyt wiele problemów na głowie, by się jeszcze o nią martwić. Zapewniła go, że wszystko jest w porządku, podziękowała za

telefon i odłożyła słuchawkę, obiecawszy, że później porozmawiają o tym zdarzeniu.

Wpatrywała się w zapadające ciemności. Myślała o Freddie. Ci bezdomni to raczej wszyscy się znają. Tylko obcy nie mogą przejść ulicą niezauważeni. Czy to znaczy, że jej prześladowca był jednym z nich? Znów przypomniała się jej kartka z nutami. Szybko zadzwoniła do Maggie.

— Tak — potwierdziła Maggie po tym, jak Liza zapytała o samopoczucie jej i chłopców, a potem zmieniła temat rozmowy na muzykę, którą komponował Nate. — Nate pisał piękne piosenki. Znał się na komponowaniu... — Chwila wahania. — Dlaczego o to pytasz?

— Byłam po prostu ciekawa — odparła Liza wymijająco. — Ostatnio często o was myślę.

— Dziękuję ci za troskę — padło łamiącym się głosem.

Liza cierpliwie słuchała, kiedy Maggie szczegółowo opowiadała, jak daje sobie radę. Obiecała, że wkrótce zadzwoni, i odłożyła słuchawkę.

Wcześniej poszła spać, była wyczerpana po wydarzeniach dnia. A jeśli dzisiejsze incydenty były ze sobą powiązane? Ten osobnik czegoś szukał. Może kartki z nutami?

Na tę myśl poderwała się w łóżku. Gdzie jest ta kartka? W torebce? Zrzuciła z siebie kołdrę i podeszła do komody, gdzie zostawiła torebkę. Złożoną kartkę papieru wzięła do łóżka. Blask światła miasta dochodzący przez okna był na tyle silny, że mogła odczytać nuty. Nadal nie mogła znaleźć melodii. Kiedy zaczęła zasypiać, uznała, że powinna schować kartkę w bezpiecznym miejscu.

Zbyt zmęczona, żeby ponownie wstać, wcisnęła ją do otworu na piżamę w starej lalce z dzieciństwa, która zawsze siedziała na jej łóżku.

Stwierdziła, że to bezpieczne miejsce. Czyż ta lalka nie przechowała w brzuszku wszystkich jej dziecięcych sekretów?

Liza uśmiechnęła się, zasypiając.

RS

## Rozdział 10

Zaskakujące, ale Liza dobrze spała i obudziła się wcześniej w optymistycznym nastroju. Nie może pozwolić, by wydarzenia wczorajszego dnia zepsuły jej humor. To całkiem prawdopodobne, że to tylko zbieg okoliczności, stwierdziła, mieląc kawę. Z wyjątkiem kartki z nutami.

Dosyć! Nie może teraz o niej myśleć. Nie może zaczynać dnia od pytań i wątpliwości lęków i paranoi.

Nasypała suchej karmy do miski Belly, włączyła ekspres do kawy i poszła posłać łóżko. Po kilku minutach była z powrotem w kuchni. Wciągała do płuc wypełniający powietrze zapach kawy Starbucks. Zawsze lepiej pachnie, niż smakuje, pomyślała, wlewając ciemną esencję do różowej filiżanki. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Jej matka wybierała dla niej kolor różowy, a dla Jean — niebieski. Po śmierci mamy Liza wciąż preferowała ten kolor w przypadku drobiazgów takich jak jej ulubiona filiżanka.

Postawiła filiżankę na stole. Teraz tylko na korytarz, by zabrać gazetę. Lektura *Post Intelligencer* przy pierwszej filiżance kawy stała się jej porannym rytuałem.

*Zdjęła łańcuch, ręka zamarła na zasuwie. Nie była zamknięta!*

Niemożliwe, pomyślała zatrwożona. Przed pójściem spać zawsze sprawdzała zamki. Pamiętała, że wczoraj to zrobiła, *bo była taka wystraszona.*

Przywarła do ściany. Ze strachu straciła oddech. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na drzwi. Czyżby ktoś na zewnątrz na nią czyhał? Nogi



ugięły się pod nią i oparła się o stół stojący na korytarzu. Miała ochotę wołać o pomoc.

To nic by nie dało. Czy w ogóle ktoś by ją usłyszał?

Oddychała głęboko, próbując się uspokoić. Po chwili zaczęła odzyskiwać zdrowy rozsądek. Wizjer. Wyrzyj przez wizjer.

Przyłożyła oko do małego szkiełka. Nikogo nie zauważyła.

Zachowywała się po cichu, nie mogła się zdecydować. Ktoś mógł ukryć się za drzwiami na schody albo po prostu stał poza polem jej widzenia.

To śmieszne. Weź się w garść, nakazała sobie. Ten budynek jest bardzo dobrze strzeżony. Jedynie mieszkańcy i dozorca mają klucze do bloku i znają kod do garażu. Nigdy tutaj nie było przypadków wandalizmu z wyjątkiem włamania do jej mieszkania po zniknięciu Martina. Znowu oparła się o ścianę. I teraz też drzwi do *jej* mieszkania zostały otwarte...

Być może jednak ze zdenerwowania nie zamknęła zasuw, tylko tak się jej wydawało. Była przeciążona. Z lat praktyki wiedziała, że zestresowani ludzie często zapominają o czynnościach, które wykonywali odruchowo.

— Na Boga — wyszeptała — gdybym mogła poznać różnicę między prawdą a fikcją... !

Te głośno wypowiedziane słowa przywróciły jej zdrowy rozsądek. Chociaż wciąż trzęsła się ze strachu, była też zdenerwowana na siebie. To było jej mieszkanie, jej dom, jej życie; nie mogła pozwolić, by jakieś nieokreślone lęki oderwały ją od rzeczywistości. Ze zdecydowaniem podeszła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem. Wzięła gazetę. Dopiero kiedy ponownie zamknęła drzwi, wypuściła powietrze z płuc:

*Nikogo nie było za drzwiami.*

Przekręciła klucz i założyła łańcuch, a potem poszła z kawą i gazetą do jadalni. Usiadła przy stole. Nie mogła się skoncentrować i tylko przekartkowała strony. Skończyła na horoskopie na zbliżający się dzień. „Czekają cię trudności. Musisz być bardzo ostrożna. ”

— No nie! — wykrzyknęła i zde gustowana rzuciła gazetę. — Nawet horoskopy mi nie sprzyjają.

Wcale nie wierzyła w horoskopy, niemniej była to kolejna niepotrzebna przykrość. Albo zaczyna wariować, albo ktoś, kogo nie jest w stanie zidentyfikować, ciągle ją prześladowuje. Musiała wiedzieć, kto to jest.

Dolała sobie kawy i poszła z nią do sypialni. Wzięła prysznic i zaczęła ubierać się do pracy. Cały czas myślała, że musi pozbyć się strachu, coś przedsięwziąć. Działanie tłumi strach, jak zwykła mawiać jej matka.

Porozmawiam z dozorcą, postanowiła, nakładając cię do powiek. Upewnię się, że nikt obcy nie ma klucza do budynku, dodała, nerwowo pudrując policzki. Przede wszystkim przypomnę mu, że bezpieczeństwo jest bardzo ważne dla mieszkańców wieżowców. Jeśli było jakieś naruszenie przepisów bezpieczeństwa, to tutejsi lokatorzy powinni o tym wiedzieć.

Uzbrojona w to postanowienie założyła szybko granatowy kostium na białą bluzkę. Potem wzięła płaszcz, torebkę i aktówkę, powiedziała do widzenia Belli i wymaszerowała za drzwi. Jednak kiedy czekała na windę, wrócił niepokój. Rozejrzała się po cichym holu i wbiła wzrok w drzwi prowadzące na schody. Odczuła ulgę, jadąc w dół do biura dozorczy.

Drzwi do niego były zamknięte. Bez wahania przeszła przez pomieszczenie oddzielające biuro od mieszkania dozorczy. Zapukała. Przez dłuższą chwilę myślała, że nikogo nie ma, ale potem uświadomiła sobie, że

jest dopiero kilka minut po siódmej. Joe Felton i jego żona Naomi przypuszczalnie jeszcze spali.

No cóż, pomyślała Liza. Mieszkali w tym bloku, a ona miała poważny problem, który musiała przedstawić osobiście.

Otworzyły się drzwi i Joe, czterdziestoletni, wysoki i kościsty mężczyzna, ubrany w piżamę, zamrugął zaspanymi oczami.

— Pani MacDonough, coś się stało?

— Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie — uśmiechnęła się przepraszająco — ale muszę z panem porozmawiać, zanim pojedę do pracy.

— Nic nie szkodzi — zachrypiął zaspanym głosem. — W czym mogę pomóc?

— W tym budynku przytrafiło mi się kilka incydentów, które mnie trochę przestraszyły. — Postanowiła być powściągliwa. Nie musiał wiedzieć, że sama ma wątpliwości, nie wie, czy to wszystko nie jest wytworem wyobraźni.

— Co się stało? — zapytał bardziej zaniepokojonym tonem.

— W garażu był chyba jakiś intruz. Być może też ktoś w nocy otworzył zamek w moich drzwiach. — Przerwała, wyczuła jego wątpliwości. To co mówiła, nawet dla niej brzmiało idiotycznie. — Dziś rano był otwarty, a jestem pewna, że przed pójściem spać go zamykałam.

— Czy ktoś jeszcze ma klucz od pani mieszkania? Pokręciła głową, coraz bardziej czuła się jak histeryczka. Zmrużył niebieskie oczy. — Czy ten ktoś dostał się do mieszkania?

— Nie mógł. Miałam też założony łańcuch.

Zapadła cisza. Za Joem pojawiła się żona, Naomi. Zawiązywała pasek w wytartej wełnianej podomce. Była o wiele niższa od męża, i co najmniej

dziesięć lat starsza. Na głowie miała trwałą ondulację. Ukłoniła się. — Dzień dobry.

— W tym budynku nigdy nie mieliśmy problemów z intruzami — kontynuował Joe. — Z wyjątkiem zniszczeń w pani mieszkaniu rok temu... — Przerwał, patrzył skupionym wzrokiem. — Wtedy też nie było śladów otwierania drzwi na siłę.

To nie było pytanie. Czyżby sugerował, że to wszystko jest wytworem jej chorej wyobraźni, że sama zdewastowała mieszkanie, bo ma kłopoty z głową?

Chwileczkę, poinstruowała się. Nic takiego nie powiedział. Stajesz się za bardzo przewrażliwiona, Lizo MacDonough. *Paranoja...* znów to słowo przyszło jej na myśl.

— Policja stwierdziła, że ktoś musiał mieć klucz.

— Przypominam sobie — przytaknął.

— Proszę posłuchać — kontynuowała Liza, rozłożywszy ręce. — Wiem, że brzmi to mało wiarygodnie, ale czasami przeczuwa się pewne rzeczy, których nie można udowodnić. Tak jest teraz.

— A co się stało na parkingu? — spytał Joe, wracając do jej wcześniejszych słów. — Ktoś panią zaczepił? Widziała pani tego typka?

O Boże, pomyślała Liza. To zmierza w złym kierunku. Zaczynam zachowywać się niczym wystraszona staruszka. Już i tak mieli kilka takich w bloku.

— Hm, nie, nic takiego. — Przerwała, wiedziała, jak to wszystko odbierają Feltonowie: uważają ją za wariatkę. — Słyszałam kogoś — rzekła w końcu.

— Nie widziała pani nikogo?

— Nie, ale ktoś tam był.

— Skąd pani wie? — spytała Naomi. — Czy się odezwał? Zapadła cisza.

— Niestety, niczego nie mogę udowodnić. — Liza nie zważała na to, że zachowuje się jak desperatka. — Chcę jedynie wiedzieć, czy ktoś poza mieszkańcami ma klucze do budynku albo zna kod do garażu.

— O nikim takim nie wiem — odparł Joe od razu — ale któryś z mieszkańców mógł dać klucz lub kod jakiejś ekipie remontowej.

Znów cisza.

— Jak pani wie, przy drzwiach frontowych i przy wjazdach do garażu są kamery. Przejrzę kasety, żeby się upewnić, czy nikt nie zakradł się do budynku.

Cofnęła się. — Dziękuję, Joe. Będę wdzięczna, jak pan to zrobi.

— Bardzo chętnie. Muszę wiedzieć, jak coś podejrzanego dzieje się w budynku...

Pozegnała się, zamknęła drzwi i pewnym krokiem wróciła do windy. Zjechała do garażu. Spiesząc do swojego samochodu, widziała ludzi wyjeżdżających z parkingu. Wszystko wyglądało normalnie. Odetchnęła z ulgą, kiedy sama ruszyła.

Nie chciała myśleć, że znów wróci do domu po zapadnięciu zmroku.

Po południu rozległo się pukanie do drzwi jej gabinetu. Wszedł wysoki mężczyzna z czarnymi kręconymi włosami. — Liza MacDonough? — zapytał.

— Tak — odparła, odłożywszy pióro. Zamknęła teczkę, w której uzupełniała coś po wizycie ostatniego klienta.

Ciemne oczy gościa patrzyły badawczo. Liza nie przypominała sobie, żeby pracował w firmie. Nie był też jej klientem; na dziś nie miała już umówionych spotkań.

— Owen Barnes — przedstawił się. Podeszedł do biurka i z kieszeni kurtki wyciągnął legitymację z odznaką. — Detektyw z wydziału zabójstw policji w Seattle.

Liza oderwała wzrok od odznaki i spojrzała w jego surową twarz. — Z wydziału zabójstw?

— Tak. — Schował legitymację do kieszeni. — Chciałem tylko zadać kilka pytań na temat pani klienta, Nate'a Garreta.

— Zabójstw? — powtórzyła. Zawirowało jej w głowie. — Więc śmierć Nate'a nie była przypadkowa?

— Tego nie powiedziałem. — Ton jego głosu ani wyraz twarzy niczego nie zdradzał. — Muszę wyjaśnić pewną okoliczność, którą zaobserwował świadek zdarzenia, zanim zamkniemy sprawę. — Przerwał. — To jest typowe postępowanie.

— Myślałam, że uznano to już za wypadek.

— Takie było wstępne przypuszczenie. — Spojrzał na krzesło stojące za biurkiem. — Mogę usiąść?

— Oczywiście. Bardzo proszę.

— Dziękuję.

Usiadł i wyprostował nogi. Z kieszeni wyciągnął pióro i notatnik. Liza uświadomiła sobie, co było dziwnego w jego głosie. Miał akcent ze Wschodniego Wybrzeża... może z Nowego Jorku lub New Jersey?

— Więc — zaczął — spotykała się pani z Natem Garretem, oczywiście na gruncie zawodowym.

— Tak. Skąd pan to wie?

Po raz pierwszy się uśmiechnął, surowość znikła z jego twarzy. Liza stwierdziła, że ma około trzydziestu pięciu lat; jest młodszy, niż się jej wydawało na pierwszy rzut oka. — To nic tajemniczego. — Skrzyżował stopy. — Jego żona mi powiedziała.

Liza uciekła ze wzrokiem. Owen Barnes mówił łagodnym tonem, ale w jego szybkim sposobie mówienia ukryta była energia i siła. Wydawał się spokojny, ale czuła, że jest bardzo skoncentrowany. Nie chciała być przestępcą, który się na niego natknął.

— A co ten ktoś, świadek, powiedział? — spytała Liza, ukrywając swoją ciekawość pod profesjonalnym tonem pytania.

— To jest mężczyzna — uściślił. — Wydaje mu się, że Nate wpadł pod samochód nieumyślnie.

— Uważa, że ktoś go popchnął? — Głęboko wciągnęła powietrze do płuc. — Czy widział, kto to zrobił?

Pokręcił głową. — Prawie dziesięć osób czekało na skrzyżowaniu, większość z nich to prawdopodobnie bezdomni, którzy szli do kościoła misyjnego. Ten facet widział jedynie, jak Garret wpadł pod samochód, ale nie wie dlaczego.

— Oczywiście przesłuchano pozostałe osoby?

— Niestety, nie zgłosił się żaden inny świadek. — W jego głosie można było wyczuć niezadowolenie. — Tak się często zdarza w przypadku włóczęgów. Unikają kontaktów z policją, boją się, że zostaną zidentyfikowani.

— Zidentyfikowani?



— No tak. Sprawdzimy ich tożsamość w naszych komputerach. Liza przypomniała sobie, że pastor Larsen mówił o tym. Wielu z tych, którzy znaleźli się na ulicy, to ludzie, którzy od czegoś uciekli. Nie chcą podawać swoich prawdziwych nazwisk, albo, co jest jeszcze gorsze, zostawiać w katalogach odcisków palców.

Liza spojrzała mu prosto w oczy. — Detektywie Barnes, w jaki sposób mogę panu pomóc?

Nie zastanawiał się. — Chcę wiedzieć, jak oceniała pani jego stan psychiczny bezpośrednio przed śmiercią.

Cisza.

— Nie żyje, o pewnych sprawach można powiedzieć — stwierdził spokojnie, spodziewając się, że będzie protestowała przeciwko ujawnianiu poufnych danych.

— Wiem — odezwała się wreszcie. — Ja po prostu nie chcę ujawnić czegoś, co mogłoby wyrządzić krzywdę jego rodzinie.

— Rozumiem. Mnie na tym też zależy. Chciałbym tylko wyjaśnić tę sprawę, żeby, na przykład, rodzina mogła załatwić sprawę ubezpieczenia.

Przytaknęła, a potem wyciągnęła palce z włosów. Boże, znów to zrobiła. To jej nerwowy odruch. — Nate był przypuszczalnie bliski załamania — rzekła w końcu. — Zbliżały się terminy zakończenia prac w laboratorium komputerowym, a wciąż były problemy. Przemęczenie i nerwowość dawały mu się we znaki. Potrzebował chwili oddechu.

— Było to możliwe?

Westchnęła ciężko. — Jego szef... — Zawiesiła głos. — Detektywie Barnes, czy to zostanie między nami? Skinął głową. — Obiecuję.

Liza zawahała się, a potem zaczęła mówić powściągliwie.

— Jego szef, Hawk Bohlman, dość mocno ciśnie swoich ludzi. Uznała, że detektyw nie musi dokładnie wiedzieć, w jaki sposób

Hawk traktuje swych programistów. Otworzyła usta, by powiedzieć mu także o dziwnej kartce z nutami, o włamaniu do samochodu, o tym, że ktoś ją śledził, ale szybko je zamknęła. Nawet dla niej brzmiało to niewiarygodnie.

— Czy mógł popełnić samobójstwo?

— Absolutnie nie! — Wychyliła się do przodu nad biurkiem. — Nate kochał rodzinę. Był utalentowany w wielu dziedzinach. W żadnym przypadku nie popełniłby samobójstwa.

Detektyw omal się nie uśmiechnął, usłyszawszy jej żarliwą odpowiedź, ale go obserwowała, więc się powstrzymał.

— I nie zna pani nikogo, kto by chciał wyrządzić mu krzywdę?

— Dlaczego pan o to pyta?

Rozłożył ręce. — Po prostu sprawdzam wszystkie możliwości jego śmierci.

Uniosła podbródek. — Jakie?

— Wypadek, samobójstwo, morderstwo. Spojrzała mu w oczy.

— Chyba nie mówi pan poważnie.

— Pani MacDonough, ja zawsze mówię poważnie. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— To musiał być wypadek. — Prowokowała go, chciała, by wyjaśnił, dlaczego ją przepytuje.

— Czemu pani tak sądzi?

— Miał dla kogo żyć. — Wydawało się, że jej słowa odbijają się echem od ścian.

Uniósł przepaszająco dłonie. — Ja jestem tylko detektywem z wydziału zabójstw, który chce sporządzić raport. — Na obu jego policzkach pojawiły się dołeczki. — Nic poza tym.

Wymijająco wzruszyła ramionami.

Włożył notatnik i pióro z powrotem do kieszeni i wstał. — Myślę, że to wszystko. Nie mam więcej pytań.

— To dobrze, bo już nic więcej nie wiem — stwierdziła cierpko, reagując na jego protekcyjny ton.

Zawahał się. — Jak powiedziałem, to już wszystko. Wstała, odepchnęła krzesło do tyłu, wyrażając tym swoje zdanie. — Nie widzę żadnej poszlaki wskazującej na samobójstwo.

— Albo morderstwo?

— Oczywiście, że nie. To nieprawdopodobne.

W jego oczach pojawił się błysk, ale szybko zniknął, zanim zdążyła określić, co oznaczał. Jej twarz płonęła. Mimo profesjonalnego zachowania Lizy, odczytał jej wyrzuty sumienia związane ze śmiercią Nate'a.

Długim krokiem podszedł do drzwi, a potem odwrócił się, by spojrzeć na nią. — Pani MacDonough, nawiasem mówiąc, gdybym kiedyś znalazł się w dołku, zgłoszę się do pani. — Uśmiechnął się szerzej niż poprzednio, ukazując perfekcyjny garnitur białych zębów. — Nie mógłbym znaleźć bardziej oddanego... — Przerwał, szukał odpowiednich słów. —... doradcy w zakresie zdrowia psychicznego.

— Doradcy w zakresie zmiany miejsca zatrudnienia — poprawiła go.

Uniósł czarne brwi. Potem pożegnał się gestem ręki i wyszedł.

Przez dłuższy czas wpatrywała się w drzwi, wciąż myślała o tej rozmowie. Dlaczego detektyw z wydziału zabójstw przyszedł do jej

gabinetu? Czy podejrzewa, że Nate został zamordowany, że jego śmierć ma związek z sytuacją w International Air?

Stwierdziła, że to nedorzeczna myśl. Ale jednak działo się coś tajemniczego. Tylko co i dlaczego ktoś musiał zginąć?

RS

## *Rozdział 11*

Liza czekała, aż sekretarka Alice przełączy rozmowę. Po wyjściu detektywa Owena Barnesa próbowała określić cel jego wizyty. Być może, tak jak powiedział, było to rutynowe postępowanie, a może wchodzi w grę jeszcze coś więcej. Jego pytania przypomniały jej, że wciąż nie ma kopii wydruku z nazwiskami zwalnianych pracowników.

— Cześć, Liza — rozległ się głos Alice. — Chyba wiem, czemu dzwonisz. Chodzi ci o wydruk, prawda?

— Tak właściwie to mam do ciebie dwie sprawy. — Liza nie chciała nalegać. Alice miała napięty plan zajęć i potrzeba było jej charakteru, by poradzić sobie z takim nawałem pracy. — Ale to też, chciałabym go dostać.

— Przepraszam, że tak wyszło, ale... — Zawiesiła głos.

— Ale co?

— Jest drobny problem.

— Nie możesz dać mi tej listy?

— Coś w tym rodzaju.

— O co chodzi? Zapadła cisza.

— Alice, powiedz, co się stało. Nic nie wiem o przepisach zakazujących wymiany informacji między biurami w naszej firmie, chyba że są to poufne dane, ale nie sądzę, żeby to dotyczyło tej listy.

Kolejna chwila wahania.

— Wiesz, że miałam randkę z nowym facetem?

— Tak, ale co to ma do rzeczy?

— On uważa, że nie powinnam wydawać żadnych dokumentów z mojego wydziału.

— Na Boga, Alice, dlaczego mu o tym mówiłaś? Znow się zawahała.

— Masz rację, Liza. Nie powinnam tego robić, ale ze względu na jego pozycję w firmie i twoje zagubione akta osobowe...

— Co?! — przerwała jej Liza. — Co to znaczy *zagubione akta osobowe*?

— Zginęły. Nie możemy ich znaleźć.

— Jak to się stało?

— Też chciałabym wiedzieć. — Alice westchnęła ciężko, wydawała się zdenerwowana. — Wiem tylko, że jeden z naszych urzędników chciał dołączyć okresową ocenę twojej pracy i nie mógł znaleźć akt. Chociaż wszystkie istotne informacje są skomputeryzowane, w naszym biurze przechowujemy też teczki z papierową dokumentacją dotyczącą zatrudnionych pracowników.

Tym razem Liza milczała, była zbita z tropu.

— Może gdzieś się zawieruszyła przez te błędy w oprogramowaniu.

— Ależ nie. Teczki z dokumentami a pliki komputerowe to zupełnie dwie różne rzeczy. — W słuchawce rozległo się kolejne westchnienie Alice. — Jeden z moich pracowników już się tym zajmuje, ale to nie jest najpilniejsza sprawa. Przypuszczamy, że ktoś włożył tę teczkę do innej szafy i wkrótce ją znajdziemy.

— A jak nie?

— Znajdziemy... A nawet gdyby nie udało się jej odszukać, to ja poniosę konsekwencje, nie ty. Każdy wie, że tutaj pracujesz i możesz ponownie przedstawić dokumenty potwierdzające twoje kwalifikacje, a także prawo do przepustki. Jeżeli nie znajdziemy teczki, potrzebny będzie najwyżej wzór twojego podpisu.

— Cholera — mruknęła Liza. — Mam nadzieję, że ją znajdziecie. Nie mam ochoty znów wypełniać tych formularzy. — Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha i wróciła do poprzedniego tematu rozmowy.

— Kim jest ten twój nowy znajomy, który uważa, że nie powinnam dostać wydruku?

W słuchawce dało się słyszeć ciężki oddech Alice. — Słuchaj, Liza, bardzo go lubię, ale jest za wcześnie, żebym się zwierzała. — Po chwili przerwy powiedziała: — Dziś po południu prześlę ci tę listę. Dobrze? Tymczasem sprawdzę, dlaczego on nie chciał, żebym ci ją dawała. Zamierzam porozmawiać z Hawkiem i kilkoma innymi ludźmi z laboratorium komputerowego...

— O czym?

— Muszę już iść — Alice wykręciła się od odpowiedzi. — Na pewno w ciągu godziny dostaniesz tę listę.

W uchu Lizy rozległ się sygnał. Nie zdążyła nawet powiedzieć o drugim powodzie swojego telefonu: chciała zapytać, kiedy razem pójdą na siłownię.

Odłożyła słuchawkę. Dlaczego teraz czuła się jeszcze gorzej, niż po wyjściu detektywa, który zostawił ją z nierozwiązanymi zagadkami. Mój Boże, co się dzieje, zadała sobie pytanie. Nie znalazła odpowiedzi.

Może to błąd — mruknęła Liza, idąc zadaszonym przejściem do budynku, w którym mieściło się laboratorium komputerowe. — Ale-mu-sisz-to-zrobić — dodała głośno, wypowiadając słowa w rytm kroków. Od czegoś musiała zacząć, by odkryć, co tajemniczego — jeżeli w ogóle — dzieje się w International Air.

Przy wejściu zatrzymał ją strażnik. Powiedziała, że musi się spotkać z Hawkiem. Strażnik zadzwonił do niego, a potem wpuścił ją do środka. Stała w drzwiach, obserwowała, jak zbliża się Hawk, torując sobie drogę między rzędami komputerów.

Skinął łysawą głową, na której zaśniły światła lamp z sufitu. Podchodząc, wpatrywał się w nią wąskimi oczami ukrytymi pod posiwiałymi brwiami.

— Pani MacDonough, czym mogę służyć? — Mówił rzeczowym, niezobowiązującym tonem.

Zmusiła się do uśmiechu. — Jak pan wie, jestem doradcą...

— Pani MacDonough, znam pani kompetencje.

Wyglądał na zniecierpliwionego, ona ukrywała swoje poirytowanie. Jego nastawienie nie mogło jej onieśmielić. — To dobrze — rzekła szorstko. — Zatem możemy od razu przejść do rzeczy.

Skinął głową, czekał.

Nie graj słodkiej idiotki, poinstruowała się Liza. Z tym człowiekiem musisz być bezpośrednia. — Chciałabym, żeby pan powiedział mi krótko, dlaczego zwalniani są pańscy pracownicy, choć wszystko wskazuje na to, że pozostali nie mogą sobie poradzić z nawalem pracy.

— Pozory mylą, pani MacDonough. Większość zwolnień dotyczy innych działów.

— Wiem o tym, ale ja pytam o pański dział.

— Zatrudniamy programistów i personel pomocniczy. — Przerwał, był wyraźnie zdenerwowany. — Gdyby pani odrobiła pracę domową, wiedziałaby, że nie zwolniliśmy ani jednego programisty, tylko pracowników obsługi, których kwalifikacje, albo raczej brak kwalifikacji,



nie pozwala przenieść ich na inne stanowiska, gdy skończyły się zadania, które mieli wykonać.

— Chce pan powiedzieć, że zwalniani pracownicy zatrudnieni byli na czas określony.

— W pewnym sensie. — Zawahał się. — W najlepszym przypadku pracownicy z ograniczonymi kwalifikacjami zatrudnieni są co najwyżej przez kilka lat, jeżeli zachodzi taka potrzeba. Jeżeli nie... — wzruszył ramionami. — Muszą odejść. — Patrzył przenikliwym wzrokiem. — Oczywiście większość z tych ludzi nie chce się kształcić, żeby awansować.

Spojrzała na znajdujące się za Hawkiem stanowisko komputerowe, przy którym pracował Nate. Dowiedziała się tego od Dave'a podczas pierwszej wizyty w laboratorium. Teraz siedział tam ktoś inny. Mężczyzna odwzajemnił jej spojrzenie.

— To przykład kogoś, kto zdecydował się kształcić — rzekł Hawk, podążając za jej wzrokiem. — John Ellis. Pracował na najniższym stanowisku, ale skończył kursy komputerowe; odkrył w sobie talent programisty i zajął miejsce Nate'a. — Po chwili dodał: — Firma przychylnym okiem patrzy na ambitnych pracowników.

— Rozumiem.

Jego niespokojne westchnienie dało do zrozumienia, że musi iść. — Jeszcze coś?

Nie zastanawiała się, spojrzała mu prosto w oczy. — Chciałabym zobaczyć oceny pracy ostatnio zwolnionych ludzi z pańskiego działu. Nerwowo łąpał oddech. — Nie mamy takiego zwyczaju.

— To jest wbrew polityce firmy? — spytała ostro. Zapadła cisza.

— Zna pani Coopera Delmonte'a? — odezwał się w końcu.

Przytaknęła. — Zetknęłam się z nim.

— To dobrze. Jednym z zadań Coopera jako osoby numer dwa w tym laboratorium jest kontrola nad tworzeniem ocen pracy. — Nie był w stanie ukryć swojego zniecierpliwienia. — Powinna pani porozmawiać z Cooperem, nie ze mną.

Gestem dłoni przywołał kogoś z końca dużego pomieszczenia. Kiedy mężczyzna ruszył w ich kierunku, poznała, że to Cooper. Podchodząc do niej, uśmiechnął się szeroko.

— Cześć, Liza — przywitał się, stając przed nimi. Rozłożył ręce, jakby mówił: „Czym mogę służyć?”

— Cześć, Cooper — odparła. — Hawk powiedział, że to z tobą powinnam porozmawiać.

— Dlaczego? — Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale najwyraźniej spiął się wewnętrznie; nie wiedział, czego może od niego chcieć.

— Pani MacDonough chciałyby dostać kopie ocen niektórych pracowników — poinformował go Hawk z poirytowaniem w głosie. — Nie wiem, czy masz tyle czasu, żeby się tym zająć.

— Oczywiście, nie ma problemu — rzekł Cooper, lekceważąc niegrzeczną uwagę Hawka.

Zaprowadził Lizę do swojej niszy z boku pokoju. Hawk pożegnał się z nią krótko. Obserwowała, jak zamyka potem drzwi swego biura, by odgrodzić się od szumu komputerów... i jej pytań. Uświadomiła sobie nagle, że Hawk nie przyszedł na pogrzeb Nate'a. Zastanawiała się dlaczego.

— Uff! — westchnęła, kiedy weszła do wnęki, w której pracował Cooper. — Chyba ten człowiek mnie nie lubi.

— Nie przejmuj się. — Cooper ruchem ręki pokazał, by usiadła na krześle przy biurku. — Hawk zbyt poważnie traktuje swoją pracę.

Palcami odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. — Tak jak my wszyscy.

— To prawda. — Przerwał i uśmiechnął się. — Więc co mogę dla ciebie zrobić?

Krótko wyjaśniła, czego potrzebuje, nie mówiła o swoich podejrzeniach, że coś jest nie w porządku ze zwolnieniami.

— To nic trudnego. — Przekartkował kalendarz i w notatniku zapisał nazwisko i numer telefonu. — Powinnaś porozmawiać z Sylvią Kempton. Jest kierownikiem działu, podlega twojej przyjaciółce Alice. — Wyrwał kartkę z notatnika i dał jej. — *Dostała wszystkie nasze oceny pracy zwalnianych pracowników. Są albo w archiwum, albo w bieżących aktach.* — Zawahał się. — Jedyne problemy to ich poufność, ale o tym porozmawiaj z Sylvią. To ona jest ekspertem.

— Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

— Ależ nie ma za co! — Odprowadził ją do drzwi. — Rozumiem, że chcesz znać fakty; na moim stanowisku cały czas stoję przed problemem odpowiedzialności. — Przerwał. — Nie zazdroszczę ci twojej pracy.

Zostawiła go przy pomieszczeniu strażnika. Ruszyła do swojego biura w sąsiednim budynku. Była wdzięczna Cooperowi. Nie pozwalał, by troska o małego syna przeszkadzała mu w pracy, ale Liza była pewna, że jest chory z niepokoju o Brandona.

Po chwili znowu zaczynała się denerwować. Jak mogły zginąć jej akta osobowe? Czy ktoś chciał wszystko o niej wiedzieć? Ktoś, komu nie podobało się, że ona wnikliwie bada politykę zwolnień w International Air?

Ale do czego potrzebne by mu były informacje zawarte w jej dokumentach? Jej życie jest otwartą książką, jak mówi wyświechtany zwrot.

Kiedy weszła do gabinetu, zadzwonił telefon. Podbiegła, by podnieść słuchawkę.

— Liza MacDonough.

— To ja — rozległ się głos Jean. — Gdzie byłaś? Od godziny próbuję cię znaleźć, a twoja sekretarka jest bezradna.

— Musiałam pójść do innego działu.

— Myślałam, że w takiej firmie jak International Air chłopcami na posyłki są sekretarki lub asystenci.

— Tak to wygląda tylko na filmach. — Liza usiadła na brzegu biurka. Była rozbawiona tym, jak Jean wyobraża sobie pracę w dużej korporacji. Jej siostra już dawno uznała, że nie będzie jednym z tych pingwinów ubierających się w czarne marynarki i białe koszule do pracy w biurze. Liza nie mogła jej przekonać, że ten sposób ubierania zmienił się już bardzo dawno temu.

— Liza, czuję, że się uśmiechasz... Czy powiedziałam coś zabawnego?

— Rozbawiło mnie tylko twoje wyobrażenie pracy w biurze dużej kompanii — odparła wymijająco. — Nie jesteś konformistką.

— Ty też, choć wybrałaś pracę w tym molochu.

— Co się stało? — Liza zmieniła temat, chciała się dowiedzieć, dlaczego Jean do niej zadzwoniła. Zauważyła, że kiedy wyszła, ktoś położył na biurku listę ze zwolnionymi pracownikami, do której Alice przypięła notatkę.

— Mam nadzieję, że będziesz mogła zastąpić mnie na przedstawieniu w szpitalu, w sobotę wieczorem — powiedziała Jean.

— Dlaczego? Planujecie z Billem coś ekstra?

Westchnienie. — Nic romantycznego. Umówiłam się na dwa przedstawienia w tym samym czasie. Kiedy się zorientowałam, było za późno. Bardzo bym nie chciała odwoływać przedstawienia w którymś ze szpitali. Dzieci na pewno czekają z niecierpliwością.

— Hm. — Liza szybko analizowała wszystkie możliwości. Dave wspominał o wspólnym obiedzie w weekend, jeżeli nie będzie musiał pracować. Ale potem nic już o tym nie mówił, więc Liza uznała, że będzie mogła pomóc Jean.

— Bill wesprze mnie — ciągnęła Jean — a ciebie moja praktykantka, Sarah. Znasz ją. Oczywiście, jeśli zgodzisz się mnie zastąpić.

— Chyba mogę — wydukała Liza. Wciąż się zastanawiała. Sobota wieczorem to najbardziej odpowiedni termin na randkę, ale jeszcze pozostaje piątek.

— Proszę, proszę, proszę! — błagała Jean, przypominając, w jaki sposób, kiedy były dziećmi, prosiła Lizę, by ta coś zrobiła.

— Do cholery, no pewnie — zdecydowała. Uśmiechnęła się, słysząc dramatyczny ton w głosie siostry. Wykorzystywała dobre strony Lizy. Jean była jej siostrą, a Dave tylko przyjacielem. On zrozumie, że obowiązki rodzinne są najważniejsze. — Jean, możesz na mnie liczyć. Zastąpię cię.

— Wspaniale. To porozmawiamy o przedstawieniu, dobrze... ?

Kiedy skończyły rozmowę, Liza wzięła wydruk i przypięła do niego kartkę od Alice. Przyjaciółka proponowała, że spotkają się na siłowni w poniedziałek w następnym tygodniu.

Liza patrzyła na listę zwolnionych, ale wciąż myślała o Alice. Zwykły chodzić na siłownię co najmniej dwa razy w tygodniu. Zastanawiała się, co

zajmuje teraz jej przyjaciółkę. Tajemniczy nowy znajomy? Liza uśmiechnęła się na tę myśl. Być może ćwiczenia na siłowni zastąpiła gimnastyka w łóżku.

Włożyła wydruk do aktówki, by zabrać go do domu. Wciąż nie wiedziała, czego dokładnie szuka, oprócz tego, że chce sprawdzić, czy firma nie manipuluje zwolnieniami. Była zbyt zdenerwowana, by się nad tym skupić w pracy. Poza tym informacje o swoich klientach miała zapisane na komputerze w domu. Mogłaby porównać je z wydrukiem, choć na pierwszy rzut oka z większością tych ludzi nie zetknęła się w swej pracy.

Chwilę później, kiedy wychodziła do domu, zadzwonił telefon. Wróciła, by go odebrać.

— Dobrze, że cię złapałem. — W słuchawce rozległ się chichot Erika.  
— Pomyślałem, że jeszcze cię zastanę. Liza, stajesz się pracoholikiem.

— Właśnie wychodzę.

— Nie zamierzam cię zatrzymywać, chciałbym tylko żebyś coś dla mnie zrobiła...

Zebrała się w sobie. — Przepraszam, ale nie będę skakała z samolotu, na bungee ani wspinała się po górach. Roześmiał się. — Nie wiesz, co tracisz.

— Lepiej to niż życie — rzekła szyderczo.

— A tak poważnie, co robisz dziś wieczorem? Jesteś wolna?

— To propozycja randki?

— Możesz tak to nazwać. Potrzebuję kogoś do obsługiwania rzutnika w czasie moich zajęć.

— Nie masz do niego pilota?

— Jest, ale ja nie mam trzech rąk. W czasie wyświetlania slajdów demonstruję też ruchy.

— Hm, miałam zamiar popracować w domu.

— No cóż, już ci mówiłem, że praca bez rozrywek równa się zmęczenie.

— Obsługiwanie rzutnika uważasz za rozrywkę?

— Tak, bo otrzymasz szczególną gratyfikację.

— Jaką?

— Będiesz mogła pobyć ze mną.

Wybuchnęła śmiechem. — Okay, ale daj mi trochę czasu. Muszę chwilę popracować w domu.

— Jasne — rzekł półgłosem. — Tylko nie wyglądasz na zachwyconą. A wiem, jak szalejesz za moimi lekcjami skoków narciarskich.

— Tak, oboje wiemy, że *umieram*, żeby pójść na twój kurs.

— Szkoda, że jesteś taka uparta.

Obiecał, że przyjedzie po nią przed siódmą, dając jej prawie godzinę na przejrzenie listy.

Uśmiechała się, idąc do swojego samochodu. Była zadowolona, że na chwilę przestało padać. Erik był niepoprawny, jeśli chodzi o sporty, które przerażały większość ludzi.

— Cześć, Brązowe Oczy! Gdzie się tak spieszysz? — Dave zjawił się nagle przy niej.

— Tylko do domu, gdzie indziej? — Uśmiechnęła się do niego.

— Wpadniemy na drinka?

— A możemy to odłożyć? — Otworzyła drzwi miaty. — Do piątku muszę skończyć pewną pracę. — Bardzo nie lubiła kłamać, ale nie chciała

doprowadzić do zadrażnień. Niechęć Dave'a do Erika była wyraźnie widoczna.

— Rozumiem. — Zawahał się. — Może dla odmiany w ten weekend znajdziemy trochę wolnego czasu.

— Jeśli praca na to pozwoli. — Nie wspomniała o przedstawieniu lalkowym w sobotę wieczorem. Jeżeli tylko uda mu się uwolnić od obowiązków, to umówi się z nim na piątek. Nie chciała, żeby pomyślał, że się wykręca, chce go spławić.

Przytrzymał drzwi samochodu, kiedy wsiadała. — Hawk mi powiedział, że byłaś w laboratorium komputerowym.

— Tak. — Rzuciła aktówkę i torebkę na siedzenie pasażera. — Musiałam omówić z nim pewne sprawy dotyczące pracowników. —

Parsknęła śmiechem. — Okazało się, że zamiast z nim, powinnam porozmawiać z Cooperem.

Podmuch wiatru rozwiął jego rude włosy. Odgarnął je na swoje miejsce. — Konflikty personalne to największy problem przy kierowaniu firmą. Niewydajni pracownicy przyprawiają o ból głowy.

— To na pewno. Tak samo jak zaginięcie moich akt osobowych.

— Co?!

— Właśnie zginęły. — Spojrzała na chmury kłębiaste gromadzące się w półmroku nad horyzontem. — Choć brzmi to głupio, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ma to związek z moim wścibstwem.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale czuła, że jest spięty. — Co masz na myśli?

— Już ci mówiłam, co słyszałam od moich klientów. — Wzruszyła ramionami. — Może jest trochę prawdy w krążących plotkach. Może ktoś



pomyślał, że znajdzie coś na mnie w tych aktach i w razie potrzeby wykorzysta.

— Na Boga, Liza, to szaleństwo. A czy w nich jest coś, co nie może ujrzeć światła dziennego?

— Oczywiście, że nie! — Zapaliła silnik. — Ale dlaczego zginęły? Powoli pokręcił głową. — Nie zginęły, ktoś je zawieruszył.

— Jeden z tych niewydajnych pracowników? Roześmiał się. — Ty to powiedziałaś. Uniosła brwi. — Czas pokaże.

Zamknęła drzwi, opuściła szybę w samochodzie i rzuciła do widzenia. Dave wciąż stał w miejscu, kiedy wyjeżdżała z parkingu.

RS

## *Rozdział 12*

Jestem już przy sąsiedniej przecznicy. — Erik dzwonił z telefonu komórkowego. — Jesteś gotowa, słonko?

— Cały czas czekam, żeby usłyszeć twój seksowny głos — odparła Liza, przechodząc do ich żartobliwego sposobu rozmowy. — Spotkamy się za minutę, przed wejściem.

Odłożyła słuchawkę, założyła zakiet, wzięła rękawiczki i torebkę. Głównym wejściem wybiegła do wyłożonego kamieniami portyku budynku. W tym samym czasie podjechał Erik swoim dżipem cherokee. Otworzył drzwi, zanim doszła do samochodu.

— Wsiadaj — odezwał się, oceniając ją bladoniebieskimi oczami.

— Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziałem cię w dżinsach.

— To dlatego, że rzadko się spotykamy — odparła, siadając na skórzanym siedzeniu i zapinając pasy.

Zapadła cisza.

— To prawda. Nie tak jak kiedyś...

Liza spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że robi aluzję do wspólnych studiów w college'u, które były dla nich obojga nieustanną walką. Jednak potrafili cieszyć się każdym groszem, nie zrażały ich zniszczone dżinsy, w których musieli chodzić, i tanie posiłki. Dzięki temu zachowali optymizm i mogli sobie radzić w życiu. Uśmiechnęła się, przypominając to sobie.

— Dzięki Bogu!

Uniósł brwi. — Nie powiedziałbym tego. Są gorsze rzeczy niż bieda.

— Jakie?

— Niezależne od nas okoliczności, problemy, które obniżają jakość naszego życia... na przykład nie czujemy już wiatru w plecy.

Zapanowało milczenie.

— Tak jak teraz w moim życiu?

Oderwał od niej wzrok, by skupić się na prowadzeniu samochodu. Co zobaczyła — dezaprobatę, smutek?

Wyciągnął rękę i poklepał ją po zaciśniętych na kolanach dłoniach.

— Twoje życie zmieni się na lepsze, słonko. — Spojrzał na nią. — Musi się zmienić.

— Wątpię. — Jej głos drżał.

— Zmieni się na pewno. — Zwolnił przed prowadzącym w kierunku północnym wjazdem na autostradę I-5. Potem znów szybko spojrzął na Lizę. — Obiecuję ci to.

Mimo wszystko Liza uwierzyła mu. Być może tego pragnęła.

Hej, co cię sprowadza na kurs u Erika? Nie chcesz chyba powiedzieć, że zamierzasz zostać skoczkiem spadochronowym.

Liza odwróciła się, usłyszawszy znajomy głos. — Cooper, ostatnią rzeczą, którą bym zrobiła dobrowolnie, to skok z samolotu — odparła, zdziwiona, że zobaczyła tu Coopera Delmonte'a. Poza nim do sali lekcyjnej w Centrum Spadochronowym Sampsona — na terenie małego lotniska na północ od Seattle, w hrabstwie Snohomish — weszło około piętnastu osób. Wszyscy rozmawiali ściszymi głosami. Zajęcia z Erikiem miały się zacząć za pięć minut.

Cooper uśmiechnął się. — Więc co ty tu robisz? — Spojrzał na Erika, który na tablicy wypisywał zasady bezpieczeństwa dla skoczków spadochronowych.

— Po prostu pomagam mojemu przyjacielowi... to znaczy przyjacielowi mojemu i Martina. — Wielki Boże, pomyślała. Cooper może powiedzieć Dave'owi, że była z Erikiem, choć odrzuciła jego zaproszenie na drinka, zasłaniając się pracą.

— Skąd się znacie?

— Razem studiowaliśmy.

— Były chłopak?

— Nie, ale myślę, że jest łakomym kąskiem. — Roześmiała się. — Jeśli jakaś kobieta zdoła go usidlić.

— Więc kim jest dla ciebie?

— Dlaczego tak wypytujesz? — ripostowała.

Wzruszył ramionami. — Nic ważnego. Tylko z czystej ciekawości. — I zaraz dodał: — Byłem zaskoczony, że znasz Erika, i chciałem wiedzieć, jak go poznałaś. — Chyba to zwykły przypadek, że się tutaj spotkaliśmy...

— Pewnie, że tak. Zapadła cisza.

— Więc twój mąż też znał Erika?

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. — To dzięki Erikowi poznałam Martina. Z miejsca się w nim zakochałam.

— Niewiarygodne. — Chociaż też się uśmiechał, miał zmieszany wyraz twarzy.

Nagle coś jej przyszło do głowy. — Mówisz tak, jakbyś nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia.

— Oczywiście, że wierzę. Tak jak wszyscy... Jednak wielu ludzi myśli, że się zakochało, a to tylko pożądanie.

— Jesteś cyniczny, Cooper.

Uniósł ręce w geście kapitulacji. — Chciałem tylko powiedzieć, że mężczyźni interesują się niektórymi kobietami, bo je pożądamy, a innymi, bo je kochają.

— Kobiety patrzą na to z innej perspektywy.

— Tak, są wrażliwsze w sprawach miłości.

Pokręciła głową i mlasnęła językiem. — Dokładnie tak myślę. — Po chwili dodała: — Na nieszczęście.

Zastanawiał się nad jej słowami. — Liza, jeśli chodzi o ciebie, to można mówić o obu przypadkach...

— Jakich przypadkach?

Powoli zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na stojącym w pierwszym rzędzie składanym krzeselku. — Hm — mruknął, znów spoglądając jej w oczy. — Bardzo łatwo się w tobie zakochać i cię pożądać.

Aż zamrugła oczami. Z pewnością Cooper z nią nie flirtował. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Postanowiła wrócić do jego pierwszego pytania.

— Erik potrzebuje trzeciej ręki w czasie swojego pokazu. Przeszł z nogi na nogę, czekał, by mówiła dalej. Wzruszyła ramionami. — Właśnie po to tu przyjechałam, żeby pomóc Erikowi... Ale ty nie powiedziałaś, po co tu jesteś.

— Prosta sprawa. Jestem pilotem, będę transportował tych gości, jak będą już przygotowani do pierwszego skoku.

— Ach tak — Liza próbowała ukryć swoje zaskoczenie.

— Dodatkowe pieniądze — rzekł, uprzedziwszy jej pytanie. Nagle stał się poważny. — Krucho teraz u nas z pieniędzmi ze względu na chorobę

Brandona. — Zaśmiał się gorzko. — Towarzystwo ubezpieczeniowe nie chce za wszystko płacić.

— Bardzo współczuję. Brandon to takie słodkie dziecko. Przytaknął. — Mamy nadzieję, że po operacji mu się polepszy.

— Na kiedy została wyznaczona? — Sądziła, że Brandon już ją miał.

— Złapał wirusa i operacja została przełożona. — Zawahał się. — Przypuszczamy, że lekarze zdecydują się ją przeprowadzić w przyszłym tygodniu, najpóźniej za dziesięć dni.

— Mam nadzieję, że zupełnie wyzdrowieje — rzekła Liza. Odczuwała współczucie dla niego i jego małej rodziny.

Odeszła od Coopera, żeby położyć torebkę i rękawiczki na krześle stojącym z boku. Potem powiesiła na nim marynarkę. Obróciwszy się, zauważyła, że Cooper stoi już za nią.

— Słyszałem, że sprzedałaś prawo Martina do własności samolotu dwóm jego partnerom. To ostateczna decyzja?

Skinęła głową. — Chyba że Martin wróci. — Przerwała, poczuła się nieswojo. Niechętnie rozmawiała o tej umowie. Chciało się jej płakać, gdy pomyślała, że Martin być może nigdy nie będzie latał tym samolotem.

— Więc nie sprzedałaś jego udziału?

Wzięła głęboki oddech. Nie bądź taka przewrażliwiona, poinstruowała się. On tylko cię pyta.

— W umowie zapisaliśmy możliwość odkupienia udziału, gdyby... — Jej głos się załamał, nie była w stanie dokończyć myśli.

Delikatnie poklepał ją po ramieniu. — Przepraszam, nie miałem zamiaru wtrącać się do nie swoich spraw. — Ton w głosie potwierdzał te

słowa. — Chciałem odkupić udziały Martina, ale wahałem się ze względu na okoliczności. To moja wina, że nie zapytałem wcześniej.

Liza zrobiła krok do tyłu i założyła luźny kosmyk włosów za ucho. Zastanawiała się, jak Cooper mógł rozważać kupno samolotu. Nigdy by go nie sprzedała, ale bez dochodów Martina koszty utrzymania stały się zbyt wysokie. Takie jest życie, pomyślała. Nie da się przewidzieć wszystkich zmian.

— Hej, Cooper. — Erik odwrócił się od tablicy i w końcu zauważył, że rozmawiają. — Nie wiedziałem, że znasz Lizę.

Cooper uśmiechnął się szeroko. — No cóż, a ja nie wiedziałem, że wy oboje się znacie.

— Od bardzo dawna.

— Wiem, Liza mi powiedziała — Cooper spoglądał to na Lizę, to na Erika.

Erik odłożył kredę i przeszedł do stojaka, gdzie stały duże tablice. Sprawdził, czy są ułożone w kolejności. — Oczywiście wiedziałem, że pracowałeś w laboratorium z Martinem. Liza też pracuje w International Air, więc powinienem się domyślić, że ją znasz.

— Wszyscy pracują dla International Air.

— Tak, tylko ja jestem buntownikiem — rzekł Erik z uśmiechem.

— Bez powodu? — zażartował Cooper. — Może po zajęciach pójdziemy na piwo? — Zaproszenie dotyczyło też Lizy.

— Jak najbardziej, jeśli tylko Liza się zgodzi — odparł Erik.

— Okay, ale na krótko. — Lizę kępowało badawcze spojrzenie Coopera. — Jutro trzeba wcześnie wstać do pracy.

Erik wszedł na podwyższenie, uśmiechnął się i przywitał przyszłych skoczków spadochronowych. Orzekł, że czas rozpocząć zajęcia.

Cooper zajął miejsce z przodu sali, a Liza stanęła obok ekranu, z palcem na pilocie. Czekwała na sygnał od Erika, by zacząć wyświetlanie slajdów.

Czuła na sobie spojrzenia, ale zerknąwszy na Coopera, zauważyła, że on patrzy przed siebie. Odetchnęła z ulgą, kiedy przyciemniono światła i znikła w cieniu. Z niecierpliwością czekała na zakończenie zajęć.

Sądysz, że będziesz mnie potrzebował w kolejny weekend? — spytał Cooper, sącząc piwo. Pytanie kierował do Erika.

— Tak, niektórzy z tych kursantów są już przygotowani. — Erik zaczął się namyślać. — Do środy zadzwonię do ciebie, dobrze?

Cooper skinął głową. — Czekam.

Liza odstawiła kieliszek. Była gotowa do wyjścia. Pół godziny w kawiarni na lotnisku wystarczy. Zamykały się jej oczy. Chciała jechać do domu i położyć się do łóżka.

— Hej, Liza, myślisz o niebieskich migdałach? — rzucił Erik.

— Co? — Otrząsnęła się i ponownie skupiła na rozmowie. Obaj mężczyźni patrzyli na nią z uśmiechem.

— Właśnie rozmawialiśmy z Cooperem o samolocie Martina i pytałem cię, jakie masz najnowsze informacje od tego detektywa.

— Jestem niezorientowany. — Cooper podrapał się w podbródek, jego brązowe oczy wyrażały zainteresowanie. — O co chodzi z tym detektywem?

— Wynajęłam człowieka, żeby zajął się zniknięciem Martina — zaczęła i spojrzała znacząco na Erika. Co ty, do diabła wyprawiasz? —



spytała go w myślach. Dobrze wiesz, że nie opowiadam o swoim prywatnym życiu komuś, kogo prawie nie znam.

— Liza znajduje się w stanie zawieszenia, jeżeli chodzi o jej życie osobiste i finanse, dopóki sprawa się nie wyjaśni — odezwał się Erik, przerywając milczenie.

— Zagmatwana sytuacja. — Cooper pokręcił głową, wpatrując się w Lizę. — Prawdziwa łamigłówka...

— Tak. — Liza uciekła ze wzrokiem, poczuła się skrepowana przebiegiem rozmowy. Zmieniła temat: — W sobotę wieczorem w szpitalu organizuję kolejne przedstawienie lalkowe. Chciałabym zaprosić Brandona — powiedziała z uśmiechem. — Ostatnio chyba bardzo mu się podobało.

Cooper też się uśmiechnął. — Nie przestaje mówić o przedstawieniu i twojej siostrze. Myśli, że jest czarodziejką lub kimś w tym rodzaju. — Wyraźnie się ożywił. Jego miłość do syna była oczywista. Liza polubiła go bardziej. — Powiem Abbey. Na pewno będą chcieli pojechać... jeśli Brandon będzie mógł.

Z zadowoleniem skinęła głową. — Wszystkie dzieci kochają przedstawienia Jean. Kukielki to od lat nasze rodzinne hobby. Nawet Martin pomagał wypychać lalki, które pokażę w sobotę. — Zamilkła. Nie chciała znów rozmawiać o Martinie.

Erik, uświadomiwszy sobie swój wcześniejszy błąd, odstawił pustą szklanekę i wstał. — Zrobiło się późno.

Po kilku minutach, po powiedzeniu sobie do widzenia, Liza z Erikiem wracali dżipem do domu.

— Liza, przepraszam.

Spojrzała na niego. Światła z deski rozdzielczej rzucały cienie na jego twarz. Widziała, że jest zdenerwowany.

— Za co? — Uśmiechnęła się. — Za to, że musiałam wysłuchać tych męskich przechwałek o oszukiwaniu śmierci?

— Nie, za to, że wygadałem się o Wendallu. — Przyspieszył, by wyprzedzić inny samochód. — Myślałem, że wszyscy o nim wiedzą, bo krąży wszędzie i wypytuje.

Zapadła cisza.

— Masz rację, chyba wszyscy wiedzą. Myślę, że jestem po prostu przewrażliwiona na punkcie Martina.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej kolano. — Wybaczysz mi?

— Pod warunkiem, że spełnisz moje trzy życzenia. Wygrana w lotto, wyspa na ciepłym morzu i nigdy więcej gadki o lataniu bez skrzydeł.

Przez chwilę się nie odzywał, a potem wybuchnął śmiechem. — Spełnię, kotku. Przynajmniej to ostatnie.

Ona też się roześmiała. Jednak uświadomiła sobie, że teraz na pewno wszyscy się dowiedzą o wynajęciu prywatnego detektywa. Cooper rozgłosi tę informację.

Powinnaś być bardziej odporna, dziewczyno, poinstruowała się. Jakie to ma znaczenie? Nie zrobiłaś nic złego.

## *Rozdział 13*

Brązowe Oczy, czy my musimy spotykać się w takich sytuacjach...

Liza zamknęła drzwi samochodu i odwróciła się z uśmiechem na ustach. — A co proponujesz... potajemne spotkania?

— Jeśli się zgodzisz.

Wiatr znad Zatoki Elliotta rozwiał jej płaszcz i uniósł spódnicę. Przytrzymała ją ręką. — Panie Dave, wszak wiadomo nam — rzekła Liza, kręcąc głową — że jesteś jedyną osobą w International Air, która pracuje więcej ode mnie! — Rozłożyła ręce niczym prezenter telewizyjny dobrze przygotowany do programu.

— Taka jest smutna prawda — rzekł, przechodząc kilka kroków od swojego samochodu. — Niewielu ludzi zaczyna pracę... — Spojrzał na zegarek. —... dwie godziny przed innymi, jeszcze przed wschodem słońca.

Ruszyli dobrze oświetlonym parkingiem w kierunku biurowca. — Ja nie jestem taka szlachetna — objaśniła Liza. — Przed rozpoczęciem pracy muszę tylko uzupełnić coś w kilku kartotekach.

Zapanowało milczenie.

— I nie zrobiłaś tego w domu, bo wczoraj wieczorem byłaś ze swoim przyjacielem Erikiem na kursie spadochronowym?

— Skąd wiesz?

— Rozmawiałem z Cooperem przez komórkę, tak przy okazji.

— I... — Nagle się zdenerwowała.

— I nic. — Otworzył drzwi do budynku. — Zrozumiałem tylko, dlaczego wczoraj nie miałaś czasu na drinka ze mną.

Liza weszła do środka i odparła sucho: — Erik potrzebował mojej pomocy przy wyświetlaniu slajdów. Był w kłopotcie, a ponieważ pomagał mi tyle razy, nie mogłam odmówić. — Po chwili zdała sobie sprawę, że się usprawiedliwia. — Zawsze w razie potrzeby pomagam przyjaciołom — dodała twardo.

— Liza, to jedna z twoich ujmujących zalet. — Przytrzymał drzwi, by nie zamknęły się zbyt szybko, jego wyciągnięta ręka nie pozwoliła jej iść dalej. — Przepraszam, jeżeli cię uraziłem, ale... — Puścił drzwi. —... jestem zazdrosny, kiedy spędzasz czas z kimś innym.

Jego słowa, które wypowiedział z poważnym wyrazem twarzy, brzmiały szczerze. Podobała się jej jego uczciwość, która wydawała się autentyczna. Może przesadnie reagowała na jego komentarze...

— A ja przepraszam, że jestem zrzędliva. Źle spałam.

— Bezsenność? Mam nadzieję, że nie chroniczna.

— Nie. — Ruszyła w stronę korytarza prowadzącego do jej biura. — Stan przejściowy.

— To dobrze.

Zatrzymali się w miejscu, z którego mieli rozejść się w przeciwnych kierunkach.

— Zadzwoń do ciebie i umówimy się na spotkanie w weekend.

Przytaknęła, zakłopotana jego poufałym tonem.

Niespodziewanie chwycił ją za ramiona, przyciągnął bliżej i pocałował. — Żeby przypieczętować nasze spotkanie — oświadczył. Na chwilę na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Zaskoczona Liza tylko znów przytaknęła. Potem szybkim krokiem ruszył w stronę przejścia prowadzącego do laboratorium komputerowego.

Nie zdążyła nawet pomyśleć o błyskotliwej riposcie ani powiedzieć o teatrze kukielkowym w sobotę wieczorem.

W południe Liza czuła się tak, jakby pracowała już cały dzień. Była zadowolona, że przyniosła ze sobą lunch i termos z kawą. Oddychając głęboko, wyprostowała się na krześle. Potem rozwinęła kanapkę. Do południa wydarzyła się jedna przyjemna rzecz. Zadzwoił Sam Papparich z informacjami o nowej pracy. Wielokrotnie jej dziękował podczas rozmowy.

— Pani MacDonough, dzięki pani dostałem tę pracę. Gdyby pani nie poprawiła mojego życiorysu i nie pouczyła, jak odpowiadać podczas rozmowy kwalifikacyjnej, nie wiem, czybym ją dostał.

Zapewniła go, że to jego kwalifikacje były najważniejsze, ale wiedziała, że życiorys i efekty rozmowy mają ogromne znaczenie. Ten telefon podniósł ją na duchu. Życie polega na pomaganiu innym ludziom, stwierdziła po odłożeniu słuchawki.

Po skończonym lunchu Liza rozmyślała, pijąc kawę. Wcześniej zadzwoniła do Dave'a, chcąc powiedzieć mu o przedstawieniu lalkowym, ale dowiedziała się, że dzisiaj przez cały dzień będzie poza gabinetem. Była też ciekawa, czy Alice znalazła jej zagubione akta osobowe. Postanowiła do niej zadzwonić.

Alice podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale. Zaskoczyło to Lizę, spodziewała się, że w czasie lunchu telefon odbierze sekretarka.

— Hej, ostatnio przestałaś jeść luncha? — spytała żartem. — Żadna dieta... ani mężczyzna... nie są tego warte.

— Tak, z pewnością. Chwila wahania.

— Właśnie się zastanawiałam, czy do ciebie zadzwonić. Chyba muszę z tobą porozmawiać.

— Nie znaleźliście moich akt osobowych — stwierdziła, jakby znowu uprzedzając jej myśli.

— Znaleźliśmy. — Przerwa. — To znaczy nie szukaliśmy ich, okazało się, że są na swoim miejscu.

Kolejna przerwa.

— Jak to? Przecież zginęły.

— No właśnie. — Alice mówiła teraz podrażnionym głosem. — Być może były tutaj cały czas, tylko je przeoczyliśmy.

— Ale tak nie uważasz?

— Nie wiem, co myśleć. — Alice długo wypuszczała powietrze z płuc. — O tym... i o kilku innych sprawach.

— O czym ty mówisz? — Liza przelożyła słuchawkę do drugiego ucha. — Alice, coś cię zaniepokoiło?

Cisza.

— Chyba tak. — Zniżyła głos.

— Możemy o tym porozmawiać?

— Sądzę, że powinniśmy. — Zawahała się. — Liza, pojawiły się problemy.

— Jakie? — Liza przycisnęła słuchawkę do ucha. Nigdy wcześniej nie słyszała takiej niepewności w głosie Alice. — Przez następne dwadzieścia minut jestem wolna. Przyjdę do twojego biura.

— Nie. Proszę, nie przychodź. — Alice mówiła jeszcze ciszej. — Spotkamy się na siłowni, w saunie. Tam będziemy mogły porozmawiać na osobności. — Kolejne wahanie. — Może o pół do siódmej?

— Będę tam, Alice. — Liza odepchnęła krzesło i wstała. — Ale teraz też mogę przyjść do ciebie...

— Nie — znów powiedziała Alice, przerywając jej zdanie. —  
Spotkamy się o pół do siódmej w saunie.

W uchu Lizy rozległ się pisk telefonu.

Przez resztę popołudnia słowa przyjaciółki krążyły jej w głowie. Alice była bardziej niż zaniepokojona; wydawała się przestraszona. Liza była zadowolona, kiedy skończył się dzień pracy i mogła zamknąć biuro.

Musiała wiedzieć, co tak przeraziło jej przyjaciółkę.

Była mocno spóźniona. Dwa ostatnie telefony, oba od zestresowanych klientów, zajęły jej prawie godzinę. Była już prawie siódma, kiedy skręcała w ulicę Oliwną, na parking. Zamknęła samochód i nieprawidłowo przeszła przez jezdnię, by dojść do siłowni.

Kristi, dziewczyna, która zwykle siedziała w recepcji, uniosła wzrok. — Alice kazała mi przekazać, że jest w przebieralni.

Liza skinęła głową. — Długo już tu jest?

— Aha. — Spojrzała na zegarek. — Prawie godzinę, ale najpierw ćwiczyła.

— Tak przypuszczałam. — Liza uśmiechnęła się. — Alice nie wytrzymałaby dłużej w saunie niż piętnaście minut.

— Pani też ma tylko co najwyżej piętnaście minut, chyba że chce pani zrezygnować z masażu, które są zaplanowane na siódmą.

Liza ruszyła w kierunku schodów. — Jestem spóźniona, najlepiej, jak od razu tam pójde.

Liza weszła do pustej przebieralni i szybko zrzuciła ubranie. Widocznie Alice już jest w saunie. Pospiesznie związała włosy w koński ogon, włożyła ubranie do szafki i owinęła się dużym ręcznikiem. Skierowała się do sauny z butelką wody w garści. Gumowe klapki trzaskały o jej pięty.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak pierwszy raz ona i Alice ośmieliły się pomyśleć o saunie, wiedząc że będą tam nagie w obecności innych osób. Tygodniami rozmawiały o niej podczas ćwiczeń. Kupiły nawet jednakowe klapki i butelki z wodą, zanim w końcu podjęły decyzję.

Odgłosy dochodzące z góry wskazywały, że sala do ćwiczeń jest zatłoczona, Liza słyszała też muzykę dobiegającą z sali do aerobiku, ale pod prysznicami i w saunie było pusto. Używano tylko jednego z pomieszczeń sauny. Liza przypuszczała, że jest tam Alice, choć dziwiło ją, że na nią nie poczekała. Chyba dlatego, że się spóźniłaś, kretynko, powiedziała sobie. Alice mogła nawet dojść do wniosku, że wcale nie miałaś zamiaru tu przyjechać.

Liza otworzyła drzwi, zobaczyła, że Alice siedzi na ławce, a potem weszła do środka i zamknęła pomieszczenie. Fala ciepła była niczym uderzenie, Liza miała ochotę natychmiast stąd wyjść. — Hej, czy ci się nie wydaje, że tutaj jest zbyt parno? — spytała swojej przyjaciółki.

Brak odpowiedzi.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że się zdrzemnęłaś — rzekła Liza, odczuwając lekki niepokój. — Nic dziwnego, że jesteś senna. Tu jest za gorąco.

Znów żadnej odpowiedzi.

Alice siedziała na końcu ławki owinięta w ręcznik. Opierała się o róg ściany. Oczy miała zamknięte, a wstęgi pary wiły się wokół niej niczym węże w odkrytej kryjówce.

Liza podeszła do niej, podniosła leżącą przy jej stopie butelkę z wodą i podała ją przyjaciółce. — Alice, obudź się. Czas na masaż. Już dostatecznie długo tu jesteś.



I tym razem brak odpowiedzi.

Zaalarmowana Liza chwyciła ją za ramię. Zamiast się obudzić, Alice przechyliła się do przodu i zsunęła z ławki na podłogę.

Przerażona Liza odrzuciła obie butelki i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. Jej krzyki wydostawały się na zewnątrz wraz z kłębami pary:

— Pomocy! Szybko!

Potem próbowała wyciągnąć Alice z sauny i ją podnieść. Zanim Kristi i inni przybyli z pomocą, ręce i nogi Lizy drżały z wysiłku. Powstrzymywała się od wpadnięcia w histerię. — Trzeba rozpocząć reanimację — mówiła trzęsącym się głosem. — Pomóżcie mi ją ułożyć.

— Miała atak serca? — ktoś zapytał.

— Zadzwoiłam po pogotowie — powiedziała Kristi. Była równie przerażona jak Liza. — Już jadą.

Podeszła kobieta w dresach i opasce na czole. — Jestem pielęgniarką. — Uklękła przy Alice i na chwilę popatrzyła w oczy Lizy. — Ja to zrobię.

— Trzeba ją ocucić. — Liza walczyła z paniką. — Musiała zemdleć.

Kobieta odciągnęła Lizę na bok. — Powinna się pani ubrać — zauważyła delikatnie.

Liza nie zdawała sobie sprawy, że ręcznik zsunął się jej z ciała.

\*

Stwierdzono, że nastąpił zgon.

— Mogła zasłabnąć i umrzeć w wyniku udaru cieplnego — orzekł rutynowo lekarz. — Może miała zawał serca, ale nie jesteśmy w stanie teraz tego stwierdzić. Wiemy tylko, że za długo nic nie piła i było za gorąco. — Pokazał na butelkę z wodą, którą miała Alice. Była prawie pełna.

Liza patrzyła, jak kładą Alice na wózku, okrywają i wywożą. Nie włączono syreny, kiedy karetka zjechała z chodnika i skierowała się do kostnicy szpitala.

Mój Boże, westchnęła w myślach Liza. Jej oczy łzawiły. Jak to się mogło stać? Alice nigdy nie skarżyła się na swoje zdrowie. Stłumiła szloch, próbowała nie stracić kontroli nad sobą. Gdyby tylko przyjechała na czas, Alice nie dostałaby udaru cieplnego... i nie umarła.

— Pani MacDonough? — Męski głos wydawał się jej znajomy. Odwróciła się i zobaczyła detektywa Barnesa. W zaskoczeniu w pierwszej chwili pomyślała, że to dobrze, że jest ubrana, a klapki i butelka z wodą są zamknięte w torbie. Z jakichś powodów czuła, że jej ubranie jest rodzajem obrony przeciwko poczuciu utraty i winy.

— Dlaczego pan tu jest, detektywie Barnes? — spytała drżącym głosem. — Pan jest przecież z wydziału zabójstw.

Wszedł do recepcji, gdzie siedziała i próbowała się uspokoić przed jazdą samochodem. Widocznie przyszedł prosto z łaźni, a przyjechał tutaj, kiedy się ubierała. Liza już składała zeznania policjantowi, który przyjechał z karetką pogotowia.

— Tak, zgadza się.

— Dlaczego więc pan tu przyjechał? — Z trudem przełknęła ślinę, próbując zachować spokój. — To nie było morderstwo.

— Skąd to pani wie?

Potrząsnęła głową, walczyła z napływającymi do oczu łzami. — Wiem tyle, że Alice weszła do sauny beze mnie, bo ja się spóźniłam. — Zawiesiła głos. — Siedziała tam za długo, czekała na mnie.

Skinał głową. — Dlaczego się pani spóźniła?

— Miałam telefony od klientów.

— To były jakieś pilne sprawy? — spytał cichym głosem, z zainteresowaniem.

— Telefon od klienta zawsze oznacza jakieś problemy.

— Zatem z tego powodu pani się spóźniła. Ile?

Spojrzała w dół. — Dwadzieścia minut. Zapadła cisza.

— Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

Po raz drugi zaczęła po kolei opowiadać. Rozpoczęła od krótkiej rozmowy z Kristi. Potem powiedziała, że weszła do sauny i zobaczyła Alice, która siedziała na ławce i miała zamknięte oczy. Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — Zaczęłam wzywać pomocy. Resztę pan zna.

Robił notatki, kiedy mówiła. Teraz uniósł wzrok. — No cóż, chyba to wszystko — rzekł w końcu i włożył notatnik do kieszeni. — Odprowadzę panią do samochodu. — Chwila wahania. — Jest pani w stanie prowadzić?

— Myślę, że tak — odparła niepewnie.

Wyprowadził ją z recepcji, a potem się zatrzymał. — Muszę najpierw coś jeszcze sprawdzić. Zaraz wracam.

Poszedł z powrotem do sauny. Liza podążyła za nim. Kiedy zatrzymał się w drzwiach, omal nie wpadła na niego, ale prawie tego nie zauważył. Patrzył na miejsce, gdzie znaleziono Alice. Odgradzała je żółta plastikowa taśma, a dwóch policjantów pilnowało, żeby nikt go nie zanieczyścił. Kilku innych ubranych po cywilnemu policjantów badało pomieszczenie sauny i miejsca przy drzwiach. Butelka z wodą, którą miała Alice, została zapakowana do dużej plastikowej torby.

— Co się dzieje? — wykrztusiła Liza, zaskoczona, że śmierć Alice wywołała tego typu działania.

Spojrzał na nią, był tak samo tajemniczy jak lekarz. — Rutyna. Zawsze badamy miejsce nagłej śmierci, musimy się upewnić, że osoba zmarła z przyczyn naturalnych. Zbadamy nawet wodę z butelki pani przyjaciółki, choć chyba tutaj nic nie znajdziemy.

Oblizła usta. Nie była przekonana.

— Pani MacDonough, czy pani coś podejrzewa?

Pokręciła głową. — Nie wiem, co myśleć. Wiem tylko, że Alice nie żyje, a ja w to nie mogę uwierzyć.

Wzrok Lizy wędrował między Barnesem a mężczyznami pracującymi na miejscu śmierci. Obserwowała, jak rozmawia z jednym z policjantów. Potem wziął ją pod ramię i z powrotem zaprowadził do wyjścia.

— Mój samochód stoi na parkingu po drugiej stronie ulicy — powiedziała.

— Wiem. Odprowadzę tam panią.

Skąd on to wiedział? — zastanawiała się, kiedy przechodzili przez błyszczący po niedawnym deszczu chodnik. Zatrzymała się przy miacie, otworzyła drzwi i rzuciła swoje rzeczy na siedzenie pasażera. Odwróciła się do detektywa.

— Detektywie Barnes, co tak naprawdę pan myśli?

Podmuch wiatru uniósł jego kręcone włosy, lekki uśmiech pojawił się na jego ustach. — Myślę, że powinna pani pojechać do domu i próbować zasnąć — rzekł. — Jutro zadzwonię. Będę wiedział więcej, gdy lekarz sądowy skończy pracę.

— Przeprowadzi sekcję zwłok?

Wzruszył ramionami. — To od niego nie zależy.

Przytrzymał drzwi i nie miała wyboru, musiała wsiąść do samochodu. Po chwili wyjechała z ulicy Oliwnej na aleję Borena, z której miała skrócić w kierunku wzgórz, gdzie na ulicy Wiosennej stał jej blok. Po przejechaniu jednej przecznicy zauważyła, że jedzie za nią wóz policyjny. Cały czas za nią podążał, ale pojechał prosto, gdy skrzyła w swoją drogę dojazdową. Kiedy otwierały się drzwi automatyczne do garażu, w jej głowie kłębiły się pytania; jedno było dominujące.

Co, do diabła, się dzieje? Najpierw Nate, a teraz Alice...

*To działa. Znów to zrobił. Ta myśl upajała.*

*Z drzwi domu obserwował ulicę. Syreny przyciągały tłum przechodniów, ale policjanci cofnęli ich, tworząc barierę między żeńskim klubem fitness a gapiami.*

*Doskonale, pomyślał, z powodu chłodnego północnego wiatru kryjąc się głębiej w wejściu. Nikt go nie zauważy wśród tych kręcących się mieszkańców śródmieścia. Był bezpieczny.*

*Samochód policyjny przyjechał niemal natychmiast po karetce pogotowia. Potem zjawili się inni policjanci.*

*— Banda przyglupów — mruknął głośno. — Nigdy niczego tu nie odkryjecie.*

*Wiatr wzmagął się z każdą minutą. Podniósł kołnierz, jego palce zaczęły mu cierpnąć z zimna, ale był bardzo zadowolony. To cholerni idioci. Mógł sobie pozwolić na odrobinę niewygody w zamian za poczucie siły pobudzane przez ich głupotę.*

*Zapomniał o wcześniejszym niepokoju. Problem, w jaki sposób zabije, był odległym wspomnieniem. Musiał jedynie wykorzystać swój intelekt i się*

*zastanowić. W końcu wszystko okazało się proste... i tak doskonale. Miała umrzeć w miejscu przeznaczonym wyłącznie dla kobiet.*

*Kiedy zobaczył, jak wynoszą jej przykryte ciało do karetki, z całą pewnością wiedział, że to już koniec. Nie żyje, już dłużej nie będzie mu zagrażała. Wciąż się ociągał, rozkoszował się władzą nad innymi. Czekał, aż zauważył mężczyznę odprowadzającego Lizę MacDonough przez ulicę do samochodu. Obserwował, jak rozmawiają, a po kilku minutach patrzył na odjeżdżającą Lizę.*

*Przejechała obok jego kryjówki, ze wzrokiem wpatrzonym przed siebie. Jednak w świetle lamp ulicznych dostrzegł łzy na jej policzkach. To premia.*

*Miał już wyjść, ale zauważył, że za miatą ruszył samochód policyjny. Cholera! —zaklął w duchu. Czekał, aż oba pojazdy znikną z pola widzenia. -*

*Do następnego razu. Przez chwilę nic nie mogło go pozbawić poczucia nieograniczonej władzy. Mógł teraz czekać na rozprawę z Lizą MacDonough.*

*Jednak nie za długo.*

## *Rozdział 14*

Liza instynktownie zrzuciła ubranie, wzięła prysznic i włożyła koszulę nocną. Potem usiadła w ciemnościach przy zapadającej w pamięci, cicho włączonej muzyce Kenny'ego G., i z Bellą śpiącą na kolanach. Patrzyła na światła miasta. Na Zatoce Elliotta ogromny błyszczący prom, niczym zaczarowany baśniowy statek, sunął po wodzie w kierunku odległej wyspy w Cieśninie Pugeta.

Łzy niepowstrzymanie spływały jej po policzkach. Alice nie żyła. Ta Alice, której największym marzeniem było znalezienie królewicza i małżeństwo, odeszła na zawsze. I to nie była żadna baśń.

Zadzwoił domofon, wprawiając ją w przerażenie. Bella zeskoczyła z jej kolan i Liza pospieszyła do kuchni. Zdjęła słuchawkę ze ściany.

— Halo — odezwała się drżącym głosem.

— Jestem na dole — rzekł Dave. — Słyszałem, co się stało. Wpuść mnie.

— Ale ja... ja chcę być sama i...

— Tylko otwórz drzwi — przerwał jej. — Zaraz u ciebie będę.

Po minucie już otworzyła mu drzwi do mieszkania. Wahał się przez kilka sekund, jego zielone oczy nappełniała troska. Rude włosy miał w nieładzie, jakby czesał je palcami. Bez słowa wziął ją w ramiona, jej łzy wsiąkały mu w marynarkę. Na Boga, opanuj się, powiedziała sobie. Nie jesteś małym dzieckiem. Ale jej wysiłki, by się uspokoić, nie odniosły żadnego skutku. Nie mogła przestać płakać.

— Skąd wiedziałeś... o Alice? — spytała Liza, kiedy w końcu mogła mówić.



— Ciii... Za chwilę wszystko ci wyjaśnię.

Wciąż trzymając ją w ramionach, zaprowadził do kanapy i posadził. Przy Davie, który ją pocieszał, Liza odnosiła wrażenie, że ciemność przynosi jej ukojenie. Jedynie światła miasta i cicha muzyka zakłócały spokój w mieszkaniu.

— Już lepiej? — wyszeptał chwilę później. Skinęła głową.

— To dobrze. — Pocałował ją w czoło tak jak ojciec uspokajający dziecko. Nastąpiła długa cisza. — To Hawk powiedział mi o Alice — rzekł w końcu.

Wyprostowała się, uniosła głowę z jego ramienia. — Skąd Hawk wiedział o tym? To się wydarzyło zaledwie kilka godzin temu...

— Jeden z pracowników z laboratorium mu powiedział. Jego żona jest przyjaciółką współlokatorki Alice. Do ich mieszkania przyszedł policjant ze smutną wiadomością. Dziewczyna była wstrząśnięta, zadzwoniła do przyjaciółki, a ta z kolei poinformowała męża pracującego w laboratorium.

— Czy ta współlokatorka wiedziała też, że ja tam byłam?

— Tak, ten policjant wspomniał o tym. Ale nawet gdyby tego nie zrobił, domyśliłbym się, że tam byłaś, bo często razem ćwiczyłyście.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. — Nie wiem, co się stało. Jak mogła umrzeć w ten sposób? Zapadła cisza.

— Byłaś z nią, kiedy umierała?

Liza pokręciła głową. Urywanymi zdaniem opowiedziała mu wszystko, co wiedziała, jak znalazła Alice. — Nie było żadnego znaku, że stało się coś złego... oprócz tego, że ona nie żyła.

— Brązowe Oczy, tak bardzo ci współczuję. Musiałaś przeżyć koszmar.



— Gdybym się nie spóźniła. — Jej słowa stawały się coraz cichsze.

— Czuję się cholernie winna!

Przyciągnął ją do swojego ramienia. — To nie jest twoja wina. Nikt nie jest w stanie przewidzieć śmierci.

— Dzięki, Dave — wykrztusiła. Znow cisza.

— Będziesz w stanie zasnąć?

— Nie wiem. Czuję, jakby przez całe moje ciało płynął prąd.

— Masz whisky?

Pokręciła głową. — W lodówce jest tylko butelka wina.

Znow pocałował ją w czoło, a potem delikatnie cofnął rękę i wstał.

— Zaraz wracam.

Słyszała, jak wyjmuje wino, a potem kieliszki. Kiedy odkorkowywał butelkę, wreszcie zrozumiała, dlaczego wszyscy w International Air tak bardzo go lubią. On był naprawdę troskliwym człowiekiem.

Wrócił z winem. Siedzieli w milczeniu, popijając i słuchając muzyki. Kiedy opróżniła swój kieliszek, ponownie go napełnił.

— Upiję się.

— To dobrze. Razem się upijemy.

— Nie zapomniałeś czasem, że musisz prowadzić samochód? Wyczuła jego uśmiech. — O czym innym zapomniałem. Nie powiedziałem ci, że zostaję tu na noc.

— Ale...

— Żadnych ale. — Przerwa. — Nie obawiaj się. Będę grzeczny. Dziś jest noc miłosierdzia, a nie uwodzenia.

Odprężyła się jeszcze bardziej. Kiedy pomagał jej położyć się do łóżka, była zbyt wstawiona, by protestować. Tak jak obiecał, nie

wykorzystywał sytuacji. Zaraz zaczęła zasypiać. Od dłuższego czasu nie czuła się tak bezpieczna. To była jej ostatnia myśl, którą zapamiętała, nim zasnęła.

Dave'a obudził telefon komórkowy. Wyszedł, zanim Liza zdążyła wstać. Najpierw upewnił się, że Liza dobrze się czuje, poradził jej, żeby wzięła wolne i powiedział, że w kuchni jest przygotowana kawa. Potem ją pocałował i opuścił mieszkanie.

Mimo wszystko Liza poszła do pracy. Pozostanie w domu oznaczałoby, że cały czas rozpamiętywałyby to, co się stało. Poza tym gdyby odłożyła umówione spotkania, nigdy nie nadrobiłaby zaległości.

Podczas przerwy na lunch Liza musiała zrobić to, o czym myślała do południa; powinna porozmawiać z pracownikami z biura Alice, wyjaśnić, co się stało. Alice traktowała podwładnych niczym rodzinę, szczególnie wtedy, gdy mieli kłopoty osobiste lub zawodowe. Chciała też zadać kilka pytań: o swoje akta osobowe, które najpierw zniknęły, a potem znalazły się w tajemniczy sposób; o to, co ostatnio niepokoiło Alice, zwłaszcza o problemy, które miała z nią omówić na osobności. Chociaż Alice nie zwierzała się pracownikom, ktoś z nich mógł zauważyć, że coś jest nie w porządku.

Walcząc ze swoimi emocjami, Liza poszła na górę do biura Alice. Z każdym krokiem tłumiała łzy. Musisz to zrobić... musisz stawić temu czoła... wmawiała sobie. Alice już nic nie wskrzesi.

Weszła do Działu Zasobów Ludzkich i stanęła przy drzwiach. Z jednej strony ogromnego pomieszczenia z wydzielonymi stanowiskami pracy znajdowało się biuro Alice. Podeszła do biurka recepcyjnego. Pat, sekretarka

Alice, uniosła wzrok. Bez słowa ta mała kobieta w średnim wieku wstała i uściskała ją.

— Liza, jak to mogło się stać? — spytała. Zrobiła krok do tyłu i zamrugła powiekami.

Liza pokręciła głową, sama tłumila łzy. — Pat, ona już nie żyła, kiedy się tam zjawiłam. — Przerwała. — Jeden z lekarzy powiedział, że może za długo była w saunie...

Krótko zrelacjonowała jej to, co wiedziała. Potem przyznała, że mimo swojej rozpaczliwej przyszła do pracy, bo jest przekonana, że Alice by tego chciała.

Pat przytaknęła. — Tak samo my tutaj. Gdyby wszyscy przyjaciele Alice pozostali w domu, trzeba by zamknąć połowę firmy.

Wspominały Alice, jej dobre serce, a potem Liza przeszła do drugiego powodu swojej wizyty.

— Z tego co wiem, zginęły moje akta osobowe.

— Tylko się zawieruszyły — odparła Pat — albo ktoś po prostu włożył jedną teczkę do drugiej i nie mogliśmy jej znaleźć. — Wzruszyła ramionami. — To się czasami zdarza, tyle jest tych teczek. Sylvia... znasz Sylwię Kempton?

— Jest kierownikiem w dziale Alice.

— Aha. No więc ona uważa, że ten cały system gromadzenia akt osobowych w teczkach powinien zostać zreorganizowany... Może teraz to się przeprowadzi, bo Sylvia jest najbardziej odpowiednim kandydatem na stanowisko po Alice. — Kolejne łzy pojawiły się w brązowych oczach Pat. — Biedna Alice. Umarła, kiedy znalazła odpowiedniego mężczyznę...

— Mówiła ci o nim?

Pat papierową chusteczką otarła oczy. — Powiedziała jedynie, że zakochała się we wspaniałym facecie. Nie powiedziała mi, jak się nazywa, nigdy też go nie widziałam. Pewno był dla niej tak ważny, że nie chciała o nim mówić, żeby nie zapeszyć.

— Więc nic o nim nie wiesz?

— Nic. — Zamilkła. — Jednak w ostatnich dniach Alice była zatroskana, chyba nawet zdenerwowana. Chciałam ją o to zapytać, ale się nie ośmieliłam. Obawiałam się, że może zerwali ze sobą.

Zapanowało milczenie.

— Nikt inny w biurze też nic o nim nie wie? Nawet Sylvia Kemp-ton?

— Nie sądzę. To ja byłam jej główną powiernicą. Mogłabyś zapytać Sylvii, ale ona do końca tygodnia ma zwolnienie lekarskie.

— Wiem — odparła Liza. — Próbowałam się z nią umówić w innej sprawie.

Nagle Pat spojrzała uważnie. — Czy to ważne, żeby wiedzieć, kim on jest? Alice zmarła śmiercią naturalną, prawda?

Przez chwilę Liza była zakłopotana tym pytaniem. — Nie ma powodu przypuszczać, że było inaczej. Ja tylko pomyślałam, że ktoś mógłby mu powiedzieć o śmierci Alice, gdyby nie wiedział.

Odetchnęła głęboko. — Masz rację, ale chyba nic nie możemy zrobić, bo nie wiemy, kim on jest...

Kilka minut później Liza rozstała się z Pat, która obiecała jej, że zadzwoni, jeśli będzie miała nowe informacje. Jednak niepokojące myśli zaczęły krążyć jej po głowie, gdy schodziła na niższe piętro. *Zginęły jej akta osobowe.* Alice była perfekcjonistką w pracy i zdarzyło się coś, co ją zaniepokoiło, o czym chciała porozmawiać tylko na osobności. Czy Alice

zamierzała porozmawiać o nowym mężczyźnie w jej życiu? — zastanawiała się Liza. A może o zagubionych aktach albo o wydruku z listą zwalnianych pracowników?

Przypuszczalnie nigdy się tego nie dowie.

Liza opuściła biuro zaraz po ostatnim swoim kliencie. Chociaż umówione spotkania skupiały jej uwagę, w wolnych chwilach opowiadała o śmierci Alice współpracownikom i szefowi, Alowi Starkowi. Czowała się wykończona, kiedy jechała samochodem do domu. Ominęła ulicę Oliwną. Teraz nie mogła sobie nawet wyobrazić, żeby kiedykolwiek tu jeszcze ćwiczyła.

Ledwo weszła do domu, zadzwonił Erik. Zaproponował, że przyjedzie do niej, kiedy opowiedziała, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Liza zapewniła go, że już się uspokoiła i potrzebuje tylko snu. Kiedy zadzwonił Dave z podobną propozycją, powiedziała mu to samo. Jednak gdy w nocy znów obudził ją sen o tonącym Martinie, uznała, że popełniła błąd. Rano była równie zmęczona jak wieczorem.

W wirze zajęć kolejny dzień w biurze upłynął bardzo szybko. Dopiero późno po południu mogła zadzwonić do detektywa Barnes. Dziwiło ją, że nie odezwał się przez te dwa dni od śmierci Alice. Niespodziewanie sam odebrał telefon.

— Detektyw Barnes — rzucił z nowojorskim akcentem.

— Liza MacDonough. — Zawahała się. — Interesuje mnie, czy lekarz sądowy doszedł do jakichś wniosków w sprawie śmierci Alice Emery, jeśli w ogóle przeprowadzał sekcję zwłok.

— Ach, to pani MacDonough — rzekł. — Jak się pani czuje?

— Lepiej, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że Alice umarła w taki sposób.

— Jaki sposób?

Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. Dziwne pytanie. — No, w tej saunie.

— Cóż, wygląda, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych... Stosowała dietę, już była odwodniona i nie powinna korzystać z sauny. Jasne i zrozumiałe. Stało jej serce.

— Ale ona była zdrowa.

— Tym bardziej wskazuje to na szok termiczny. — W słuchawce dało się słyszeć jego westchnienie. — Jej kartoteka lekarska wskazuje, że miała szmery w sercu. Przypuszczalnie do feralnego wieczoru nie wywoływało to żadnych problemów.

— Nie wiedziałam o tym.

— Lekarz sądowy znalazł w jej krwi ślady inhibitora.

— Tabletki odchudzające?

— Tak właśnie. — Wahanie. — Nawiasem mówiąc, woda w butelce okazała się czysta. — Roześmiał się ironicznie. — Teraz rzadko można znaleźć tak czystą wodę!

Poczuła, że słuchawka telefonu parzy ją w ucho. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że przyciska ją zbyt mocno. — To wszystko?

— Dla nas tak. Uznano, że ta śmierć była przypadkowa, i wystawiono akt zgonu. W dzisiejszym „Seattle Times” jest chyba nekrolog. Kilka godzin temu ciało przekazano do kremacji.

— Kremacji?

— Właśnie to powiedziałem. Tak postanowiła rodzina.

Liza podziękowała i odłożyła słuchawkę. Zastanawiała się, dlaczego odniosła wrażenie, że detektyw Barnes ma zastrzeżenia do raportu o przyczynach śmierci Alice. Niemniej jednak był to już koniec. Jej przyjaciółka, która jeszcze kilka dni temu cieszyła się życiem, stanie się kupką popiołu. Przełknęła ślinę, próbując powstrzymać płacz.

Nie! — powiedziała do siebie. Przestań dramatyzować. Takie jest życie... ludzie umierają. Zapamiętaj Alice, jaką była. Tego by chciała...

Nie zdawała sobie sprawy, że wciąż trzyma dłoń na słuchawce, dopóki nie zabrzączał telefon. Podniosła ją szybkim ruchem. Pomyślała, że to Barnes oddzwonił.

— Tak?

— Mówi Pat.

— Ach, to ty. Słucham...

— Spieszę się, mój wnuczek ma dziś przyjęcie urodzinowe — zaczęła. — Przypomniałam sobie, jak to Alice raz użyła przyzwiska, kiedy mówiła o tym nowym koleśku.

— I jak ono brzmiało? — Pytanie Lizy było niczym wystrzał z karabinu.

— Dokładnie nie pamiętam, ale w nazwie był wąż czy węże. Liza rozczarowała się. — To wszystko?

— Tak, przepraszam, ale nie pamiętam nic więcej... Wiem, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko. Chciałam ci tylko o tym powiedzieć, gdyby to miało dla ciebie jakieś znaczenie.

— Dzięki i za to. — Po chwili rozległ się sygnał. Wpatrywała się w telefon, w myślach powtarzała słowo *wąż*, mając nadzieję, że coś sobie przypomni.

Skojarzyła, że wcześniej słyszała podobne przezwisko, kiedy przypadkowo podsłuchiwała rozmowę w laboratorium komputerowym. Brzmiało ono Wężojad. Szybko włożyła płaszcz i zabrała rzeczy. Niemal biegła do samochodu. Nie mogła się doczekać, kiedy usiądzie przed komputerem. Jednocześnie była podekscytowana i pełna obaw.

Do diabła, musisz przyznać — stwierdziła — że ostatnio nie panujesz nad swoimi emocjami.

**Liza** usiadła przed swoim komputerem i po wystukaniu kilku poleceń weszła do United Online. Dzięki temu serwisowi korzystała z sieci. Potem zaczęła szukać grupy dyskusyjnej CB. Zastanawiała się, czy ta grupa ma coś wspólnego z radiem CB, którego używają kierowcy ciężarówek. Taka nazwa padła podczas podsłuchanej rozmowy. Poczowała zastrzyk adrenaliny, kiedy na ekranie pojawiły się nazwy grup dyskusyjnych.

Przez dłuższą chwilę się zastanawiała. Potem zaczęła szukać nazwy ze skrótem CB. Co to dokładnie znaczy? — zadała sobie pytanie. Czy to jest forum przeznaczone dla programistów komputerowych?

Roześmiała się, kiedy znalazła grupę dyskusyjną CB. *Cyber Brednie* nie mają raczej nic wspólnego z kierowcami ciężarówek! Przejrzała kilka wątków, ale nie znalazła nic, co by miało związek z maniakami komputerowymi. Kontynuowała przeszukiwanie.

Jej ręka zastygła na myszce, a wzrok wlepiła w ekran, kiedy odczytała nazwę *Muzyka komputerowa*.

Kliknęła na niej, bo wydawała się nie pasować do pozostałej zawartości forum. Jednocześnie przypomniała sobie o kartce z nutami zostawionej w kościele misyjnym.



Znalazła tylko trzy e-maile. To nie był wątek, który interesował zbyt wielu ludzi.

Wywołała pierwszy e-mail. Wyprostowała się na krześle i nagle poczuła, że dostała gęsiej skórki. Stłumiła chęć odwrócenia się i spojrzenia za siebie przez ramię. Wiedziała, że drzwi do mieszkania są zamknięte na dwa zamki.

*Nikt nie jest w stanie się dowiedzieć, że korzystasz z komputera,* napomniwała się. Jednak niepokój pozostał. Może jest u kogoś na liście przyjaciół i teraz ta osoba wie, że ona czyta jej pocztę.

Przecież nikt jej nie rozpozna; używała pseudonimu, a nie swojego imienia czy nazwiska. W świecie komputerów była Księżycową Prządką, tak jak lalka Jean.

„Musimy odzyskać ostatni kawałek Bojanglesa” — tak brzmiał pierwszy mail od Wężojada.

*Te pseudonimy słyszała podczas rozmowy w laboratorium!*

„Kiedy i jak?” — pytał Kometa.

„Rób szybko to, co trzeba” — pisał Spadochroniarz w trzecim mailu. To polecenie zostało wysłane... *trzy dni przed śmiercią Alice.* „Musisz pamiętać, że my wszyscy jesteśmy w to wplątani. ”

W co? — Liza zadała sobie pytanie. W jakiś spisek, który się zawiązał w International Air? Może właśnie to Alice odkryła i chciała o tym porozmawiać w saunie?

Zaczęła przeszukiwać dalej, ale nie znalazła już nic, co by było napisane przez Spadochroniarza, Kometę lub Bojanglesa.

Wylogowała się.

Potem patrzyła na ciemny monitor. Co to wszystko znaczy? Może nic. Może to tylko zbieg okoliczności, a Bojangles, Kometa i Wężojad mieszkają daleko od Seattle. Może wyciąga zbyt pochopne wnioski i przyjmuje fałszywe założenia, bo oskarżenia wysuwane przez jej klientów i poczucie winy za śmierć Alice odpowiednio ją nastawiły.

Chociaż jej przypuszczenia mogą być prawdziwe.

Co, jeśli Wężojad pracuje w IA, tak samo Kometa, a Bojangles to Nate? A jeśli *ostatni kawałek* oznacza kartkę z nutami, którą zostawiono dla niej w kościele misyjnym?

Dlaczego jednak wymieniałyby informacje w otwartej grupie dyskusyjnej?

Odpowiedź była natychmiastowa. Ponieważ każdy system zabezpieczeń można złamać, o czym bardzo dobrze wiedziała.

Liza znów poczuła, że dreszcze przechodzą jej po plecach. Czy Wężojad to ta sama osoba, o której mówiła jej Pat? Nowy mężczyzna Alice?

O Boże! — pomyślała Liza. Co to wszystko znaczy?

## *Rozdział 15*

Następnego ranka Liza wcześniej była gotowa do pracy. Piła już trzecią filiżankę kawy, czekając na odpowiednią porę, by zadzwonić do Maggie Garret. Musiała wiedzieć, czy Nate korzysta z usług United Online. O pół do ósmej wykręciła numer.

— Ach, to ty, Liza — odezwała się Maggie. — Uprzedziłaś mnie, miałam dzisiaj do ciebie zadzwonić.

Liza skupiła uwagę. Czyżby Maggie słyszała o śmierci Alice?

— Kiedyś zaoferowałaś mi swoją profesjonalną pomoc w razie potrzeby — kontynuowała i Liza zdała sobie sprawę, że ona nie wie, co się stało z Alice. Postanowiła nie mówić jej o tym; Maggie nie musi wiedzieć o kolejnej nagłej śmierci wśród pracowników IA. — Czy ta propozycja jest wciąż aktualna? — spytała Maggie.

— Naturalnie. — Ciągając za sobą sznur telefonu, Liza przeszła z kuchni do jadalni. — W jaki sposób mogę ci pomóc?

— Mam problemy z chłopcami. — Do słuchawki dobiegło jej westchnienie. — Szczególnie z czternastoletnim Joshem.

— Jakiego rodzaju są to problemy?

— Nie interesuje go szkoła, koledzy ani sporty, które uprawiał. — Zamilkła. — Wiem, że jest zdruzgotany śmiercią ojca i miał mało czasu, żeby dojść do siebie, ale... — Jej głos się załamał.

Liza czekała, by Maggie zebrała się w sobie. Słyszała, że jest bliska łez.

— Niepokoi mnie sposób, w jaki reaguje na tę tragedię. Obawiam się, że to może wpłynąć na jego dalsze życie, jeśli temu nie przeciwdziałam.

— To bardzo rozsądne z twojej strony.

Smutek nie przytłoczył Maggie, przede wszystkim myślała o dobru synów. Jakie to smutne, zauważyła Liza. Ona i Nate poświęcili wszystko dla wysokich dochodów i zostali złapani w pułapkę przez styl życia, który był poza ich zasięgiem. Skończyło się to tragicznie.

— Pete, który ma jedenaście lat, zachowuje się, jakby nic się nie stało, jakby jego tata wcale nie umarł.

— A najmłodszy? Jak sobie radzi?

— Chyba najlepiej z całej trójki, ale kilka razy zsiusiał się w łóżko, no i ma tylko siedem lat.

Zapadła cisza.

— Maggie, jesteś skłonna skorzystać z pomocy psychologa rodzinnego?

W słuchawce rozległo się długie westchnienie. — Jeszcze niedawno, kiedy wierzyłam, że nasza rodzina jest idealna, nie było takiej potrzeby, ale teraz wszystko się zmieniło. Potrzebuję pomocy, żeby radzić sobie w tej sytuacji. Chcę, żeby moi chłopcy byli znów szczęśliwi. Oni są teraz całym moim życiem. — Wciągnęła do płuc haust powietrza. — Liza, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mogła pomóc mojej rodzinie.

— Maggie, psychologia rodzinna to nie moja specjalność. — Zrywając uschłe liście z kwiatów rosnących przy oknie w jadalni, rozważała różne możliwości. — Ale mam przyjaciela. Doskonałego terapeutę, który specjalizuje się w psychologii rodzinnej... — Wróciła do kuchni. — Jeśli chcesz, podam ci jego nazwisko.

— Bardzo dziękuję, ale miałam nadzieję, że ty będziesz mogła mi służyć pomocą od zaraz.

— Myślę, że Erik ma czas przeznaczony na niespodziewane przypadki. — Dała Maggie nazwisko i numer telefonu Erika. Kazała się powołać na siebie. — Umówi się z tobą na spotkanie, nawet gdyby musiał zmienić plan swoich zajęć. To troskliwy człowiek, rozumie, co się dzieje w rodzinie, kiedy umiera kochana osoba.

— Zaraz do niego zadzwonię. — Cisza. — Przepraszam, Liza. Zajęłam cię swoimi problemami, a ty chyba masz jakąś sprawę do mnie.

— Zgadza się. — Liza przełożyła słuchawkę do drugiego ucha, idąc do jadalni. Kiedy zdała sobie sprawę, że bez przerwy chodzi, usiadła szybko na taborecie w kuchni. — Chciałam cię zapytać, czy Nate korzystał z serwisu United Online.

— Tak — odparła bez wahania Maggie. — Widziałam tę nazwę na rachunkach, które przesyła nam Visa.

— A czy wiesz, do jakich grup dyskusyjnych należał?

— Przykro mi, ale nie. Nigdy nie interesowałam się komputerami, umiem tylko korzystać z edytora tekstu.

— Wielu ludzi się nie interesuje — stwierdziła, spoglądając na zegarek. Powinna już wyjść z domu.

— Dlaczego o to pytasz? — Maggie chrząknęła. — Chyba nie sądzisz, że do jednej z tych grup zajmujących się cyberseksem?

— Na Boga, nie! Przepraszam, że być może to zasugerowałam. Pomyślałam tylko, że mógł mieć przyjaciół w sieci, tak jak wielu innych programistów — improwizowała. — Przyszło mi do głowy, że powinniśmy ich poinformować o jego śmierci.

— Nigdy o nikim takim nie wspominał.

— Zatem nie mam się o co martwić. Na chwilę zapadła cisza.

— Cóż, muszę się spieszyć. Cieszę się, że skontaktujesz się z Erikiem  
— Liza znów zmieniła temat rozmowy. — Mam nadzieję, że pomoże wam radzić sobie z tragedią.

— Dziękuję, Liza. Nie jestem w stanie wyrazić, ile twoja pomoc dla mnie znaczy. Dam ci znać, jak to wszystko się potoczyło.

— Miło mi to słyszeć. Będę z niecierpliwością czekała na twój telefon.  
— Nagle Lizie wpadł do głowy nowy pomysł: — Chciałabym ci coś zaproponować. Czy wiesz, że moja siostra ma zespół lalkarski?

— Tak. Słyszałam od Abbey Delmonte o wspaniałych przedstawieniach.

— Wszystkie dzieci kochają przedstawienia Jean — rzekła Liza. — Wspomniałam ci o tym, bo jutro wieczorem zastępuję siostrę w Centrum Medycznym Hilltop. Przedstawienie jest dla wszystkich dzieci. Bardzo bym chciała, żebyś była tam z chłopcami. — Przerwała i uśmiechnęła się. — Podniesie ich na duchu. — Wciągnęła powietrze do płuc. — To taka historia o dwóch dziewczynkach, które przeżyły śmierć taty. Jest naprawdę dobra. Siostra oparła scenariusz na naszych przeżyciach, kiedy straciłyśmy tatę.

— Och. Bardzo współczuję. Nie wiedziałam.

— Kiedyś ci o tym opowiem.

— O której się zaczyna?

— O siódmej.

— Będę. Liza, jeszcze raz dziękuję! — Maggie rozłączyła się. Liza powoli położyła słuchawkę na widełki. Zabrała swoje rzeczy i poszła do windy, by zjechać do garażu. Rozmowa z Maggie nie dostarczyła jej zbyt wielu nowych informacji, ale dowiedziała się, że Nate korzystał z United Online. *Może był Bojanglesem.*

Po wejściu do biurowca Liza zauważyła, że panuje tu atmosfera podniecenia: ludzie w holu zachowywali się nerwowo i głośno rozmawiali.

— Co się dzieje? — spytała pierwszego z brzegu.

— Samolot z nowej serii przechodzi dzisiaj pierwsze testy powietrzne — odpowiedział. — Wszyscy ściskamy kciuki.

Zatrzymała się. Wiedziała, że dziś jest ważny dzień dla firmy... i zapomniała. Dave pewnie jest jak na szpilkach. Wiele zależy od tego, jak będzie działało oprogramowanie urządzeń w prototypowym samolocie.

Liza pospieszyła do *swojego* biura. Powinna zadzwonić do Dave'a! Pewno zastanawiał się, dlaczego nie podtrzymuje go na duchu w tak ważnym dniu. Jeżeli nowatorskie oprogramowanie spisie się tak, jak się spodziewał, oznaczać to będzie bardziej płynny lot i mniej możliwych błędów w pilotażu. Sukces otworzyłby Dave'owi drogę do ogromnej kariery. Na Boga, z powodu własnych problemów straciła kontakt ze światem zewnętrznym!

Zadzwoniła zaraz po wejściu do gabinetu. Podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

— Chciałbym, żebyś wiedział, że trzymam kciuki za pomyślny lot — powiedziała szybko.

— Dziękuję, Liza. Wiedziałem, że zadzwonisz. — Usłyszała niepokój w jego głosie. — To wielkie wydarzenie w moim życiu. — Parsknął śmiechem. — Moja kariera w dużym stopniu zależy od tego, co się wydarzy w ciągu następnych kilku dni.

— Chyba trochę przesadzasz.

— W każdym razie moja przyszłość w koncernie. — Zamilkł na chwilę. — Twój telefon bardzo mnie ucieszył. Wiedziałem, że nie zapomnisz o moim ważnym dniu.

— Ale ja...

— Wiem, Brązowe Oczy, że sama masz problemy — przerwał jej. Skoro już się wcześniej umówiliśmy, że spotkamy się w ten weekend, to może uczymy próbny lot, jeśli się powiedzie. Na przykład jutro wieczorem?

Milczeli przez chwilę.

— Dave — zaczęła. Zastanawiała się, dlaczego nic nie wspomniał o uczczeniu lotu, kiedy wcześniej rozmawiali o wspólnym obiedzie. W takim przypadku prawdopodobnie nie zgodziłaby się pomóc siostrze.

— Jutro nie mogę, ale cały czas będę się cieszyła z twojego sukcesu. — Cisza, która zapadła, trwała tak długo, że Liza postanowiła się usprawiedliwić: — Obiecałam Jean, że zastąpię ją na przedstawieniu lalkowym w sobotę wieczorem.

— Czy to nie za wiele prosić cię o pomoc... po śmierci Alice.

— Wcześniej się zgodziłam. — Przerwała, czuła się okropnie, że sprawiła mu zawód. — Ponieważ nie umówiliśmy się ostatecznie na sobotę, pomyślałam, że moglibyśmy...

— Liza, ale ty musisz dać sobie chwilę wytchnienia. Nie możesz się zachowywać... jakby nic się nie stało. Musisz dać sobie trochę czasu, żeby dojść do siebie po śmierci przyjaciółki.

Wzięła pióro i zaczęła bazgrać w notatniku leżącym na biurku. Próbowiła stłumić poczucie winy, przypomniawszy sobie, jak się o nią troszczył po śmierci Alice. Był prawdziwym przyjacielem, Liza z nienawiścią myślała, że może go zawieść.



— Dave, wiem o tym — rzekła w końcu. — Chciałabym uczcić z tobą tak ważne wydarzenie. Może znajdziemy jakiś inny termin. Na przykład po przedstawieniu...

— Dobrze — zgodził się. — Gdzie masz ten występ?

— W Centrum Medycznym Hilltop, na oddziale dziecięcym. Znów milczenie.

— Skontaktujemy się później — rzekł w końcu tonem, który wydawał się radosny. — Kiedy będę wiedział, jak wypadł test.

— Życzę szczęścia, Dave — wyrzuciła z siebie Liza przed odłożeniem słuchawki.

— Dziękuję, Brązowe Oczy. Mam nadzieję, że nie będzie nam potrzebne. Potem porozmawiamy.

Po skończonej *rozmowie* Liza wpatrywała się w telefon. Była poirytowana, wiedziała, że oprócz niepokoju związanego z próbnym lotem, Dave jest też rozczarowany. Powinna mu pomóc. W żadnym przypadku nie chciała narażać na szwank ich przyjaźni.

W sobotę rano Liza obudziła się podenerwowana. Przez cały dzień nie mogła się skupić na pracy, więc postanowiła wcześniej pojechać do szpitala, by się upewnić, czy scena i rekwizyty będą gotowe do siódmej. Sarah, praktykantka Jean, przyjechała zaraz po niej i przygotowania przebiegały bez zakłóceń.

Och, Martin, pomyślała, kiedy rozpakowywała lalki, które pomagał szyć i wypychać. Gdzie ty teraz jesteś? Co strasznego się wydarzyło, że zniknąłeś bez słowa? Przez dłuższą chwilę kołysała w ramionach Matkę Ziemię, ostatnią lalkę, którą Martin pomógł zrobić, i gwiazdę dzisiejszego wieczoru. Ta marionetka, kunsztownie ubrana w aksamitną suknię, była

ulubioną Lizy. Jean stworzyła ją na podobieństwo ich matki, obdarzyła jej mądrością i charakterem, co włączyła do przedstawienia.

Krótko przed rozpoczęciem zjawiła się Maggie z trójką synów. Podczas gdy Sarah, która też była matką, pokazywała chłopcom kulisy teatru kukielkowego, Maggie opowiedziała Lizie, co się wydarzyło od ich ostatniej rozmowy.

— Wczoraj rano zadzwoniłam do doktora Lindstroma i umówił się z nami na piątą po południu.

Liza powstrzymała się od uśmiechu. *Doktor Lindstrom*. Brzmi to dziwnie, kiedy ktoś nazywa jej niekonwencjonalnego przyjaciela doktorem. — Jak było?

— Wspaniale. Wszyscy chłopcy bardzo go polubili, szczególnie Josh. Zaintrygowały go oprawione zdjęcia wiszące na ścianach w jego gabinecie.

— Tak, te zdjęcia fascynują wszystkich chłopców. — Teraz Liza się uśmiechnęła. — Chociaż moim zdaniem skoki na bungee, wspinaczkę wysokogórską i skoki spadochronowe trudno zaliczyć do normalnych sportów.

— Ja tak samo uważam. — Maggie też się uśmiechnęła. — Najważniejsze jednak, że dzięki temu Josh pokochał sporty, które sam uprawia. To się przede wszystkim liczy... — Zawahała się. — Doktor Lindstrom ma naprawdę na nas pozytywny wpływ...

Zanim zajęła swoje miejsce, Maggie odwróciła się do Lizy.

— Abbey Delmonte prosiła, żebym podziękowała za zaproszenie, ale nie chciała przyjść, bo bała się, że Brandon złapie jakiegoś nowego wirusa. Operację ma wyznaczoną na przyszły tydzień.

— Zadzwonisz do mnie i powiesz, jak się udała? Maggie przytaknęła i usiadła z chłopcami.

Kurtyna poszła w górę i rozpoczęło się przedstawienie. Liza natychmiast wczuła się w psychikę dwóch sierot, które wpadły do rwącego strumienia. W przerażeniu przedostały się na drugą stronę groźnego wodospadu i odkryły sekretny tunel do magicznego królestwa Matki Ziemi. Mroczne przejście stopniowo oświetlał blask dochodzący ze wspaniałego pałacu.

Poruszając lalkami i słuchając radosnych westchnień dzieci na widowni, Liza ponownie zachwyciła się talentem i inwencją twórczą Jean. Ta historia była nie tylko pomysłowa i niepowtarzalna, ale dawała też nadzieję chorym dzieciom. Sposób, w jaki wykorzystywała światło i dźwięk, by uzyskać dramatyczne efekty, nosił ślady geniuszu.

Opadła kurtyna i rozległy się burzliwe oklaski, krzyki i gwizdy. Dzięki przedstawieniu dzieci odzyskały wiarę w lepszą przyszłość. Liza poczuła ogromną satysfakcję.

Ponieważ Sarah wynajęła opiekunkę do dzieci na czas ograniczony, Liza zobowiązała się, że sama zajmie się rozbieraniem sceny i pakowaniem lalek. Sarah wyszła zaraz po Maggie, a dzieci z widowni zostały zabrane do swoich szpitalnych pokoi.

Przy rozmontowywaniu sceny Lizie pomagał Fred, pracownik obsługi technicznej szpitala. Kiedy składał krzeselka, Liza poszła z lalkami do vana Jean.

Skorzystała z bocznego wyjścia, które prowadziło na parking obok alejki. Otworzyła vana i na siedzeniu pasażera położyła pudło ze starannie zapakowanymi lalkami. Po zamknięciu drzwi usłyszała jakiś hałas za sobą.

Z niepokoju zjeżyły się jej włosy z tyłu szyi.

Szybko się obróciła i stanęła plecami do vana. W ciemnej alejce zarysowała się jakaś postać. Po sylwetce poznała, że jest to mężczyzna. Wyglądał na włóczęgę, ale ponieważ było ciemno, nie mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

Chwila ich bezruchu się przeciągała.

Potem mężczyzna ruszył naprzód. Przygarbił się niczym rozgrywający w futbolu amerykańskim podczas obrony. *Szedł wprost na nią.*

Rzuciała spojrzenia we wszystkie strony. Mężczyzna znajdował się między nią a wejściem do szpitala, poza zasięgiem światła. Obiegła samochód — z kluczykami już w ręku, by otworzyć drzwi od strony kierowcy. Słyszała jego odgłos za sobą.

W tym momencie z budynku wyszła grupka rozmawiających kobiet. Najwyraźniej były to pracownice szpitala. Liza spojrzała za ramię. Nikogo nie zobaczyła. Mężczyzna zniknął w ciemnej alejce od strony wejść do domów i pojemników na śmieci, jakby był tylko wytworem jej wyobraźni.

Szybko, zanim kobiety dotarły do swoich samochodów, pobiegła w kierunku drzwi do szpitala i weszła do środka. Reakcja na wydarzenie pojawiła się dopiero wtedy, kiedy poczuła się bezpieczna. Oparła się o ścianę i głęboko oddychała, by się uspokoić. Odzyskawszy równowagę, wróciła do sali. Fred, chudy sepleniący mężczyzna, skończył demontować scenę i zamierzał wyjść.

— Pomóc zanieść sprzęt do samochodu? — spytał.

— Byłabym wdzięczna — odparła. Wciąż się czuła niepewnie. Gdyby tego nie zaproponował, sama by poprosiła, by ktoś jej towarzyszył. — Na parkingu jest tak pusto — rzekła. — Wygląda tam niebezpiecznie.

— Trochę strasznie, prawda? — zapytał sepleniącym głosem. — First Hill wieczorem nie jest bezpiecznym miejscem.

Wzruszyła ramionami. — To zależy, w której części. Mieszkam na północ od parku Madisona i tam rzadko zdarzają się jakieś zaczepki.

Fred oderwał wzrok od sprzętu, który właśnie przygotował do wyniesienia. — Nie wątpię. To jest dzielnica drogich mieszkań.

— Słucham?

Uśmiechnął się. — Chciałem tylko powiedzieć, że w tych budynkach z mieszkaniami własnościowymi mieszka bardzo dużo bogatych ludzi.

— Ale nie w moim — ripostowała, zdenerwowana tą stereotypową opinią. — Wszyscy jesteśmy ciężko pracującymi ludźmi.

Wzruszył ramionami i zabrał pierwszy pakunek, by go wynieść na zewnątrz. — Ja osobiście wolę mieszkać w domku na przedmieściu.

Liza skinęła głową, uświadomiwszy sobie, że Fred jedynie podtrzymuje rozmowę; nie jest umyślnie złośliwy. Była mu wdzięczna, że jej pomógł. Ktoś mógł się kryć na zewnątrz w ciemnościach, czekać na nią na zewnątrz... kiedy będzie bezbronna.

W milczeniu szli do vana z pierwszym pakunkiem. Liza znów zaczęła odczuwać niepokój, kiedy wyszli z budynku i przemierzali parking. Wieczór był spokojny, nic się nie poruszało.

Skierowała wzrok na vana.

Nagle zamarła. Fred wpadł na nią, a panele od sceny uderzyły ją tak mocno, że upadła na kolana. Pudło z rekwizytami, które trzymała pod ramieniem, z łoskotem upadło na ziemię.

Drzwi od strony pasażera były otwarte.

— Nie! —wykrzyknęła. Zerwała się na nogi i podbiegła do vana.

*Pudło z lalkami zniknęło.*

— Niech pan zadzwoni po policję! — nakazała Fredowi. Stał w miejscu, patrzył z otwartymi ustami.

— Niech pan się ruszy! — krzyknęła. — Ktoś włamał się do samochodu mojej siostry i ukradł lalki!

Wyglądał jak sparaliżowany.

— Niech pan idzie! Już! — wrzeszczała, aż w końcu jej słowa dotarły do niego. Rzucił panele na ziemię i pobiegł do drzwi szpitala. Oglądał się jeszcze za siebie, jakby myślał, że ktoś go zatrzyma, zanim będzie bezpieczny.

Zastrzyk adrenaliny dodał Lizie odwagi. — Wyjdź na światło, ty sukinsynu! — krzyczała w kierunku alei. — Spójrz mi w oczy. — Brak odpowiedzi. — Dlaczego ukradłeś lalki? Nie są ci do niczego potrzebne. Oddaj je, a nie będę cię skarżyła.

Wydawało się, że w cieniu ktoś się poruszył. Zadrżała ze strachu, ale adrenalina wciąż działała i Liza została na miejscu. Ktoś ukradł dzieci Jean...

Z budynku wypadli Fred i strażnik. Podbiegli do niej. Potem z alei Borena dobiegi odgłos syreny. Policja była już blisko. Cienie w alei przestały się poruszać.

Wóz policyjny z piskiem opon zatrzymał się na parkingu i wyskoczyło z niego dwóch policjantów. Sprawdzili teren wokół, spisali zeznania i stwierdzili, że złodziej użył płaskiej metalowej blaszki, którą wsunął za szybę, by otworzyć zamek.

— W nowszym vanie nie byłoby to możliwe — wyjaśnił życzliwie jeden z policjantów. — Nowe modele mają zabezpieczenia, które utrudniają włamanie.

Fred i kilku pracowników technicznych ze szpitala pomogli załadować resztę sprzętu do vana, podczas gdy policjanci jeszcze raz przeszukiwali parking, aleję i pojemniki na śmieci. Nie zaskoczyło wcale Lizy, że na nikogo się nie natknęli i nie znaleźli lalek.

Zadzwoiła do Jean z telefonu komórkowego, ale siostry nie było w domu. Nie zostawiła informacji na automatycznej sekretarce, uznała, że o tak koszmarnym zdarzeniu musi poinformować osobiście.

Ruszyła powoli w kierunku Madison Park, gdzie Jean i Bill mieszkali w odnowionym zabytkowym domu, wybudowanym około 1920 roku. Liza cały czas spoglądała w lusterko wsteczne, do pewnego stopnia spodziewała się, że ktoś będzie za nią jechał. Nikogo nie zauważyła.

Dręczyły ją dwie myśli: w jaki sposób powie Jean o kradzieży oraz fakt, że z lalek, które Martin pomagał zrobić, pozostał tylko arlekin. Był bezpieczny w domu Jean.

— Och, Martin — odezwała się głośno w ciszy samochodu — prawie już nic nie pozostało z naszego wspólnego życia... z wyjątkiem wspomnień. Teraz nawet lalki znikły.

Liza powstrzymała łzy. Nie powinna płakać. Nie może się załamać; robi to dla Jean.

*Otworzył drzwi vana i wyciągnął pudełko z lalkami zaraz po tym, jak weszła do szpitala. Wcześniej założył skórkowe rękawiczki. Szybko włożył pudełko do bagażnika swojego samochodu i go zatrzasnął. Miał już odjechać, ale się powstrzymał*



— Nie mogę stracić tak dobrej okazji — powiedział do siebie i wrócił na aleję; czekał, aż ona wyjdzie na zewnątrz.

Przyprowadziła ze sobą tchórzliwego chudzielca.

Aż się skręcał, by zacisnąć dłonie na jej szyi, pakami wydusić z niej życie, kiedy go potem prowokowała, kazała mu wyjść z ukrycia.

— Zaraz wyjdę, suko — mruknął pod nosem.

Ruszył w jej kierunku, już miał wyjść z cienia, ale przyjechała policja.

— Nie martw się, czas naszego spotkania się zbliża — wyszeptał. — Będę ostatnią osobą, którą zobaczysz.

Odjechał, ale tylko kilka przecznic. Stanął z tyłu parkingu przy banku i otworzył bagażnik. Zapomniał teraz o Lizie MacDonough. Myślał o nagrodzie, która mu się należała. Rozerwał pudełko, po kolei wyciągał z niego ubrane lalki, rozcinał je nożem i rozbijał im głowy. W żadnej nic nie znalazł.

Więcej czasu poświęcił lalkom przedstawiającym dziewczynki. — Zaraz umrzesz — mówił, kiedy je niszczył.

Ostatnia, starannie owinięta lalka-matka, patrzyła na niego z drwiącym wyrazem twarzy. Z nienawiścią pomyślał o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie; ogarnął go niekontrolowany gniew.

Noż w jego dłoni ożył. Dźgał i rozcinał szmaciany korpus, aż nic z niego nie zostało. Zielona atlasowa sukienka była w strzępach.

Nerwowo łapał oddech. Chwycił porcelanową główkę i gładził ją palcami. Uśmiech na twarzy sugeruje dobroć, ale nie da się oszukać. Z ust miłych ludzi można usłyszeć okrutne słowa.

— Matko, zmiażdżę twój mały mózdzek — powiedział do lalki, przypominając sobie, jak matka zmuszała go do noszenia używanych ubrań i ośmieszała go, opowiadając, że moczy się w łóżku.



*Uniósł rękę, rozkoszował się chwilą. Potem zgniótł tył głowy kukielki. Oddychając głęboko, zmusił się, by znów pomyśleć, dlaczego ukradł lalki. To sukinsyn, zaklął w myślach. Nic nie znalazł.*

*Rozejrzał się wokół, by się upewnić, czy nikt nie obserwuje, co robi. Potem wszystko wrzucił z powrotem do pudełka i zamknął bagażnik. Po chwili skierował się w stronę szpitala. Ulicami okrążył ogromny kompleks budynków. Uznał, że policja skończyła poszukiwania i odjechała.*

*Wybuchnął głośnym śmiechem. — Mieszkańcy Seattle — mruknął — jacy wy jesteście przewidywalni i... głupi.*

*Jest inteligentniejszy od nich wszystkich, zwłaszcza od policjantów, którzy przypuszczalnie myśleli tylko o zbliżającej się przerwie na kawę. I od niej. Powinien przesłać jej informację, którą tylko ona zrozumie.*

*Powoli wjechał tyłem w alejkę rozdzielającą budynki szpitala. Zatrzymał się przy tylnym wyjściu, którym ona wcześniej wyszła. Wyskoczył z samochodu i przy drzwiach postawił pudełko ze zniszczonymi lalkami. Ktoś powinien je znaleźć.*

*— Zobaczymy, co o tym pomyślisz, przemądrzała pani psycholog — wyrzucił z siebie, kiedy znalazł się bezpieczny w samochodzie, przecnicę od szpitala. — Zobaczymy, czy rozgryziesz zagadkę, zanim umrzesz.*

*Włączył radio, wcisnął pedał gazu i pojechał do swojego domu. Nagle zaczęła rozpierać go radość. Niszczenie lalek jest niemal tak satysfakcjonujące jak zabijanie ludzi. Stawał się coraz silniejszy.*

*Nikt nie mógł go zatrzymać.*

## *Rozdział 16*

Następnego dnia Liza po skręceniu z ulicy Madisona wjechała w uliczkę, przy której mieszkała Jean. Zwolniła na podjeździe i zatrzymała się za lexusem Billa. Wiedziała, że Jean i Bill są w domu, bo zadzwoniła do nich po niedzielnej mszy z kościoła misyjnego.

Wczoraj wieczorem nie spotkała się z Jean. Czekala na nich całą godzinę, ale doszła do wniosku, że musieli pojechać na spóźniony obiad. Zamknęła więc vana, wsiadła do pozostawionego tam swojego samochodu i wróciła do domu.

O północy w końcu porozmawiała z Jean, powiedziała jej, co się stało i obiecała, że przedstawi jej szczegóły następnego dnia po mszy. Kradzież sprawiła, że Liza przez całą noc nie mogła zmrużyć oka; przypuszczała, że Jean też nie może zasnąć. Podczas mszy grała na pianinie z pamięci. Uśmiechała się i próbowała wyglądać normalnie do samego końca.

Jean otworzyła drzwi, zanim Liza zdążyła zadzwonić. Bez słowa mocno ją uściskała. Potem Jean szybko zamknęła za nimi drzwi na klucz. Znaczący gest, pomyślała Liza. Jean skradziono dzieci...

— Kilka minut temu zadzwonił policjant — odezwała się Jean. Przełknęła ślinę, by stłumić emocje. — Dziś rano znaleźli lalki na szpitalnym parkingu przy wejściu do szpitala.

— Dzięki Bogu! — Liza natychmiast odczuła ulgę.

Bill, wysoki mężczyzna z sympatycznymi kanciastymi rysami twarzy, pojawił się w drzwiach i objął Jean ramieniem. Gestem ręki przywitał Lizę, ale nie uśmiechał się jak zwykle.

— Zostały porozbijane i pocięte — poinformował ją. — Ktoś chce nas zniszczyć. — Mocniej przytulił Jean, rozumiał jej rozpacz. — Policjant powiedział, że chociaż głowy są pokruszone, to, dzięki Bogu, większość twarzy ocalała.

Liza spuściła wzrok, sama walczyła z płaczem. Skupiła się na zdjęciu płaszcza i położeniu swoich rzeczy na krzesło. Potem uniosła głowę i natknęła się na spojrzenie Jean.

— Jean, zrobimy nowe lalki, takie same jak te zniszczone.

Wykorzystamy ocalałe twarze.

Jean przytaknęła. Oczy miała pełne łez. — To jak... jak...

Bill przytulił ją do piersi, gdy jej głos się załamał. Spojrzał poprzez jej ciemne włosy na Lizę. Domyśliła się, że Bill wie, jak wielką stratę poniosła Jean.

Przytaknęła, żeby przekazać Billowi, że go rozumie. Był dobrym człowiekiem. To szczęście, że go miała.

Przez salon i jadalnię przeszli z korytarza do kuchni. We wszystkich pomieszczeniach domu stały antyki i starocie, które Jean i Bill kupowali na aukcjach i wyprzedażach. Było to ich wspólne hobby.

— Czuję się okropnie — przyznała Jean drżącym głosem. Nalała kawy dla siebie i Lizy. Bill poszedł na górę, żeby zadzwonić z prośbą o zdjęcia zniszczonych lalek.

— Czuję, że to wszystko moja wina — przyznała Liza.

— Przecież nie mogłaś wiedzieć, że ktoś włamie się do vana. Obie wiemy, że w tej dzielnicy wieczorem jest niebezpiecznie.

Co za ironia, pomyślała Liza. Jean próbuje ją pocieszyć. To typowa sytuacja. Jean zawsze była opiekuńcza.

Usiadły po przeciwnych stronach stołu. Liza szczegółowo opowiedziała o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Wspomniała też o mężczyźnie, który wyszedł z ciemności i nastraszył ją.

— Nigdy bym nie pomyślała, że włamię się do zamkniętego vana — rzekła. — Musi być stuknięty, bo przecież tylko na krótko odeszłam od samochodu. Poza tym ktoś mógł wyjść ze szpitala i go złapać.

— Po ulicach krąży wielu nieobliczalnych ludzi — stwierdziła Jean ostrzejszym tonem.

— Ale dlaczego ukradł lalki, a potem je zniszczył? To bez sensu... Jean pokręciła głową, widać było, że walczy z emocjami. — Wiem jedynie, że odtworzę moje małe ludziki. Mam nadzieję, że nikt ich znowu nie zniszczy.

Bill dołączył do nich i postanowił zmienić temat rozmowy; zapytał Lizę o pracę. Krótko opowiedziała o zwolnieniach. Słyszając, że wybierają się na niedzielny obiad do jego rodziców, wstała, by wyjść.

— Daj mi znać, jak dostaniesz lalki z powrotem — zwróciła się do Jean. — Oczywiście pomogę ci, jak tylko będę mogła.

Jean odprowadziła ją na korytarz, a potem uściskała. — Wiem, Lizzy. Liczyłam na ciebie i skorzystam z twojej pomocy. — Zawahała się, a Liza otworzyła drzwi. — Liza, musisz wiedzieć, że to nie twoja wina. Takie wypadki wymykają się spod naszej kontroli.

Liza przytaknęła. — Rozumiem to, ale czuję się odpowiedzialna. Powinnam wezwać straż, kiedy zobaczyłam faceta, wychodzącego z ciemności. — Zawiesiła głos. — Przestraszył mnie, wiedziałam, że nie ma uczciwych zamiarów...

Kiedy jechała samochodem w stronę centrum, uświadomiła sobie, że Jean weszła w starą rolę pocieszycielki młodszej siostry. Jean, nie chcę, żebyś to robiła, pomyślała. Nie chcę, żeby twoje życie kręciło się wyłącznie wokół mnie i lalek. Powinnaś uwolnić się od bagażu przeszłości i zdecydować się na własne, prawdziwe dziecko.

Jednak te myśli nie mogły zaciemnić faktu, że Jean była teraz załamana, ani stłumić wyrzutów sumienia u Lizy. Zdawało się, że ostatnio, gdziekolwiek się pojawiła, zdarzały się tylko nieszczęścia. Najpierw śmierć Nate'a i Alice. Teraz kukielki. Kto będzie następny?

Ta myśl napełniła ją przerażeniem.

Jej postanowienie, żeby zadzwonić do ludzi z listy zwalnianych, miało tyle wspólnego ze stanowczością, co nuty na tajemniczej kartce z melodią. Nie mogła się zdecydować. Czuła się rozbita psychicznie, nerwy odmawiały posłuszeństwa, cały czas była załamana. Uznała, że odłoży to do poniedziałku lub wtorku. Skoro tak długo z tym czekała, poczeka jeszcze trochę.

Wczesnym wieczorem zadzwonił Dave, zaabsorbowany testami oprogramowania do nowego modelu samolotu odrzutowego. — Jak dotąd wszystko idzie dobrze — powiedział. — Uczymy to, kiedy zakończą się wszystkie loty próbne.

— Z sukcesem — dodała, zmuszając się, by jej głos brzmiał optymistycznie.

— Naturalnie, Brązowe Oczy. — Zawahał się. — Przepraszam, że nie zadzwoniłem wczoraj wieczorem po przedstawieniu. Byłem tu uwiązany. Jak się udało?

— Dzieciom się bardzo podobało — odparła. Opowiedziała mu b przedstawieniu, ale nie wspomniała o lalkach. Powie później, osobiście, kiedy skończą się testy. Teraz ma swoje problemy.

Po chwili pożegnali się. Miała już iść spać, ale zadzwonił Erik.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o lalkach? — spytał. Wydawał się urażony. — Przecież jestem twoim przyjacielem, osobą, do której możesz dzwonić, kiedy masz problemy.

— Skąd o tym wiesz?

— Od Maggie Garret. Nie wyszła od razu ze szpitala, odwiedziła Brandona Delmonte'a i usłyszała o tym od jednej z pielęgniarek.

— Maggie zadzwoniła do ciebie w weekend? Zapadła cisza.

— Nie jesteś chyba zazdrosna.

— Erik, co ty wygadujesz. Oczywiście, że nie. Jestem tylko ciekawa, w co cię wpakowałam. Nie sędzę, żeby Maggie bez powodu zawracała ci głowę poza godzinami pracy.

Można było usłyszeć, że się uśmiecha. — Ależ nie. Dałem jej numer telefonu do domu, bo ma poważne problemy z najstarszym synem. Dziś narozrabiał, więc zadzwoniła. — Przerwał. — Myślę, że sobie poradziliśmy. To są wspaniałe dzieciaki. Wszystko będzie w porządku.

— Z twoją niewielką pomocą. — Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha, żeby włożyć rękę do rękawa koszuli nocnej. — Dzięki, że się zgodziłeś.

— Nie ma za co — odparł wyraźnie zadowolony. — Co się stało z lalkami?

Opowiedziała mu szybko, żeby nie wybuchnąć płaczem. — Jean jest zdruzgotana. Zamilkła.

— Ty tak samo.

Zamrugła powiekami i przełknęła ślinę, by powstrzymać łzy. — Tak — rzekła w końcu. Nigdy nie była w stanie ukryć swoich uczuć przed Erikiem. — Poza tym czuję się winna.

— Nie powinnaś.

— Nic na to nie poradzę, zwłaszcza w świetle tego, co się wydarzyło w ciągu ostatniego roku. Wygląda, że wszystkich ludzi wokół mnie dotyka tragedia.

— To śmieszne stwierdzenie i dobrze o tym wiesz.

— Rozsądek mówi, że masz rację, ale nie mogę się pozbyć tej myśli.

— Przyjadę do ciebie.

— Proszę, nie. Naprawdę nic mi nie jest. Właśnie idę spać — rzekła, zmuszając się do twardego tonu. — Jestem tylko trochę przybita, chyba głównie ze względu na śmierć Alice. — Opowiedziała mu, jak kilka dni temu znalazła ją martwą w saunie. Weźmie mnie za kostuchę, pomyślała. Zwiastunkę nieszczęść.

— Na pewno? Mogę przespać się u ciebie.

Uśmiechnęła się, mimo że była w podłym nastroju. Najpierw Dave spędził u niej noc po śmierci Alice, a teraz Erik chce tu przyjechać z powodu zniszczonych lalek.

— Na pewno. I dzięki, Erik. Jesteś wspaniałym przyjacielem.

— Szkoda, że nie wspaniałym kochankiem.

— Nim też jesteś, co na pewno mogą potwierdzić twoje dziewczyny!

— A ty?

— Nie jestem twoją dziewczyną, ale zgadzam się z nimi. Westchnął.

— Dobre i to. — Pauza. — Coś mi obiecasz?



— Jasne.

— Dzwonź do mnie, gdy tylko zdarzy się coś niepokojącego.

— Obiecuję.

— Okay. Śpij dobrze.

— Spróbuję.

— Jutro do ciebie zadzwonię.

Rozległ się długi sygnał. Kilka minut później Liza kulila się pod kołdrą, z Bellą zwiniętą w nogach łóżka. Sądziła, że nie zaśnie, ale się myliła.

Następnego dnia odłożyła kilka popołudniowych spotkań, by pójść na nabożeństwo żałobne po śmierci Alice. Wszystko wydawało się nierzezywiste; nie było trumny ani pochówku, bo ciało zostało skremowane. Oprócz Pat, sekretarki Alice, Liza nie spotkała nikogo znajomego. Pat wyjaśniła, że znajomi z pracy, poza Sylwią Kempton, ze względu na napięte terminy, nie mieli czasu, by przyjść. To przypomniało Lizie, że powinna porozmawiać z Sylwią.

Wróciła do biura na resztę umówionych spotkań, a potem pojechała do domu. Wtedy się rozkleiła. Jutro też jest dzień, stwierdziła. Sylvia wróci ze zwolnienia i będzie mogła wziąć od niej niektóre oceny zwalnianych pracowników, zwłaszcza zatrudnionych w laboratorium komputerowym, gdzie nadmiar obowiązków był szczególnie dokuczliwy. Chciała sprawdzić, czy te dokumenty zaprzeczają słowom jej klientów.

Wtorek przyniósł kolejne wydarzenia wywołujące stres, zarówno pozytywny, jak i negatywny. Rano zadzwoniła Maggie, by powiedzieć, że Brandon Delmonte miał już operację mózgu i jest w sali pooperacyjnej. Nie



dowiedziała się jeszcze, czy operacja się udała. — Dam ci znać, jak się dowiem — zapewniła.

Liza odłożyła słuchawkę. Myślała o dziwnych ścieżkach życia. Jeszcze niedawno nie znała Maggie, po śmierci Nate'a zastanawiała się, czy ona sama da sobie radę, a teraz stały się dobrymi przyjaciółkami. Maggie to silna kobieta z charakterem.

Chwilę później do jej gabinetu przyszedł stłamszony Dave.

— Słyszałaś?

Spojrzała na niego zza biurka i pokręciła głową. — O czym?

— Testowany samolot miał awarię i musiał lądować.

— Och, nie! — Zerwała się z krzesła, jej pióro spadło na podłogę. — Co się stało?

Pokręcił głową. — Jeszcze nie wiemy. Samolot leciał nad Górami Kaskadowymi przy wyjątkowo złej pogodzie i pojawił się problem ze sterami. Normalnie samoloty nie latają w takich warunkach. — Zawahał się. — Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało, a samolot się nie rozbił. Sprowadzono go z powrotem na lotnisko.

— Dlaczego latał w tak skrajnych warunkach?

Z wyrazu jego twarzy mogła powiedzieć, że jest bardzo zdenerwowany. — Zawsze tak testujemy nasze samoloty; przewidujemy najgorsze scenariusze. — Odgarnął z czoła potargane włosy. — Mam nadzieję, że nie wywoła to poważnych komplikacji.

Obeszła biurko i uściskała Dave'a. — Ja też mam taką nadzieję. Módlmy się, żeby ta awaria nie miała nic wspólnego z oprogramowaniem.

— Tego się właśnie boję. Na razie nie ma mowy o certyfikacie Zarządu Lotnictwa Cywilnego, dopóki nie znajdziemy przyczyny awarii.

Liza uścisnęła go mocniej. — Dave, wszystko dobrze się skończy. Na pewno ją znajdziecie. — Cofnęła się, by spojrzeć mu w twarz. — Chyba po to są próbne loty, żeby znaleźć usterki?

Spojrzał na nią z łagodniejszym wyrazem twarzy. — Masz rację, Brązowe Oczy. To nie jest koniec świata. Postaram się o tym nie zapomnieć.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, długo i namiętnie. Potem się cofnął. — Muszę pójść na pokład samolotu, ale zadzwonię, jak będę miał chwilę czasu.

Liza skinęła głową, zbita z tropu jego pocałunkiem. Po wyjściu Dave'a próbowała zapomnieć o tym gościu. Była zameżna, ale jej mąż zniknął. Targały nią mieszane uczucia, kiedy myślała o Martinie, nie wiedziała nawet, czy on żyje. Dodatkowa niepewność nie była jej potrzebna. Jednak pocałunek Dave'a uświadomił jej, że znów tęskni za szczęśliwym życiem.

Po skończeniu pracy Liza postanowiła zadzwonić do kilku osób z listy zwalnianych. Przy pierwszym nazwisku podany adres, ale brakowało numeru telefonu, informacja telefoniczna nie mogła go podać, bo był zastrzeżony. Podobnie w kilku innych przypadkach. Liza zdecydowała wtedy, że porozmawia osobiście, bowiem wszystkie osoby z listy mieszkały w Seattle.

Spojrzała na zegarek. Mam czas, żeby przed zapadnięciem zmroku pojechać pod jeden z tych adresów, uznała, wsiadając do miaty. Do mieszkania w dzielnicy Fremont było tylko kilka minut drogi. Liza skierowała się na północ, podczas gdy droga do jej domu prowadziła na południe.

Zwolniła po zjechaniu z mostu, przypatrywała się wszystkim znakom w tej przemysłowej dzielnicy, gdzie mieściły się magazyny i małe biura.

Zanim dotarła pod adres z listy, straciła pewność siebie między budynkami, w których okna zabito deskami, i pustymi placami. Liza dwukrotnie okrążyła kwartał domów, sprawdzając numery. Nie mogła się pomylić. Pod poszukiwanym numerem nie stał żaden dom, był tam pusty plac.

Pojechała do domu, z kłębówiskiem myśli w głowie. Musiała zająć jakąś pomyłka w druku. Jutro rano pójdzie do Sylvii Kempton, która zajmowała się archiwum, i dowie się, co się stało. Albo i nie...

\*

Ty masz listę zwalnianych pracowników?! — zdziwiła się Sylvia, kiedy następnego dnia rano Liza poprosiła ją o zweryfikowanie adresów na wydruku. Przed wywołaniem informacji na ekranie komputera zawahała się. Przyjrzała się Lizie brązowymi oczami.

— Myślałam, że wiesz. — Liza żałowała, że powiedziała jej o fałszywym adresie. — Poprosiłam o nią Alice.

— Chyba wiesz, że dane osobowe są poufne i firma może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za łamanie przepisów prawa.

— Tak, ale sądziłam, że mnie to nie dotyczy, bo jestem pracownikiem tej firmy i podpisywałam zgodę na zachowanie tajemnicy. — Starła się nie pokazywać po sobie, że zdenerwował ją ostry ton Sylvii. — Poza tym ta lista jest mi potrzebna ze względu na moje obowiązki wobec klientów.

— Do czego? — Sylvia przechyliła głowę. Jasne, obcięte na pazia włosy odsłoniły jej policzek.

— Pomoże mi wyjaśnić skargi zwalnianych pracowników, którym doradzam i próbuję im ułatwić znalezienie nowej pracy. — Przerwała, chciała stłumić poirytowanie w swoim głosie. — Z powodu poufności nie mogę ujawnić ich obaw, przynajmniej teraz, dopóki wszystkiego nie

sprawdzą. Wtedy zdecyduję, czy krążące plotki mają podstawę. —

Przerwała. — Właśnie do tego zmierzam.

— I twoje poszukiwania dotyczą nazwisk i adresów tych ludzi? Liza przytaknęła.

Na długo zapadła cisza. Liza nie spuściła wzroku, postanowiła nie tracić gruntu pod stopami. Sylvia nie powinna poznać wszystkich szczegółów, napomniała się Liza. Im więcej jej powiesz, tym bardziej stanie się nieufna. Przecież musiała rozwiązać tę zagadkę z adresami zwalnianych pracowników. Z niechęcią uznała, że na razie nie ma o co pytać o oceny pracy.

Sylvia pierwsza się odezwała. — Jeżeli Alice doszła do wniosku, że można ci dać tę listę, to chyba nie ma w tym nic złego. — Spojrzała na ekran komputera, dłonie położyła na klawiaturze. — Jakie to nazwisko?

Liza podała je. Na ekranie pojawiło się znajome nazwisko i adres, ale bez numeru telefonu. — Tam nie ma żadnego budynku, tylko pusty plac.

— Pojechałaś tam?

— Aha.

— To musi być jakiś błąd w druku. — Przejrzała dane poniżej. — Czeki z wypłatą przesyłano do skrytki na poczcie. — Sylvia odwróciła się na krześle i spojrzała na Lizę. — Jesteś pewna, że na tym placu nie stał dom, który niedawno zburzono? Mówiłaś, że to podupadająca dzielnica, zarówno mieszkaniowa, jak i przemysłowa.

— Nie pomyślałam o tym. — Liza podciągnęła rękawy białego swetra i pochyliła się nad ekranem. — Sugerujesz, że ten pracownik przeprowadził się i tego nie zgłosił.

Sylvia przytaknęła. — Często się to zdarza, szczególnie jak ktoś używa skrytki do korespondencji albo pensja przelewana jest bezpośrednio na rachunek bankowy. — Wzruszyła ramionami. — Codziennie mamy z tym problemy. Nie tylko ze zmianą adresów, ale też z roszczeniami ubezpieczeniowymi, błędnymi numerami ubezpieczeń i telefonów. — Stuknęła się palcem w skroń. — Niektórzy ludzie są bezmyślni. Nie uaktualniają swoich danych, dopóki to nie jest potrzebne, a wtedy trzeba dużo zmieniać w aktach. *Jestem* pewna, że Alice ci o tym mówiła.

— Oczywiście, wspominała mi o tych problemach. — Liza przełknęła ślinę i spojrzała w kierunku biura, gdzie kiedyś pracowała Alice. Nie chciała pytać, kto zajmie jej miejsce, choć domyślała się, że będzie to Sylvia, co sugerowała Pat. Śmierć Alice wciąż jej bardzo ciążyła, by rozmawiać o niej z Sylvią. Odwróciła się do wyjścia. — Dzięki za pomoc.

— Nie ma za co. — Sylvia wstała, odsunęła krzesło i obeszła biurko. — Cieszę się, że mogłam cię uspokoić.

— No prawie — odparła wymijająco. — Chyba pojedę pod kilka innych adresów i upewnię się, że ta pomyłka z mieszkaniem w Fremont to tylko przypadek.

— Nie uważasz, że to bezcelowe? Poza tym żadna z osób z listy już tu nie pracuje.

— Może tak, zobaczymy. — Liza zatrzymała się przy drzwiach, jeszcze raz podziękowała i ruszyła w kierunku schodów. Bez wątpienia Sylvia miała rację. Może jeszcze coś innego wchodzi w grę? — zadała sobie pytanie. Nie znała na razie odpowiedzi.

Taka zima to sprawka El Nino, pomyślała Liza. Deszcz i wiatr. Burza za burzą. Zwiększyła szybkość poruszania się wycieraczek i skupiła wzrok

na przedniej szybie. Mały samochód omal nie przyprawił jej o klaustrofobię. Sprawdziła kolejny adres na Wzgórzu Królowej Anny; tutaj przynajmniej znajdowały się zamieszkałe domy. Dotarła na północno-zachodnie zbocze. Przypuszczała, że o pół do piątej wciąż jeszcze będzie jasno.

Wcale nie uciekłaś na wagary z pracy, powiedziała do siebie. To jest część twoich obowiązków.

Deszcz przycichł, kiedy skręcała w wąską drogę wijącą się wokół zalesionego wzgórza. Między drzewami kryły się domy. Liza podejrzewała, że z niektórych okien roztacza się wspaniały widok na Cieśninę Pugeta. Po znalezieniu właściwego numeru na skrzynce pocztowej wjechała na zarośnięty podjazd.

— Cholera! — zaklęła, kiedy gałęzie drzewa uderzyły o drzwi samochodu i przednią szybę.

Zatrzymała się, bała się o lakier na samochodzie. Opuściła szybę. Słodki zapach wilgotnych zimozielonych roślin wypełnił wnętrze pojazdu. Dom znajdował się pięćdziesiąt metrów dalej, ale nie paliły się w nim światła. Jego mieszkańcy prawdopodobnie znajdowali się jeszcze w pracy.

W porządku, ta posesja istnieje, powiedziała do siebie. Możesz już jechać.

Jednak nie ruszyła, przypatrywała się zaniedbanemu obejściu: weranda się zapadała, ogród był zarośnięty, nigdzie nie było śladów życia. Rosnące za domem drzewa, mimo prześwitujących przez nie świateł, wyglądały ponuro i nieprzystępnie. Sąsiedzi byli w domach. Pokrzepiająca myśl.

Czy ktoś tu naprawdę mieszka? — zastanawiała się Liza. Wiedziała, że ma tylko kilka minut, by się upewnić. Po to tu przyjechała: żeby sprawdzić, czy to nie jest kolejny fałszywy adres. Wciąż się wahała.

Otuliła ją cisza zbliżającej się nocy, jakby w oczekiwaniu, aż się zdecyduje. Uznała, że to zwariowana myśl. Nie bądź głupia. Teraz albo nigdy. Za dwie minuty będzie ciemno.

Położyła rękę na klamce, ale wpadła jej do głowy inna myśl. Może tu wrócić rano, przed pracą. Wystraszyłaś się, musisz to przyznać, pomyślała. Boisz się niebezpieczeństwa.

Nie! Rok temu nie zastanawiałaby się w ogóle, czy dojść na werandę. Teraz bała się wszystkiego. Nie powinna pozwolić, by nieokreślone lęki zmieniły jej życie.

Zdeterminowana wysiadła z miaty, szybkim krokiem podeszła do stopni werandy. Wbiła wzrok w zabite deskami okna, przed którymi rosły nie przycinane krzewy. Potem spojrzała na ściany, szukając jakichś śladów życia. W tym momencie zapadła noc. Wrócił niepokój wraz z uczuciem, że jest obserwowana.

Była bezbronna.

Z krzaków z drugiej strony domu dobiegł jakiś hałas. Złamana gałązka? Dostała gęsiej skórki, a nogi ugięły się pod nią.

Potem zaczęła biec, nie zważając na chłoszczące ją po twarzy gałęzie. Wydawało się jej, że słyszy, jak ktoś za nią podąża, powoduje wirowanie mrocznego powietrza. Dobiegła do samochodu, wskoczyła do środka, uruchomiła silnik i szybko wyjechała z podjazdu. Tym razem nie przejmowała się wgnieceniami i zadrapaniami na karoserii.

Dopiero kiedy dojeżdżała do szosy, zauważyła, że nie włączyła przednich świateł i że zjeżdża do rowu. Zahamowała z piskiem opon. Z zębami szczękającymi jak kastaniety wjechała z powrotem na podjazd, a potem skręciła na ulicę.

Wcisnęła pedał gazu i zerknęła w lusterko wsteczne. Spostrzegła, że w przeciwnym kierunku oddalają się czerwone tylne światła samochodu. Skąd ten pojazd wyjechał? Nie widziała żadnego samochodu na drodze.

Samochodu z włączonymi przednimi światłami.

Wiatr się wzmaczał. Przyginał do ziemi i skręcał małe jodły i sosny rosnące przy szosie. Nie było śladu po ciszy, która panowała kilka minut temu. Nikt nie przypatrywał się zza drzew. Nagły strach, który ogarnął Lizę, znikł.

Na razie.



## *Rozdział 17*

Hej, Brązowe Oczy, poczekaj na mnie! — Kilka dni później, kiedy rano szła z parkingu do biurowca, podszedł do niej Dave. — Mam dobre informacje. Skończyło się moratorium na próby z nowym samolotem. Mamy zgodę na kontynuowanie testów.

— Cieszy mnie to. — Liza uśmiechnęła się. Wydawał się znacznie bardziej odprężony niż wtedy, kiedy po raz ostatni z nim rozmawiała. — Z czym były problemy?

— Technika nie zawiodła. Oprogramowanie działało bez zarzutu, wszystko inne też.

— Więc dlaczego samolot awaryjnie lądował?

— Ze względu na anomalie pogodowe, ostry wiatr. — Szli w stronę budynku. — Testujemy samoloty we wszystkich warunkach. Wtedy na tym obszarze nie było żadnych innych samolotów, z powodu pogody wszystkie zostały zawrócone. — Roześmiał się. — Wygląda na to, że przesadziliśmy. Żaden samolot by tego nie wytrzymał. — Przekrzywił głowę. — Sami się w to wpakowaliśmy. Powinniśmy właściwie ocenić sytuację...

— Jesteście w stanie używać tego samego samolotu do testów?

— Pewnie. Gdybyśmy zaczęli oblatywać teraz inny egzemplarz, ktoś mógłby pomyśleć, że z tamtym coś się stało.

Weszli do środka. Po kilku krokach Dave został zatrzymany przez jednego ze swoich programistów. Liza czekała, przysłuchując się ich pełnej optymizmu rozmowie. Wbrew temu, co powiedział Dave, może to błąd w programie spowodował, że samolot stracił manewrowość podczas złej pogody? Albo tylko wyjątkowo złe warunki ujawniły usterki w systemie?

Nigdy się tego nie dowie. Cokolwiek się stało, Dave i firma rozwiążą problem i zbliżą się do uzyskania certyfikatu.

Nie bądź takim niewiernym Tomaszem, skarciła się. To nie twój cholerny interes. Samolot w idealnym stanie zakończy testy, a Dave jest teraz w znacznie lepszym nastroju. To się tylko liczy.

— Liza. — Dave pstryknął jej palcami przed nosem. — Słyszałaś, co powiedziałem?

— Co? — Zagubiła się w swoich myślach. Spozrzegła, że ten drugi mężczyzna zniknął za drzwiami, a Dave uśmiechnął się do niej. — Chyba się wyłączyłam.

— Zauważyłem. Późno poszłaś spać?

— Nie, położyłam się wcześniej. — Liza nie miała ochoty tłumaczyć, że nie spała dobrze, ani dlaczego. Wciąż męczył ją kociokwik po incydencie w opuszczonym domu na Wzgórzu Królowej Anny kilka dni wcześniej. Od tej pory nie była w stanie skontaktować się z innymi osobami z listy. Miała zamiar pojechać pod te adresy w wolnych chwilach.

Niestety, dni były krótkie i spędzała je w pracy. Z pewnością nie wybrałaby się do tych miejsc po zapadnięciu zmroku.

— To świetnie — rzekł Dave z zadowoleniem w głosie. — Musisz się dobrze wysypiać, bo po skończonych testach wyjedziemy za miasto.

— Obiecanki cacanki — przekomarzała się.

— Tak, wiem, że odłożyłem kilka naszych spotkań. — Objął ją ramieniem, kiedy szli korytarzem. — W ten weekend też będę uwiązany, ale potem przyjdzie czas na zabawę.

Zanim się rozeszli, Dave się zatrzymał. — Te testy tak mnie rozpraszają, że zapomniałem ci przekazać inną dobrą wiadomość. Mick, ten

facet, z którym właśnie rozmawiałem, powiedział mi, że operacja, którą miał Brandon Delmonte, skończyła się sukcesem. Lekarz spodziewa się pełnego powrotu do zdrowia.

— To wspaniale. — Przerwała. — Ale skąd ten Mick to wie?

— Pracuje z Cooperem. Usłyszał o tym dziś rano po przyjściu Coopera do pracy.

— Dzięki, że mi powiedziałeś. Brandon to wyjątkowy chłopiec.

— Tak, wiem. — Wykrzywił twarz w drwiącym geście. —

Powinienem mu wysłać jakąś zabawkę, może coś innego. W laboratorium wymyśliliśmy, że mogą to być gry komputerowe.

— To dobry prezent.

— A od ciebie coś dostał?

Skinęła głową. — Jean i ja wysłałyśmy dwie kukielki, małego chłopca i psa.

— Tak myślałem — rzekł. Wyraz jego twarzy złagodniał. Pocałował ją jeszcze w czoło, a potem długim krokiem ruszył w kierunku przejścia do następnego budynku. — Zadzwoń wieczorem — zawołał przez ramię.

Weszła do swojego gabinetu zdezorientowana jego gestem. Ledwo powiesiła płaszcz, przyszedł Al Stark. — Spieszę się na spotkanie, ale musimy porozmawiać — powiedział zdyszczanym głosem.

Czekała, zastanawiała się, o co mu chodzi.

— Wczoraj zadzwoniła Sylvia Kempton w sprawie kilku ocen pracy, które przesłałem do jej biura, i wspomniała o twojej wizycie. — Wciągnął powietrze do płuc. — Przez tę cholerną ulewę biegłem przez cały parking i nie mogę teraz złapać oddechu.

Zapadło milczenie. Powinna się domyślić. Sylvia chciała się upewnić, czy szef Lizy wie o wydruku.

— Myślałem, że już zapomniałaś o tych plotkach rozsiewanych przez kilku niezadowolonych pracowników. — Zaczął normalnie oddychać. — Co ty robisz? Przecież wiesz, że dane osobowe są poufne.

Wpadła w popłoch. Musisz się uspokoić, nakazała sobie, bo zażąda od ciebie wydruku. Al był kolejnym człowiekiem w firmie, który wolał zmienić zdanie, niż narazić swoją pozycję. Musiała go przekonać, że postępowała zgodnie z zasadami.

— Chodzi o zaległe sprawy — odparła spokojnie. I to jest prawda, stwierdziła w myślach. — Potrzebowałam pewnych danych osobowych, żeby uzupełnić teczkę. To wszystko. Mała weryfikacja tych informacji u Sylvii nie była niezgodna z regulaminem firmy. — To też nie jest kłamstwo, dodała w myślach.

Świdrował ją wzrokiem. Niemal widziała, jak myśli kłębią się w jego głowie, kiedy próbował odczytać ukryte znaczenia w jej słowach.

W końcu skinął głową. — No dobrze. Chciałem się tylko upewnić, że nie zajmujesz się w dalszym ciągu tym głupim gadaniem o dyskryminacji podczas zwolnień. Zacząłem się nawet o ciebie martwić...

Wtedy się zdenerwowała. Zagryzła wargi, żeby nie wyrzucić z siebie słów, które cisnęły się jej na usta. Al tego nie zauważył. Był już w drzwiach. Pożegnał się gestem dłoni i wyszedł.

Wieczorem Liza, ubrana w długą flanelową koszulę nocną, usiadła przed komputerem. Na zewnątrz porywisty wiatr znad Zatoki Elliotta, nabierając prędkości w wąskich korytarzach między budynkami, uderzał o jej okna. Za pokrytymi deszczem szybami światła miasta wydawały się tak

wieczne, jak tajemnicze gwiazdziste niebo w środku lata. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się temu zjawisku, a potem wróciła do grupy dyskusyjnej CB, której rozmowy wywołała na ekranie komputera.

Zacząła przeglądać bieżące informacje; śledziła to forum od czasu, gdy znalazła w nim rozmowę między Wężojadem a Kometą. Nie było żadnych nowych rozmów między nimi. Zastanawiała się, czy nie znalazła w nich jakichś nieistniejących znaczeń, co ostatnio często się jej zdarzało.

Już miała skończyć czytanie strony, kiedy jej dłoń zamarła na myszce. Przeczytała następną informację.

„Spróbuj jutro wieczorem” — pisał Wężojad do Komety. Nie było odpowiedzi.

Co ma spróbować? Nie było sposobu, by się dowiedzieć.

Liza patrzyła na słowa wymieniane między nieznanymi osobami, ale dostępne na całym świecie. Jeśli oni mają jakieś przestępcze zamiary, to dlaczego się z tym afiszują? Znów, tak samo jak poprzednim razem, kiedy zadała sobie to pytanie, natychmiast odpowiedziała. Fora internetowe zawierają niezliczoną liczbę przypadkowych, ciągle zmieniających się informacji. Ich uczestnicy ukrywają się pod pseudonimami i często nie można odkryć ich prawdziwych nazwisk. Błyskotliwe, pomyślała. Jeśli rzeczywiście dobrze podejrzewa.

Wyszła z forum. Po wyłączeniu komputera wpatrywała się w ciemny ekran. Myślała o wydarzeniach, które miały miejsce w ciągu kilku ubiegłych tygodni — o skargach klientów, jej niepokoju związanym z Martinem, śmierci Alice, zniszczonych lalkach i o przeświadczeniu, że ktoś ją śledzi, obserwuje i terroryzuje.

Czyżbym zaczęła tracić rozum? — zastanawiała się.

Przestraszyła się, usłyszawszy dzwonek telefonu. Chwyciła słuchawkę.

— Halo.

— Liza? — dobiegł głos Erika.

— Ach... Erik. Cześć.

— Na Boga, co się stało? Nie poznaję twojego głosu. Przez kilka sekund panowała cisza.

— Chyba coś mi wpadło — odparła wymijająco.

— Okay, więc co się dzieje? Jak mi nie powiesz, przyjadę do ciebie...

— Erik, naprawdę doceniam twoją troskę, ale nic mi nie jest. Nie wiem, dlaczego mówię innym głosem.

— Powiedz, Liza. Jestem twoim starym przyjacielem. Znam ciebie. Na pewno dzieje się coś złego.

— Erik, tego nie jestem pewna. Wiem tylko, że wiele rzeczy nie jest w porządku. — Przerwała. — Tylko nie wiem, które.

— Przyjadę.

— Proszę, nie. Jestem tylko zdezorientowana.

— To wyjaśnij mi, co się dzieje.

— Jest tego tak dużo, że nie wiem, od czego zacząć.

— Najlepiej od początku. Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

— Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Niepokoją mnie tylko sprawy moich klientów, śmierć Nate'a Garreta i Alice, incydenty, które mi się przytrafiły, fałszywe adresy zwalnianych pracowników... i oczywiście zniknięcie Martina. Ale próbuję to wszystko uporządkować.

— Na Boga, dlaczego mi o tym wszystkim nie powiedziałaś?

Westchnęła głęboko.

— Nie chciałam wyglądać na osobę niezaradną, kogoś, kto nie może sobie poradzić w życiu. Teraz jednak w internecie pojawili się ludzie, którzy przesyłają sobie dziwne informacje i jestem jeszcze bardziej zdezorientowana...

Przerwał jej. — Do diabła, Liza, ta rozmowa nie ma sensu. Zaczynj od początku.

— Jak już powiedziałam, nie wiem, od czego zacząć. Musiałabym mówić ze dwie godziny.

— Mam tyle czasu.

— Ale ja nie mam. Muszę się położyć.

Zajął kilka sekund, zanim zrozumiał jej słowa. — Dojdiesz do siebie do jutra wieczorem?

— Tak.

— Podjadę po ciebie o siódmej. Zjemy obiad w miłej i cichej restauracji, gdzie będziemy mogli o tym porozmawiać. Okay?

— Wspaniale. Wtedy ci wyjaśnię, co się dzieje.

— Czekam z niecierpliwością. A teraz zamknij drzwi na klucz i idź spać. Liza, dzwoń do mnie, jak stanie się coś niepokojącego... może to być drobnostka. Obiecujesz?

— Obiecuję. Pożegnali się i rozłączyli.

Liza położyła się do łóżka. Czowała się bardziej bezpieczna niż wcześniej. Odczuje ulgę, gdy się ze wszystkiego zwierzy, choć będzie to brzmiało niewiarygodnie. Erik jest jedyną osobą na świecie, która nie uzna, że zwariowała. Umościła się pod kołdrą, z niecierpliwością czekała na jutrzejszy wieczór. Chwilę rozmyślała, a potem zasnęła.

Idziemy do hotelu Sorrento?



— Aha. — Erik skręcił swoim cherokee na dziedziniec w kształcie półksiężyca i zatrzymał się w jego rogu. — Na pół do ósmej mamy rezerwację w restauracji Klub Myśliwski. — Otworzył drzwi, obszedł samochód i stanął przy Lizie, kiedy wysiadła. — Kluczyki są w stacyjce — zwrócił się do parkingowego.

— Czy ten lokal nie jest za drogi? — spytała z uśmiechem. Zastanawiała się, dlaczego włożył spodnie z kantem i marynarkę zamiast lewisów i skórzanej kurtki. Pewnie dlatego, że wiedział, iż ona będzie w kostiumie z pracy i butach na wysokich obcasach.

— Ale jest mały i spokojny. No i znajduje się tylko kilka przecznic od twojego domu!

Wziął ją pod ramię i poprowadził obok portiera do holu budynku pochodzącego z początku dwudziestego wieku. Zatrzymał się, by powiedzieć maitre d'hotel o rezerwacji, a potem przeszli do sali kominkowej.

— Napijemy się na początek wina? — spytał. Przytaknęła, zadowolona, że to on wszystkim się zajmuje. Zamówił po kieliszku chardonnay i kiedy kelner przyniósł wino,

wzniósł toast. — Za szczęście i spokój.

— I za bezpieczeństwo.

Uniósł pytająco brwi, ale się nie odezwał. Stuknęli się kieliszkami i zaczęli powoli pić wino.

Czas szybko płynął i musieli się przenieść do Klubu Myśliwskiego, do spokojnej eleganckiej restauracji w europejskim stylu. Rozmawiali o problemach Maggie Garret z jej synami, o kursach skoków spadochronowych i rozgłosie towarzyszącym nowemu modelowi samolotu.



Liza uznała, że Erik postanowił odłożyć rozmowę o jej problemach, aż skończą posiłek.

Znów przejął inicjatywę, zamówił dla nich obojga sałatki, potrawy z owoców morza i butelkę wina. Liza zastanawiała się, kiedy nabrał takiego wyrafinowania. Przypominała go sobie jako przyjaciela i towarzysza niedoli podczas studiów, śmiałka, który prowokował śmierć, człowieka chodzącego własnymi drogami. Po raz pierwszy zobaczyła, że stał się kulturalnym człowiekiem. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— Co się stało? — spytał, zauważywszy jej gest. Wzruszyła ramionami. — Nic.

— Nieprawda. Powiedz mi. Zachichotała. — Naprawdę nic.

— Wiem, że kłamiesz. — Odchylił się do tyłu i oparł o krzesło. Teraz mógł pogłodzić swoją brodę. — Jesteś zdziwiona, że potrafię obracać się w kulturalnym towarzystwie, prawda?

Roześmiała się głośno. — No cóż, właśnie o tym pomyślałam. Chyba nigdy nie sądziłam, że się możesz umawiać na randki, choć wiem o kilku twoich dłuższych znajomościach. — Zawahała się. — Pewnie

I teraz masz jakąś kobietę, a ja nic o niej nie wiem. — Machnęła ręką.

— Przepraszam, to nie moja sprawa.

Jego blade oczy się ożywiły, jakby był rozbawiony. — Mam — rzekł

— tylko na razie jest niedostępna.

— Mężatka? Pokręcił głową.

— Nie wie, jak bardzo się nią interesujesz? — Zachowywała się, jakby wrócili do czasów studenckich i grali w dwadzieścia pytań.

— Tak, chyba masz rację. — Nalał więcej wina do kieliszków. — Ale przynajmniej wie, gdzie mieszkam, i w każdej chwili może się zjawić przed moimi drzwiami.

— Mieszka poza miastem?

— Poza *moim* miastem.

Kelner przyniósł dania i przez następne pół godziny rozkoszowali się jedzeniem i wesoło wspominali stare szkolne lata. Kiedy talerze zostały zabrane, Erik odchylił się na krześle i nagle skierował wzrok na Lizę.

— Napijemy się jeszcze wina przy kominku? Skinęła głową.

Przywołał kelnera i zapłacił rachunek kartą kredytową, a potem wstał. Liza poszła za nim. Znów wziął ją pod ramię i zaprowadził z powrotem do sali kominkowej. Wszystkie miejsca były zajęte, ale po chwili jakaś para zbierała się do wyjścia.

— Eureka — wyrzucił z siebie Erik. — Los nam sprzyja. Mamy wolny stolik!

Uśmiechnęła się. Była lekko podchmielona po winie i zastanawiała się, czy powinna jeszcze pić.

— Spokojnie, możesz sobie pozwolić na kieliszek wina — rzekł, odczytawszy jej wyraz twarzy. — Po pierwsze, nie prowadzisz. Po drugie, mieszkasz tylko kilka przecznic stąd i po trzecie, masz przy sobie dobrego przyjaciela, Erika, który się tobą opiekuje.

Uśmiechnęła się szeroko. — To przerażające. Skąd wiesz, o czym myślę?

Uniósł do góry dłonie, by ją uciszyć. — Nie pytaj. Może powiem ci za rok o tej samej porze. Dobrze?

Wzruszyła ramionami. Za rok, za dziesięć lat wciąż będą przyjaciółmi, tego była pewna.

Zamówił wino, które pojawiło się na stoliku kilka minut później. Podczas ich nieobecności zjawił się też pianista, jego łagodna muzyka tłumiała ciche rozmowy innych gości. Atmosfera była kojąca i przypominała dawne dobre czasy.

— A teraz — odezwał się, zmrużywszy oczy, które znów przypomniały jej spojrzenie wilka — chcę wiedzieć, co się dzieje.

Zbierała myśli. — Tyle, że nie wiem, od czego zacząć.

— Jak mówiłem wczoraj wieczorem, od początku.

— Opowiedziałam ci już o kilku sprawach.

— Ale to było wyrwane z kontekstu? Przytaknęła.

— Zatem wyjdź z punktu A i dojdź do punktu Z. Możesz się powtarzać.

Zacząła niepewnie od oceny pracy Nate'a — o jego zdenerwowaniu w głosie, kiedy prosił o spotkanie w kościele misyjnym, a potem o jego śmierci w wypadku. Przerwała, przypominając to sobie.

— Okay, Liza. Nie ponosisz winy za śmierć tego człowieka. Położył ręce na jej dłoniach, chcąc by odzyskała równowagę. Do

cholery — pomyślała — kilka kieliszków wina, życzliwy słuchacz i się rozklejasz. Powinnaś być opanowana, trzymać się wyłącznie faktów.

— Liza, mów dalej. Proszę — zwrócił się do niej pełnym otuchy tonem.

Wypiła kolejny łyk wina, choć wiedziała, że to ostatnia rzecz, której potrzebowała, by jej historia brzmiała sensownie. Jednak patrzyła spokojnym wzrokiem, kiedy znów zaczęła. Potem opowieść płynęła

nieprzerwanie, od skarg jej klientów do oceny pracy Nate'a. Opowiedziała, jak ktoś ją ścigał na placu Pioniera, o włamaniu do samochodu, o otwartych drzwiach do jej mieszkania i o jej odczuciu, że jest obserwowana i śledzona. Wspomniała o przemyśleniach z kartką z nutami, którą znalazła w kościele misyjnym. Jest przekonana, że znajduje się na niej zaszyfrowana informacja od Nate'a i ktoś może chcieć ją odzyskać. Skończyła informacją o grupie dyskusyjnej CB; podejrzewa, że Bojangles to był Nate, a Wężojad i Kometa czują się zagrożeni, czego oczywiście nie jest pewna.

— Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, że ich śmierć nie była przypadkowa.

— A co, morderstwo?

Zakręciła winem w kieliszku. — Nie mam dowodów.

— Opowiedz mi jeszcze o tej kartce z nutami... Podała więcej szczegółów.

— I gdzie jest teraz ta kartka?

— Mam ją.

— A mogę ją zobaczyć?

Zawahała się. — Czy myślisz, że za tym wszystkim stoi... Martin? Wyglądał na zaskoczonego. — Jezu, dlaczego tak pomyślałaś? Rozłożyła ręce, nie czuła się przygotowana do odpowiedzi na to pytanie. — Nie wiem, ja tylko zapytałam.

— W żaden sposób! — Erik pochylił się do niej. — Martin miał swoje słabości, ale nigdy nie zdecydowałby się na takie postępowanie. Bał się przyszłości, ale pod żadnym względem nie był socjopata, a z taką osobą mamy tu do czynienia.

Skarcona spojrzała w bok.

— Oznacza to, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie. — Przerwał, wyraz jego twarzy stał się poważny. — Wygląda, że ktoś cię tropi, ktoś, kto uważa, że masz informacje, które mogą go obciążyć.

— Myślisz o kartce z nutami? Przytaknął. — Gdzie ją masz?

— W domu.

Dokończyli pić wino i Erik wstał. — Pojedziemy więc do ciebie. Chcę zobaczyć tę kartkę.

Ona też wstała. Czuła, że się trochę chwieje. — Chętnie ci pokażę, ale nie sądzę, żebyś coś z tego zrozumiał. — Zdjęła torebkę z oparcia krzesła.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do wyjścia. — Zobaczymy.

Parkingowy przyprowadził samochód i Erik dał mu napiwek. Po chwili jechali do jej bloku. Erik zaparkował przed budynkiem, a potem towarzyszył jej do mieszkania. Po drodze wyjęła klucze.

Erik pchnął drzwi i przytrzymał je, żeby Liza weszła pierwsza. Kiedy oboje znaleźli się w środku, zauważyli, że coś jest nie w porządku.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Liza. — To już było!

— Co? — Erik stanął za Liza.

— Nie, znowu — wyszeptała przerażona Liza. Chciała pobiec do salonu, ale Erik ją powstrzymał. Ktoś splądrował jej mieszkanie.

— Sza — szepnął jej do ucha, odciągając ją w stronę drzwi. — Musimy stąd wyjść... teraz!

— Bella! Bella! — krzyknęła, ignorując go. Próbowała wyswobodzić się z jego uścisku. Kotki nie było przy drzwiach, nie reagowała na jej wołania. Musiała się dowiedzieć, czy Bella jest bezpieczna...

Erikowi udało się wyciągnąć ją na korytarz, drzwi do mieszkania automatycznie zamknęły się za nimi. — Liza — rzekł nagłym tonem — wciąż ktoś może być w mieszkaniu. Musimy poszukać pomocy.

Nogi zrobiły się Lizie jak z gumy. Erik pomógł jej dojść do windy, częściowo ją niosąc, częściowo popychając. Zjechali z powrotem na parter i poszli do mieszkania dozorca. Erik wciąż pukał do drzwi, mimo że już się otwierały.

— Ktoś włamał się do mojego mieszkania! — krzyknęła Liza łamiącym się głosem. — Może tam jeszcze jest!

— Niech pan zadzwoni pod 911 — nakazał Erik mężczyźnie. Weszli do mieszkania dozorca i drzwi zamknęły się za nimi. W tym momencie byli bezpieczni.



## *Rozdział 18*

Dozorca Joe od razu przystąpił do działania. Podczas gdy jego żona, Naomi, dzwoniła pod 911, wziął kij bejsbolowy i pobiegł do windy za Lizą i Erikiem. — Włamywacz pewnie już uciekł, ale do przyjazdu policji niech pani poczeka z moją żoną — zwrócił się do Lizy.

— Też pojedę — odparła. — Muszę się upewnić, czy Belli nic się nie stało.

Nikt nie skrzywdził kotki, przekonywała się. Włamywacz musiałby być szalony. Zastanawiała się chwilę. Szalony jak wszystko, co wydarzyło się ostatnio?

Joe zawahał się, przytrzymując drzwi. — W pani mieszkaniu ktoś był?

— Bella to kot — wyjaśnił Erik. — Ukochany Lizy. — Odsunął się, by zrobić Lizie przejście do windy. — Jedziemy. Nie ma sensu się kłócić, Liza tu nie zostanie.

Nie odzywali się do siebie w windzie. Liza zdała sobie sprawę, że jeżeli ktoś był jeszcze w jej mieszkaniu, to teraz mógł uciec drugą windą lub schodami.

*Dlaczego nie pomyślała o schodach?*

Ale jesteś głupia, pomyślała. Schody prowadzą do drzwi, które każdy może otworzyć od wewnątrz, są zamknięte jedynie dla przychodzących. Zanim winda dojechała na jej piętro, Liza wiedziała, że nie natkną się na włamywacza. Dawno uciekł.

Ale co się stało z Bellą?

Liza otworzyła kluczem drzwi, do środka pierwszy wparował Joe. Uniósł kij bejsbolowy, by się bronić. — Proszę tu poczekać — poinstruował stanowczym głosem.

Wślizgnął się do jadalni, a potem z korytarza ruszył do sypialni, gabinetu i łazienek. Erik wszedł do kuchni i jadalni i przez salon wrócił do Lizy, upewniwszy się, że drzwi na balkon są zamknięte.

— Nikogo nie ma — oznajmił Joe, wróciwszy na korytarz. — Ale jakiś wariat się tu włamał. — Jego twarz płonęła gniewem. — Wszędzie narobił bałaganu.

Liza okrążyła obu mężczyzn i weszła do salonu. — Mój Boże!

Ścisnęło ją w żołądku i dostała dreszczy. Musiała się oprzeć o kanapę, by nie upaść. Poduszki z krzeseł zostały zrzucone na podłogę, szuflady i drzwi do wszystkich szaf otwarte. Ich zawartość leżała na białym dywanie. Ktoś przetrząsnął wszystkie jej rzeczy.

— Bella! Bella! — W panice zaglądała do wszystkich pomieszczeń, szukała swojej kotki. — Kici, kici, kici — wołała, z wysiłkiem starała się mówić normalnym głosem. Widziała zniszczenia w swoim mieszkaniu, ale martwiła się przede wszystkim o Bellę.

Z trudem weszła do sypialni. Wszystko tam powywracano, nawet pościel ściągnięto z łóżka. Ale żadnego śladu Belli. Czy ten wandal ją ukradł? Ta myśl była niczym lodowaty prysznic.

— Cholera — zaklął Erik, który zjawił się za nią. — Czego, do diabła, szukał?

W milczeniu pokręciła głową. Potem usłyszała jakiś szmer. Przechyliła głowę, nasłuchiwała.



— Co to? — Erik ominął Lizę i otworzył drzwi do szafy wnękowej. Tu też był bałagan.

Coś poruszyło się pod butami. Kiedy bardziej się pochylił, z szafy wyskoczyła Bella i pobiegła pod łóżko. Liza uklękła, by ją wywabić.

Bella miauczała, ale nie ruszyła się z kąta. Kotka była przerażona, ale chyba nic się jej nie stało.

— Teraz, kiciu, jesteś bezpieczna — rzekła delikatnie Liza. — Nikt cię nie skrzywdzi. Wyjdiesz, kiedy będziesz chciała.

Liza wstała i uważnie przyjrzała się zniszczeniom. Szuflady komody, gdzie trzymała biżuterię, były otwarte, ale po pobieżnym przyjrzeniu się, mogła powiedzieć, że nic nie zginęło. Znów szybko przeszła po mieszkaniu i stwierdziła, że włamywacz nie ukradł nic cennego. Pojemnik z monetami, które zbierała, wciąż był w gabinecie, tak samo komputer, drukarka, faks i inne wyposażenie. Nikt nie dotykał telewizora, sprzętu muzycznego ani srebrnej zastawy.

Przyszła Naomi z dwoma policjantami. — Co się stało? — spytał młodszy, niższy z nich.

— Ktoś włamał się do mojego mieszkania — odparła Liza drżącym głosem. Tylko nie płacz, nakazała sobie. Belli nic się nie stało, a w mieszkaniu można posprzątać. Wyczuwszy jej rozpacz, Erik lekko objął ją w pasie. Chrząknęła i próbowała mówić dalej: — Wszystko jest zdemolowane.

Drugi policjant, wysoki, siwiejący mężczyzna z rumianą cerą i zbudowany niczym podstarzały obrońca futbolowy, sprawdzał zamki w drzwiach, podczas gdy jego partner chodził po pokojach i robił notatki. —

Nie ma żadnych śladów włamania — stwierdził. — Może nie zostały zamknięte na klucz?

Liza pokręciła głową. — Zamykają się automatycznie. — Zawiesiła głos. — Zablokowałam też zasuwę.

Joe skinął głową. — Takie zabezpieczenia są we wszystkich drzwiach. — Po chwili dodał: — Nasza ochrona działa raczej bez zarzutu.

— Czy jest jeszcze jakieś inne wejście do mieszkania? — Policjant zdjął czapkę i włożył ją pod ramię.

— Tylko przez balkon. — Liza stłumiła chęć ukrycia się przed jego świdrującym spojrzeniem. — Ale nikt tam nie otwierał wyjścia, a poza tym to jest jedenaste piętro. Włamywacz musiałby się wspiąć na budynek.

Policjant po raz pierwszy się uśmiechnął. — Mieszka pani w mieście i nie słyszała o włamywaczach wchodzących przez okna? — Przybrał poważną minę. — Czy ktoś jeszcze ma klucz do pani mieszkania?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — Mam tylko jeden komplet.

Wyjął notatnik i zrobił w nim jakieś zapiski. — Goś zginęło?

— Nie sprawdziłam jeszcze dokładnie, ale chyba wszystkie wartościowe rzeczy pozostały.

Znów coś zapisał.

Wrócił młodszy policjant. — Mieszkanie jest bezpieczne, tylko pod łóżkiem schował się wystraszony kot. — Pokręcił głową. — Ktoś się tu napracował, przewrócił wszystko do góry nogami, jakby czegoś szukał albo chciał pani zrobić na złość. — Spojrzał szczerym wzrokiem. — Ma pani jakichś wrogów, którzy chcieliby się za coś zemścić?

— Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić. O ile wiem, nie mam żadnych wrogów.

— Liza, ostatnio zdarzyło ci się kilka nieprzyjemnych incydentów — odezwał się Erik łagodnym głosem. — Może powinnaś opowiedzieć o nich policji...

Spuściła wzrok, myśli wirowały jej w głowie. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tych zdarzeniach. Posegregowała je w myślach. Niczego nie mogła udowodnić, wszystko wydawało się niewiarygodne, tak jak kartka z nutami. Wyjątek stanowiła śmierć Nate'a i Alice, ale uznano to za wypadek, wykluczono morderstwa. Czy nie wezmą jej za histeryczkę, kobietę o zbyt bujnej wyobraźni? Postanowiła rzucić się na głęboką wodę.

— Kilka tygodni temu na placu Pioniera ścigał mnie jakiś mężczyzna, włamano się do mojego samochodu, kiedy zaparkowałam w okolicach Leśnej Alei.

— Czy pani to zgłosiła? — spytał starszy policjant, unosząc wzrok znad notatek.

— Tak, ale bez efektu.

— A czy coś skradziono podczas włamania do samochodu? Pokręciła głową. — Wrzucono jedynie mój strój gimnastyczny do rynszoka, to wszystko. — Zauważyła, że mocno splata dłonie. Próbowała je rozluźnić. — Wystraszyłam się wtedy.

Zmrużył oczy. — Może ktoś czegoś szukał. — Wcisnął czapkę na głowę. — W okolicach Leśnej Alei często zdarzają się włamania, no i samotne kobiety spacerujące po placu Pioniera narażone są na napady.

— Co pan miał na myśli, mówiąc „może ktoś czegoś szukał”? — spytał Erik.

Policjant wzruszył ramionami. — Pieniądzy, leków, wyposażenia samochodu, na przykład odtwarzacza CD. Czegoś, co można sprzedać, żeby

kupić narkotyki. Bez przerwy zdarzają się takie wypadki. — Spojrzał na Lizę. — W przyszłości powinna pani zgłaszać wszystkie takie incydenty.

Zgłosiło się radio, które trzymał w kieszeni kurtki. Wyciągnął je, chwilę słuchał, a potem ściszył. — To chyba byłoby wszystko — zwrócił się do Lizy. — Po sporządzeniu raportu zadzwonimy do pani i podamy numer sprawy. Dobrze?

Przytaknęła. Nagle zrobiła się senna.

Młodszy policjant ruszył za partnerem, potem zatrzymał się w drzwiach. — Przed wyjściem sprawdzimy budynek i zobaczymy, co zarejestrowały kamery. Może włamywacz dał się nagrać i wtedy będziemy mogli go złapać. — Zawahał się. — To jedyna nadzieja. Często nie da się złapać sprawców włamań ze względu na brak dowodów.

— Wiem — rzekła Liza słabym głosem.

— Proponuję, żeby pani zmieniła zamki, bo ktoś może mieć drugi komplet kluczy do mieszkania i klucz uniwersalny — dodał.

Erik objął ją mocniej. Nie była w stanie nic powiedzieć. Nikt nie miał drugiego klucza... tylko Martin. Zawsze nosił swoje klucze na splatanym sznurku, który przypinał do paska spodni. Jednak teraz Martin i jego klucze leżą głęboko pod wodą w Cieśninie Pugeta.

Albo leżały?

— W naszym budynku tylko ja mam klucz uniwersalny — wtrącił Joe, odpowiadając policjantowi i rozpraszać myśli Lizy. — Sprawdzę w spółce zarządzającej, czy ktoś nie ma drugiego egzemplarza.

— Dobry pomysł — rzekł młodszy policjant.

Joe wziął Naomi pod ramię i wyszli za policjantami na korytarz. — Oprowadzę ich po budynku — zwrócił się do Lizy. — Później do pani zajrzę, sprawdzę, czy łańcuch i zasuwa są na swoim miejscu.

— Jeszcze jedno. — Młodszy policjant się odwrócił. — Nie wiemy, co się stało, ale ta osoba ma dostęp do budynku. Powinna pani mieć się na baczności. Proszę dzwonić, jeśli coś jeszcze się wydarzy.

*Niepokoją się o moje bezpieczeństwo.*

Przełknęła ślinę, by się nie rozpłakać. Obserwowała, jak wyższy policjant otwiera drzwi do zsypu, wchodzi do środka, a potem zamyka pomieszczenie. Niczego nie znalazł, ale sprawdził to miejsce, uznał, że można tam się ukryć. Mocno pociągnęła nosem. Teraz zawsze wchodząc do tego małego pomieszczenia, będzie się zastanawiała, czy ktoś się tam nie ukrył.

Erik zamknął za nimi drzwi na klucz. Ona jakby zastygła w przedpokoju. Łzy, które do tej pory powstrzymywała, zaczęły jej spływać po policzkach. Erik w milczeniu zaprowadził ją do kanapy i posadził. Tulił ją, dopóki nie przestała płakać.

— Przepraszam — wydobyła w końcu z siebie. — Jestem załamana tym wszystkim... — Ręką wskazała na zdemolowane mieszkanie. — Nie mogę opędzić się od pytania: dlaczego? Dlaczego ja?

— Nie wiem, Liza. Ktokolwiek to był, czekał, aż wyjedziesz. Musiał szukać czegoś konkretnego, bo nic nie zginęło... Chyba że ta dziwna kartka z nutami. Pewnie trzymałaś ją na pianinie.

— O Boże! Pomyślałam o niej, kiedy chciałam powiedzieć policji o Nacie i Alice, ale przez myśl mi nie przeszło, że mogła zginąć. — Zerwała się na nogi. — Ten włamywacz ją chciał znaleźć.

— Trochę mnie dziwiło, dlaczego zdecydowałaś się o niej nie mówić. Przypuszczam, że nie chciałaś wspominać o niejasnych sprawach szachrajstw w firmie, o podejrzanych przypadkach śmierci i innych incydentach.

— Bo to wszystko brzmi idiotycznie. Już i tak zbyt wielu ludzi sądzi, że jestem zestresowana, mam obsesję na punkcie skarg moich klientów.

— Więc jesteś przekonana, że te wszystkie wypadki mają związek z International Air...

Westchnęła ciężko. — Nie wiem, w co wierzyć. Nie wiem nawet, czy Nate podrzucił tę kartkę z dziwną muzyką. — Zawahała się. — Może zostawił ją jeden z parafian... jako żart. Może niepotrzebnie chcę to wszystko ze sobą powiązać. — Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — Chyba się gubię, Erik, i nie zdaję sobie z tego sprawy.

— Poczekaj chwilkę. Do kurwy nędzy, pomyślmy spokojnie.

Omam się nie uśmiechnęła. Powrócił do swojego ulubionego powiedzonka z czasów studenckich. Nie był tak spokojny, na jakiego wyglądał.

— Ten bałagan, który widzimy, nie jest wytworem naszej wyobraźni. — Zaczął mówić szybciej. — Chyba że ty, ja, policjanci, Joe i Naomi cierpimy na ten sam obłąd, mamy takie same przywidzenia.

— Może to włamanie to tylko kolejny *przypadek*.

— Bądź poważna. Tu nie ma nic przypadkowego. Ktoś wszedł do strzeżonego budynku i skierował się od razu do twojego mieszkania.

Miał rację. Nie mogła temu zaprzeczyć. Ktoś wybrał jej mieszkanie, zdemolował je, i nic nie zabrał. Chyba że... przypomniaws sobie o kartce z nutami.

— Ta kartka nie leżała na pianinie. — Ruszyła korytarzem. — Jest w sypialni.

Poszedł za nią. Pośród rozrzuconych rzeczy podeszła do sterty zmiętej pościeli. Przekładała ją, aż na dnie, pod poduszką znalazła lalkę w piżamie. — To lalka z dzieciństwa — rzekła i włożyła rękę do otworu w brzuszku, w którym kiedyś chowała swoją małą koszulę nocną. Wyciągnęła z niej kartkę i popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Ten wandal nic nie wiedział o lalkach do łóżka służących do przechowywania piżam i nocnych koszul. Odczuła drobną przyjemność, że wyprowadziła w pole człowieka, który zdemolował jej mieszkanie. Podała kartkę Erikowi.

Długo na nią patrzył, odwracał to na jedną, to na drugą stronę. Zmarszczył czoło, jego oczy wyrażały zadumę. — Nic z tego nie rozumiem.

Liza zaprowadziła go z powrotem do salonu, postawiła taboret przed pianinem i usiadła. — Tak to brzmi... — Zagrała. I zapadła cisza.

— Dziwna muzyka.

— Wiem. — Dłonie wciąż trzymała na klawiszach. — Dlatego powiedziałam, że to może być jakiś figiel, żart.

Znowu chwila ciszy.

— Nie jestem o tym przekonany. Instynkt mi podpowiada, że to może być ważne. — Pokręcił głową. — Nie mogę ci powiedzieć dlaczego.

— Rozumiem — przytaknęła. — Ja tak samo czuję. Cofnął się.

Liza wstała. —Więc znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Nie wiem, czy ja w ogóle zrobiłem jakiś krok do przodu.

Liza wzięła kartkę z tajemniczymi nutami i włożyła ją do torebki. To bezpieczniejsze miejsce, dopóki nie dowie się, co się dzieje. Była po prostu szczęśliwa, że włamywacz nie pomyślał o sekretnym schowku w lalce.



— No dobrze, mam dla ciebie propozycję — rzekł Erik. — Nie możesz tutaj zostać, więc zabieram cię na moją łódź mieszkalną.

— Ja nie mogę wyjść.

— Dlaczego?

Odwróciła się, nie była pewna, co czuje. — Bella jest tak przestraszona, że boi się wyjść spod łóżka. — Przerwała, a potem stanęła twarzą w twarz z Erikiem. — Do cholery, nie mogę dać się wystraszyć z własnego domu. Ktoś naruszył moją prywatność, ale nie zamierzam się poddać. — Kiedy to mówiła, wzbierała w niej złość. — Niech tylko ta menda pojawi się podczas mojej obecności!

Erik chwycił ją za ramiona. — Co, do diabła, byś zrobiła, gdyby ktoś się tu zjawił?

Zamrugła powiekami. — Nikt nie wszedłby do mojego mieszkania, bo zaraz zadzwoniłabym po Joe lub pod 911.

— Nie pojedziesz ze mną?

— Nie, zostaję.

— Więc tutaj spędzę z tobą noc.

— Chyba mówiłeś, że jutro wcześniej rano musisz być na lotnisku, bo masz lekcję skoków spadochronowych?

Przytaknął.

— Musiałbyś najpierw pojechać do domu po swój sprzęt, więc byś się nie wyspał. Poza tym po twoim wyjściu wciąż byłoby ciemno. — Złapała go za ramię. — Nie masz pojęcia, jak jestem ci wdzięczna za twoją opiekę. — Przełknęła ślinę, ale jej postanowienie, by stawić czoła lękom, dodawało sił. Czy jeździec wyrzucony z siodła rezygnuje z dalszej jazdy, czy ponawia próbę? — Erik, dziękuję, że jesteś takim dobrym przyjacielem, ale będę



bezpieczniejsza w moim mieszkaniu niż gdziekolwiek indziej. — Zawiesiła głos. — Tak długo, jak dodatkowe zamki są na swoim miejscu. Poza tym włamywacz musiał być usatysfakcjonowany, że nie miałam tego, czego szukał.

Milczał, zastanawiał się nad jej słowami.

— I tak musiałabym wcześniej czy później tu wrócić. To jest moje mieszkanie, mój prywatny teren, gdzie wieszam swoje ubrania i gromadzę piękne pamiątki. — Ta próba lżejszej rozmowy nie zmieniła wyrazu jego twarzy.

— Nie zmienisz decyzji?

— Nie. Teraz zamierzam zostawić wszystko tak, jak jest, wywabić Bellę spod łóżka i położyć się spać. — Zmusiła się do uśmiechu. — Po tym, jak się zamknę...

Erik zgodził się na takie rozwiązanie, dopiero gdy z dołu zadzwonił Joe, by spytać, czy wszystko jest w porządku.

— Masz przy łóżku numer telefonu do Joego?

— Będę miała, uwierz mi.

— Nie jestem ciągle przekonany, że mogę cię zostawić samą.

— W porządku. Naprawdę nic się nie stanie. Ten drań nie wróci dziś w nocy.

Po dalszych zapewnieniach Erik w końcu wyszedł. Po jego wyjściu Liza zabrała się do roboty. Posłała łóżko, umyła zęby i specjalnym przysmakiem dla kotów skłoniła Bellę do wyjścia z kąta. Zostawiła włączoną lampę w salonie, ale potem zmieniła decyzję; zrzuciła z siebie kołdrę, wstała i poszła ją wyłączyć. Światła miasta odbijające się w oknach wystarczająco oświetlą pokoje. Tak będzie bezpieczniej, uznała, ale na tę

myśl zatrzymała się w połowie drogi, przed drzwiami do jasno oświetlonego salonu.

Dlaczego tak ma być bezpieczniej? — zadała sobie pytanie. Ponieważ włamywacz tak szybko cię nie zobaczy? Bo ktoś może cię obserwować przez lornetkę?

Straciła oddech. Odskoczyła do tyłu, nogi ugięły się pod nią niczym u jednej z marionetek Jean. Skuliła się na dywanie, nagle poczuła się jak owad pod mikroskopem.

Oddychaj głęboko, poinstruowała się, jak to ostatnio czyniła wiele razy. Zachowujesz się jak małe dziecko. Nikt cię nie może zobaczyć z ulicy znajdującej się jedenaście pięter niżej.

*Ale są setki okien w innych budynkach.*

Przestań. To jest twój dom, znasz tu każdy kawałek podłogi, każdy mebel, wszystkie bibeloty, obrazy i rośliny. Niech wandal ma się na bacności. Nie powinna się bać tego przekłętego tchórza, który skrada się w nocy, by zniszczyć własność innej osoby.

*Jednak się bała.*

Powoli podniosła się z podłogi. Podmuch wiatru uderzył w okna i wprawił szyby w wibracje. Szukając realności w fantazji, pomyślała, że to Północny Wiatr z baśni, o którym kiedyś jej i Jean czytał ojciec. To były złote czasy, zanim umarł. W wyobraźni widziała zły Północny Wiatr z ilustracji w książce. Gotowy do ataku w złości wydymał policzki.

Wystarczy tego, skarciła się i wzięła głęboki oddech. Potem, nie spoglądając nawet na okno, znów głęboko odetchnęła. Podeszła prosto do lampy i ją wyłączyła. Ponownie obeszła pokoje i sprawdziła zamki w drzwiach frontowych. Niczym zjawa w ciemnościach wróciła do łóżka,

położyła się i naciągnęła kołdrę aż pod podbródek. Kołdra zapewni mi bezpieczeństwo, pomyślała idiotycznie.

Na dzwonek telefonu szybko usiadła na łóżku. Chwyciła słuchawkę. Nawet ten odgłos ją wystraszył. Weź się w garść, nakazała sobie. Mogłaś oszukać Erika, ale jesteś sztywna ze strachu.

— Halo.

— Liza? — rozległ się głos Dave'a. — Obudziłem cię?

— Nie, jeszcze nie zasnąłam. — Mówiła cichym głosem. Zerknęła na podświetloną tarczę zegarka. Jedenasta. Dlaczego zadzwonił tak późno?

— Wcześniej zostawiałem kilka razy wiadomość na automatycznej sekretarce, chciałem cię zabrać na kolację. Potem uznałem, że gdzieś wyszłaś. Właśnie wracam do siebie i pomyślałem, że może jeszcze nie śpisz... — No tak, zapomniała sprawdzić telefony. — Może jutro zjemy wspólnie obiad?

Nerwowo wciągnęła powietrze. — Nie mogę, Dave.

— Hej, brązowe Oczy, dziwnie mówisz... Stało się coś złego? Długo milczała.

— Dużo złego.

— Co? Ale nic ci nie jest? — zapytał ostrym tonem.

Skinęła głową, ale potem zdała sobie sprawę, że jej nie widzi. — Jestem cała.

— Co, do diabła, się stało? Słyszę, że jesteś zdenerwowana.

— Ktoś włamał się do mojego mieszkania, kiedy byłam na obiedzie z Erikiem i... — Straciła mowę.

— I?

— Splądrował je.

— Na Boga, zadzwoń na policję.

— Już byli i odjechali.

— Zadzwoń może do Erika.

— On też już odjechał. Pauza.

— To jadę do ciebie.

— Nie, ja naprawdę jestem...

Było za późno na protest. W jej uchu rozległ się długi sygnał.

RS

## Rozdział 19

Powinnaś dobrze się wyspać, zanim zaczniesz sprzątać — oznajmił Dave, kiedy rozejrzał się po mieszkaniu. — To oznacza, że pojedziesz do mnie. — Ton w jego głosie nie dopuszczał sprzeciwu.

Zresztą nie miała zamiaru protestować. Kiedy po telefonie Dave'a odłożyła słuchawkę i cisza zapanowała w mieszkaniu, jej strach się nasilił. Wyteęzała słuch, by zidentyfikować każdy odgłos. Potem wstała i sprawdziła zamki. Czuła się sponiewierana... i bezbronna. Wiedziała, że nie odpręży się na tyle, żeby zasnąć.

— Poza tym nie jestem pewien, czy jesteś tu bezpieczna — dodał.

Mimo wszystko odczuła ulgę, że ktoś podjął za nią decyzję. Ponieważ Dave w sobotę rano miał umówione spotkania, wyruszyli dwoma samochodami. Jechała za nim swoją miatą na Urwisko Magnolii, gdzie mieszkał. Wcześniej Dave rozmawiał z dozorcą, który z zadowoleniem przyjął wiadomość, że Liza nie będzie sama w mieszkaniu, dopóki jutro nie zmienią zamków. Bella wydawała się zadowolona, że będzie mogła spać na łóżku Lizy, wyraźnie zapomniała o wcześniejszych okropnych przeżyciach.

Było już po północy, kiedy Dave wjechał do swojego garażu na trzy samochody. Pokazał Lizie, żeby stanęła obok niego. Wzięła torbę podróżną i torebkę i wysiadła z auta. Drzwi do garażu zamknęły się za nią automatycznie. Poszła za Dave'em do domu. Po wejściu do kuchni nagle poczuła się skrepowana w płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na flanelową koszulę nocną.

Zapomnij o fałszywej skromności, powiedziała do siebie. To Dave zasugerował, że nie powinna tracić czasu na ubieranie. Nie chcąc dłużej

przebywać w swoim mieszkaniu, wzięła potrzebne rzeczy i wyszła. Nie mieli jeszcze czasu, by porozmawiać, ale zamierzała opowiedzieć mu o wszystkim.

— Liza, odpręż się — rzekł, choć sam wyglądał na stłamszonego i zdenerwowanego. — Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie zginęło, a do poniedziałku sprzątniesz ten cały bałagan... Myślę, że powinnaś chyba nająć kogoś do sprzątnięcia.

Pokręciła głową. — Trzeba wiedzieć, gdzie to wszystko położyć z powrotem. — Spostrzegła, że splata i rozplata dłonie. Włożyła je do kieszeni płaszcza. — Poza tym poczuję się lepiej, gdy sama posprzątam.

*Zapadła cisza.* Potem Dave wziął Lizę w ramiona i przyciągnął do piersi. — Biedna Liza — westchnął. — Moje dzielne małe Brązowe Oczy. — Mówiąc to, gładził jej włosy. — Mam nadzieję, że złapią tego łajdaka.

Przełknęła ślinę wzruszona jego współczuciem. Nie chciała znów płakać. — Ja też — rzekła drżącym głosem.

Dave zrobił krok do tyłu i spojrzał jej w oczy. — Hm, ale jesteś zmęczona. Teraz musisz się rozgościć.

Wziął jej torbę podróżną i zaprowadził do sypialni, a potem do pokoju gościnnego. Z obszernym tarasem, z którego rozciągał się panoramiczny widok na Cieśninę Pugeta. Wspaniały dom, pomyślała. Ciekawe, czy Dave sam go wyposażył, czy zatrudnił dekoratora wewnątrz? Co do jednego miała pewność: dom był elegancki i... drogi.

— Łazienka jest za tymi drzwiami. — Jak się rozgościsz, przyjdź do salonu na coś mocniejszego. — Uśmiechnął się. — Pomoże ci to zasnąć.

— Dziękuję, Dave.

— Jesteś tu najmiej widzianym gościem. Czuj się jak u siebie w domu.

Skinęła głową i Dave wyszedł.

Liza rozejrzała się wokół, poczuła się trochę nieswojo we wspaniale wyposażonym pokoju, wśród mahoniowych mebli i lamp od Tiffany'ego. Na podłodze leżał jasnoniebieski dywan, zasłona i narzuta na łóżko miały ciemniejszy odcień. Nigdzie nie było ani pyłku kurzu. Dave zatrudnia pewnie pomoc domową. Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i powiesiła go w szafie. Potem umyła ręce i wyszczotkowała włosy. Na drzwiach łazienki wisiał zielony atlasowy szlafrok. Dla kobiet, które przychodzą w odwiedziny? — zadała sobie pytanie. Zdjęła szlafrok z haczyka i zastanawiała się, czy go włożyć. Może zostanie tylko w koszuli nocnej? Postanowiła jednak, że go założy. Uśmiechnęła się mimowolnie. Atlas na starej, dobrej, ręcznie tkanej flaneli.

Zatrzymała się w drzwiach do salonu. Cudownie — to słowo przyszło jej do głowy. Dave włączył gazowy palnik w kominku, zapalił trzy lampy naftowe stojące na stoliku przy kanapie. Obok nich postawił dwa napełnione do połowy kieliszki z koniakiem. Łagodna muzyka płynąca z zamontowanego w ścianie sprzętu muzycznego pogłębiała spokojną atmosferę. Za oknami sięgającymi od sufitu do podłogi przejaśniło się niebo; księżyc w pełni wyglądał zza wysoko zawieszonych postrzępionych chmur. Dave uniósł wzrok i spostrzegł Lizę. Poklepał miejsce na kanapie obok siebie.

Wziął kieliszki i podał jeden Lizie, kiedy usiadła. — Za szczęście — rzekł, wznosząc toast.

— Za przyjaźń.

— Za wieczną przyjaźń.

Kiedy pili koniak, nie przestawał patrzeć w jej twarz. Spoglądał przenikliwym wzrokiem. — Mimo że tyle przeszłaś, wyglądasz pięknie.

Spojrzała w bok. Jej mama zwykła mawiać: „Kiedy czujesz się zażenowana komplementami, po prostu podziękuj”.

— Dziękuję. — Zakręciła koniakiem w kieliszku, obserwowała, jak odbijają się w nim płomienie. — Każdy by dobrze wyglądał w tym szlafroku. — Zastanawiała się, ile innych kobiet go wkładało. Uznała, że kilka. Był mężczyzną, a nie mnichem. Rozwiódł się co najmniej pięć lat temu.

— Nie każdy. — Dave wypił kolejny łyk. Jakby wyczuł, że jest zmieszana, zmienił temat rozmowy. Poruszył sprawę włamania: — Czy policja ma jakieś wskazówki?

Patrzyła na płomienie, próbowała odzyskać spokój. — Myślę, że niewiele mogą zrobić, chyba że kamery zarejestrowały tego włamywacza.

— Jak, do diabła, dostał się do budynku?

— Miał klucz albo ktoś go wpuścił.

— Wygląda, że czegoś szukał.

— Aha. Doszłam do takiego samego wniosku. Odniosłam też wrażenie, że policjanci tak samo pomyśleli.

— Powiedzieli to?

Liza wypła duży łyk, usiłowała szybciej się uspokoić. — Nie, ale chyba podejrzewali, że coś ukryłam. Było oczywiste, że ten intruz miał klucze do budynku i do mojego mieszkania. — Wpatrywała się w bursztynowy płyn w kieliszku. — W każdym razie zachowywali się tak, jak w przypadku innych włamań. Zadawali typowe pytania.



— A domyślasz się, czego mógł szukać włamywacz? Zastanawiała się nad odpowiedzią, postanowiła, że niczego nie będzie ukrywała.

— Chyba tak.

Postawił kieliszek na stoliku i pytająco uniósł brwi. Czekał.

— Dziwnej kartki z nutami, którą ktoś dla mnie zostawił w kościele, w niedzielę, kiedy zginął Nate. Myślę, że to on.

— Kartki z nutami? — Wychylił się w jej stronę z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

Opowiedziała mu, że Nate był okropnie zestresowany i chciał z nią porozmawiać, zanim ona odda ocenę jego pracy Hawkowi. Sądziła, że chciał ją ostrzec. — Teraz zastanawiam się, czy był przerażony i ta muzyka miała jakieś odniesienie do jego sytuacji...

— Liza, to szaleństwo. Jakie znaczenie mogłaby mieć dla niego ta bezsensowna muzyka?

— Nie wiem. Może miała coś wspólnego z jego pracą?

— Niemożliwe. Wiedziałbym coś o tym. W laboratorium nic nie dzieje się bez mojej wiedzy.

— Nic?

Wziął jej kieliszek i postawił obok swojego. Potem chwycił jej dłonie i delikatnie masował. — Brązowe Oczy, niezależnie jaka to muzyka, Nate jej nie napisał...

Nie uwierzył jej. Tak jak wszyscy. Nawet w jej uszach brzmiało to niewiarygodnie. Brak dowodów, że kartka z nutami pochodzi od Nate'a albo ma związek z korespondencją, którą widziała w Internecie, napomniała się. Nie ma nic, co mogłoby wyjaśnić ostatnie incydenty albo rozproszyć jej podejrzenia. Ta dziwna muzyka może być żartem któregoś z parafian, a

włamanie do jej mieszkania to przypadek. Westchnęła. Jutro, kiedy poczuje się bardziej pewna siebie, będzie miała dużo czasu, by zastanowić się nad sytuacją.

— Bardzo ci współczuję, że coś takiego się zdarzyło. — Dave przyciągnął ją bliżej. Jej głowa *spoczęła* na jego ramieniu, podczas gdy *on* głaskał ją po plecach. — Nie powinno cię to spotkać. Najpierw śmierć Nate'a, Alice, a potem kradzież lalek twojej siostry. — Zatrzymał dłoń. — Czy to możliwe, że dzisiejsze włamanie ma związek z lalkami? Ktoś cię śledził i czekał na okazję, żeby przeszukać twoje mieszkanie.

— Nie sędzę. Do czego komuś potrzebne by były lalki?

— Kto wie? Pełno jest różnych wariatów.

Liza obserwowała płomienie migoczące w ciemnym pokoju. Znow była bliska łez. Co się z nią dzieje? Nigdy wcześniej nie czuła się tak marnie, nie była tak sponiewierana, jakby wszystkie tłumione do tej pory lęki wyrwały się jej spod kontroli. Jej emocje były w jeszcze większym nieładzie niż jej mieszkanie.

— Dobrze się czujesz?

Przytaknęła. Wiedziała, że powinna pójść do łóżka. Jednak nie chcąc pokazać, jak bliska jest załamania, odwróciła twarz.

— Nieprawda — rzekł delikatnie i zmienił pozycję, by unieść jej podbródek.

Zamknęła oczy, pragnęła odzyskać godność, możliwość mówienia normalnym głosem.

— Och, moja Liza. Nie krepuj się, zapłacz. Pozbądź się tego. Tutaj jesteś bezpieczna.

— Już płakałam. — Głęboko odetchnęła. — Nie chcę znów płakać.  
Potem jednak zapłakała.

Przytulił ją mocniej. Szeptał kojące słówka. Po chwili poprowadził ją do łóżka, ale nie do pokoju gościnnego, tylko do swojego apartamentu, który znajdował się w części domu sąsiadującej z parkiem Discovery.

Mimochodem odnotowała przepych w jego sypialni. Zbyt wyczerpana, by protestować, pozwoliła zdjąć mu z siebie szlafrok i położyć do łóżka.

— Kochanie, nie denerwuj się — rzekł łagodnie. — Nie będę cię uwodził. — Pocałował ją. Jego usta długo nie odrywały się od jej warg. — Zostawimy to, aż pora będzie odpowiedniejsza. Teraz musisz się wyspać.

Koniak zaczął działać. Prawie nie słyszała, jak zamyka dom. Zasypiała, kiedy położył się do łóżka obok niej. Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ufam mu, pomyślała. Była to ostatnia myśl, którą zapamiętała przed zaśnięciem.

Kiedy się przebudziła, przez chwilę była zdezorientowana. Potem przypomniała sobie Dave'a, jego dom, jego łóżko. Uśmiechnęła się w ciemności, słuchała jednostajnego oddechu Dave'a. Sytuacja wydawała się cokolwiek dziwna. Wspólne łóżko i żadnego seksu. Jak brat i siostra. Nie, inaczej, między nimi coś iskrzyło, ale na razie nie była gotowa, by się tym zajmować.

Przez okna obserwowowała chmury pędzące po czystym niebie, niedawno omytym przez deszcz. Wysoko wiszący księżyc oświeślał srebrzystym blaskiem Cieśninę Pugeta i pokój. Wiatr dzwonił rynkami, uderzał gałęziami o ścianę budynku i szumiał między wiecznie zielonymi drzewami znajdującego się obok parku Discovery. Liza starała się nie myśleć o nadchodzącym dniu. Zamiast tego liczyła gwiazdy, które

wyglądały zza chmur snujących się po niebie niczym wiszący bluszcz.

*Spróbuj jutro wieczorem.*

Nagle przypomniała sobie o internetowej rozmowie między Kometą i Wężojadem. Usiadłaby na łóżku, ale Dave spał obok niej. „Jutro wieczorem” to był dzisiejszy wieczór.

Liza obudziła się, kiedy Dave z kubkami parującej kawy usiadł na łóżku obok niej. Był nienagannie ubrany w szare spodnie i elegancką koszulę. Gotowy do wyjścia do pracy.

— Witamy z powrotem, Śpiąca Królowno.

Oparła się na łokciu i palcami odgarnęła włosy do tyłu. — Zaspałam?  
— spytała z uśmiechem.

Jego zielone oczy zamigotały. — Dochodzi dziewiąta. Przed wyjściem chciałem ci powiedzieć do widzenia. — Podał jej filiżankę. — Jak wypijemy kawę.

— Dziewiąta! Z reguły jesteś w pracy przed siódmą. Mogę pić kawę, jak się będę ubierała. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

— Nie musisz się spieszyć. Możesz się znów położyć spać, wziąć prysznic albo robić co innego po moim wyjściu. Wyjdiesz, kiedy będziesz chciała. Drzwi do garażu zamkną się za tobą automatycznie.

— Są tam czujniki?

— Aha.

Czy będzie czuła się swobodnie sama w jego domu? Wydawało się to zbyt intymne. Dave był opiekuńczym, atrakcyjnym mężczyzną, ale dokąd ich przyjaźń mogła zaprowadzić? Odpreż się, powiedziała sobie. Dave, nie wywierał na niej presji. Nie powinna szukać żadnych podtekstów, choć on jasno przedstawiał swoje zamiary.

- Mhm — mruknęła. — Doskonała kawa.

— Starbucks.

— Nic dziwnego, że mi smakuje.

Podczas pogawędki pił kawę, a potem odstawił filiżankę na stolik nocny. — Liza, chciałbym cię o coś poprosić. Czekala.

- Masz komórkę przy sobie?

Przytaknęła.

— Obiecuj, że zadzwonisz do Joego, zanim stąd wyjedziesz. Powiedz mu, że za pół godziny przyjedziesz do domu. Potem znów zadzwoń do niego, kiedy dotrzesz do alei Borena, żeby czekał przy drzwiach garażu i mógł cię odprowadzić do mieszkania.

— Czy to konieczne środki ostrożności?

— Niestety tak. Przynajmniej w najbliższym czasie.

— Sama zamierzałam tak postąpić, ale jestem wdzięczna ci za troskę bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. — Wyrzała przez okno, zobaczyła, że jest to jeden z tych wyjątkowych dni na Północnym Zachodzie — słońce, wiatr i zimno. Może ładna pogoda podniesie ją na duchu.

— Pewnie chcesz odwołać wspólny obiad jutro wieczorem? Skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu. — Proszę tylko o przełożenie terminu...

— Zadzwonię później, jakbyś miała ochotę na pizzę w domu.

Skończyli pić kawę. Liza wstała, nałożyła na siebie zielony szlafrok

i z przejścia między kuchnią a garażem obserwowała, jak Dave odjeżdża. Potem posłała łóżko, wzięła prysznic i ubrała się w dzinsy i sweter. Pijąc drugą kawę, zrobiła szybki makijaż. Niepokoila się myślą o powrocie do mieszkania i czekającym ją sprzątaniu.

Kiedy wyjechała z domu, ze względu na jaskrawe słońce sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne. Droga ciągnęła się wzdłuż wysokiego płotu okalającego park Discovery. Zwolniła, dojeżdżając do wjazdu na parking przy parku.

Pod wpływem impulsu skręciła tam i zatrzymała się w miejscu, z którego rozciągał się widok na porośnięte trawą zbocze, które kończyło się urwiskiem nad Cieśniną Pugeta. W oddali zielone tajemnicze wyspy zdawały się leżeć niemal u podnóża ośnieżonych szczytów Gór Olimpijskich. Za nimi wisiały olbrzymie oświetlone słońcem chmury, wyglądające jak olbrzymia fala, która za chwilę rozbije się o brzeg. Tworzyły ciągle zmieniające się obrazy. Przed południem będzie padał z nich deszcz, ale teraz dawały fascynujący spektakl.

Obok Lizy parkowało kilka samochodów. Ich kierowcy albo biegali, albo spacerowali z psami. Na ławce siedziało kilka starszych kobiet, korzystały z chwilowej zmiany pogody.

Liza wysiadła z auta. Żałowała, że nie ma przy sobie kurtki. Zamiast niej włożyła płaszcz przeciwdeszczowy. Z bagażnika wzięła buty sportowe i je włożyła. Potem zamknęła miatę na kluczyk, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w kierunku pustej ławki stojącej w połowie stoku.

Rzeźkie powietrze powinno wywiać moje myśli, stwierdziła, wkładając skórkowe rękawiczki. Chociaż spacer nad urwiskami sprawiłby jej przyjemność, doszła tylko do ławki. Miała zbyt dużo do zrobienia, żeby na dłużej tu zostać.

Między chłodnymi powiewami wiatru słońce ogrzewało jej twarz. Obserwowała stada mew wykorzystujących podczas lotu prądy powietrzne, a potem patrzyła na chłopca próbującego poderwać latawiec z ziemi.

Poczuła się odprężona. Usiadła głębiej na ławce, oparła się i zamknęła oczy. Przez chwilę myślała tylko o przyjemnych rzeczach. Czuła się bezpieczna — park był pełen ludzi...

Nagle odzyskała poczucie rzeczywistości. — Wielki Boże! — krzyknęła, spojrzawszy na zegarek. — Przysnęłam.

Zerwała się na równe nogi. Pół godziny temu zadzwoniła do Joego z domu Dave'a. Będzie się niepokoił, co się z nią stało.

Słońce zaszło za ciemniejące chmury, a teraz latawiec puszczał jakiś mężczyzna. Ojciec pokazuje synowi, jak to robić, pomyślała i ruszyła w stronę samochodu. W parku zrobiło się pusto, ludzie uciekli przed zbliżającym się deszczem.

Z początku nie zwracała większej uwagi na mężczyznę biegnącego pod górę, w jej kierunku, ciągnącego za sobą latawiec. -Dopiero krzyk chłopca kazał się jej zatrzymać i spojrzeć za siebie.

— Proszę pana! Niech pan mi odda latawiec!

Mężczyzna był coraz bliżej. Kiedy na niego spojrzała, puścił linkę i pozwolił, by latawiec unosił się swobodnie. Biegł coraz szybciej.

Liza wpadła w panikę. Miał na sobie zbyt obszerny czarny płaszcz, który sięgał mu do kostek, założył lustrzane okulary, a na jego głowie piętrzyła się szopa kręconych włosów, przypuszczalnie peruka.

Na chwilę Liza zamarła, przypatrywała się, jak maleje odległość między nimi.

Potem adrenalina dotarła do jej mózgu. Sama zaczęła biec, niemal nie dotykając ziemi. Jej oddech stał się krótki, urywany. Kiedy dobiegła do parkingu, pozostały na nim tylko dwa samochody. Po chwili już ruszała swoim.

Znalazłszy się kilka przecznic od parkingu, Liza drżącymi palcami wybrała numer do Joego. Czy ten mężczyzna puszczający latawiec rzeczywiście ją ścigał?

Kim był? Nie miała pojęcia.

RS



## *Rozdział 20*

Joe czekał na Lizę przy drzwiach garażu i odprowadził ją do mieszkania, gdzie na korytarzu przywitała ich Bella. Gdyby nie bałagan, wszystko wyglądałoby normalnie.

Nie rozmyślaj o tym, poinstruowała się. Po prostu zacznij robotę.

Zrobiła kawę, by ją pić podczas sprzątania. Joe wrócił z narzędziami, miał zamiar zmienić zapadkę w zamku. Kiedy skończył, dał jej nowe klucze. — Upewniłem się, że tylko ja mam klucz uniwersalny, którym można otworzyć pani drzwi. Jednak proszę pamiętać, co powiedział policjant. Dopóki się nie dowiemy, skąd włamywacz wziął klucz, musi pani być ostrożna. Proszę zamykać się na łańcuch.

— Zainstaluję alarm. — Liza zdecydowała o tym dziś rano. Kiedyś w swoim mieszkaniu czuła się bezpieczna. Ale co z powrotami do domu? Ktoś może na nią tu czekać,

— W poniedziałek powinienem wiedzieć, co znaleźli na taśmach z kamery bezpieczeństwa. Zaraz dam pani znać. Mam numer telefonu do pracy. Mogę tam dzwonić?

— Oczywiście. Natychmiast, jak dostanie pan telefon z policji. Skinął głową i wyszedł. Szybko zamknęła drzwi na wszystkie zamki.

Sprzątając, słuchała wesołej muzyki. Z całych sił unikała myślenia o parku Discovery i o tym, że ktoś ją gonił. Może powinna kupić broń. Następnym razem, gdy ktoś będzie ją ścigał, nie ucieknie i dowie się, co się dzieje i dlaczego.

Nic dobrego jednak z tego nie wyniknie, orzekła w myślach. Jeśli ten człowiek ją zaatakuje i zostanie zmuszona do obrony, czy będzie strzelała?

Zacząła szybciej odkurzać. Skończy zastrzelona z własnego pistoletu. Nie zabiłaby muchy... i nienawidzi broni.

Pod koniec dnia Liza była wyczerpana, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Chociaż nie skończyła jeszcze porządków, to dużo zrobiła. Największym problemem było pranie. Zauważyła, że pierze wszystko: pościel aż do materaca, serwetki, ręczniki z łazienki — wszystko, czego ON mógł dotykać. Ciekawiło ją, ile czasu będzie musiała poświęcić, by oczyścić swój umysł ze wspomnień o włamaniu. Podejrzewała, że długo to będzie trwało.

Kiedy Dave zadzwonił, by ponowić propozycję wspólnego zjedzenia pizzy, odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem. — Cieszę się, że Joe zmienił zamek — rzekł. Na chwilę zapadła cisza. — Nie potrzebujesz towarzystwa?

— Gdybym potrzebowała, to na pewno byłbyś ty — odparła uprzejmie. Przypomniała mu, że wcześniej czy później będzie musiała sama zostawać w domu. Podziękowała za pomoc, zapewniła go, że mieszkanie jest bezpieczne i dodała, że wcześniej idzie spać.

Potem położyła się do łóżka i o dziwo spała bez przerw, aż następnego dnia rano obudził ją dzwoniący telefon. Chwyciła słuchawkę telefonu stojącego na stoliku nocnym. Ledwo zdążyła się odezwać, kiedy usłyszała głos Jean.

— Liza, nie śpisz?

Spojrzała na zegarek. Siódma. — Właśnie wstaję.

— Myślałam, że przygotowujesz się do wyjścia do kościoła.

— Msza jest dopiero o jedenastej... — Stało się coś złego; Liza słyszała to w głosie siostry. Usiadła na łóżku i zsunęła z siebie kołdrę. —

Poza tym dziś nie gram w kościele. Jeden z nowo nawróconych przez pastora parafian był kiedyś pianistą i będzie mnie zastępował.

— To dobrze. — W słuchawce rozległo się westchnienie ulgi. —  
Zatem masz czas, żeby porozmawiać.

— Co się stało?

— Hm, nie wiem, czy to ważne. Może to po prostu przypadek.

— Jean, jesteś zdenerwowana. Wydarzyło się coś złego. Powiedz, co...

Nie poinformowała Jean o włamaniu, zamierzała zadzwonić do niej, kiedy stłumi w sobie chęć do płaczu. Jean, która zamartwiała się z byle powodu, nie potrzebowała kolejnych kłopotów. Nalegałaby, żeby Liza zamieszkała u nich, dopóki nie będzie wiadomo, co się dzieje.

Ale kiedy to nastąpi? — Liza zadała sobie pytanie. Przez ostatni rok znajdowała się na huśtawce nastrojów. Teraz ten niepokój przekształcił się w niesłabnące, trwałe przerażenie.

— Wczoraj ktoś włamał się do naszego domu, kiedy nas nie było.

— Co?! — Liza wyciągnęła nogi spod kołdry i usiadła na brzegu łóżka.

— Ciągle nie mogę w to uwierzyć — rzekła Jean. — Nigdy wcześniej to nam się nie zdarzyło.

— Czy są jakieś zniszczenia w domu? Coś zginęło?

— Nic, dzięki alarmowi. Włączył się i wypłoszył tę mendę. Sąsiedzi mówili, że policja przyjechała po pięciu minutach.

Na długo zapadła cisza.

— Liza, jesteś tam?

— Tak.

— Wszystko w porządku? Przepraszam, że cię zdenerwowałam, ale...

— Jean — przerwała jej Liza — w piątek wieczorem też miałam włamanie. — Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. — Drzwi nie zostały wyłamane. Ktoś miał klucz.

W słuchawce dało się słyszeć, że Jean wciągnęła powietrze do płuc. — Jakie skutki?

Liza wszystko jej zrelacjonowała, dodała, że zawiadomiła policję. — Nic nie zginęło, ale mieszkanie jest kompletnie zdemolowane.

— Dlaczego do nas nie zadzwoniłaś?! Nie powinnaś tam sama zostawać.

— Noc z piątku na sobotę spędziłam u Dave'a. Wczoraj rano dozorca zmienił zamki, a w poniedziałek lub we wtorek każe zainstalować alarm.

— Mój Boże, co się dzieje? — Głos Jean drżał. — Prawdopodobnie to głupie pytanie, ale czy nie sądzisz, że ktoś szukał następnych lalek?

— Ja też tak pomyślałam, ale to nie ma sensu. Co komu po lalkach?

— Właśnie nad tym się zastanawiałam od czasu, gdy ktoś ukradł je z vana — stwierdziła smutno Jean. — To nie wygląda na przypadek, że prawie jednocześnie włamano się do naszych mieszkań. Poza tym, że jesteśmy siostrami, chyba tylko lalki mogą łączyć te dwa włamania?

— Nie wiem. Może nie ma żadnego związku.

Czy tak jest rzeczywiście? — zastanawiała się Liza, kiedy słuchała o obawach Jean. Nie miała zamiaru jeszcze bardziej jej niepokoić, mówiąc o wszystkim, co ostatnio się wydarzyło. Poza śmiercią Alice i Nate'a nie wiedziała o innych zdarzeniach. Jean w swojej bujnej wyobraźni tworzyłaby różne wyjaśnienia i mogłaby się rozchorować z niepokoju o bezpieczeństwo Lizy.

Ponadto — przekonywała się Liza — jaki mógłby być związek między lalkami a muzyką Nate'a. Jeśli to była muzyka. Albo ze zwolnieniami w International Air, czy też ludźmi, którzy zginęli w wypadkach.

Może nie ma żadnego związku, tylko ona podejrzewa nieistniejący spisek...

Rozmawiały jeszcze kilka minut. Po obietnicy, że natychmiast zadzwoni, jak się coś wydarzy, Liza odwiesiła słuchawkę.

Ale jeśli istniał spisek, dlaczego ona padła jego ofiarą? A teraz Jean? To był bardzo niebezpieczny rebus.

Następnego dnia rano Liza zamówiła system alarmowy, a potem zadzwoniła do Joego. Chciała, żeby po południu umożliwił fachowcom obejrzenie mieszkania i dowiedział się o cenę. Była pół godziny spóźniona do pracy.

W gabinecie powiesiła płaszcz, położyła na biurku aktówkę i torebkę i szybko poszła do toalety. Kiedy wróciła, zamarła, spojrzawszy na biurko. Czy ktoś ruszał jej aktówkę? Rozejrzała się wokół. Kogo spodziewała się zobaczyć? Zjawę? Włamywacza, który dostał się do jej mieszkania? Złodzieja lalek?

To więcej niż paranoja, Lizo MacDonough. Weź się w garść. Nikt nie ruszał twojej aktówki.

Jednak rozpoczęła pracę niespokojna. Coś się działo wokół niej, ktoś jej groził swoją złowieszczą obecnością. Potrzebowała czasu, by w spokoju się zastanowić. Musiała coś przeoczyć. Ale co? Może powinna wynająć Steve'a Wendalla, by zbadał jej życie. Przez okno patrzyła na kolejny ponury poranek. Ostatnio historia jej życia nie znajdowała się na pierwszym

planie. Powinna do niego zadzwonić. Zagłębiona w myślach nie usłyszała, jak otwierają się drzwi.

Aż podskoczyła, kiedy do gabinetu wszedł detektyw Barnes. —  
Przepraszam, że panią przestraszyłem.

— Ostatnio łatwo mnie wystraszyć — rzekła, obchodząc biurko. —  
Planety muszą znajdować się w złej dla mnie konfiguracji.

Jej żart trafił w próżnię. Na twarzy detektywa Barnes'a nie pojawił się żaden uśmiech. Może jest tak posepny, na jakiego wygląda, pomyślała. Ponury człowiek uprawiający ponurą profesję.

Ramiona jego płaszcz przeciwdeszczowy były przemoczone, a ciemne kręcone włosy lśniły mu od deszczu. — Mogę usiąść? — spytał. — Zerwała się ulewa i musiałem biec. Jestem wypompowany. Zaparkowałem cztery przecznice stąd. — Mówił równie szybko jak poprzednio.

— Proszę. Powiesić pana płaszcz?

Pokręcił głową. — Wpadłem na krótko. Chciałem zamienić tylko kilka słów i dowiedzieć się, co się dzieje.

Wróciła do krzesła i usiadła. Zastanawiała się, o czym mówi. Może ma nowe informacje o Nacie i Alice?

— Dowiedziałem się, że miała pani włamanie do mieszkania. —  
Odchylił się i skrzyżował nogi w kostkach.

Jego słowa zaskoczyły ją. Był detektywem z wydziału kryminalnego, a nie dzielnicowym. — Włamania to chyba nie pana specjalność... — Ich spojrzenia się spotkały. Ona patrzyła pytająco, natomiast jego oczy pozostały obojętne. — Skąd pan to wie?

— Wszystko jest w komputerze. — Zamilkł na chwilę. — Jak rozumiem, niczego nie ukradziono.

— Nie, ale mieszkanie zostało całkowicie zdemolowane.

— Aha. Ma pani mieszkanie w strzeżonym budynku, prawda?

Przytaknęła. — Zbudowano go trzynaście lat temu i to dopiero drugie włamanie. — Nie dodała, że pierwsze też było do jej mieszkania, rok temu.

— Może mi pani opowiedzieć, co się wydarzyło?

— Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jak zapytam, dlaczego chce pan to wiedzieć?

— Absolutnie nie. — Wyprostował się na krześle. — Zawsze kontynuuję dochodzenie, gdy pojawiają się nowe fakty.

Jego odpowiedź jest zbyt ogólnikowa, powiedziała Liza do siebie. Coś więcej kryje się za tą jego wizytą. Jednak zdecydowała się wszystko opowiedzieć, nawet jeśli to brzmiało niepoważnie i chaotycznie. Co miała do stracenia? Może nadszedł czas, żeby *na wszelki wypadek* o wszystkim poinformować. Jaki wypadek? Gdyby była następna na liście tego upiora?

Powiedziała detektywowi, jak wróciła do domu i zobaczyła, że jej mieszkanie zostało zdemolowane. Dodała, że kazała zmienić zamki

I zamówiła system alarmowy. Skończyła, mówiąc o kartce z nutami, którą zostawiono dla niej w kościele misyjnym. — Nate miał się wtedy rano ze mną spotkać, ale się nie pojawił... Przypuszczam, że to on mógł zostawić tę kartkę.

— Nie było żadnego nazwiska na kopercie? — Kiedy Liza zaczęła opowiadać, wyjął pióro i notatnik, w którym coś zapisywał. Teraz uniósł wzrok.

Pokręciła głową. — Tylko moje.

— Więc pani sądzi, że ten wandal szukał kartki z nutami?



— Tak — odparła, wytrzymując jego spojrzenie. Nie onieśmiewała jej jego szorstkie zachowanie.

— Znalazł ją?

— Nie, dobrze ją schowałam.

— Może pani wyjaśnić, dlaczego pani zdaniem te nuty napisał Nate?

— To musi chwilę potrwać.

— Mam czas. A pani? Wiem, że pani jest zajęta osobą. Spojrzała na zegarek. — Dam radę.

Zsunął z siebie płaszcz przeciwdeszczowy, który opadł na oparcie krzesła. — Więc niech pani szybko opowiada.

— Niektóre sprawy dotyczą International Air i muszą pozostać poufne, bo stracę pracę.

— Wszystko, co pani powie, pozostanie między nami. — Wahanie. — Czy pani zdaje sobie sprawę, że Nate nie ma już praw do prywatności?

— Bo nie żyje?

— Właśnie. — Odgarnął mokre włosy z czoła, usadowił się wygodnie i czekał.

Zaczęła od swoich podejrzeń, że coś jest nie w porządku z procedurą zwalniania pracowników, bo skarżyli się na to jej kliencie. Wspomniała o ocenie pracy Nate'a, o jego zdenerwowaniu i o tym, że Alice zamierzała się jej zwierzyć z jakichś problemów. Potem w chronologicznym porządku zrelacjonowała wszystkie incydenty, które się jej przytrafiły, począwszy od włamania do samochodu i dwukrotnego spotkania z mężczyzną, który ją gonił, aż po fakt, że ktoś wszedł do jej mieszkania, otwierając drzwi kluczem.



Uniosła wzrok. Detektyw stuknął palcem w kolano i wpatrywał się w notatnik. Zastanawiała się, co on teraz myśli... że jest jakimś dziwadłem, histeryczką ze zbyt bujną wyobraźnią?

Na długo zapadła cisza, kiedy pisał. Spojrzał przed siebie i wtedy Liza zauważyła, że na jego twarzy odbiły się jakieś emocje. Niepokój czy niedowierzenie? Zanim zdążyła je odczytać, przybrał profesjonalny wyraz twarzy. — To wszystko?

— Chyba tak. — Spostrzegła, że okręca wokół palca kosmyk włosów. Przestała. Dlaczego to jest takie ważne, żeby jej uwierzył? Ponieważ sama zaczęła wątpić w swoją wiarygodność?

— Proszę mi opowiedzieć o tych lalkach.

Szeroko otworzyła oczy. *Zapomniała o nich*, ale on widocznie się o tym dowiedział. Liza opowiedziała. — Znaleźli je następnego dnia na parkingu przy szpitalu. — Szybko zamrugła powiekami, próbując powstrzymać łzy. — Były zniszczone.

Kolejne przelotne uczucie na jego twarzy. — Zespół Lalkarski Pugeta to przedsięwzięcie pani siostry?

Przytaknęła; nie ufała swojemu głosowi.

Uciekł ze wzrokiem, dał jej czas, by zebrała się w sobie.

— W sobotę wieczorem ktoś włamał się do domu mojej siostry, ale zadziałał alarm — rzekła w końcu.

— Jezu! Żartuje pani.

Widząc jego zaskoczenie, uznała, że tego nie wiedział. Spytał o nazwisko Jean i o adres. Zapisał je w notatniku. Potem uniósł wzrok.

— Czy mogłaby pani opisać tego mężczyznę w alejce? Pokręciła głową. — Ukrywał się w ciemnościach, ale odniosłam wrażenie, że to jakiś włóczęga.

— A ten facet na placu Pioniera?

— Był ubrany w długi czarny płaszcz i miał duży parasol. Mocno wtedy padało. — Przerwała, próbując przywołać z pamięci obraz tego mężczyzny. — Ze względu na płaszcz nie wiem, czy był gruby, czy chudy. Nie widziałam jego twarzy. Kiedy zbliżył się do mnie, zaczęłam uciekać i żeby nie tracić czasu, nie oglądałam się na siebie.

— A mężczyzna puszczający latawiec w parku Discovery?

— Jemu lepiej się przyjrzałam. Znow włożył zbyt obszerny płaszcz. Założył okulary lustrzane. Miał długie, czarne, skrecone włosy. Myślę, że to peruka. Bliżej wyglądał jak postać z filmów o Halloween.

— Więc pani uważa, że mężczyzna z placu Pioniera i ten facet w parku Discovery to jedna i ta sama osoba. — Było to stwierdzenie.

Liza opuściła wzrok na swoje splątane dłonie spoczywające na biurku. — Tak — odparła stanowczo.

— Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

Zagryzła dolną wargę, próbowała przybrać swoje uczucia w słowa. — Nie jestem tego pewna, po prostu tak mi się wydaje.

— Kobieca intuicja? — spytał, uśmiechając się przelotnie.

— Chyba tak. — Odpowiedziała na jego uśmiech. Na moment złagodniał mu surowy wyraz twarzy. W innej sytuacji uznałaby go za atrakcyjnego mężczyznę.

Minęła kolejna chwila ciszy.

— Pani mąż znikł ponad rok temu — rzekł. Znów ją zaskoczył zmianą tematu. — Czy pani sądzi, że mógł w jakiś sposób być związany z...

— Oczywiście, że nie — przerwała mu. Nie miała zamiaru przyznawać się, że to samo przyszło jej do głowy. — Skąd pan wie o Martinie?

Uniósł dłonie w geście poddania. — Informacja o nim pojawiła się, gdy przeglądałem bank komputerowy Centrum Informacji Kryminalnej stanu Washington. Prowadziłem zwykle poszukiwania. Chciałem wyjaśnić tło pani związków z wypadkami, w których zginęli Nate Garret i Alice Emery.

— Sprawdzał mnie pan? — spytała ostro. — Nie złamałam żadnego prawa, a oba przypadki śmierci uznano za zbieg okoliczności.

— Taka jest procedura. Obie osoby miały się z panią spotkać, kiedy zginęły.

— Ale co ma do tego sprawa Martina? To moje prywatne życie. — Próbowала kontrolować swoje zdenerwowanie. — Martin nie znał ani Alice, ani Nate'a.

— Żyjemy teraz w świecie komputerów. — Wyglądał na skruszonego. — Bank danych to wspaniałe narzędzie, które pozwala układać pozornie beznadziejne układanki. Do bazy wprowadza się zarówno informacje o ofiarach, przestępcach, jak i wnoszących skargi. Wszystkie incydenty, wydarzenia związane z jedną z tych osób pojawiają się na tym samym wydruku.

— I Martin pojawił się w związku ze mną?

— Aha. Jego sprawa wciąż jest otwarta. Na krótko zapadła cisza.

— Martin pracował w laboratorium komputerowym — rzekła niepewnie. — Jednak pracował na niższym stanowisku niż Nate i chyba nawet się nigdy nie spotkali. Martin żył muzyką, a nie komputerami. Pracował tu tylko dla pieniędzy.

Detektyw Barnes przyglądał się czubkowi swojego przemoczonego buta. — Wiem.

— Co jeszcze pan wie, detektywie Barnes? Czy policja ma jakieś nowe wskazówki co do miejsca pobytu Martina?

Rozłożył ręce. — Przepraszam, ale nie szukałem takich informacji. Znowu pauza.

Odsunęła krzesło i wstała. — Skoro odpowiedziałam na wszystkie pana pytania, wróć do pracy... — Uznała, że on nie powinien wiedzieć, jak bardzo przeżywa zniknięcie Martina.

— Jeszcze jedno — wtrącił. Też wstał. — Czy mogę obejrzeć teczkę Nate'a?

— Wiem, że umarli nie mają praw, ale tateczka nie może opuścić mojego gabinetu. Mógłby pan ją tutaj obejrzeć?

— Oczywiście.

Podeszła do szafy. — Nie ma tego dużo: moje notatki i ocena jego stanu psychicznego. Brakuje danych personalnych.

Wziął teczkę i usiadł. Kiedy czytał, próbowała coś robić. Bez skutku. Jego obecność rozpraszała. W końcu zamknął teczkę i wstał.

— Typowe materiały — podsumował, marszcząc czoło. — Żadnej uwagi, co mogło być przyczyną jego stresu.

— Przypuszczam, że właśnie to zamierzał mi powiedzieć. Włożył płaszcz przeciwdeszczowy i ruszył w stronę drzwi. — Och, prawie

zapomniałem. — Odwrócił się do Lizy, jego spojrzenie znów stało się intensywne. — Chciałbym jeszcze zobaczyć tę kartkę z nutami. Ma ją pani ze sobą?

— W torebce. Trzymam ją tam od piątku, od czasu, gdy pojechałam na noc do przyjaciela.

Czekał.

Wyciągnęła torebkę spod biurka. Stojąc, otworzyła ją i przyjrzała się zawartości. Nie widziała kartki z nutami, którą włożyła do kieszonki z boku torebki. — Powinna tu być. Na pewno jej nie wyjmowałam.

Detektyw podszedł bliżej. — Może wsunęła się pod portfel.

Wysypała zawartość torebki na blat biurka. Ich spojrzenia się spotkały. — Nie mogła zginąć!

— Wygląda, że zginęła — rzekł. — Czy kiedykolwiek zostawiła pani tę torebkę tak, że ktoś mógł w niej grzebać?

— Nigdy! — Westchnęła ciężko. — Jedynie dzisiaj, zanim pan przyjechał. Poszłam do toalety. — Klapnęła na krzesło. Przypomniała sobie swoje podejrzenie, że ktoś ruszał jej rzeczy. Powiedziała o tym detektywowi. — Ale na pewno zobaczyłabym złodzieja. Wyszłam tylko na trzy minuty.

— Niekoniecznie. — Ponownie podszedł do drzwi. Położył rękę na gałce, ale się odwrócił. — Liza, proszę posłuchać... czy mogę mówić do pani Liza?

Przytaknęła. W tym momencie była zbyt zdenerwowana, żeby robić co innego.

— Proszę posłuchać — powtórzył. — Dopóki się nie dowiemy, co się dzieje, proszę uważać, być ostrożną. A gdyby pani znalazła tę kartkę z

nutami, proszę dzwonić. Niezależnie od tego będę w kontakcie. —

Detektyw Barnes wyszedł.

Wpatrywała się w zamknięte drzwi. Policjant zajmujący się zabójstwami troszczy się o jej bezpieczeństwo. Jego ostrzeżenie przestraszyło ją. Powinna uważać. Na kogo? Na stukniętego klienta? Na kogoś, kto nie chce, żeby dowiedziała się, co się dzieje w firmie? Na Martina?

Przede wszystkim, dlaczego przyszedł do niej ten Barnes? Nie było żadnego morderstwa. Jeśli ta wizyta nie miała nic wspólnego ze śmiercią Nate'a, to co oznaczała? Do jego obowiązków należy sprawdzanie pewnych faktów. Związanych ze mną? — zastanawiała się.

Dzwonek telefonu napełnił ją przerażeniem. Weź się w garść, nakazała sobie. Jesteś w pracy.

Po podniesieniu słuchawki mówiła prawie normalnie. Dzwonił dozorca Joe z informacjami, które dostał od policji. Kamera bezpieczeństwa nie zarejestrowała włamywacza, bo ktoś ją przekrzywił i skierował obiektyw na podłogę.

To jasne, pomyślała. Ten, który ją chciał przestraszyć, odniósł sukces. Gdyby nie była racjonalnie myślącą osobą, uwierzyłaby, że jej mieszkanie nawiedzają duchy.

Może właśnie tak jest, napomniała się. Tylko że w tym nie ma nic nadprzyrodzonego. Jej upiór jest żyjącym, oddychającym człowiekiem. Nie zamierzała jednak stać się jego kolejną ofiarą.

## Rozdział 21

Po wszystkich umówionych spotkaniach i uzupełnieniu teczek klientów Liza, zmęczona mijającym dniem, usiadła wygodnie na krześle. Późno przyjechała do pracy, a teraz zastanawiała się, czy nie wyjechać wcześniej. Do diabła, dlaczego nie? Dochodziła dopiero piąta, a na zewnątrz było już ciemno.

Już miała wychodzić, gdy zadzwonił telefon. Po podniesieniu słuchawki usłyszała głos dozorca z jej budynku.

— Liza, przepraszam, że ci znów zawracam głowę — rzekł.

Uśmiechnęła się. Przynajmniej jakaś satysfakcja w ostatnim czasie: po wielu próbach jest w końcu po imieniu z Joe i Naomi. Oboje są naprawdę przejęci jej bezpieczeństwem. — Mam ofertę z firmy instalującej alarmy i chcę, żebyś ją przejrzała — dokończył.

— Wspaniale. Przejrzę ją, kiedy wrócę do domu.

— Właśnie po to dzwonię. Chciałbym, żebyś zrobiła to jak najszybciej — rzekł. — Jeśli przystaniesz na tę ofertę, jutro rozpocznę pracę.

— Zamilkł na chwilę. — Technik z firmy jest teraz w moim biurze. Rozumie sytuację, zgodził się przesunąć inne terminy i szybko przystąpić do pracy.

Liza znów się uśmiechnęła. Wyobraziła sobie, jak Joe naciska, maluje przerażający scenariusz. Otrzeźwiała. *To był przerażający scenariusz.*

— Jak wygląda ta oferta?

Powiedział jej.

Zapadła cisza, gdy Liza w myślach przeliczała koszty. Po wysłaniu czeku Steve'owi Wendallowi na jej koncie zostało bardzo mało pieniędzy.

Dzień wypłaty był dopiero za tydzień. Będzie musiała skorzystać z karty kredytowej Visy. Usiadła, przytłoczona kłopotami finansowymi nie była w stanie stać. Musisz się zabezpieczyć, powiedziała do siebie. Nie masz wyboru.

— Powiedz mu, że skorzystam z oferty, jeśli zgodzi się na zapłatę Visą.

Słyszała, jak pyta technika. — Nie ma problemu. Mówi, że teraz wszyscy płacą za jego usługi kartami kredytowymi.

— To dobrze.

— Zostawi umowę do podpisania. Musisz też wpisać numer karty. Liza zawahała się. — Jak sądzisz, nie można było skorzystać z tańszej oferty?

— Nie. Później ci wyjaśnię dlaczego.

Liza przypuszczała, że nie chce o tym rozmawiać w obecności technika. — Okay, przyjmuję to, co powiedziałaś. — Chwila ciszy. — Dzięki, Joe, że mi pomogłeś.

— Ja po prostu wykonuję swoją pracę — odparł, ale ton jego głosu mówił, że jest zadowolony. — Zadzwoń do mnie, kiedy wyjedziesz z pracy. Będę czekał w garażu.

— Nie jadę prosto do domu. Po drodze wstąpię do siostry. — Znowu zamilkła. — Nie chcę ci przeszkadzać w wolnym czasie.

— Nie ma sprawy. Zadzwoń, jak już będziesz jechała do domu. — W słuchawce rozległ się krótki śmiech. — Naomi dałaby mi w skórę, gdybym nie zajął się tobą. Jest bardzo ofiarna w takich... skrajnych sytuacjach.



— Joe, jeszcze raz dziękuję. — Nie chciała, żeby to rozwijał. Wystarczyła wiedza, że ma Naomi po swojej stronie. — Zadzwoń, kiedy będę dojeżdżała.

Powoli odłożyła słuchawkę. Przez cały dzień od momentu wyjścia detektywa Barnesa wciąż przypominały się jej lalki. Jaką rolę odgrywają w tym, co się dzieje wokół niej? Myśli bez przerwy krążyły jej w głowie, ale nie doszła do żadnego wniosku, wiedziała jedynie, że chce uchronić ostatnią lalkę, którą pomagał wykonać Martin. Arlekin, drugorzędna postać w kilku przedstawieniach przygotowanych przez Jean, nie był teraz wykorzystywany. Jedynym bezpiecznym miejscem dla niego wydawało się jej mieszkanie po założeniu alarmu.

Liza zabrała swoje rzeczy i pospieszyła do samochodu. Wsiadając za kierownicę, zastanawiała się, dlaczego Dave nie odezwał się od soboty wieczorem. Może dobrze, w przeciwnym razie zawiodłaby go, odrzucając propozycję wspólnego zjedzenia pizzy. Ale to było do niego niepodobne, że nie zadzwonił.

Dojazd do ulicy Madisona zajął jej więcej czasu, niż myślała. Omal nie zarzuciła myśli o wizycie u siostry.

Nie, pomyślała. Potem mogłabyś żałować, gdyby coś się stało Arlekinowi.

Czekając na czerwonym świetle, zadzwoniła do Jean na telefon komórkowy. Powiedziała, że wpadnie do niej. Już miała się rozłączyć, gdy dotarło do niej pytanie zaniepokojonej Jean.

— Czy wszystko w porządku?

To pytanie stało się banałem w jej rodzinie. — Tak. Nic więcej się nie wydarzyło... Pogadamy, jak przyjadę.

— Jesteś jeszcze w pracy?

— Nie, jadę teraz ulicą Madisona. Będę za dziesięć minut.

— Czekam na ciebie.

Jean stała już w drzwiach, kiedy Liza wysiadła z samochodu i z powodu mżawki pobiegła do frontowej werandy. Spostrzegła, że Jean i Bill też wprowadzili kilka zmian. Przy garażu został postawiony reflektor, a wśród krzewów postawiono małe lampy ogrodowe, by oświetlały ciemne zakamarki ogrodu. Wszystkie pozostałe światła na zewnątrz też były zapalone.

— Bill je zainstalował — poinformowała Jean, widząc zainteresowanie Lizy. — Mają fotokomórki i włączają się automatycznie, gdy zapadnie zmrok.

Było nie do uwierzenia, że ona i siostra musiały instalować alarmy, dodatkowe światła i zamki, pomyślała Liza. Mocniej przytuliła siostrę. Odczuła ulgę, widząc, że Jean wygląda dobrze. Gdyby tylko mogły odkryć, co się dzieje.

Weszły do domu — prosto do kuchni, gdzie Liza odłożyła torebkę i powiesiła płaszcz na oparciu krzesła. Bez pytania Jean naląła do dwóch kieliszków chardonnay i jeden podała Lizie. Potem usiadła przy stole naprzeciw niej. — Dobrze nam zrobi — zachęciła, popijając wino.

Liza powiedziała, że jutro zostanie zainstalowany u niej alarm. Potem podzieliła się swoimi myślami o Arlekinie. — Mam dziwne przeczucie, że jeżeli coś stanie się tej lalce, Martin nie wróci.

Jean skinęła głową. — Na razie nie potrzebuję Arlekina i możesz przez jakiś czas mieć go u siebie. Liza, wiem, co czujesz. To jedyna ocalała lalka, którą Martin pomógł nam wykonać. — Zawahała się. — Po tych wszystkich

podjętych przez nas środkach ostrożności lalki są bezpieczne, zarówno u mnie, jak i u ciebie.

Liza wypła łyk wina, pozbyła się uścisku w gardle. Emocjonalnie znalazła się na krawędzi, targały nią sprzeczne uczucia. Nie wiedziała nawet, czy chciałaby, żeby Martin wrócił do niej, jeżeli żyje. Jednak musiała wiedzieć, czy uciekł, czy też wypadł z jachtu i utonął. Bez tej wiedzy jej przyszłość wydawała się bardzo niepewna i groźna.

— Lizzy, wszystko w porządku? — spytała łagodnie Jean.

— Jestem tylko trochę zdenerwowana. — Liza oparła się chęci opowiedzenia o rozmowie z detektywem Barnesem. Jean stałaby się tylko jeszcze bardziej zaniepokojona tym, co kryje się za wizytą siostry. Poza tym detektyw nie powiedział nic nowego. — Po dobrym śnie przejdzie mi.

Trochę porozmawiały, spekulowały na temat włamań i kradzieży lalek, ale nie doszły do żadnych wniosków. Liza skończyła pić wino i wstała. Jean zawinęła Arlekiną w papier, włożyła do torby na zakupy i dała Lizie. W milczeniu szły do frontowych drzwi.

— Możesz prowadzić? — spytała Jean.

— Tak, wypłam tylko kieliszek wina. Nic mi się nie stanie.

— Zadzwoń, jak dojedziesz do domu — dodała Jean, kiedy się uściskały na pożegnanie, już na werandzie.

Liza przytaknęła i pobiegła w deszczu do samochodu. Trąbiła klaksonem i machała ręką, wyjeżdżając z podjazdu. Arlekin leżał na siedzeniu obok niej. Kiedy zbliżała się do swojego domu, stawała się coraz bardziej nerwowa. Nawet szum kół o mokrą jezdnię ją ostrzegał — bądź ostrożna, bądź ostrożna. Wyjęła telefon komórkowy, by zadzwonić do Joego.

Po zamknięciu drzwi za Joem Liza zdjęła przemoczone buty, postawiła torbę sportową, którą wzięła z bagażnika samochodu, i powiesiła płaszcz w szafie. Potem zaniósła Arlekina do sypialni. Dłuższą chwilę patrzyła na jego pomarańczowo-czarne atlasowe ubranie, na jaskrawą twarz, na cekiny i frędzle. Wspominała, jak to było.

— Będziesz bezpieczny na moim łóżku — powiedziała do lalki i oparła ją o poduszki.

Po rozebraniu się Liza włożyła szlafrok i poszła do kuchni. Z zamrażarki wyjęła supę warzywną domowej roboty. Przełała ją do rondla i postawiła na małym ogniu. Idąc do łazienki, z torby sportowej wyjęła dresy i włożyła je do pralki. Włączyła ją. Czas wrócić do reżimu dnia, powiedziała do siebie. Czas wrócić do dawnego życia.

Napełniała wannę, kiedy przypomniała sobie o automatycznej sekretarce; zapomniała sprawdzić, czy ktoś nie zostawił dla niej informacji. Pospieszyła do gabinetu. Wcisnęła przycisk i usłyszała głos Dave'a. — Cześć, Brązowe Oczy. Szybko wyszłaś z pracy, a teraz nie ma ciebie w domu. Niech to diabli! — Roześmiał się. — Nic się nie stało, tylko jestem smutny, że będę musiał zjeść kolację bez ciebie. — Przerwa. — Żartowałem. Jutro zadzwonię do ciebie. Cześć.

Liza z uśmiechem weszła do kąpieli.

Krótko potem była w kuchni. Chciała nalać sobie zupy, gdy zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę jedną ręką, a drugą odstawiła rondel na kuchenkę.

— Halo.

— Liza, mówi Steve Wendall.

— Słucham. — Otworzyła piekarnik. Wyjęła z niego roladę, by jej nie przypalić. — Myślałam o tobie. Co się dzieje?

— Wsadziłem kij w mrowisko. — W tle rozległy się hałasy. Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. — Podjąłem pewne kroki.

— Co się stało?

Coś odpowiedział, ale nie mogła zrozumieć jego słów.

— Steve, słabo cię słychać.

— Przepraszam za złe połączenie. — Jego głos brzmiał trochę mocniej. — Jestem w centrum spadochronowym. Głośno gra orkiestra. Poza tym pracują silniki samolotów. — Przerwał. — Będziesz miała trochę czasu?

— Oczywiście. Zadzwońisz jeszcze raz?

— Nie, przyjadę do ciebie z najświeższymi wiadomościami.

Dokopałem się do pewnych informacji i chcę to z tobą przedyskutować, żeby wiedzieć, jak dalej postępować. Zgoda?

Rozmawiając, spacerowała. Sznur telefonu okręcił się jej wokół pasa.

— Oczywiście. Przyjedź.

— Zobaczymy się więc za godzinę.

— Steve, poczekaj! Nie rozłączaj się...

— Już prawie odłożyłem słuchawkę.

— Wiem, że mi wszystko wyjaśnisz, jak przyjedziesz, ale powiedz mi teraz krótko, o co chodzi. Czy Martin żyje?

Znowu hałasy i zakłócenia. Jego głos zaniknął. —... i Martin wplątał się w nielegalne interesy z tym facetem. Mam świadka, który widział tego człowieka na jachcie w czasie bożonarodzeniowego rejsu... — Jego słowa pojawiały się i zniknęły, jakby włączał i wyłączał telefon. W końcu

powiedział: — Pieprzone telefony. Liza, jak mnie słyszysz, to mówię, że się rozłączam. Będę możliwie jak najszybciej.

Rozległ się długi sygnał, sfrustrowana odłożyła słuchawkę.

Zjadła tylko trochę zupy. Straciła apetyt. Włożyła talerz i sztućce do zmywarki, a potem przeniosła mokre pranie z pralki do suszarki. Jednak nie mogła się pozbyć z myśli słów prywatnego detektywa. Czyżby Steve Wendall chciał powiedzieć, że Martin wplątał się w jakieś przestępcze interesy? Martin często wyjeżdżał wieczorami i w weekendy, latał albo bawił się ze swoją paczką.

Chwilę stała przy oknie zahipnotyzowana światłami miasta.

Wspominała Martina. Co roku przebierał się za Świętego Mikołaja w misji, pomagał przygotowywać przedstawienia lalkowe dla chorych dzieci, dawał charytatywne koncerty muzyczne. Jedyna nielegalna rzecz, którą robił, to palenie marihuany, ale przyznawał się do tego. Martin cenił uczciwość. Nigdy nie wplątałby się w jakieś kryminalne sprawy; Liza mogła za to ręczyć głową.

Pokręciła się po mieszkaniu. Podlała kwiaty i nakarmiła Bellę. Czekala na Steve'a Wendalla. Kim był mężczyzna, który zajmował się nielegalnymi interesami? Kimś, kogo znała?

Liza spojrzała na zegarek. Wendall dzwonił półtorej godziny temu. Gdzie, do diabła, się podziewa?

Brzęczyk poinformował ją, że wysuszyło się pranie w suszarce. Z powrotem włożyła dres do torby sportowej. W środku wciąż była butelka z wodą. Wyjęła ją, podeszła do zlewu i mimo że była prawie pełna, wylała jej zawartość. Woda musiała zatęchnąć; pachniała jak stare migdały. Miała

zamiar przepłukać i ponownie napełnić butelkę, ale jej ręka zatrzymała się na kranie. Liza wbiła wzrok w naklejony na dnie butelki pasek z inicjałami.

A. E. *To była butelka Alice!* Przez pomyłkę, tego wieczoru w saunie, zamieniła identyczne pojemniki. To wodę z jej butelki poddano analizie w *laboratorium!*

Upłynęło trochę czasu, zanim dotarło to do jej świadomości. Szybko pobiegła, żeby znaleźć torebkę, w której miała wizytówkę detektywa Barnes'a z numerem jego telefonu. Kiedy zadzwoniła, włączyła się poczta głosowa.

— Mówi Liza MacDonough — powiedziała i dodała, że stało się coś ważnego. — Proszę natychmiast do mnie zadzwonić. — Podała numer telefonu do domu i do pracy. Odłożyła słuchawkę.

Spojrzała na zegarek, minęły już prawie dwie godziny od telefonu Steve'a Wendalla. Niespokojna, usiadła przy pianinie, by przejrzeć utwory, które zamierzała zagrać w niedzielę.

Jednak jej myśli były wciąż przy skradzionej kartce z nutami. Ta nieharmonijna, dziwna muzyka zdawała się rozbrzmiewać w jej głowie. Zawsze potrafiła grać ze słuchu, odtwarzać utwory, które gdzieś raz usłyszała. Wielokrotnie przypominała sobie tę dziwną kompozycję.

Jednym palcem, z pamięci wystukiwała nuty. Chyba tak to brzmiało, pomyślała. Tylko trochę mogę się mylić. Wszystko w tonacji bis. Kiedy znów zagrała nuty, wygładzając i poprawiając dźwięki, odkryła powtarzający się schemat. **BADGE\***. Jeżeli dobrze zapamiętała. Poszła poszukać kartki i pióra. Wróciła i wszystko zapisała, by nie zapomnieć.

*\*badge (ang.) — symbol, oznaka*

Włączyła telewizor, ale nie mogła się skupić. Gdzie jest Steve Wendall? Powinien zadzwonić, gdyby zmienił decyzję i postanowił nie przyjeżdżać.

O jedenastej wiedziała, że już nie przyjedzie. Jej poirytowanie przeszło w nieokreślony lęk. Postanowiła do niego zadzwonić. Niestety, nikt nie odpowiadał. Wreszcie odłożyła słuchawkę. Po kilku minutach położyła się do łóżka. Była zmęczona, ale nie mogła zasnąć.

Licz barany, odliczaj do jednego, rób cokolwiek, żeby zasnąć, powiedziała do siebie w myślach. Ale myślała jedynie o tym, że Steve Wendall nie dotrzymał słowa.

I o mężczyźnie, który nie stawiał się na umówione spotkanie — o Nacie.

I wreszcie o kobiecie — o Alice.



## Rozdział 22

*Cessna wyłoniła się z chmur niczym owad przyciągnięty przez światła autostrady. Inny mały samolot czekał na końcu pasa. Jego silnik zwiększał obroty w oczekiwaniu na start. Hałas wypełniał otaczającą mężczyznę noc.*

*Stał w głębokim mroku, w odległej części centrum spadochronowego. Zastaniały go gęste krzewy, które rosły przy oplecionym łańcuchem płocie. Samochód zostawił w bocznej uliczce, za sklepem ogólnospożywczym. Nikt z portu nie powinien go zobaczyć.*

*Mogli go pamiętać.*

*To wielkie gównno, że się tu kiedyś znalazł, powiedział do siebie. Znacznie przerastał tych zakichanych gówniarzy, którym się wydawało, że skoki z samolotu zrobią z nich mężczyzn. Popaprańcy. Zbyt głupi, by być kimś innym niż tylko widzami. Znał wielu ludzi tego pokroju.*

*Spojrzał na czerwony kabriolet. Stary zardzewiały fiat stał zaparkowany przed głównym wjazdem. Samochód Steve'a Wendalla. Jej prywatnego detektywa. Wściekłość prawie go obezwładniła. To robak, którego trzeba rozdeptać. Pieprzona cipa z wężącym wszędzie nosem, dłuższym niż u Pinokia. Musiała umrzeć.*

*Wkrótce.*

*Cierpliwości, poinstruował się, głęboko oddychając. Nie pozwól, żeby emocje zabiły w tobie zdrowy rozsądek. Nie możesz panikować. Zachowaj spokój, opanowanie. Nie zapominaj o swoim wizerunku praworządnego obywatela, wrażliwego człowieka umiejącego słuchać kobiet i dbającego o dzieci.*

*Te słowa były jego mantrą. Uspokoilo się jego szybko bijące serce. Jeszcze raz skupił się na wejściu do centrum spadochronowego, gdzie był za duży ruch, żeby wykonać to, co zamierzał. '*

*Minęło pięć minut. Nikt więcej nie wyszedł z budynku. Mógł bezpiecznie przystąpić do działania.*

*Powoli wychynął z ciemności i wyszedł na oświetlony teren. Gdyby ktoś nagle się pojawił, miał przygotowanych kilka wyjaśnień: przyszedł, żeby się z kimś spotkać albo że właśnie wychodzi. W najgorszym przypadku mógł uciec. Na razie był bezpieczny.*

*Nikt nie wyszedł z budynku. On sam znalazł się na widoku.*

*Zatrzymał się przy fiacie i rozejrzał wokół. Wyteżał słuch, by wychwycić najmniejszy hałas. Wszystko wydawało się w porządku. Nie widział nikogo. Był bezpieczny, mógł działać.*

*Szybko podszedł do drzwi od strony siedzenia pasażera. Chociaż dach był podniesiony, wiedział, że samochód nie jest zamknięty. Sprawdził to wcześniej. Znow się upewnił, czy nikogo nie ma w pobliżu.*

*Otworzył drzwi. Na popękany czarnym siedzeniu ze skóry leżała butelka z wodą. Wziął ją, a drugą ręką z kieszeni kurtki wyjął fiolkę. Zajęło mu mniej niż dziesięć sekund, by przelać zawartość szklanego naczynka do plastikowego pojemnika, wstrząsnąć i odłożyć butelkę na swoje miejsce.*

*Zbrodnia doskonała. Tak jak poprzednio.*

*Potem się oddalił, rozglądając wokół. Jego zmysły napięte były do ostatnich granic; chciał zauważyć najmniejszy ruch czy hałas. I ukryć się jak najszybciej w cieniu. Zbyt widoczny na oświetlonym parkingu, odwrócił się wreszcie i pobiegł w kierunku bezpiecznej ciemności nocy.*

*Ty pieprzona hipisko z kręconymi włosami, zobaczymy, czy będziesz w stanie dojść do jakichś wniosków. Przekazywał swoje informacje podprogowo. Jedz swoje wegetariańskie posiłki i pij dwa litry czystej wody dziennie. To dobre dla twojego zdrowia.*

*I dla twojej śmierci.*

Po niespokojnej nocy Liza wstała wczesnie. Od czasu do czasu budziła się i zastanawiała, dlaczego nie zadzwonił ani Steve Wendall, ani detektyw Barnes. Sprawdziła rozmowy na automatycznej sekretarce. Żadnych telefonów.

Kiedy przygotowywała się kawa, zadzwoniła do Steve'a. Ciągle nikt nie odbierał.

Stało się coś złego. Po prostu to wiedziała.

A detektyw? Na poczcie głosowej zostawiła dla niego kolejną informację.

Przed wyjściem do biura podjęła decyzję. Nie miała dziś umówionych spotkań z klientami, więc może pojedzie tam i przywiezie materiały do domu, żeby tu być, kiedy zadzwoni Steve Wendall. Ruchomy czas pracy to przywilej, z którego nie korzystała. Trzeba inaczej rozpocząć nowy etap życia, uznała.

Niespodziewanie Al się zgodził. — Będiesz miała spokojny dzień do napisania ocen i uzupełnienia teczek. Zmiany zapobiegają nudzie.

— Poklepał ją po plecach i kazał jechać do domu.

Al jest miłym człowiekiem, pomyślała, biegnąc w czasie burzy do swojego samochodu. Wsiadła przemoczona do środka. Uruchomiła silnik i pojechała w kierunku First Hill.

— La Nino, czy ty kiedyś się zlitujesz i przestaniesz zatapiać ludzi? — spytała, patrząc na szare niebo.

Przed zjazdem z autostrady zmieniła decyzję, że pojedzie prosto do domu. Skreśliła na I-5. Zamierzała szosą 520 dostać się na wschodni brzeg jeziora Washington. Była zbyt zdenerwowana, by czekać na odpowiedzi. Steve Wendall się nie pojawił, detektyw Barnes milczał, niczego się nie dowiedziała o internetowym forum CB. Nie odpowiedziała też na wiele innych nurtujących ją pytań. Mogła rozpocząć od tego, o czym wiedziała: o komputerze Nate'a Garreta. Maggie odwiozła chłopców i teraz na pewno jest w domu.

Kiedy pół godziny później dotarła do domu Maggie, zza chmur wyjrzało słońce. Czy to jest dobry znak? Potrzebowała przynajmniej jednego.

Zadzwoiła do drzwi i czekała.

Maggie była zaskoczona jej wizytą. — Wejdz! Wejdz! — zapraszała.

— Jaka miła niespodzianka.

— Przejeżdżałam w pobliżu i pomyślałam, że może jesteś w domu

— powiedziała Liza. — Zastanawiałam się nad muzyką, którą napisał Nate, i po cichu liczę, że będziesz mogła odpowiedzieć na moje pytanie. Chyba że masz inne plany. Nie chciałabym ci przeszkadzać.

Maggie pokręciła głową. — Napijesz się kawy?

— Chętnie.

Weszły do obszernej kuchni w stylu wiejskim, która wyglądała jak na zdjęciu z *Domów i ogrodów*. Liza zastanawiała się, jak długo Maggie będzie w stanie utrzymać ten dom.

— Moi rodzice mi pomagają — poinformowała, domyślając się wątpliwości Lizy. — Nie wiem, co bym bez nich zrobiła. — Nalała kawy, postawiła filiżanki na stole i obie kobiety usiadły.

— To dobrze, że masz rodzinę, która chce i może ci pomóc. Maggie skinęła głową. — Zapisalam się na uniwersytet w Seattle.

Uzupelnię wykształcenie i uzyskam uprawnienia nauczycielskie. Zawsze chciałam wrócić do szkoły. — Uśmiechnęła się smutno. — Do końca roku rodzice będą płacili za mieszkanie i za prywatną szkołę chłopców. Jak znajdę pracę, będę mogła sama utrzymywać rodzinę. — Do jej oczu napłynęły łzy. — Pod tym względem mam szczęście. Chciałabym tylko, żeby Nate był tutaj i zobaczył, jak w końcu realizuję swoje marzenia o pracy w szkole...

Kiedy Maggie doszła do siebie, Liza poklepała ją po dłoni. Słuchała potem Maggie opowiadającej, w jaki sposób Erik pomaga chłopcom, poznała jej plany dotyczące rodziny. Wypiły drugą kawę, zanim zaczęły rozmawiać o sprzęcie komputerowym i programach oraz o piosenkach, które skomponował Nate.

— Chcesz je zobaczyć? — spytała Maggie.

— Jeśli zechcesz mi pokazać — odparła Liza. Nagle poczuła się intruzem. Chociaż chciała zobaczyć sprzęt, nie zamierzała niepokoić Maggie.

— Pewnie. — Maggie wstała, by zaprowadzić ją do tylnej części domu. — Od śmierci Nate'a nikt go nie używał. — Zawahała się. — Oprócz detektywa Barnes'a, który chciał przejrzeć kopie zapasowe.

— Detektyw Barnes był tutaj?

— Aha. Ja też byłam zdziwiona, ale miał odpowiedni nakaz. Nie było powodu, żeby go nie wpuścić. Powiedział, że to rutynowe działanie.

— Kiedy to było?

— Kilka dni temu.

Zaraz po wizycie w moim biurze, kiedy się dowiedział o kartce z nutami, pomyślała Liza.

— Powiedział, czego szuka?

— Nie. Mówił bardzo mętnie, gdy go o to zapytałam. Powiedział, że chce znaleźć jakiś punkt zaczepienia w tej sprawie. — Przerwała na chwilę. — I dodał, że kierowca, który potrącił Nate'a, po wypadku znalazł się w szoku i korzysta teraz z pomocy psychologa.

Liza ze zrozumieniem skinęła głową. — Znalazł coś istotnego w plikach Nate'a?

— Nie, tylko kompozycje muzyczne, piosenki, które znałam. Potem podziękował i wyszedł. Zastanawiam się, o co, do diabła, chodzi, zwłaszcza że i ty pytałaś o muzykę, którą pisał Nate... Nic nie wiem o procedurach policyjnych w takich sytuacjach.

— Nie masz nic przeciwko temu, że przejrzę te zapasowe kopie?

Maggie pokręciła głową. — Choć zaczynam się zastanawiać, co to

za tajemnicza sprawa. — Przeszyła wzrokiem przyjaciółkę. — Liza, chyba to nie ma nic wspólnego ze śmiercią Nate'a?

— To żadna tajemnica — odparła Liza, unikając bezpośredniej odpowiedzi. To byłoby okrutne, gdyby opowiedziała Maggie o tych dziwnych wydarzeniach, o incydentach, które chyba nie miały nic wspólnego z Nate'em. Poza tym nie miała nawet żadnego dowodu, że te wszystkie przypadki są ze sobą powiązane. — Ktoś z firmy powiedział, że Nate

skomponował piosenkę na urodziny i ja zaproponowałam, że sprawdzę, czy nie masz nic przeciwko wykonaniu tego utworu.

— To wygląda na Nate'a — rzekła z zadowoleniem Maggie. — Zawsze był uczynny...

Zajęło Lizie kilka minut, by stwierdzić to, co detektyw Barnes już wiedział: na plikach Nate'a nie było tej dziwnej muzyki. Potem podziękowała Maggie i wróciła do samochodu. Opuściła piękny dom Garretów.

Dlaczego Barnes sprawdzał komputer Nate'a? — głowiła się. Był detektywem zajmującym się morderstwami, a sprawa Nate'a została zamknięta, jego śmierć uznano za przypadkową.

On chyba wierzył, że to był przypadek? Liza zaczynała w to wątpić.

Powoli bocznymi uliczkami dotarła do swojego domu. Kiedy podjechała do drzwi garażu, z samochodu zaparkowanego przy podjeździe wysiadł mężczyzna. Pomachał jej, a potem pokazał na wjazd do garażu. Detektyw Barnes.

Skinęła głową, a następnie wprowadziła samochód do garażu. Zaparkowała i windą wjechała na parter. Detektyw czekał za szklanymi drzwiami. Otworzyła je i wpuściła go do środka.

— Zaczęłam się zastanawiać, czy odebrał pan informacje ode mnie — odezwała się, przypuszczając, że właśnie dlatego się tu zjawił.

— Dziś rano zadzwoniłem do pani biura. Sekretarka powiedziała, że pracuje pani w domu.

Weszli do windy. Liza wcisnęła przycisk jedenastego piętra. Detektyw Barnes stanowił dla niej zagadkę. Na pewno miał ważniejsze rzeczy do roboty, niż czekać na nią. Znow zaczęła się zastanawiać nad jego pobudkami.



Po wejściu do mieszkania odnotowała, że nie przyszedł jeszcze technik zakładający alarm. Zaprowadziła detektywa do kuchni. Zdjął płaszcz i usiadł. Liza włączyła ekspres do kawy, a potem zajęła miejsce naprzeciw detektywa.

— Kim jest dla pani Steve Wendall?

Zaskoczyło ją to pytanie. Była to ostatnia rzecz, której się spodziewała od niego usłyszeć. — Steve to prywatny detektyw, którego wynajęłam, żeby zbadał sprawę zniknięcia mojego męża.

Skinął głową, czekał.

Wstała, żeby nalać kawy. — Wczoraj wieczorem zadzwonił z Centrum Spadochronowego Sampsona. Miał przyjechać do mnie ze sprawozdaniem, ale się nie pojawił. — Zawiesiła głos. — Od tego momentu nie mogłam się z nim skontaktować. Nie odbierał telefonów.

— Powiedział, co jest w tym raporcie?

Jej dłoń zamarła na filiżance, którą postawiła przed nim. — Dlaczego pan o to pyta? Co ma z tym wszystkim wspólnego mój prywatny detektyw?

Zapadła cisza.

— Steve Wendall zginął wczoraj wieczorem w wypadku samochodowym.

Nogi ugięły się pod nią. Usiadła na krześle, rozlewając kawę po stole. Długo nie mogła wydobyć z siebie żadnego słowa. — Co się stało? — spytała słabym głosem.

— Jechał autostradą na południe i widocznie stracił kontrolę nad samochodem. Z dużą prędkością uderzył w słup estakady. Nie miał żadnych szans w swoim starym fiacie.

— O Boże!



— O której wczoraj wieczorem pani z nim rozmawiała? — spytał beztrosko, może zbyt beztrosko?

— Próbował coś mi przekazać między startami samolotów, łączność też szwankowała. Słabo go słyszałam — odpowiedziała drżącym głosem. — Powiedział, że o wszystkim mi opowie, jak przyjedzie do mnie, i odłożył słuchawkę.

Detektyw Barnes wyglądał na zamyślonego. Napił się kawy. Lize ciekawiło, czy dał sobie czas, by przemyśleć to, co powiedziała. — Więc pani nie wie, co mogłoby być w tym sprawozdaniu?

— Wiem jedynie, że Martin podobno prowadził z kimś jakieś nielegalne interesy. Steve miał świadka, który widział tego faceta podczas rejsu w Boże Narodzenie, kiedy to Martin zniknął. — Przerwała. — Ale mój mąż nie mógł wplątać się w żadne kryminalne sprawy.

Przechylił głowę, jakby zaakceptował jej słowa. — Dlaczego nie?

Zakłopotana rozłożyła ręce. — Po prostu wiem to. Martin był oddany muzyce. Nienawidził pracy w International Air, ale był bardzo uczciwy.

— No tak, pracował w tej samej firmie co pani. — Z kieszeni wyjął zawsze gotowy notatnik i coś w nim zapisał. — Czy Wendall miał też jakieś dowody materialne?

— Co pan ma na myśli?

Wzruszył ramionami. — Jakieś konkrety, notatki, dokumenty, coś w tym rodzaju.

— Nie wiem. — Uniosła wzrok. — Pan powinien wiedzieć to lepiej niż ja. Niczego nie znaleziono w jego samochodzie?

Znów się zawahał. — Niestety, nic się nie zachowało. Poczula uścisk w żołądku. — Nie rozumiem.

— Samochód spłonął.

— Chce pan powiedzieć... że Steve zginął w płomieniach? Przytaknął.

— Ktoś go zabił?

— Policjanci z patrolu orzekli, że był to wypadek, nie ma żadnych śladów wskazujących na przestępstwo. Nie ma też możliwości stwierdzenia, czy był pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Na razie niewiele można powiedzieć.

— Steve miał bzika na punkcie zdrowia. Nie pił, nie używał narkotyków...

Detektyw Barnes wciąż pisał. Potem dopił kawę i wstał. — Przepraszam, Liza. — Zawiesił głos. — Ostatnie kilka tygodni to dla pani koszmar.

Przełknęła ślinę, próbowała nie wybuchnąć płaczem. Zachowaj spokój, nakazała sobie. Histeria w niczym ci nie pomoże. — Zbyt wielu ludzi związanych ze mną zmarło nagłą śmiercią. Dlaczego?

— Może to po prostu zbieg okoliczności...

— Detektywie Barnes, to nie przypadek. Coś się dzieje wokół mnie, a ja nie jestem w stanie tego poukładać i dowiedzieć się, o co chodzi.

— Może się to uda, jak coś nowego wypłynie na powierzchnię.

— Kiedy? Ilu ludzi musi jeszcze umrzeć? Chyba nie chce pan dawać mi fałszywej nadziei — odparła wciąż trzęsącym się głosem. Wbrew temu co powiedział, wiedziała, że coś podejrzewa, bo inaczej nie znalazłby się w jej jadalni.

Zastanawiał się nad jej pytaniami. — Sprawdzę te przypadki śmierci w bazie HITU — rzekł w końcu.

— Co to jest?

— Baza, która zawiera dane o zaginionych osobach, morderstwach, gwałtach, przypadkach napastowania seksualnego i innych przestępstwach. — Przerwał. — Ta baza pozwala nam monitorować przestępczość i znajdować związki pomiędzy wykroczeniami popełnianymi w różnych miejscach. — Włożył płaszcz przeciwdeszczowy. — W przypadkach śmierci osób, które pani знаła, nie ma żadnych podobieństw.

Ciężko wypuściła powietrze z płuc. — Więc pan podejrzewa morderstwo.

— Nie powiedziałem tego. To rutyna, że rozważam wszelkie możliwości.

Znów był zagadkowy. Barnes, nie oszukasz mnie, powiedziała w myślach. Zbyt wiele się wydarzyło, żeby był to przypadek. Dobrze o tym wiesz, niezależnie od tego, czy są dowody, czy nie.

Ruszył do drzwi, kiedy ktoś zapukał.

— Spodziewa się pani gości? Zaprzeczyła ruchem głowy.

Detektyw zmienił postawę, jakby nagle stał się czujny, gotowy do działania. Wyrzwał przez wizjer i otworzył drzwi. Na korytarzu stał Joe

I mężczyzna z nazwą firmy instalującej alarmy na kieszeni koszuli.

— Liza, widziałem twój samochód w garażu, więc przed wejściem wolałem zapukać. — Głową wskazał na przybyłego z nim mężczyznę. — Brian będzie instalował alarm.

— Dzięki Bogu — wyrzuciła z siebie.

Nie przedstawiła detektywa Barnes. Wyczuła, że on tego nie chce. Wyszła z nim z mieszkania.

— Instalują dziś alarm u pani? Przytaknęła.

— To dobrze. — Otworzyły się drzwi windy i wszedł do środka. — Liza, naprawdę niech pani będzie ostrożna. Dokładnie słuchałem tego, co pani mówiła. Będziemy w bliskim kontakcie. — Potem drzwi się zamknęły z lekkim świstem.

Nie doszła jeszcze do mieszkania, gdy przypomniła sobie, że miała mu powiedzieć o butelce z wodą, należącej do Alice. Może są na niej odciski palców, które dostarczą jakichś informacji. Może pozostała wystarczająca ilość cieczy do analizy. Zadzwońię do niego, pomyślała.

I dobrze schowam tę przeklętą butelkę.

RS

## Rozdział 23

Do trzeciej alarm u Lizy został zainstalowany. Wczesnym popołudniem niebo się przejaśniło, chmury rozproszyły i spłynęły nad horyzont; zmoczone deszczem miasto skrzyło się w promieniach chłodnego zimowego słońca. Znak podnoszący na duchu, powiedziała do siebie. Poza tym jej mieszkanie było w zasadzie bezpieczne.

Jakiś hałas przerwał te myśli, wystraszył ją. Przyciszyła głośno grający odtwarzacz GD. Słuchała piosenki Eltona Johna „Świeca na wietrze”. Tym utworem składała hołd Steve'owi Wendallowi. Po uświadomieniu sobie, co słyszała, pobiegła do kuchni i podniosła słuchawkę telefonu.

— Halo.

— Hej, co robisz dziś wieczorem? — dzwonił Erik. Słyszała, że jest w dobrym humorze. Nie czekał na jej odpowiedź. — Jesteś w domu, więc wproszę się na chińszczyznę. Przywiozę kurczaka i wino. Co ty na to?

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak wcześniej przy różnych okazjach słyszała tę improwizowaną gadkę. Jej dobry przyjaciel próbował ją pocieszyć.

— Jasne. O której?

— O siódmej nie będzie za późno?

— Może być, ale dlaczego nie wcześniej?

— Jestem w centrum spadochronowym. Pogoda na chwilę się poprawiła i kilku kursantów będzie mogło oddać swój pierwszy skok. Na szczęście znalazłem pilota... — Przerwał. — A po locie czeka mnie trochę pracy papierkowej, będę wracał w godzinach szczytu. Mam tylko nadzieję, że nie utknę na trzy godziny w korku.

— Jesteś w centrum spadochronowym? — spytała bezbarwnym głosem. Na chwilę zapomniała o śmierci Steve'a Wendalla. Wieczorem miała zamiar zadzwonić do Erika i powiedzieć mu o tym. Teraz postanowiła, że poinformuje go po obiedzie.

— Tak. — Wahanie. — Liza, coś się stało?

— Powiem ci wieczorem.

— Powiedz teraz. Mam czas.

— Dziś zainstalowałam alarm — zaczęła.

— Cieszy mnie, że się na to zdecydowałaś. — Znowu chwila ciszy. — Ale nie o tym teraz myślisz. No powiedz, co się stało.

Powiedziała mu.

I na długo zapadła cisza.

— Sukinsyn — rzekł zwodniczo łagodnym głosem. — Rozmawiałem z Wendallem wczoraj po południu, kiedy był tutaj. Pytał o Martina. Powiedziałem mu, że byliśmy przyjaciółmi przez wiele lat, mogłem liczyć na niego w każdej sytuacji...

Z trudem przełknął ślinę, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Widziałem, jak rozmawiał tutaj z kilkoma osobami, między innymi z jakąś kobietą z twojej firmy.

— Z International Air?

— Aha. — Przerwał. — Sylvia... Kemper. Jakoś tak.

— Sylvia Kempton?

— Tak, zgadza się. Sylvia Kempton.

— Co ona tam robiła?

— Nie mam pojęcia. Jeden z mechaników znał ją i wiedział, gdzie pracuje. Tylko tyle wiem.

— A wcześniej bywała w centrum?

— Nie wiem. — Oderwał się od telefonu i coś do kogoś powiedział.  
— Liza, myślę, że odwołam ten lot i...

— Erik, nie. Proszę, nie rób tego. Może w najbliższym czasie nie będzie tak dobrej pogody. Porozmawiamy, kiedy przyjedziesz. Naprawdę wszystko jest w porządku.

— Na pewno?

— Tak.

Usłyszała jego westchnienie. — No dobrze, ale wiem, że jesteś zdenerwowana. Nie chciałbym się rozłączać... Potrzebujesz coś jeszcze na kolację? Lepiej, żebyś sama nie szła do sklepu.

— Wszystko mam, nawet kurczaka — odparła. — Przywieź tylko wino i... siebie.

— Pamiętaj, co powiedziałem.

— Obiecuję. Do zobaczenia.

Po skończonej rozmowie Liza rozmyślała o Sylvii Kempton. Co Sylvia robiła w centrum spadochronowym? Być może to nic nie znaczy, to tylko przypadek. Może Sylvia jest pilotem albo była z kimś, kto lata. Jest nawet możliwe, że dla rozrywki skakała ze spadochronem. Jednak myśl, że była w centrum spadochronowym w dniu, kiedy zginął Steve Wendall, wywoływała niepokój.

O pół do siódmej Liza miała już wszystko przygotowane do kolacji. Skończyła pracę biurową, a potem sprawdziła forum CB. Nie znalazła żadnych nowych informacji. Teraz siedziała zrelaksowana w salonie, z Bella

na kolanach. Na ławie migotały lampy naftowe. Czekwała na przyjazd Erika. Na dzwonek telefonu poszła do kuchni.

— Mówi Erik — odezwał się głos w słuchawce. — Jeszcze jestem w centrum spadochronowym i nie mogę przyjechać na kolację.

Wyczuła napięcie w jego głosie. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mówił takim głosem. — Erik, co się stało? Na długo zapadła cisza.

— Liza, masz swoje problemy i nie chcę zawracać ci głowy moimi kłopotami...

— To na pewno nic gorszego niż odwołana kolacja ze mną — zażartowała, ale czuła, że stało się coś naprawdę złego.

— Znacznie gorszego.

— Na Boga, co?!

— Jeden z moich uczniów miał wypadek.

— I...

— Spadochron się nie otworzył. Chłopak zginął. Liza usiadła na stołku. — Jak to się mogło stać?

— To właśnie mnie dręczy. — Zawahał się. — Liza, to był mój spadochron. Sam go składałem.

— Czy ktoś przy nim grzebał?

Usłyszała, że nerwowo wciągnął powietrze do płuc. — Przyjechała policja. Jak do tej pory wszystko wskazuje na wypadek. Okropny, tragiczny wypadek.

— Dlaczego korzystał z twojego spadochronu? — Liza starała się nie ścisnąć tak mocno słuchawki. — Czy to normalne?

— Nie. Zamieniliśmy się spadochronami w samolocie. On się nagle zdenerwował, stał się przesądny przed skokiem, nie był pewien, czy dobrze



złożył spadochron. Wiedziałem, że z moim wszystko jest w porządku, bo zawsze tego doglądam, dokładnie sprawdzam wszystkie środki bezpieczeństwa.

— Erik, to nie twoja wina.

Znów głęboko wciągnął powietrze do płuc. — Powinienem odłożyć jego skok, ale wydawało się, że po zamianie spadochronów wszystko jest okay. Inni z grupy zachęcali go, mówili, że jak teraz nie skoczy, to nigdy tego nie zrobi.

— I skoczył.

— Aha. Skoczyłem za nim po kilku sekundach. Jego spadochron, z którego skorzystałem, otworzył się normalnie, a mój nie. Chłopak zabił się na miejscu... — Jego głos trząsł się z emocji. — Liza, chyba nigdy sobie z tym nie poradzę...

— Erik, tak bardzo współczuję — rzekła, choć wiedziała, że jej słowa są niewystarczające. Była pewna, że wadliwy spadochron był przeznaczony dla niego, ale nie zdradziła swoich podejrzeń. Erik już i tak wpadł w rozpacz, prawdopodobnie był w szoku. Później podzielił się z nim tą myślą. — Kiedy będziesz mógł stamtąd wyjechać?

— Mogę teraz. Nie ma problemu z określeniem przyczyny śmierci. Wszyscy z centrum i policjanci są przekonani, że był to wypadek. — Mówił coraz szybciej, jego słowa się zlewały. — Nawet Cooper przypomniał mi, że czasami spadochron może się nie otworzyć.

— Cooper?

— Tak. To on był pilotem i jest zdenerwowany tak jak ja. Wszyscy wiemy, że zdarzają się takie wypadki. Na szczęście są rzadkie...

— Erik, wciąż chcę, żebyś do mnie przyjechał. Musisz coś zjeść.

— Niczego nie przełknę.

— Ale przyjedziesz? Zapadła cisza.

— Liza, powinienem pojechać prosto do domu. Nie mam ochoty z nikim się widzieć. Zaraz się załamie i będę ryczał na cały głos.

— Jestem twoją przyjaciółką. Wiele razy widziałeś, jak płakałam niczym dziecko. Nie powinieneś być sam. — Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. — To ty mogłeś zginąć.

— Wiem. — Mówił prawie szeptem.

— Więc zobaczymy się u mnie.

— Okay — rzekł w końcu. — Do zobaczenia.

— Erik.

— Tak?

— Bądź ostrożny.

Odłożyła słuchawkę i poszła włączyć kompakt z piosenkami Eltona Johna. Uznała, że utwór, którego wcześniej słuchała, jest teraz jak najbardziej odpowiedni. Znowu zadzwonił telefon. Poszła go odebrać, przekonana, że Erik podjął inną decyzję.

— Nie pozwalam ci zmienić zdania — rzekła twardo.

— Nie zmienię, Brązowe Oczy, tylko muszę wiedzieć, co obiecałem.

— Och, to ty, Dave. Myślałam, że dzwoni ktoś inny.

— Twój przyjaciel Erik?

— Skąd wiesz?

— Po prostu zgadłem. Wszystko w porządku?

Przez chwilę milczała, walczyła ze sobą, żeby się nie załamać.

Ostatnio zbyt dobrze znała to uczucie. Najwyższy czas, by wziąć się w garść.

— Dowiedziałam się właśnie o tragicznym wydarzeniu — zaczęła. —  
To kolejna zła wiadomość.

Zapadła cisza.

— Liza, zacznij może od początku...

Opowiedziała mu o telefonie jej prywatnego detektywa, dotyczącym Martina, o wizycie Barnes'a, który zajmuje się wypadkiem Steve'a Wendalla, i na koniec o śmierci skoczka spadochronowego.

— Myślę, że ktoś próbował zabić Erika — dodała. — Ta sama osoba przypuszczalnie zabiła mojego prywatnego detektywa, choć wydaje się, że to były tylko wypadki.

— Liza, wiem, że jesteś zrozpaczona. To był ostatni cios, który cię dobił, ale twoje przypuszczenia to szaleństwo. Policja odkryłaby, że coś kryje się za tymi wypadkami.

— Ktoś wszystkich wyprowadza w pole — stwierdziła mocniejszym głosem. — Ja po prostu to wiem. Zbyt wiele się wydarzyło złego, żeby mówić o przypadku. — Zawiesiła głos. — Jestem przekonana, że te wszystkie tragedie, śmierć Nate'a, Alice, mojego prywatnego detektywa, początkującego skoczka spadochronowego, są w jakiś sposób związane z Martinem i International Air. — Nabrała powietrza. — Nie wiem nawet, czego Steve Wendall dowiedział się o Martinie.

— Liza, uspokój się. Nie ma żadnych dowodów, żeby podeprzeć twoje przypuszczenia o morderstwach, chyba że wiesz coś, czego ja nie wiem. — Przerwał. — Wiesz?

— Co masz na myśli?

— No cóż, na początek, czy masz jakieś informacje na temat tych śmierci, znasz fakty, o których nie wie policja?

— Nie znam żadnych faktów, ale okoliczności wskazują, że dzieje się coś złego. Jestem na najlepszej drodze, żeby znaleźć dowody.

— Myślisz, że ktoś z International Air jest w to wplątany? — Chociaż cicho, to mówił niczym prokurator. — Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Liza zmusiła się do spokoju i wolniejszego mówienia, gdy zdała sobie sprawę, że zachowuje się niczym histeryczka. — Wielu moich klientów się skarży. Nate i Alice chcieli mi coś przekazać. Martin też pracował w International Air...

Zamilkła, próbowała znaleźć wspólny wątek w tym chaosie. Niczego nie była w stanie z sobą powiązać, fakty wymykały się jej z rąk, zanim dobrze zdążyła je uchwycić.

Znów zapadła cisza.

— Hej, Brązowe Oczy — rzekł łagodnie. — Dobrze wiesz, że jestem po twojej stronie, ale twoje myślenie jest bardzo pokrętne. To był ciężki rok dla ciebie, wiele przeżyłaś. — Przerwał, jakby starał się być taktowny, nie ranić jej uczuć. — Zgadzam się, że te wszystkie zdarzenia to dziwny zbieg okoliczności, niemniej jednak to tylko wypadki, co potwierdza policja.

Czyżby traktował mnie protekcjonalnie? — zastanowiła się. Ponieważ jest przekonany, że ona straciła poczucie rzeczywistości i dostała obsesji na punkcie tych zdarzeń.

— Wiem o tym wszystkim — odparła. — Wiem też, że niczego nie mogę udowodnić, łącznie z tym, czy Martin naprawdę zginął. — Czowała się pokonana w tej rozmowie. Teraz, tak jak przedtem, nie wierzył jej.

— Martin nie mógł przeżyć w Cieśninie Pugeta, szczególnie zimą — przypomniał jej delikatnie. — Bardzo ci współczuję z tego powodu.

Wszystkie twoje wątpliwości są przerażające, ale wcześniej czy później musisz zaakceptować fakt, że nie cofniesz przeszłości.

— Dave, może masz rację — zgodziła się ponurym głosem. Zupełnie nie rozumiał jej uczuć.

— Kończę — rzekł. — I będę u ciebie za piętnaście minut.

— Dave, proszę, nie przyjeżdżaj. Erik u mnie będzie, a ja naprawdę czuję się dobrze... — Przerwała, by zebrać się w sobie. — Dave, mimo wszystko dziękuję za troskę. Jestem ci wdzięczna, że się o mnie martwisz.

— Na pewno nie potrzebujesz towarzystwa?

— Na pewno. Poza tym... — zawiesiła głos.

— Mów.

Omam nie powiedziała, że detektyw Barnes może zadzwonić albo przyjechać, ale w porę się powstrzymała. Nie miała ochoty znów długo wyjaśniać, roztrząsać wydarzeń, które Dave zdążył już uznać za zwykły zbieg okoliczności. — Erik jest wstrząśnięty. I najlepiej, gdy sam...

— Rozumiem. Na razie nie potrzebuje słuchaczy.

— Dzięki za zrozumienie.

— Nie ma sprawy, Brązowe Oczy.

— I za to, że wysłuchałeś mojego gadania. Mam nadzieję, że nie bierzesz mnie za wariatkę.

— Oczywiście, że nie. Liza, doskonale wiem, jaka jesteś. Nie zapominaj, że bardzo pragnę, żebyś była bezpieczna i szczęśliwa. — Z tonu jego głosu wyczuła, że się uśmiecha. — Zadzwonisz, kiedy będziesz mnie potrzebowała?

— Obiecuję.

— Świetnie.

W zgodzie odłożyli słuchawki.

Jednak ich rozmowa wywołała w niej uczucie jeszcze większej niepewności. Nie mogła przestać myśleć o Martinie, zastanawiała się, co

Steve Wendall chciał jej przekazać. Czy odkrył, że Martin żył, ale wplątał się w nielegalne interesy i upozorował swoją śmierć? Zostawił ją w stanie zawieszenia? Czyżby tak mało dla niego znaczyła?

Przeszła do sypialni i wzięła Arlekina. Przytuliła jego tułów z materiału i porcelanową twarz. Napłynęły wspomnienia: napychanie tułowi lalek, śmiechy i żarty podczas pracy. Ona i Jean późnym wieczorem przygotowywały przekąski, podczas gdy Martin przyszywał małe główki do korpusów.

Liza usiadła na krześle w sypialni. Trzymając Arlekina, wspominała tamto. Jej palce zatrzymały się w miejscu, gdzie główka była przszyta do szmacianego ciała. Spojrzała i zobaczyła, że ścieg jest luźny. Próbowwała wyciągnąć nitki. Nagle głowa oddzieliła się od reszty i została w jej rękach.

Patrzyła z niedowierzaniem.

Na jej kolana i na podłogę opadły tysiąc dolarowe banknoty i pianka używana do wypychania. Pieniądze były wewnątrz tułowia lalki.

*To Martin napychał Arlekina i przyszywał głowę do korpusu.*

Wielki Boże! Czy ukrył pieniądze również w innych lalkach, które ktoś ukradł i zniszczył?

*Co to wszystko znaczy?*

## *Rozdział 24*

Liza długo znajdowała się w szoku. Potem powoli zebrała pieniądze. W garści trzymała pięćdziesiąt tysiąc dolarowych banknotów. Jej umysł pełen był różnych wniosków. Jeśli nikt inny nie majstrował przy lalkach, to Martin ukrył te pieniądze.

Dlaczego coś takiego zrobił? Gdyby miał te pieniądze, mógłby rzucić pracę i usunąć wszystkie przeszkody na drodze do kariery muzycznej. Zawahała się. Chyba że pieniądze zostały zdobyte nielegalnie, o czym napomknął Steve Wendall podczas ich ostatniej rozmowy.

Pytania bez odpowiedzi krążyły po jej głowie. W jaki sposób Martin mógł zająć się podejrzanym biznesem bez jej wiedzy. Jednak przypomniała sobie, że Martin nigdy nie rozmawiał z nią o celach swoich lotów, nie był ograniczony czasowo.

Czyżby prowadził podwójne życie? Czy została oszukana przez mężczyznę, który przysięgał jej miłość? Co by się stało, gdyby wszystko odkryła? Czy by ją opuścił? Czy wiedział, że nie zaakceptowałaby łamania prawa? Być może on tylko wykorzystywał okazję, chował pieniądze, aż będzie miał możliwość spełnić swoje marzenia o sławie i bogactwie... i życiu bez niej.

Czy Martin był tym włóczęgą, który ukradł lalki, bo schował w nich pieniądze?

*Czy był mężczyzną w przebraniu, który ją ścigał?*

Liza zerwała się na równe nogi. Jej nerwy były napięte do ostatnich granic, ogarniała ją panika. Czyżby była żoną, która nie jest w stanie rozpoznać męża, mimo że się przebrał?

Nie, nie chodzi o to, uznała. Osoba w zbyt obszernym czarnym płaszczu, peruce i okularach przeciwsłonecznych całkowicie zmieniła swój wygląd.

Z trudem stłumiła uczucie odtrącenia, opuszczenia i strachu. Jej wyobraźnia pracowała jak oszalała. Liza dochodziła do różnych wniosków. Martina nie było, by mógł się bronić. Może się myliła.

Posadziła Arlekina z powrotem na łóżku, obok niego położyła pieniądze i poszła zadzwonić do Jean. Przed telefonem do detektywa Barnesa musiała się upewnić, czy siostra nie pożyczała lalek lub nie zostawiła ich gdzieś na noc. Jean odebrała telefon po drugim dzwonku.

— Tu Liza.

— Stało się coś złego? — szybko spytała Jean. — Wiem, że coś się wydarzyło...

Liza zmusiła się, by mówić normalnym tonem. Było jasne, że Jean działa teraz według zasady atakuj albo uciekaj. Spodziewa się najgorszego.

— Wszystko w porządku — skłamała. — Zastanawiałam się nad tym, co się wydarzyło, i mam pytanie dotyczące twoich lalek.

— Jakie?

— Czy je komuś pożyczałaś, a może zostawiłaś je na dzień lub dwa po którymś z twoich przedstawień?

— Oczywiście, że nie. Dobrze o tym wiesz. Lalki są zawsze przy mnie. — Wahanie. — Dlaczego o to pytasz?

— Nic ważnego. Siedziałam, patrzyłam na Arlekina i myślałam o tym, co stało się z innymi lalkami. Rozważałam możliwość, że ktoś mógł z zawiścią patrzeć na twój wspaniały teatrzyk — improwizowała.

— To śmieszne, co mówisz. Na pewno wszystko jest w porządku?



— Tak, Jean. Chyba stałam się nostalgiczna, kiedy przypomniałam sobie, jak wieczorami robiliśmy Arlekina, Matkę Ziemię, Księżycową Prządkę i inne małe ludziki. — Jej głos przycichł. — To były dobre czasy...

— Tak, stare dobre czasy — potwierdziła oschle Jean. — Wtedy w *ogóle* nie mogliśmy sobie wyobrazić, że ktoś zniszczy moje lalki i włamie się do naszych domów.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy Liza zastanawiała się, jak zacząć rozmowę o Martinie, by nie wzbudzić podejrzeń Jean. W końcu zdecydowała, że będzie szczerą.

— Wiem, że Martin przyjemnie spędzał czas przy robieniu lalek.

— Ja też odniosłam takie wrażenie.

— Pamiętasz, jak się zadreślaś na początku? Terminy przedstawień były już ustalone, a nie miałaś jeszcze obsady. — Roześmiała się. — Dosłownie.

Jean też się roześmiała. — To prawda. Bez ciebie i Martina nie miałabym nawet kurtyny na czas.

Zapadła cisza.

— Ale inni też ci chyba pomagali — rzekła Liza, starannie dobierając słowa, by nie wzbudzić ciekawości Jean.

— Nie. Tylko ty i Martin. Bill wyjechał z miasta w interesach, pamiętasz? Gdyby nie to, on by pomógł, i z wyjątkiem ciebie nie potrzebowałabym już nikogo.

— Tak, przypominam sobie. — Przerwała. — A jak tam aktualne sprawy? Nie było żadnych nowych incydentów?

— Nie. Ta menda musiałaby być szaleńcem, żeby się teraz do nas włamać. Dzięki światłom i alarmowi zostałyby złapany na gorącym uczynku.

— U mnie też wszystko jest w porządku.

Rozmawiały jeszcze przez minutę, a potem Liza skończyła rozmowę obietnicą, że będzie codziennie dzwoniła. Natychmiast znów podniosła słuchawkę i wystukała numer do detektywa Barnes'a. Jak się spodziewała, odezwała się poczta głosowa. Czekala, aż ucichnie sygnał. Mówiła szybko, dla efektu akcentowała każde słowo.

— Ponownie Liza MacDonough. Proszę do mnie zadzwonić. To pilne.  
— Po odłożeniu słuchawki pojawiła się u niej nowa reakcja. To Martin był odpowiedzialny za ukrycie pieniędzy. *Co jeszcze zrobił?*

Lizę ogarnęło uczucie ciągłego wyczekiwania na brakujące elementy śmiertelnej układanki. Podenerwowana usiadła przy pianinie i wystukiwała nuty z tajemniczej kartki. Czy to kompozycja Nate'a? Bojanglesa? Gdyby Nate był Bojanglesem, ten dziwaczny układ nut stanowiłby klucz do tajemnicy.

Ponownie zagrała utwór, próbując myśleć jak Nate, kiedy to pisał... jeśli to był Nate, poprawiła się. Powinien tu być jakiś schemat, jakaś informacja od jednego muzyka dla drugiego. Jednak melodia brzmiała, jakby ktoś drapał paznokciami o tablicę. Bella wygięła grzbiet, cicho miauknęła i pobiegła do sypialni. Mimo odczuwanego niepokoju Liza się uśmiechnęła. Jej kot poznał się na muzyce.

Zdezorientowana patrzyła na zastygłe na klawiszach dłonie. Gdyby Nate był Bojanglesem, Kometa lub Wężojadem, osobami z forum, to *ostatni kawałek* musiał być tym utworem, który skradziono jej z torebki.

Rozważyła też możliwość, że włamanie do jej mieszkania i do domu Jean są związane z inną informacją przekazaną przez Internet — „spróbuj

jutro wieczorem". Jeśli Wężojad był nowym narzeczoną Alice, to mógł być odpowiedzialny za jej śmierć.

Dlaczego? Liza zadała sobie to pytanie po raz pierwszy. Przeniosła wzrok na migoczące światła miasta; po jej głowie krążyły pytania bez odpowiedzi. Ostry dźwięk telefonu przywrócił ją do rzeczywistości. Przeszła przez pokój, by podnieść słuchawkę.

— Jesteśmy na dole. — To był Erik. — Wpuść nas do środka.

Wcisnęła dzwonek, żeby otworzyć drzwi zewnętrzne. Zastanawiała się, z kim przyjechał Erik. Po chwili usłyszała odgłos windy. Wyjrzała przez wizjer i otworzyła drzwi. Była zaskoczona, a jednocześnie odczuła ulgę, kiedy zobaczyła detektywa Barnesę.

— Proszę wejść — zachęciła Liza, odsuwając się na bok.

Zaprowadziła dwóch ponurych mężczyzn do jadalni i kazała im usiąść przy stole. Erik odmówił kolacji, którą chciała mu podgrzać w mikrofalówce. — W każdym razie dziękuję — rzekł, podając Lizie butelkę chardonnay. — Nie mam apetytu, ale wypiję kieliszek wina.

— Nie piję wina — zastrzegł detektyw, kiedy i dla niego zaczęła napełniać kieliszek. — Tylko piwo.

Bez żadnego komentarza Liza podeszła do lodówki i wyciągnęła heinekena. Potem wzięła szklanekę i postawiła ją przed detektywem.

— Dziękuję. Mogę wypić jedno piwo, bo nie jestem na służbie.

— Zrezygnował pan z wolnego czasu? — Liza usiadła. — Czy to normalne?

Ręką odgarnął gęste kręcone włosy. — Czy w tym drugim telefonie nie mówiła pani, że to jest bardzo pilne?

Skinęła głową, zauważając, że odpowiedział jej pytaniem na pytanie. Taki miał zwyczaj, kiedy nie chciał udzielić bezpośredniej odpowiedzi.

— Wiem o wypadku w centrum spadochronowym — kontynuował. — Po drodze Erik opowiedział mi o kilku szczegółach. — Zwrócił się do Erika: — Jak się pan teraz czuje?

— Jestem zdruzgotany — odparł. — Śmierć tego początkującego spadochroniarza wstrząsnęła nami wszystkimi. — Przerwał, by wypić łyk wina. — Mogło się to niby zdarzyć każdemu.

— Więc co się stało? — Detektyw skierował to pytanie do Lizy.

— Pokażę panu. — Liza poszła, żeby przynieść butelkę Alice, którą schowała w bielizniarce, i banknoty tysiąc dolarowe ukryte w torebce, pod ręcznikami. Zanim wróciła do stołu, z łóżka zabrała Arlekina. — Zaraz wszystko wyjaśnię — rzekła drżącym głosem i położyła przyniesione rzeczy na stole.

Barnes wychylił się do przodu i przyjrzał się przedmiotom, niczego nie dotykając. Nagle uniósł wzrok. — Proszę mówić — zachęcił.

Liza opowiedziała o zamienionych butelkach z wodą. Przyznała, że wpadła w przerażenie, kiedy zobaczyła inicjały Alice na butelce, *po wylaniu jej zawartości*.

— Włożyłam ją do plastikowej torby i schowałam. — Odwróciła wzrok od badawczego spojrzenia. Na Boga, chyba nie podejrzewa, że celowo zamieniłam butelki? — zastanawiała się, niezdolna odczytać wyrazu jego twarzy. — Zostało kilka kropli na dnie.

Ostrożnie wziął torbę. Starał się, by nie ocierała się o butelkę. Odkręcił ją przez plastik i powąchał. — Żadnego zapachu.

— Nic pan nie czuje?

— A powinienem?

Wzruszyła ramionami. — Ja wyczułam słaby zapach. Przypominał mi migdały.

Dłoń detektywa zastygła na butelce. — Jest pani pewna?

— Tak.

— Co to znaczy? — spytał Erik. Wyglądał na równie zainteresowanego jak Liza.

— Cyjanek ma zapach migdałów — wyjaśnił detektyw Barnes. — Jednak tylko jedna osoba na dwanaście ma genetyczną zdolność do odróżniania tego zapachu. — Zakręcił butelkę. — Powinno wystarczyć do badań.

Liza stała, gdy detektyw to mówił. Usiadła szybko na krześle, nagle poczuła, że nie utrzyma się na nogach. — Co pan robi, kiedy okaże się, że w butelce była trucizna?

— Wszystko po kolei. Najpierw każę sprawdzić, czy nie zachowały się odciski palców i ślady trucizny. Wyniki zdecydują o moim dalszym postępowaniu.

— Mam nadzieję, że przypadkowo nie zatarłam odcisków palców — zaniepokoiła się Liza. — A może znikły, bo już dużo czasu upłynęło od śmierci Alice.

Detektyw wypił łyk piwa, a potem odstawił szklanekę. — Zatarcie śladów to co innego, ale odciski palców same nie znikają.

— Nie? — spytał Erik.

— Mogą się zachować przez pięćdziesiąt lat. Na przykład, gdyby Liza miała tę kartkę z nutami i byłaby ona tak stara, to w laboratorium, wykorzystując ninhydrynę, można by było zdjąć z niej odciski.

Liza nie chciała dalszych wyjaśnień; wystarczyła jej wiedza, że istnieją metody eksperymentalne, dzięki którym można to zrobić. Wszyscy milczeli, kiedy detektyw wziął do ręki banknoty.

— Skąd te pieniądze? — spytał, spoglądając na Arlekina. — Mają coś wspólnego z tą lalką?

Liza znów przytaknęła i powiedziała, w jaki sposób znalazła pieniądze. — Pięćdziesiąt tysiącdolarowych banknotów.

Erik cicho gwizdnął. — Więc mówi pani, że to Martin wypychał tę lalkę?

— No tak — Przerwała. — Erik, naprawdę chciałabym znaleźć inne wyjaśnienie. Jean twierdzi, że nigdy nie rozstawała się z lalkami, i jej wierzę. Dobrze wiesz, jak ona strzeże swoich małych ludzików. — Powstrzymała się od splatania dłoni. — Martin jest jedyną osobą, która mogła włożyć pieniądze do Arlekina. — Spojrzała na detektywa. — Co to może znaczyć?

Pokręcił głową. — Jeszcze nie wiem, ale zbieram brakujące elementy układanki. Następny krok należy do naszego laboratorium.

— Czy pan sądzi, że ukryte pieniądze w tej lalce to przyczyna, dla której ktoś ukradł inne kukielki?

Opróżnił szklanekę. — Jak powiedziałem, poczekajmy na wyniki z laboratorium. Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

— Nie można też zwlekać — rzekł Erik. Wyraźnie był zdenerwowany. — Wokół dzieją się jakieś koszmarnie rzeczy, giną ludzie.

Detektyw Barnes wstał. — Dotrzemy do sedna sprawy. Nikt bardziej niż ja tego nie pragnie.

— Więc pan wierzy, że za tymi pozornie niezwiązanymi ze sobą wypadkami kryje się coś strasznego... — Liza stanęła twarzą w twarz z Barnesem, który nie zaprzeczył jej słowom. — Czy jest jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, kto kryje się za pseudonimami w United Online?

Zarządzający serwerem nie udzielają takich informacji.

— Jest to na mojej liście zamierzeń.

— Bo pan jest przekonany, że dzieje się coś niepokojącego, prawda? — naciskała Liza. Chciała wiedzieć, że detektyw naprawdę podziela jej zdanie.

Zapadła cisza.

— Tak, coś tu jest zamotane.

— Zamotane? — Erik oderwał wzrok od kieliszka. — Co to znaczy?

— Czuję instynktownie, że cały scenariusz zdarzeń jest tak niespójny jak nuty na tej tajemniczej kartce.

— Jeden wielki mętlik? — wtrącił Erik.

— Tak. — Detektyw Barnes ruszył w kierunku korytarza. — Zadzwoń, jak się czegoś dowiem.

Erik uniósł na pożegnanie rękę. — Dziękuję, detektywie Barnes. Wiem, że jestem trochę z boku, ale dziękuję za to, co pan robi.

Detektyw zatrzymał się przy drzwiach. — Mam nadzieję, że chłopaki z laboratorium dostarczą w końcu coś solidnego.

— W końcu? — spytała Liza.

— Tak. Od samego początku nic nie pasowało. Nie było żadnego punktu zaczepienia, żadnych związków. Brakowało przyczyny, podejrzanych.

— A teraz? — naciskała na odpowiedź.

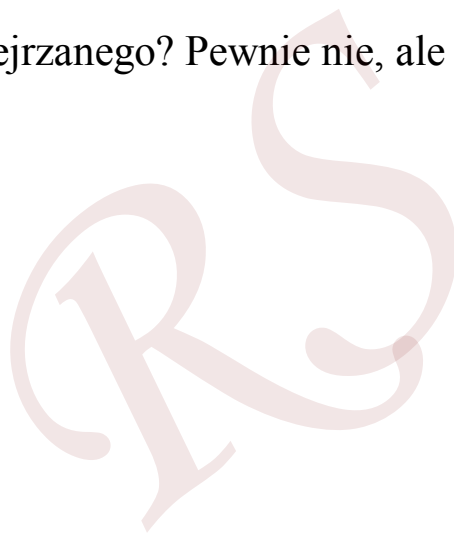
— Musimy trochę poczekać.

W torbie na zakupy, którą dała mu Liza, zabrał butelkę, kukielkę i pieniądze. — Proszę na siebie uważać — zwrócił się do Lizy przed wejściem do windy. — Sytuacja zdaje się pogarszać. Ktoś, kto się za tym wszystkim kryje, może stracić nerwy.

— Detektywie Barnes, niech pan też będzie ostrożny. — Liza roześmiała się nerwowo. — Ma pan przy sobie komplet dowodów.

Skinął głową, a potem wszedł do windy i zjechał na dół. Szybko zamknęła za nim drzwi na klucz, wzięła butelkę wina i poszła do jadalni. Napełniła swój kieliszek i Erika.

Czy Barnes ma podejrzanego? Pewnie nie, ale być może wkrótce go znajdzie.





## *Rozdział 25*

Erik wyszedł, kiedy wyrzucił z siebie poczucie winy związane ze śmiercią skoczka i uspokoił się na tyle, by móc prowadzić samochód. Wtedy Liza usiadła na łóżku, opierając się o poduszki, i zaczęła zastanawiać się nad listą zwolnionych. Wykreśliła nazwiska swoich klientów, przy zwolnionych pracownikach, których nie знаła, postawiła x. Następnie pisakiem fluorescencyjnym zaznaczyła tych pracowników, którym czeki wysłano do skrytek pocztowych, a nie na adres domowy. W sumie znalazła dwadzieścia trzy takie osoby. Liza chciała sprawdzić autentyczność podanych informacji przy nich wszystkich.

Podjrzliwa teraz w stosunku do każdego zamierzała się dowiedzieć, co Nate, Alice i Steve Wendall próbowali jej przekazać.

Zycie niektórych zależało od odkrycia prawdy.

Położyła wydruk na stoliku nocnym i wyłączyła lampkę. Leżąc w ciemnościach, patrzyła przez okno na światła i zastanawiała się nad swoim następnym ruchem.

Zdecydowała, że jutro po południu rozpocznie własne śledztwo; zwłaszcza że miała do odebrania w zakładzie trochę wolnego. A wyjaśnienie wątpliwości dotyczących fałszywych adresów przyniesie korzyść zarówno jej, jak i firmie. Dave często powtarzał, że złe opinie szkodzą wizerunkowi International Air i projektowi nowego samolotu odrzutowego. Złe czy dobre, mimo wszystko zamierzała odkryć, co się dzieje.

Co oznacza to pytanie? — zastanowiła się po raz ostatni tego wieczoru, a potem zasnęła.

Następnego dnia rano Liza wkroczyła do biura Ala Starka z uśmiechem na twarzy. Zachowywała się swobodnie. — Potrzebuję wolnego popołudnia — zwróciła się do niego. — Wypadła mi plomba i muszę iść do dentysty. — Nie odważyła się powiedzieć, co naprawdę zamierza robić. Jej szczere wyznanie przypuszczalnie uznałby za kolejny sygnał, że ona jest bliska załamania.

— Nie ma problemu, jeśli możesz przełożyć spotkania ze swoimi klientami.

— Na popołudnie miałam dwóch, ale mogę przyjść jutro. Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. — Więc dobrze. Ból zęba nie może przeszkadzać ci w pracy. Klienci mogliby się skarżyć.

Podziękowała i odwróciła się, by wyjść. Omal nie wpadła na stojącego w drzwiach Hawka Bohlmana. Skłonił się w powitaniu. Wiedziała, że słyszał jej rozmowę z Alem. Podła kreatura, pomyślała.

Liza odkloniła się, potem wyszła na korytarz i skierowała do swojego gabinetu. Po wejściu do środka westchnęła z ulgą. Powiesiła płaszcz i zaczęła się przygotowywać do czekającego ją dnia. Położyła aktówkę z wydrukiem pod biurkiem przy swoich stopach. Nie chciała spuszczać jej z oka, była pewna, że Sylvia Kempton nie da jej następnej kopii. Z pierwszym klientem umówiła się dopiero na dziesiątą, a z drugim na jedenastą. Potem miała wolne.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść.

W drzwiach ukazała się głowa Dave'a. — Kiepsko się czujesz? Słyszałem, że boli cię ząb.

— O rany, jak tu szybko rozchodzą się wiadomości! — Przerwała. — Możesz wejść, niczym się nie zarazisz.

Uśmiechnął się. — Nie mogę. Już jestem spóźniony na spotkanie, ale najpierw chciałem zobaczyć, czy nic ci nie jest.

Wstała i obeszła biurko. — Naprawdę czuję się dobrze.

— A który?

— Słucham?

— Który ząb?

— Och, trzonowy.

Zarumieniła się i uciekła ze wzrokiem. Czuła się winna niczym dziesięcioletnia uczennica, która została złapana na ściąganiu. Nigdy nie umiała dobrze kłamać.

Zapadła cisza.

— Hej, Brązowe Oczy, czy nikt ci nie mówił, że u uczciwego człowieka łatwo rozpoznać kłamstwo?

Znów spojrzała mu w twarz i spostrzegła, że zmrużyły się w kącikach jego zielone oczy. Powstrzymał się od uśmiechu.

— No cóż, idę do dentysty, ale mam też coś innego do zrobienia. Czy nie czytała, że dobrzy kanciarze zawsze ukrywają kłamstwa pod prawdą? To „co innego” było prawdą, tak jak wizyta u dentysty — kłamstwem, choć mogła do niego zadzwonić i się umówić. Czy to jest gra pozorów? — zadała sobie pytanie. Wiedziała, że właśnie tak jest. Dave nie pochwaliby jej planów na popołudnie.

— Mogę zapytać, co chcesz robić? Pokręciła głową. — Później ci powiem.

— To coś ważnego?

— Och, nie — odparła. — Muszę po prostu coś zrobić. — To nie kłamstwo, uznała i odrzuciła od siebie fakt, że kłamstwo przez pominięcie czegoś wciąż pozostaje kłamstwem.

— Ma to coś wspólnego z International Air? — Jego pytanie zabrzmiało bezceremonialnie. Zbyt bezceremonialnie?

Zawahała się.

— Myślałam, że spieszysz się na spotkanie. Spóźnisz się. — Parsknęła śmiechem. — Może później opowiem ci o szczegółach?

— No dobrze.

Podeszła do drzwi, gotowa, by zamknąć je za nim.

— Liza, jeszcze jedno. Czekala, patrząc mu w oczy.

— Zaklepuję Walentynki. Wieczór w bardzo romantycznej włoskiej restauracji, muzyka na skrzypcach i tak dalej. Co ty na to? Zapiszesz moją propozycję w kalendarzu?

— Zostało jeszcze trochę czasu do Walentynek — odparła ze śmiechem.

— Wiem, ale mówię o tym teraz, bo chcę wyprzedzić wszystkich moich rywali, którzy bez przerwy będą cię nachodzić.

Uśmiechnęła się i zacisnęła rękę na krawędzi drzwi. — Zapiszę i z niecierpliwością będę czekała na Walentynki.

— Wspaniale. — Wyglądał na naprawdę szczęśliwego. — Ja też. — Zawiesił głos. — Nawiasem mówiąc, żółty ci pasuje.

— Dzięki. — Miała na sobie golf z kaszmiru, bo nie chciała marznąć. Z tego samego powodu włożyła czarne spodnium.

Cofnął się. — Zadzwoń wieczorem.

Przytaknęła. Miała już zamknąć drzwi, kiedy zauważyła, że za Dave'em ktoś stoi na korytarzu. *Hawk Bohlman*.

Musiał słyszeć ich rozmowę. To już drugi raz ją dzisiaj podsłuchał.

Liza obserwowała, jak potem obaj szybko idą w kierunku schodów. Widocznie szli na to samo spotkanie. Powoli zamknęła za nimi drzwi i wróciła do biurka. Jednak nie mogła otrząsnąć się z obaw. Nie ufała Hawkowi Bohlmanowi.

Był wielką niewiadomą. Ale czy mógł zamordować?

Wzięła kanapkę delikatesową, żeby zjeść ją po drodze, i o pierwszej podjechała pod pierwszy adres, w dzielnicy Belltown. Znajdował się tam trzypiętrowy budynek, w którym mieściły się jakieś biura, sklepy, ale chyba nie było mieszkań.

Może są z tyłu, pomyślała. Albo na wyższych piętrach. Czasami mieszkania są w dziwnych miejscach.

Wysiadła z miaty i skierowała się do znajdującego się w budynku sklepu z kasetami video.

Przy ławce na chodniku kręciło się kilkoro ludzi. Rozmawiali i popijali z butelki schowanej w papierowej torbie. To nie jest najbardziej ekskluzywna część miasta, pomyślała Liza i przyspieszyła kroku.

Kiedy otworzyła drzwi, rozległa się muzyka, która przywołała sprzedawcę z zaplecza. Podszedł do lady. — Czym mogę służyć? — spytał, z trudem wydobywając z siebie słowa.

Uśmiechnęła się. — Szukam mieszkań w tym budynku. Może mi pan pokazać jakieś wejście?

Zamrugął tak szybko oczami, że zastanowiła się, czy nie jest to tik nerwowy. Potem, kiedy zaczął mówić o budynku, robił to tak szybko, że z

trudem go rozumiała. Uświadomiła sobie, że to Europejczyk, choć nie potrafiła określić kraju jego pochodzenia. Jednak zrozumiała, co chce jej powiedzieć: w tym budynku nie ma żadnych mieszkań.

Pokazała mu wydruk z interesującym ją nazwiskiem i adresem. — Czy ktoś taki tu mieszka?

— Żadnej takiej osoby tutaj — odparł. Potem uśmiechnął się i postukał w pierś. — Lepiej czytać angielski jak mówić angielski — rzekł. Znow oddzielał od siebie słowa i wyraźnie je artykułował.

— Dziękuję.

Wyszła ze sklepu. Wierzyła mu, ale sama postanowiła to sprawdzić. Po prostu chciała się upewnić. Spacer wokół budynku przekonał ją, że nie ma tutaj żadnych mieszkań.

Wróciła do samochodu i pojechała do dzielnicy Wallingford znajdującej się na północ od centrum — pod kolejny adres z listy. Po drodze włączyła radio i poszukała lekkiej muzyki. Trochę się odprężyła. Przejżdżając przez most, nagle zdała sobie sprawę, że cały czas jedzie za nią czarny sportowy samochód. Utrzymywał dystans. Okna w samochodzie były przyciemnione, więc mogła jedynie zobaczyć, że kierowca był *chyba* mężczyzną. Zacisnęła palce na kierownicy, ze strachu aż uniosła się na siedzeniu.

Jechał za nią.

Minęła dwa zielone światła i przecznice. Nie skręciła na Ballard, ale ruszyła prosto na Wallingford. I ciągle spoglądała w lusterko wsteczne. Samochód z ledwo widocznymi światłami podążał za nią.

Zatrzęsła się ze złości. Chciała wcisnąć pedał gazu do deski, sprawdzić, czy i on ośmieli się przyspieszyć. Zamiast tego zwolniła i jadący za nią wóz zbliżył się na odległość przecznicy. I zwolnił tak jak ona.

Bez ostrzeżenia wcisnęła hamulce i zjechała do chodnika. Tamten zatrzymał się z piskiem opon.

Niech ta kanalia się zbliży, pomyślała. Kiedy będzie ją mijał, przynajmniej zobaczy, kto to. Ta menda jej nie zaatakuje; jest widno, na chodnikach pełno ludzi, a ulicą bez przerwy jeżdżą samochody,

Samochód zahamował, wjechał na podjazd i się cofnął. Zmienił kierunek jazdy. Skreślił w pierwszą boczną uliczkę. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła określić jego marki ani roku produkcji. Zauważyła jedynie, że był czarny, miał przyciemnione szyby i czworo drzwi.

— Cholera! — zaklęła. — Stałam za blisko zakrętu. On za szybko odjechał.

On, zastanowiła się. Nie była tego pewna. Mogła to być kobieta.

Schrzaniłaś sprawę, powiedziała do siebie, kiedy znów ruszyła samochodem. Teraz ta osoba wie, że ją widziałaś, i następnym razem będzie ostrożniejsza.

Ta myśl jeszcze bardziej ją przygnębiła. Kiedy dojechała pod adres w Wallingford — tym razem był to dom mieszkalny — bała się tak bardzo, że przez pięć minut nie wysiadała z samochodu; czekała, aż ktoś inny zaparkuje na tej ulicy.

Już chyba wpadłaś w paranoję, powiedziała do siebie. Jednak samochód, który za nią jechał, nie był fantazją; był tak rzeczywisty jak tamte sprawy. Nie zwariowała, chyba że przeżywa załamanie psychiczne i wszyscy, którzy ją otaczają, cierpią na te same zaburzenia.

Zamknęła miatę i weszła drewnianymi schodami na zapadającą się werandę. Na nierównej podłodze z desek leżał pręgowany kot. Prawie się nie poruszył, kiedy wcisnęła dzwonek u drzwi. Minęło pół minuty. Znów zadzwoniła.

Z drugiej strony drzwi rozległ się szelest. Nagle się otworzyły, ale tylko na odległość łańcucha.

— Tak? — rzucił drżący kobiecy głos. — Czego pani chce?

— Nazywam się Liza MacDonough. Jestem psychologiem pracującym w International Air. Chciałabym porozmawiać o czekach przesyłanych przez moją firmę pod ten adres.

Włożyła wizytówkę do wąskiej szczeliny w drzwiach. Wzięła ją pomarszczona dłoń. Liza cofnęła się, dała starszej kobiecie czas na przyjrzenie się wizytówce.

— Jakich czekach?

— O czekach z wypłatą, które dwa razy w miesiącu wysyłaliśmy do pani skrytki pocztowej — odparła Liza.

Obejrzała się za siebie. Ulicą nie przejeżdżały żadne pojazdy, na chodniku było pusto. Znów spojrzała na wydruk.

— Wystawiane były na nazwisko Neila Edwardsa mieszkającego pod numerem 2106. Czy numer się zgadza?

— Tak, ale nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku. — Liza usłyszała szcęk wysuwanego łańcucha. Drzwi się otworzyły i ukazała się drobna, zgarbiona kobieta. Miała co najmniej osiemdziesiąt lat. — Mieszkam tutaj sama. Tak już od dwudziestu lat, od śmierci męża — dodała z dumą. Najwyraźniej zaufała Lizie. — Nikt o takim nazwisku nigdy tu nie mieszkał.

— Czy ma pani skrytkę pocztową?



— Oczywiście, że nie. Po co mi skrytka, kiedy poczta przychodzi do mnie do domu? — Pokazała na skrzynkę pocztową wiszącą przy drzwiach.

— A kiedyś miała pani skrytkę?

— Czy pani jest głucha? — Kobieta zmarszczyła małą twarz. — Przez całe życie nie miałam żadnej skrytki!

— Pewnie mam zły adres — rzekła Liza, zmuszając się do uśmiechu. — Przepraszam, że panią niepokoiłam.

To nie pomyłka, powiedziała w myślach, wracając do samochodu. Większość adresów na liście była fałszywa. Mogła ręczyć za to głową.

Do zmierzchu znalazła siedmiu ludzi, którzy rzeczywiście pracowali w International Air, natomiast pod dalszymi piętnastoma adresami nic nie wiadano o osobach z listy. Przepytywani mieszkańcy nie mieli skrytek pocztowych.

Kto zatem realizował czeki firmy?

Liza całe popołudnie, kiedy jechała samochodem, spoglądała w lusterko wsteczne. Nie było żadnych innych incydentów, wszystko wydawało się normalne. Mimo to niepokój nie ustępował. Napomniała się, że gdyby ktoś ją śledził, nie wiedziałby, jaki jest jej kolejny cel. Jednak ta myśl nie uspokajała. Zjawy, która trapiła Lizę, zdawała się wyłaniać z nicości.

Został jej tylko jeden adres. Była to łódź mieszkalna cumująca na jeziorze Union, blisko miejsca, gdzie mieszkał Erik. Poczekaj do jutra — usłyszała cichy głos wewnętrzny. Zaczyna się ściemniać.

Wybrać się tam czy nie? — zastanawiała się. Spojrzała w lusterko wsteczne; nikt za nią nie jechał. Jednak zaczęły się godziny szczytu i trudno było śledzić inny samochód.

Jedź tam, powiedziała do siebie. Powinnaś uwiarygodnić wszystkie adresy, żeby ktoś z IA chciał wysłuchać skarg twoich klientów. Poza tym ta łódź mieszkalna znajdowała się po drodze do jej domu.

Zjechała z alei Zachodniej i ruszyła w kierunku alei Wschodniej, ciągnącej się po przeciwnej stronie jeziora. Gdyby zadzwoniła do Erika, udzieliliby jej wskazówek i szybko dotarłaby na miejsce. Przyśpieszyła, żeby zdążyć przed nocą.

Nie zauważyła, jak przecnicę za nią czarny van wjechał na jej pas ruchu.



## Rozdział 26

Odszukanie adresu przy zapadających ciemnościach wydawało się sprawą beznadziejną. Liza powoli jechała ulicą przylegającą do jeziora.

Wiedziała, że jest w dobrym miejscu, ale w tym natłoku łodzi mieszkalnych i bloków nie mogła znaleźć adresu.

Uznała, że musi zadzwonić do Erika. Znał ten rejon jak własną kieszeń. Skieruje ją do właściwego skupiska domów.

Zatrzymała się przy skrzynkach pocztowych. Było to jedyne wolne miejsce na wąskiej wyboistej ulicy. Niesamowicie, pomyślała, biorąc telefon komórkowy. Nikt nie uwierzyłby, że blisko centrum miasta jest taka dzielnica — atmosfera cyganerii i drogie łodzie mieszkalne. Mieszkańcy zdawali się nie zwracać uwagi, że mogą parkować jedynie na ulicy, szukać wolnych miejsc.

Automatyczna sekretarka u Erika przekazała informację, żeby dzwonić do jego biura lub na telefon komórkowy. Liza rozłączyła rozmowę. Przypuszczalnie nie dojechał jeszcze do domu. Zadzwoniła na jego komórkę i od razu się połączyła.

— Liza, co się stało? — spytał, gdy zdał sobie sprawę, kto dzwoni.

— Musisz mi powiedzieć, jak dojechać do pewnej łodzi mieszkalnej.

— Myślałem, że jestem jedyną osobą mieszkającą na łodzi, jaką znasz.

— To prawda.

— Fiu! A już pomyślałem, że twój przyjaciel Dave kupił jakąś łódź...

Nie dziwiłbym się, bo bardzo lubi rywalizację.

— Jaką rywalizację?

W słuchawce rozległo się westchnienie. — Żartowałem. Dlaczego szukasz tej łodzi?

Wyjaśniła, że mieszka na niej ktoś, kto pracuje w International Air; kazała mu przypuszczać, że jest jej klientem. Przeczytała adres z wydruku. — Jestem kompletnie zdezorientowana.

— Słuchaj, dobrze wiem, gdzie teraz jesteś. Codziennie biegam obok tych skrzynek pocztowych. Masz tylko kilka minut drogi od mojej łodzi.

— Wiem, Erik. Dlatego zadzwoniłam, żebyś dokładnie mi wyjaśnił, jak dojechać pod ten adres.

Udzielił jej informacji; okazało się, że jest blisko szukanej łodzi. — Zatrzymałbym się i upewnił, czy ją znalazłaś, ale teraz nie mogę. Zadzwon, jak będziesz miała problem, dobrze?

— Zadzwonię. Dzięki — odparła. Zastanowiła się, dlaczego nie może skrócić i pokazać jej drogi. Był tylko kilka przecznic dalej. Już odkładała telefon, kiedy znów usłyszała jego głos. — Gość jeszcze? — spytała.

— Tak. Liza, czego, do diabła, tu szukasz? Robi się ciemno.

— Nie, jeszcze jest widno. Ta sprawa zajmie mi tylko kilka minut.

— Nie możesz poczekać do jutra i przyjechać tu w środku dnia?

— Erik, nie jestem dzieckiem.

Westchnął znowu. — Gdybyś mogła poczekać do dziewiątej, pojechałbym z tobą.

— Za późno. Naprawdę nic mi się nie stanie.

— Więc nie mogę cię odwieść od twojego pomysłu?

— Nie bądź śmieszny. Później z tobą porozmawiam. Na krótko zapadła cisza.

— Uważaj na siebie.

Powiedziała, że będzie, podziękowała mu i rozłączyła się. Wyszła z samochodu i zamknęła drzwi na kluczyk. Postanowiła zaparkować przed skrzynkami pocztowymi; listonosz zjawi się z pocztą dopiero jutro rano.

Z torebką i wydrukiem w ręku Liza skierowała się w stronę dzielnicy łodzi mieszkalnych. Nad bramą zwieńczoną łukiem widniał napis: UTRACONY RAJ.

Uśmiechnęła się. Słowo *raj* jest odpowiednie do mieszkania na jeziorze Union, ze wzgórzem Capitol na wschodzie, Wzgórzem Królowej Anny na zachodzie i wieżowcami centrum Seattle na południu. A słowo *utracony*? Ludzi takich jak ona nie było stać na ten raj.

Nawet Erik nie mógłby sobie pozwolić na zakup pływającego domu. Swoją łódź kupił po skończeniu studiów, za mniej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Była jednopoziomowa i bardzo sfatygowana. Przeprojektował ją i rozbudowywał przez lata, na tyle, na ile było go stać. Teraz miała trzy poziomy i stanowiła atrakcję turystyczną. Był to wygodny pływający dom z pokojami, dwiema łazienkami, alkowami, oknami wykuszowymi i świetlikami. I piecem na drewno. Obok cumował mały jacht. Erik to wspaniała partia dla dziewczyn, stwierdziła w myślach Liza i weszła przez otwartą bramę do Utraconego Raju.

Spojrzenie na tablicę z numerami domów powiedziało jej, że trafiła we właściwe miejsce. Jednak nie zdziwiło jej, że nazwisko przy numerze domu nie zgadza się z tym na jej liście. Mimo wszystko postanowiła to sprawdzić; może ktoś wynajął ten dom albo pracownik IA był współlokatorem.

Szybko zapadała ciemność, w całej dzielnicy zapaliły się stojące przy drewnianych pomostach lampy — z wyjątkiem Utraconego Raju, gdzie większość żarówek się przepaliła. Liza, wchodząc na nierówny pomost,

zauważyła, że wszystko wokół jest zdewastowane. Bez oświetlenia odczytanie numerów domów stawało się coraz trudniejsze. Weszła na rozwidlenie i się zawahała.

W którą teraz stronę? — zastanawiała się. W lewo, w prawo, czy może prosto?

W przeciwieństwie do sąsiednich kwartałów tutaj drewniane pomosty nie były prostymi porządnymi drogami. Urywały się, tworzyły koła. Wygląd okolicy wskazywał, że mieszkańcom brakowało dumy z posiadania. Z tego, co Liza wiedziała, są to raczej wynajmowane łodzie.

Skręciła w lewo, w kierunku światła. Po numerach na domach zorientowała się, że poszła w złą stronę. Wróciła do punktu, z którego wyszła, znajdującego się dziesięć metrów od brzegu. Druga próba — tym razem skręciła w prawo — też skończyła się niepowodzeniem. Chciała kogoś zapytać, ale w większości łodzi było ciemno.

Uznała, że ludzie, którzy tu mieszkają, nie wrócili jeszcze z pracy. Weszła na zaczynający się pod kątem pomost. Zwęzał się nad jeziorem. Niemal przez przypadek znalazła tę właściwą łódź. Drzwi wejściowe znajdowały się tylko o krok od przejścia, na którym stała. Przez wysoko umieszczone w podniszczonej ścianie sześciokątne okno sączyło się żółte światło. Ktoś był w domu.

Potem zauważyła napis NA SPRZEDAŻ przywieszony na drzwiach. Uniosła kołatkę, metalowego gargulca, i zastukała nim o płytkę.

Czekała, słuchając pluskającej pod nią wody. Na jeziorze przemknęła łódź motorowa, jej odgłos zanikał, gdy się oddalała. Po kilku sekundach Liza poczuła pod nogami falę. Deski pomostu zabujały się tak mocno, że

musiała przytrzymać się łodzi. O rety! — pomyślała. To nie jest zbyt stabilne miejsce.

Znów zapukała, tym razem głośniejsze. Nikt nie odpowiadał.

Otworzyły się za nią drzwi. Wytrącona z równowagi obróciła się na pięcie. Stała twarzą w twarz z czterdziestoletnią blondynką, która wyłoniła się po drugiej stronie pomostu. — W czym mogę pomóc? — spytała gardłowym głosem. Światło z pomieszczenia za nią nagle oświetliło deski pomostu między kobietami.

— Mam kłopot. — Liza uśmiechnęła się z ulgą. — Szukam pana Walkera, pani sąsiada.

— Walkera? — Kobieta pokręciła głową. — Nie znam, ale dopiero niedawno kupiłam ten dom. Praca i krótkie zimowe dni nie sprzyjają zawieraniu znajomości... — Przerwała. — Gdzie on mieszka?

— Tutaj. Naprzeciw pani. — Liza wskazała na łódź za sobą. Kobieta przechyliła głowę. — Nie znam większości sąsiadów, ale wiem, że trafiła pani pod zły adres.

— Jest pani pewna, że pan Walker tu nie mieszka?

— Nikt nie mieszka w tej łodzi. Od sześciu miesięcy, jak się tu sprowadziłam, dom jest pusty.

— Naprawdę? Jest pani pewna?

Kobieta przytaknęła. — Słyszałam, że właściciel mieszka w Kalifornii i od ponad roku ten dom stoi pusty. Nie pamiętam jego nazwiska, ale na pewno nie Walker.

Zapadła cisza.

— Hm... w każdym razie dziękuję za informację — rzekła Liza. — W ten sposób zaoszczędzę sobie trochę chodzenia.

— Cieszę się, że mogłam pomóc. — Kobieta przytknęła drzwi. — Niech pani uważa w drodze powrotnej. Zrobiło się ciemno, a niektóre deski na pomoście są nierówne.

— Dziękuję. Będę uważała.

Kobieta cofnęła się do środka i Liza usłyszała zamykaną zasuwę. Zaczęła wracać drogą, którą przyszła. Choć wzięła sobie do serca przestrogę kobiety, to jednak głównie myślała o tym, że właśnie znalazła szesnasty fałszywy adres.

Po dojściu do rozwidlenia na pomoście zatrzymała się, próbowała sobie przypomnieć, którądy ma wracać. Wszystkie przejścia między łodziami mieszkalnymi wydawały się prowadzić w kierunku lądu. Z doświadczenia wiedziała jednak, że niektóre wychodzą na jezioro.

Nagle poczuła, że deski pod jej stopami wpadły w drgania. Ktoś jeszcze szedł po pomoście.

Odwróciła się szybko. Nie zauważyła nikogo.

Liza zaryzykowała i zeszła z oświetlonego pomostu, który, jak stwierdziła kilka minut wcześniej, prowadził w złym kierunku. Zaczęła iść szybciej, deski wibrowały pod jej pospieszonymi krokami. Modliła się, by kierunek, który wybrała w tym labiryncie, okazał się właściwy. Wybór pomostu bez świateł to prawie samobójstwo. Mogła wpaść do wody, utonąć i nikt by tego nie zauważył.

Była to ślepa uliczka.

Nagle poczuła na sobie rękę, napastnik przyciągnął ją do siebie. Dłoń zaciśnięta na ustach stłumiła jej krzyk. Do nosa dotarł obrzydliwy zapach potu.



— Ty pieprzona cipo — rozległ się ochryply szept. W uchu poczuła gorący oddech. — Teraz kolej na ciebie.

Została zaciągnięta na skraj pomostu. Szamocząc się i wykręcając, próbowała się uwolnić. Bez skutku. Mężczyzna, który ją przytrzymał, był od niej znacznie większy i silniejszy. Nagle zdała sobie sprawę, że zginie, jeśli się nie wyswobodzi.

*Zamierzał ją zepchnąć do jeziora.*

Znalazłszy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, mocno się skręcała i rzucała głową, by zaczerpnąć powietrza. Ale ręce mężczyzny zaciskały się na jej piersiach i ramionach, uniemożliwiając oddychanie. Zamiast krzyku zza jego dłoni zaciśniętej na ustach wydobyło się stłumione chrapnięcie. W rozpaczy ugryzła go w palec.

Zaskowyczał z bólu i oderwał rękę. Wciągnęła powietrze do płuc, ale zanim zdążyła krzyknąć, uderzył ją w twarz. Przed jej oczami zawirowały jaskrawe, kolorowe plamki, ciało zrobiło się jak z waty. Potem znów zacisnął dłoń na jej ustach, tym razem tak mocno, że nie mogła nimi poruszać.

Poczuła, że zemdleje z braku powietrza. Walczyła ze swoją słabością, podczas gdy obraz przed jej oczami coraz bardziej się rozmywał. *Umrze, jeśli zemdleje.*

Ta myśl napełniła ją energią. Musiała się wyrwać. Wykręcając się i napinając, usiłowała uwolnić się z uścisku. Urwał się rękaw jej płaszcza, a na pomost spadło kilka guzików. Kopnęła do tyłu, próbowała trafić napastnika obcasem w piszczel. Skrzywił się z bólu, kiedy się jej udało. Znów kopnęła.

Jednak przegrywała bitwę.

Nagle została rzucona na deski pomostu. Drzazgi wbijały się jej w kolana i dłonie, gdy czołgała się po drewnianej powierzchni.

Oszołomiona próbowała odzyskać orientację. Była wolna od bolesnego uścisku, ale przez chwilę nie mogła odpowiednio zareagować. Poczła pod sobą drgania desek od oddalających się kroków.

Uniosła się na kolanach na tyle szybko, by zobaczyć, jak mężczyzna znika w ciemnościach. Skreślił, żeby uniknąć spotkania z parą osób, która go wystraszyła. Liza już stała i przytrzymywała się słupa, kiedy podeszli do niej starszy mężczyzna i kobieta.

— O matko kochana — jęknęła kobieta. — Co się stało?

— Boże, Charlotte — odezwał się siwowłosy mężczyzna — ta kobieta krwawi.

— Nic mi nie jest — Liza próbowała ich uspokoić. — Jestem tylko zrozpaczona.

— Co się stało? — powtórzyła niespokojnie kobieta.

Oboje ubrani byli w dzinsy, czapki bejsbolowe i wiatrówki. W innej sytuacji Liza by się uśmiechnęła, widząc takich siedemdziesięcioletnich ludzi, którzy wystroili się jak nastolatki. Teraz mogła jedynie wykrzywić twarz z bólu. Jej spodnie, podarte na kolanach, nasiąkły krwią. Miała pokaleczone dłonie, od uścisku bolało ją gardło. Zastanawiała się, czy nie złamała jakiejś kości.

— Ten mężczyzna zaatakował panią — rzekła kobieta. Liza skinęła głową. — Przyjrzała mu się pani?

— Za ciemno. — Kobieta spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę. — Musimy kazać wymienić żarówki. Nie możemy pozwolić, żeby zaczepiano ludzi przed naszym domem.

Liza zapewniła, że nie potrzebuje pomocy lekarskiej i para odpro-  
wadziła ją do miaty. Podziękowała im, wsiadła do samochodu i uruchomiła  
silnik. Całe jej ciało drżało, zęby szczękały niczym kości do gry w kubku.  
Zacisnęła usta, by zlikwidować ten niepokojący odgłos. Kurczowo chwyciła  
kierownicę i skierowała się w stronę domu. Mógł ją zabić. Gdyby nie ta  
starsza para, przypuszczalnie znajdowałyby się teraz głęboko, na dnie  
jeziora Union.

*Przeszli tylko kilka kroków od niego. Cofnął się w ciemności upewnił,  
że nie będzie go widać zza przerośniętych krzewów. Hałaśliwa suka.  
Cholernie sprzyjało jej szczęście. Miał nadzieję, że wróci do samochodu  
sama.*

*Spojrzał na swoje zaciśnięte dłonie. Znów spieprzył sprawę. Ona wciąż  
żyła.*

Liza wcześniej zadzwoniła do Joego, żeby czekał na nią w garażu.  
Pojechał z nią potem na górę, dopilnował, żeby bezpiecznie dotarła do  
mieszkania. Wyjaśniła, że wygląda niechlujnie, bo upadła. Nie była też w  
stanie opowiadać o szczegółach, jednak przekazała informację detektywowi  
Barnesowi.

Po opatrzeniu rąk i kolan usiadła w ciemności i próbowała zrozumieć  
coś z tego, co się stało. Czy napastnik — osoba w czarnym sportowym  
samochodzie — podążał za nią wszędzie, czekał na swoją szansę? Czy był  
teraz na ulicy i obserwował zapalające się i gasnące światła w jej  
mieszkanu, kierował noktowizor w stronę jej okien?

Musiała się temu przeciwstawić. W końcu dopadła ją paranoja.  
Chociaż jej prześladowca był jak najbardziej rzeczywisty, to nie znaczyło,

że bez przerwy ją obserwuje. Czuła się wypalona, wyczerpana i przerażona. Kim *on* był?

Kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczyła. Usłyszała, jak włącza się automatyczna sekretarka, ale nie zrobiła żadnego ruchu, żeby sama podnieść słuchawkę. Nie chciała z nikim rozmawiać. Z wyjątkiem Jean i detektywa Barnes'a nie wiedziała, komu ufać. Po informacji Lizy nagranej na automatyczną sekretarkę rozległ się głos Dave'a.

— Hej, daj mi znać, jak wrócisz do domu. Bardzo mnie ciekawi, jak minęło ci popołudnie. Zadzwonię później.

Chciał wiedzieć, co robiła w ciągu dnia? Może już wie. Może tylko gra. Objęła twarz dłońmi. Szaleństwo, pomyślała. Nie mogła uwierzyć, że Dave byłby w stanie ją skrzywdzić.

Po piętnastu minutach był kolejny telefon, którego nie odebrała. Po chwili — następny. Potem zadzwonił Erik. Przepraszał, że nie pomógł jej szukać łodzi. Miał nadzieję, że jego wskazówki okazały się pomocne. Umówił się z kursantami w swoim domu i ledwo zdążył przed ich przyjazdem. Teraz dopiero wyszła ostatnia osoba. — Zadzwon, bo będę się martwił.

Liza siedziała w ciszy swojego salonu, nie potrafiła zapomnieć, że Erik dokładnie wiedział, gdzie ona pojechała. Tak samo Dave znał jej plany na popołudnie... podobnie jak Hawk.

Nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, chciała, żeby detektyw Barnes oddzwonił na jej telefon.

Zerwała się na równe nogi, kiedy nowa myśl pojawiła się w jej głowie. Jeszcze jedna osoba mogła znać kierunek jej poszukiwań: człowiek, który ukradł pierwszy wydruk dostarczony jej przez Alice.

O Boże! Jak mogła o tym zapomnieć?!

## *Rozdział 27*

Do rana strach u Lizy przekształcił się we wściekłość. Nie mogła pozwolić, żeby ten człowiek z cienia całkowicie zmienił jej życie. Jeśli chce ją zamordować, to powinna się bronić. Skoro z nienawiścią myśli o posiadaniu broni, kupi sobie przynajmniej gwizdek i spray z gazem obezwładniającym. Przysięgła sobie, że ten horror, który przeżywa, nie ujdzie napastnikowi na sucho. To on był osobą, która musi coś ukrywać, nie ona.

Wyjechała z garażu, by udać się do pracy. Zahamowała przed włączeniem się do ruchu. Miała już przyspieszyć, kiedy zauważyła detektywa Barnes'a biegnącego chodnikiem od drzwi frontowych. Machał ręką, żeby się zatrzymała.

— Dzwoniłem do pani mieszkania z domofonu. Pewnie zdążyła pani już wyjść — rzekł.

— Kobiety muszą teraz same się utrzymywać — stwierdziła szyderczo. — Przed ósmą powinnam być w pracy.

Zapadła cisza. — Nic pani nie jest?

— Jak widać. — Przerwała. — Dziękuję, że zadzwonił pan wczoraj wieczorem. Tak naprawdę to nic ważnego się nie stało. — Jakoś nie mogła powstrzymać się od złośliwości, choć zdawała sobie sprawę, że przelewa całą swoją wściekłość i strach na detektywa. — Kobieta mieszkająca w mieście powinna się przyzwyczaić, że ktoś będzie próbował ją zabić. — Parsknęła urywanym śmiechem. — Pan jako detektyw zajmujący się morderstwami na pewno codziennie słyszy o takich przypadkach.

Był wietrzny poranek i wiatr targał mu kręcone włosy. Jednak nie zwracał uwagi na takie drobiazgi; jego twarz wyrażała obawę. Nie, pomyślała Liza z perwersyjną satysfakcją. Wyglądał na zatrwożonego i przestraszonego.

— Co, do diabła, się wydarzyło? Powiedziała mu.

— Na Boga, dlaczego pani nie powiedziała o tym w telefonie?!

Zadzwońlibym, choć wróciłem do domu dopiero po jedenastej. Nie miałem pojęcia, że to takie pilne. — Szybko wciągnął powietrze do płuc. — Ale, do cholery, dlaczego po napadzie nie zadzwoniła pani na policję? — Zamilkł na chwilę. — Byłem na przyjęciu urodzinowym dziecka siostry.

Uciekła ze wzrokiem, była przybita i zawstydzona swoim zachowaniem. — Przepraszam. Nie miałam zamiaru na pana naskakiwać. Ma pan rację. Skąd mógł pan wiedzieć, co się stało.

— Liza, nie podoba mi się to, co zobaczyłem. Jest pani w szoku. — Zawahał się. — To irracjonalna reakcja na to, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, na wszystkie wydarzenia w ciągu ostatnich kilku tygodni. Mogła zostać pani zamordowana. — Znowu zamilkł. — Musi pani zachować spokój.

— Więc przyznaje pan, że znalazłam się w niebezpieczeństwie? — wyrzuciła z siebie.

— Jestem detektywem zajmującym się morderstwami i...

— I niczego pan nie potwierdzi — przerwała mu.

— Jezu! — wykrzyknął poirytowany. — Proszę niczego mi nie wmawiać. Wiem, że ktoś panią prześladowa. Próbuję tylko odkryć, o co, do cholery, chodzi.

— Witamy w klubie.

— Obieca mi coś pani? Przytaknęła.

— Skoro ma pani telefon komórkowy, chciałbym, żeby pani dzwoniła natychmiast, jak wydarzy się coś podejrzanego. Natychmiast, a nie po jakimś czasie. Zgoda?

— Zgoda — rzekła w końcu. Jej złość znów przeszła w strach. — Obiecuję.

Osunął się od samochodu. — To dobrze. Liza, proszę nie zapominać, że detektywi zajmujący się morderstwami mimo ich specjalistycznego wykszolenia też są ludźmi. — Nagle się uśmiechnął. — Sprawdzam więcej rzeczy, niż pani się domyśla. Badam wszystkie okoliczności. A pani niech tylko zadba o swoje bezpieczeństwo. Dobrze?

Znów przytaknęła. Była bliska łez. — Przepraszam, że nie okazałam wdzięczności.

Jego spojrzenie stało się bardziej przenikliwe. — Rozumiem. — Machnął ręką. — Proszę słuchać moich wskazówek. Następnym razem proszę mi dać znać, jak tylko pani pomyśli, że sama będzie coś sprawdzała. Obiecuję, że otrzyma pani wtedy pomoc.

— Dziękuję, detektywie Barnes.

— Wystarczy Owen...

— Dziękuję, Owen.

Kolejny samochód wyjechał z garażu i zatrąbił, by zrobić miejsce. — Muszę jechać — powiedziała do detektywa.

Zszedł z drogi. — Będę w kontakcie. Pamiętaj, że masz dzwonić nawet wtedy, kiedy coś tylko *wyda ci się* podejrzanego.

— Będę dzwonić. — Zamknęła okno i włączyła się do natężonego ruchu ulicznego. Zapowiadał się długi dzień.



Dave, co chcesz przez to powiedzieć?

Obszedł biurko i chwycił Lizę za rękę. — Tylko tyle, że przedstawiasz niesamowity scenariusz wydarzeń: misterny plan okradania firmy, próby zatuszowania faktów. Uważasz, że te zgony nie są przypadkowe. To graniczy z obłędem. — Zawahał się. — Nie ma żadnego spisku w firmie, a śmierć Nate'a i Alice to tragiczny zbieg okoliczności.

— Ale to może być prawda.

— W żadnym wypadku. Gdyby ktoś zrobił to, co sugerujesz, już *dawno* zostałyby wykryty.

Oderwała dłonie od niego. Przypuszczalnie wyglądała jak wariatka, wparowując do jego pokoju z tymi sensacjami. Obraz tego, co mogło się wydarzyć, rozpałił się w jej umyśle podczas drogi do pracy. Może ktoś dla zysku fałszuje listy płac?

Chociaż opowiedziała Dave'owi o swojej teorii, to nie wspomniała o wczorajszym napadzie na nią. Erikowi też o tym nie mówiła. O napadzie wiedział tylko detektyw Barnes. Postanowiła zachować to w tajemnicy, przynajmniej do chwili, kiedy będzie wiedziała, komu ufać.

— Więc nie wierzysz w to, co mówię?

— Złotko, wierzę, że uważasz to za prawdę. Może jest coś na rzeczy w tym, co mówisz, ale chciałbym ci zwrócić uwagę na racjonalne wyjaśnienie pomyłek w adresach, na przykład błąd komputerowy.

Z irytacją wypuściła powietrze z płuc. — Dave, ludzie, przy których znajdowały się fałszywe adresy, *nie byli* pracownikami firmy. — Odsunęła się od niego. — Jednak otrzymywali prawdziwe czeki, a po jakimś czasie prawdopodobnie byli zastępowani przez innych fikcyjnych pracowników.



Tymczasem zwalnia się *prawdziwych pracowników*, żeby zrobić miejsce dla martwych dusz i by ktoś mógł realizować ich czeki. To proste.

— Liza, mówię ci, że to nie jest takie proste. — Wyglądał na rozdrażnionego. — Sugerujesz, że to wszystko związane jest z laboratorium komputerowym. To niemożliwe. Co, do diabła, programiści komputerowi mają wspólnego ze zwolnieniami pracowników z innych działów firmy?

Milczała. Chyba nic, ale w to musiał być zamieszany ktoś pracujący w International Air. Ta osoba miała dostęp do tajnych plików komputerowych. Czy ten ktoś wykorzystywał komputerowe talenty Nate'a?

Znów zaczęła mówić — o skargach klientów, o wydruku, który Alice dawała jej dwa razy i o swoich poszukiwaniach, które wykazały, że prawdopodobnie szesnastu pracowników jest fikcyjnych.

— Dave, ktoś przejmuje te czeki. Ta osoba również wie, ilu fikcyjnych pracowników można wpisać na listę, żeby nie wzbudzić podejrzeń księgowych i kierownictwa. — Westchnęła. — Ludzie są zwalniani, żeby zrobić miejsce dla tych martwych dusz. Pozostali pracownicy muszą pracować za dwóch, wypruwać żyły. W tym czasie ktoś kasuje czeki za fikcyjne etaty.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś okrada firmę?

— Uważam tylko, że ktoś ma dostęp do programów firmy i na bieżąco zmienia dokumentację. Każdego miesiąca oszukuje firmę na tysiące dolarów! Myślę, że trzeba przeprowadzić kontrolę wewnętrzną i zweryfikować wszystkie nazwiska na liście zatrudnionych.

— Niedorzeczny pomysł! Nasza firma zatrudnia tysiące ludzi.

— Wcale nie. Musisz przyznać, że sprawdzenie każdego pracownika jest możliwe.

— Nie mogę zgodzić się tym, co uważam za nieistotne. Spekulujesz, tworzysz jakieś niesamowite teorie. Gdzie masz dowody? Jeśli pójdziesz do kierownictwa z wydumanym podejrzeniem opartym tylko na intuicji, to zostaniesz jedynie wylana z pracy.

— Jak już mówiłam, mam nazwiska szesnastu pracowników, którym wysyłano czeki do skrytek pocztowych. — Machnęła w powietrze wydrukiem. Nie przejmowała się już, że go zgubi; oryginał miała w torebce. Miała zamiar dać kopię Alowi, który był jej szefem, i Sylvii Kempton, z prośbą o zbadanie sprawy. — A ci ludzie nie mieszkają i nigdy nie mieszkali pod podanymi w ich dokumentach adresami.

— Sprawdziłaś wszystkie teczki tych szesnastu osób?

Uciekła ze wzrokiem. Miała nadzieję, że Sylvia pozwoli przejrzeć dokumentację. Zastanawiała się jednak, czy może jej ufać; Liza nie mogła zapomnieć, że była w centrum spadochronowym, kiedy zginął jej prywatny detektyw.

— No cóż, jeszcze nie — odparła powoli Liza — ale ta lista jest najważniejsza i ją najpierw sprawdzam. Nazwisko i adres to podstawowe dane pracownika, a te są fałszywe. Nic nie może potwierdzić, że te osoby naprawdę istnieją. Nawet numery ubezpieczeń społecznych nie będą się zgadzać.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

— Liza, to jest bez sensu. — Na jego twarzy odmalowało się napięcie. — Ludzie, o których mówisz, nie pracują teraz w International Air.

— Właśnie o to chodzi — naciskała. — Nie rozumiesz? Oni nigdy nie istnieli. Założę się, że wielu ostatnio zatrudnionych pracowników to też fikcja.

— Co według ciebie powinienem zrobić?

— Przyjrzyj się dokładnie, co robią programiści. Przedstaw kierownictwu moje wnioski, wyznacz kogoś, żeby sprawdził moje przypuszczenia, upewnij się, czy nikt z laboratorium nie ma z komputera *dostępu do danych osobowych*.

— Na Boga, Liza, gdybym cię dobrze nie znał, pomyślałbym, że postradałaś rozum. To jakiś obłąd.

— Dave, nie zwariowałam i nie odrzucam twojego przypuszczenia, że się mylę. Jeśli jednak dzieje się coś niedobrego, to ty albo ja powinniśmy poinformować o tym naszych przełożonych.

— Dobrze wiesz, że bezpodstawne oskarżenia mogą wywołać burzę, która łatwo wymknie się nam spod kontroli. Tego typu plotki mogą nawet zaszkodzić projektowi nowego typu samolotu. Niektórzy zaczną się odnosić nieufnie do naszego rewolucyjnego pomysłu, stracimy czas i nie zdążymy w terminie uzyskać certyfikatu.

Patrzyła na niego przerażona. Coś złego działo się w firmie, ginęli ludzie, a dla Dave'a najważniejszy był jednak ten projekt. Może jego kariera?

Spoglądali sobie w oczy. Ona pierwsza odwróciła spojrzenie, z niepewności. Może się myliła? Może jej informacje nie miały nic wspólnego ze zwolnieniami w firmie, z laboratorium komputerowym lub ze śmiercią Nate'a i Alice. Może wszystko, co się jej przytrafiło, nie miało w ogóle związku z International Air. Dave mógł mieć rację.

Nie dawała temu wiary. Z dowodami czy bez, działo się coś złego. Mogła w końcu znaleźć jakiś istotny fragment układanki, choć to nie wystarczy do stworzenia pełnego obrazu.

— Hej, Brązowe Oczy. Nie bądź taka zmartwiona. — Podeszedł do niej i przyciągnął ją bliżej. — Jeśli znajdę coś, co odbiega od normy, od razu o tym doniosę.

Przytaknęła, ale wątpliwości pozostały. Dave był zbyt przejęty certyfikatem Zarządu Lotnictwa Cywilnego.

Dave uniósł jej podbródek, żeby spojrzeć jej w twarz. — Ja zawsze dotrzymuję swoich obietnic — rzekł.

— Dasz mi znać, jak coś znajdziesz?

— Oczywiście. Mogę pożyczyć ten wydruk na dzień lub dwa? Liza dała mu odbitkę, którą specjalnie dla niego zrobiła.

Chwilę później poszła do swojego biura. Nie zamierzała czekać na jego działania, sama dalej będzie się zajmowała sprawą. Czas jest najważniejszy, uznała. Nie miała ochoty być kolejną ofiarą mordercy.

Do cholery, Liza! Chcesz mi powiedzieć, że poprosiłaś Dave'a Farrara, żeby sprawdził swoich programistów ze względu na tę nedorzeczną historię, którą właśnie mi opowiedziałaś?! Skinęła głową i czekała.

Al krążył po swoim gabinecie. Nagle się zatrzymał i wymierzył w nią palec. — Myślałem, że zapomniałaś o tym pieprzeniu i biadoleniu niezadowolonych klientów. Bez przerwy ci powtarzam, że psycholog nie może wyolbrzymiać ich żalów.

— Uważaj, Al. Gdybyś lepiej pomyślał, to mógłbyś się niepokoić, że oskarżę cię o wulgarność i napastowanie w pracy.

Otworzył usta, ale po chwili je zamknął. Obszedł biurko i usiadł na krześle. — Nie mówisz poważnie — rzekł w końcu.

— Oczywiście, że nie. — Nachyliła się nad biurkiem i położyła przed Alem kolejną odbitkę wydruku. — Chodzi mi tylko o to. Mógłbyś to przejrzeć, jedynie żeby się upewnić, że nie jestem panikarą?

— Mówiąc poważnie, musi być jakieś logiczne wyjaśnienie. To, co opowiadasz, nie może się wydarzyć w takiej firmie jak IA. Księgowi, rewidenci by to odkryli. Pieprzona bzdura.

— Może masz rację, ale czy mógłbyś to sprawdzić?

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Musisz obiecać, że jeśli nie znajdę nic podejrzanego, to potem weźmiesz urlop.

— A dzisiaj zaczniesz?

Przytaknął.

— Więc umowa stoi. Zajrzę do ciebie później i zobaczę, jak ci idzie. Tym razem pokręcił głową. — Postawiłaś na swoim.

— To dopiero początek. — Uśmiechnęła się. — Dziękuję, Al. Będziesz zaskoczony tym, co znajdziesz.

— Wątpię, ale zobaczymy.

Wychodząc z jego gabinetu, spojrzała na zegarek. Jeszcze jedna krótka wizyta przed umówionym spotkaniem. Musiała zbadać wszystkie możliwości. Może ktoś w końcu weźmie poważnie to, co mówi.

Nie mam dużo czasu — oświadczyła Sylvia Kempton. — Za pięć minut idę na zebranie pracowników działu.

— Będę się streszczać... — Liza powiedziała jej o szesnastu fikcyjnych adresach, a potem dała kolejną kopię wydruku, który dostała od Alice. — Zaznaczyłam fałszywe dane — dodała.

— Szesnaście? Ostatnio słyszałam o jednym.

— Zgadza się, ale znalazłam czas, żeby sprawdzić wszystkie nazwiska z listy.

— Czy to nie za dużo roboty, żeby pozbyć się wątpliwości?

Liza przytaknęła. — Ale warto. Ta sprawa jest poważniejsza, niż myślisz.

Sylvia milczała i Liza pomyślała, że ona tylko udaje, że przegląda listę, by dać sobie czas na znalezienie odpowiedzi. Jest zdenerwowana? — zastanawiała się Liza. A może wystraszona? Trudno powiedzieć. Rozważała, czy zapytać ją o powód bytności w centrum spadochronowym, ale zrezygnowała. Uznała, że nie jest to właściwa pora, jeśli chciała otrzymać od Sylvii pomoc.

— Liza, na pewno przejrzę dokumenty pod kątem tego, co mówiłaś — rzuciła. — Jednak spodziewam się, że wszystko jest w porządku i będzie można znaleźć logiczne wytłumaczenie tych rozbieżności.

— Kiedy będziesz sprawdzała listę, możesz zaznaczyć, w jakich działach ci ludzie pracowali. Chciałabym też mieć nazwiska ludzi, którzy pisali ich oceny pracy. — Liza zmusiła się do uśmiechu. — Możesz to dla mnie zrobić?

— Tak, chyba tak, ale... hm... muszę się podporządkować stanowym przepisom odnośnie ochrony danych osobowych. — Uniosła wzrok. — Liza, nie wiemy, czy ci pracownicy są naprawdę fikcyjni.

— Zgadza się, ale kiedy przejrzysz ich teczki, wszystko będzie wiadomo.

— Na pewno.

— Przyjdiesz do mnie, jak sprawdzisz?

— Oczywiście.

— Dzięki, Sylvia. Jestem ci niezmiernie wdzięczna. — Zawiesiła głos. — Bardzo mnie niepokoi, co się tutaj dzieje. Mam nadzieję, że szybko się tym zajmiesz. — Uśmiechem złagodziła swoje słowa.

Znów Liza wróciła do swojego gabinetu. I znów była niespokojna, zastanawiała się, czy Sylvia może być jakąś pomocą dla niej. Czy w ogóle mogła jej ufać? Sylvia wyraźnie się czegoś obawiała. Wydawało się, że ktoś miał na nią wpływ. Ale kto?

W jej myślach pojawiło się jedno imię. Dave? Do diabła, jak mogła w ogóle o nim pomyśleć. Dave był jej przyjacielem. Tak naprawdę to więcej niż przyjacielem. Jednak on również niepokoił się jej poszukiwaniami i groził mu *ktoś*, kto mógł zaszkodzić projektowi odrzutowca nowego typu.

Albo jego karierze.

## Rozdział 28

Drzwi do gabinetu Lizy otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył Erik. — Co, do kurwy nędzy, się dzieje? — spytał z wściekłością. — Dlaczego, do diabła, nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem albo przynajmniej nie podniosłaś słuchawki, kiedy ja dzwoniłem?

Przestraszona zerwała się na równe nogi. — O czym mówisz? Dlaczego przyszedłeś?

— Bo pewien detektyw od morderstw złożył mi wizytę i wystraszył mnie na śmierć. — Spojrzał na zegarek. — Niecałą godzinę temu.

— Ale... ale miałeś umówione spotkania i...

— Odwołałem je.

Liza obeszła biurko i Erik wziął ją w ramiona. Przytulał ją bez słów. Jego ciało było naprężone. Poczula się fatalnie. W końcu zrobiła krok do tyłu, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

— Erik, bardzo przepraszam. Nie mam żadnego usprawiedliwienia z wyjątkiem tego, że znalazłam się prawdopodobnie w szoku. — Zawahała się. — Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, komu ufać.

— Nawet mnie podejrzewałaś? Spuściła wzrok.

— Bo wiedziałem, gdzie jedziesz? — spytał. — Dlatego mnie podejrzewałaś?

Przytaknęła, nie była w stanie go oszukiwać. Na długo zapadła cisza.

— Ja nigdy bym cię nie skrzywdził, *nigdy* bym tego nie zrobił... Jak mogłaś o tym pomyśleć, nawet przez chwilę?

— Erik, straciłam wtedy głowę. Byłam tak zszokowana... — Nie była w stanie dalej mówić.



— Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko, jestem twoim najlepszym przyjacielem.

Uniosła wzrok. — Możesz mi wybaczyć? Wiem, że ty byś mnie nie skrzywdził.

— Cieszę się, że jesteś o tym przekonana. — Zaiskrzyły się jego bladoniebieskie oczy. — I nie popuściłbym, gdyby ktoś wyrządził ci krzywdę.

— Wybaczasz mi? — spytała znowu.

— Po warunkiem, że i ty mi wybaczysz, że zająłem się grupą początkujących skoczków, choć wiedziałem, że będziesz tam sama wieczorem. — Przerwał. — Zaprosiłem moich kursantów na zajęcia ze środków bezpieczeństwa. Chciałem uspokoić swoje poczucie winy po śmierci tego skoczka...

Znów się namyślał, zanim zaczął mówić dalej.

— Barnes powie ci, że mam alibi.

— Proszę, nie tłumacz się więcej. — Czują wyrzuty sumienia, że nie zaufała Erikowi. Nigdy nie brakowało mu współczucia i zrozumienia dla cierpień innych. Nigdy nie demonstrował psychopatycznych zachowań. — Erik, nie mam czego ci wybaczać. To była moja decyzja, żeby wpakować się w kłopoty. Wiedziała o tym i nie mogłam się powstrzymać. Detektyw Barnes nie musi uzasadniać twojej wiarygodności. Dobrze o tym wiesz.

Erik pokręcił głową, wyraźnie był zakłopotany. — Liza, on ma związane ręce. Nie wszczęto oficjalnie sprawy, wszystko opiera się na jego intuicji. Nie ma podejrzanych ani przypuszczalnej przyczyny wydarzeń, począwszy od przypadkowych śmierci i włamań, po niewyjaśnione incydenty. Masz szczęście, że w ogóle się tym interesuje.

— Wiem i dlatego się zastanawiam, dlaczego... co on myśli na temat tych zdarzeń.

Erik westchnął. — Wiesz co, potrzebujemy oderwania się od tych spekulacji i intryg. Może zjesz ze mną obiad w tej kawiarni Leschi nad jeziorem Washington? Wiem, jak bardzo lubisz zupę z owoców morza z dodatkiem sherry.

— Pod warunkiem, że zamówimy do tego po kieliszku chardonnay — rzekła. Próbowała trochę się rozluźnić.

Skinał głową, patrząc nieruchomym wzrokiem. — Nawet dwa albo i trzy.

— Świetnie. Dobrze mi zrobią.

— Kiedy stąd wychodzisz?

— Za godzinę.

— To spotkamy się u ciebie. — Spojrzał na zegarek. — O pół do szóstej.

— Może trochę wcześniej.

Zgodził się, potem pocałował ją w policzek, pożegnał gestem dłoni i wyszedł. Cicho zamknął drzwi za sobą.

Liza skończyła pracę, a następnie pozamykała teczki i włożyła płaszcz. Poszła do swojego samochodu. Kiedy wyjechała z parkingu, odkryła zaskoczona, że Erik podąża za nią swoim cherokee. Zatrąbił klaksonem i pomachał do niej. Jechał za nią całą drogę do First Hill. Zaparkował na ulicy, podczas gdy ona wjechała do garażu.

— Chciałem się tylko upewnić, że jesteś bezpieczna — powiedział, kiedy kilka minut później wsiadła do jego samochodu.

— Ale nie możesz mnie eskortować do domu każdego wieczoru — zaprotestowała.

— To się okaże. Ten łobuz musi się dowiedzieć, że tym razem posunął się za daleko.

Niespodziewanie obiad okazał się bardzo relaksujący. Siedzieli przy oknie wychodzącym na jezioro Washington. Erik odwiózł ją potem bezpiecznie do domu. — Chciałbym, żebyś zastanowiła się nad zmianą pracy — rzucił przed wyjściem z jej mieszkania. — Może powinnaś rozpocząć prywatną praktykę. — Uciszył ją ruchem dłoni, kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować. — Na razie pomyśl o tym. — Potem wszedł do windy.

Leżała teraz w ciemnościach, obserwowała przesuwane się po nocnym niebie cumulusy. Przypominały stada wełnistych owiec. Zastanawiała się nad swoją sytuacją. Czy rezygnacja z pracy w International Air rozwiąże jej problemy? Prawdopodobnie nie, bo to nie ona wywołała całe to zamieszanie. Miała pewność, że wciąż będzie celem ataku, niezależnie od tego, gdzie będzie pracowała.

*Ponieważ ktoś jest przekonany, że ona posiada niebezpieczne informacje.*

Jak zwykle nie było żadnych odpowiedzi, tylko jeden wniosek: nadal nie wie, o co tak naprawdę chodzi.

Niespokojna poszła po szklankę wody, potem szybko podbiegła do stolika nocnego, by podnieść słuchawkę dzwoniącego telefonu, zanim przenikliwy dźwięk obudzi kotkę. Zerknęła przy tym na oświetloną tarczę zegarka stojącego obok. Dochodziła dziewiąta. Jest jeszcze wcześnie. To na pewno Jean.

— Mówi Owen Barnes — usłyszała znajomy głos. — Nie obudziłem cię?

— Byłam w łóżku, ale jeszcze nie spałam.

— Chyba jesteś skonana, co? Mnie też morzy sen, bo po ciężkim dniu wypiliśmy kilka piw.

Zapadła cisza.

— Skąd wiesz, że coś piłam?

— Domyśliłem się. Wiem, że pojechałaś z Erikiem, żeby coś przekąsić.

— Erik ci o tym powiedział?

— Aha — odparł bez owijania w bawełnę. — A zadzwoniłem, żeby spytać, jak minął dzień. Coś się jeszcze wydarzyło?

Poinformowała go, że podzieliła się swoimi wnioskami na temat zwolnień z Dave'em, swoim szefem i Sylwią Kempton z działu kadr. — Wszyscy oni są przekonani, że jestem w błędzie. Uważają, że istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie tego, co odkryłam, ale wszyscy obiecali sprawdzić dane z wydruku, który im dałam.

Nie odezwał się.

— Jesteś tam? — spytała.

— Tak, tylko się zastanawiam.

— I jakie wnioski?

— Jestem całkowicie zdezorientowany.

— Co masz na myśli?

— To dziwne, że te trzy osoby lekceważą fakty, które im przedstawiasz.

— I co się za tym kryje?

— Po prostu wszystko jest bardzo zagmatwane. Dlaczego zaprzeczają twoim informacjom? Dla mnie są wiarygodne, bo poparte faktami...

— Może boją się o swoją pracę.

— Sugerujesz, że za tym wszystkim stoi International Air?

— Oczywiście, że nie. Myślę, że oni mają swoje własne zmartwienia; chodzi im o karierę albo coś próbują ukryć.

— Wyjaśnij to.

— Nie mogę, bo niczego nie jestem w stanie udowodnić. To tylko moje spekulacje.

— Pospekuluj. Nie zapiszę tego — dodał.

— I weź to wszystko w nawias.

— Pamiętaj, niczego nie notuję.

Westchnęła ciężko i zaczęła: — Dave Farrar martwi się o certyfikat dla nowego odrzutowca. Uważa, że negatywne nastawienie opinii publicznej wpłynie nie tylko na ten projekt, ale też na jego karierę w firmie. Mój szef, Al Stark, jest niezdecydowany, jeśli chodzi o sprawy, które pozostają poza jego doświadczeniem. Boi się, że popełni błąd, narobi sobie kłopotów i wpłynie to na jego pozycję w firmie...

— Została jeszcze Sylvia Kempton. Czy ona też boi się o swoją pracę?

— Nie mam wyrobionego o niej zdania.

— Mów, Liza — naciskał. — Powiedziałem, że niczego nie zapisuję...

— Okay — rzekła w końcu. — Pierwszy raz rozmawiałam z Sylwią o wydruku ze zwalnianymi pracownikami zaraz po śmierci Alice. Jej wahanie przypisałam rozpaczy, choć wyczułam, że kluczy. Potem Erik powiedział mi, że widział, jak rozmawiała z moim prywatnym detektywem w centrum spadochronowym, krótko przed jego wypadkiem.

— Wiem, Erik mi o tym też mówił.

— Kiedy? — spytała z zaskoczeniem w głosie. Miała zamiar sama powiedzieć o tym detektywowi, ale zawsze zapominała ze względu inne przerażające wypadki, które po tym nastąpiły.

— Jak szliśmy do twojego mieszkania, wtedy, kiedy zginął ten spadochroniarz. — Przerwał. — Mów dalej.

Wypiła łyk wody. — Kiedy dziś z nią rozmawiałam, czułam, że jest celowo mało precyzyjna, denerwowała się moimi poszukiwaniami, nawet opierała się, żeby wziąć moją prośbę poważnie.

— A dlaczego wcześniej nie podzieliłaś się tą informacją?

— Bo to chyba nie jest żadna informacja.

— Przy badaniu zbrodni wszystko jest informacją.

— Badaniu zbrodni?

— Przejęczyłem się.

— Czy to jest badanie zbrodni? — powtórzyła pytanie stanowczym tonem.

— Przecież wiesz, że rozpatruję wszystkie okoliczności, które mogą mieć znaczenie — odparł, znów unikając bezpośredniej odpowiedzi. — Nie mam żadnych dowodów, ale można powiedzieć, że jestem nieustępliwy, kiedy uważam, że coś wygląda inaczej, niż się wydaje.

— Znaczy to, że coś tu jest zamotane. — Przełożyła telefon do drugiego ucha. — To tego słowa użyłeś poprzednio, żeby opisać sytuację?

— Chyba tak...

Po krótkiej chwili skończyli rozmowę. — Pamiętaj, dzwoń do mnie nawet z drobnostkami.

Liza obiecała mu to i odłożyła słuchawkę. Szczerze wierzyła, że nic już więcej się nie wydarzy. Ale taką nadzieję miała już poprzednio.

I okazała się płonna.

Chmury rzeczywiście musiały wyglądać jak owieczki, bo po rozmowie z Barnesem szybko zasnęła. Była bezpieczna w przekonaniu, że uwierzył w jej historię i... że jej niepokój miał oparcie.

Przebudziła się z nowym postanowieniem: pójdzie do laboratorium komputerowego i porozmawia z Hawkiem i może z Johnem Ellisem, programistą, który zajął stanowisko Nate'a. Ellis mógłby wiedzieć, czy coś jest nie w porządku z komputerem, z którego korzystał Nate. Ale musiała wybrać moment, kiedy w laboratorium nie będzie Dave'a; nie chciała się narażać na kolejne konflikty z nim.

Chociaż nie informowała już Joego za każdym razem, kiedy wyjeżdżała z budynku, to jednak czekał na nią przy windzie w garażu. Odprowadził ją do miaty, a potem obserwował, jak odjeżdża. — Zadzwoń, kiedy będziesz wracała wieczorem — rzekł stanowczym głosem. — Muszę o wszystkim meldować Naomi, a ona mówi, że jesteśmy teraz dla ciebie rodzicami zastępczymi.

Liza obiecała, że zadzwoni, ale powstrzymała się, by nie zapytać, kto tak naprawdę go poinstruował. Detektyw Barnes? Erik? Może ktoś inny? Dodawało otuchy, że ludzie się o nią troszczą, nie jest sama w... w czym? — nie wiadomo. Sytuacja wciąż była niejasna, ale Liza coraz bardziej zbliżała się do prawdy. I ten ktoś o tym wiedział.

Ranek minął szybko; przed południem krótko porozmawiała z Dave'em i odrzuciła zaproszenie na obiad wieczorem, bo wciąż była podenerwowana ich ostatnią rozmową. Ale dowiedziała się, że po południu

idzie na spotkanie i nie będzie go w laboratorium. Pojawiła się szansa porozmawiania z Hawkiem Bohlmanem. W zależności od rezultatów tej rozmowy, być może porozmawia też z Johnem Ellisem. Podejrzuwała, że Hawk nie udostępni jej informacji dotyczących zwolnień.

Zaraz po lunchu Liza poszła do sąsiedniego budynku. Strażnik spojrzął na jej odznakę i wpuścił ją do środka. Szła przez ogromny kompleks, który mieścił stanowiska dla wielu programistów. Każdy z nich pracował nad niewielkim fragmentem programu i ze względów na środki ostrożności nie znali całości oprogramowania, które będzie kierowało lotami samolotów nowego typu i wprowadzi International Air w nowe tysiąclecie.

Liza rozejrzała się wokół i nie spostrzegła ani Dave'a, ani Hawka. Zerknęła na dawne stanowisko pracy Nate'a. Przy komputerze pracował John Ellis. Podeszła do niego i stanęła przy jego krześle. — Nazywasz się John Ellis? — spytała.

Spojrzał jej w twarz. — Tak, jestem John. — Mówił wysokim, cienkim głosem, jakby znajomym.

— A ja Liza MacDonough — rzekła. — Jestem psychologiem w dziale zasobów ludzkich.

Zamrugnął nerwowo powiekami i oderwał od niej wzrok. — Tak, wiem. Uniosła brwi.

— Jeden z kolegów podał pani nazwisko, kiedy pani tu była z panem Farrarem — rzekł. Wciąż był niespokojny.

Liza nagle przypomniała sobie, gdzie słyszała jego głos; był jednym z mężczyzn, których rozmowę podsłuchiwała zza ścinki działowej, kiedy czekała na Dave'a.



— Jak ci się podoba praca w IA? — zagadnęła po przyjacielsku.

Czekała na okazję, by go zapytać o forum CB.

— Ta praca jest wyzwaniem. Zająłem miejsce Nate'a, a trudno mu dorównać.

— Dobrze go znałeś?

— Tylko jako kolegę z pracy. — Uciekł ze wzrokiem, jakby chciał, żeby ta rozmowa się zakończyła. — Pracuję tu dopiero od kilku miesięcy. — Zawahał się. — Pani MacDonough, czy Hawk Bohlman prosił o moją ocenę pracy? — Zająknął się. — Dlatego pani tu przyszła?

— Nie. Dlaczego o to pytasz?

— Bo to pani pisała ocenę Nate'owi, a teraz ja zająłem jego miejsce.

— Sugerujesz, że praca przy *tym* komputerze stanowi jakieś zagrożenie? — spytała, łagodząc pytanie uśmiechem.

— Oczywiście, że nie.

— Nie piszecie jakichś programów za plecami Hawka? — zapytała jakby od niechcienia, maskując w ten sposób wagę swoich dociekań.

Pokręcił głową. Lampa nad nim przez rzadniejące włosy oświetlała skórę głowy. Kropelki potu pojawiły się nad jego górną wargą i brwiami. Jest kłębkim nerwów, pomyślała Liza.

— Jeżeli przyszła pani do Hawka, to go nie ma. Wyszedł na cały dzień.

— Gdzie jest?

— W montowni, na pokładzie samolotu szuka błędów w oprogramowaniu.

Przemyślała tę informację. — John, jak już mówiłam, nie piszę twojej oceny, ale chciałam z tobą porozmawiać o forum CB w United Online. I o Bojanglesie...

Z trudem przełknął ślinę. — Bojanglesie? — Stracił głos.

— Aha. Nate był Bojanglesem, prawda?

— Dlaczego pani o to pyta? — Tym pytaniem uniknął bezpośredniej odpowiedzi.

— John, a ty jesteś Wężojadem... ?

— Na Boga, nie.

— Więc musisz być Kometą.

Opuścił wzrok, był wyraźnie zdenerwowany. Prawie mu współczuła, ale on posiadał informacje, których potrzebowała. Nie miała zamiaru spuszczać go z haczyka.

Czekała, aż zacznie mówić.

— Niczego nie wiem. — Wciągnął haust powietrza. — Dobrze wykonuję swoją pracę i to jest moje jedyne zmartwienie. Gdybym stracił stanowisko, pozbawiono by mnie opieki nad moimi dziećmi. To najgorsze, co mnie może spotkać.

— A utrata życia?

— Grozi mi pani?

— Oczywiście, że nie. Tylko wokół dzieje się wiele dziwnych rzeczy, na przykład zwolnienia, tragiczne wypadki. Kręci się tu jakaś bardzo niebezpieczna osoba. — Bardziej się nad nim pochyliła. — Jesteś pewien, że nie chcesz nic więcej powiedzieć?

— Ani słowa.

Odwrócił się od niej i skupił na klawiaturze. Jednak zdążyła zauważyć jego wyraz twarzy. Jej słowa go przeraziły.

Przez chwilę jeszcze stała za nim, a potem długim krokiem podeszła do drzwi. Chociaż do niczego się nie przyznał, Liza wiedziała, że znalazła Kometę, Nate był Bojanglesem. Ale, do diabła, kto to był Wężojad? Hawk? Cooper? *Dave*? Przez krótką chwilę pomyślała też o Martinie. Nikt nie był tym, na kogo wyglądał.

Poszła do laboratorium, żeby spotkać się z Hawkiem i porozmawiać z następcą Nate'a. Teraz była w radosnym nastroju, jakby uzyskała nad przeciwnikiem przewagę. Zatrzymała się w połowie kroku. Był najwyższy czas, żeby przycisnąć Hawka do muru i zapytać o szczegóły, o to, kto w jego laboratorium odpowiada za wpisywanie do bazy danych osobowych. Montownia z setkami pracowników wydawała się bezpieczniejszym miejscem do takiej rozmowy.

Okay, panie Hawk Bohlman. Ruszam na spotkanie, pomyślała i przyspieszyła kroku. Mogła zamknąć swoje biuro i za godzinę znaleźć się w drodze. Stłumiła uczucie, że znów postępuje lekkomyślnie. Nie miała wyboru. Bardziej niż kiedykolwiek był to wyścig z czasem. Musiała znaleźć odpowiedź, zanim kolejna osoba ulegnie wypadkowi.

Nie wyłączając jej.

## *Rozdział 29*

Było popołudnie, kiedy Liza dotarła do montowni International Air, trzydzieści mil na północ od Seattle. Adrenalina stłumiła w niej wszystkie obawy; musiała odszukać osobę, która ją terroryzowała, albo przynajmniej zrobić kolejny krok w tym kierunku.

Zostawiła samochód na parkingu dla odwiedzających. Przytłoczył ją ogrom obiektów. Była tu tylko raz, z Alem, ale pojechali wtedy prosto do biurowca. Nie przypominała sobie, że tereny i budynki są tak gigantyczne. Nie miała pojęcia, do którego z nich udał się Hawk, by szukać błędów w oprogramowaniu, choć przypuszczała, że powinien być w hangarze, gdzie składa się samoloty. Potrzebowała wskazówek i skierowała się do centrum informacyjnego.

Za chwilę miało się rozpocząć oprowadzanie wycieczki po zakładzie i Liza podsłuchiwała krótką opowieść przewodnika o historii firmy i rozmieszczeniu obiektów. Cholera, zakłęła w myślach, gdy zdała sobie sprawę, że znajduje się daleko od właściwego miejsca.

Kiedy grupa turystów wsiadała do stojącego w pobliżu autobusu, który jechał do montowni, Liza wślizgnęła się między nich. Był to najszybszy sposób dostania się celu. Poza tym słyszała, jak przewodnik mówi, że osoby, które nie są z wycieczką, muszą mieć specjalne pozwolenie, żeby wejść do hangaru. Wątpiła, czy Hawk dałby jej przepustkę, nawet gdyby się z nim skontaktowała.

Autobus zawiózł ich do największego budynku, jaki Liza kiedykolwiek widziała. Po znalezieniu się w środku przeszli podziemnym tunelem do windy. To miejsce dla gigantów, pomyślała, wchodząc do windy

na tyle dużej, że zmieściła się w niej cała wycieczka. Kiedy na balkonie znajdującym nad halą ze szczękiem otworzyły się drzwi, zapadła cisza. Widok na ogromny budynek zapierał dech w piersiach. Samoloty w różnych stadiach montażu były chyba wysokie na sześć-siedem pięter, dźwigi, które poruszały się przy suficie, przenosiły ogromne części, jakby to były zabawki, a setki pracujących robotników wyglądało niczym zabiegane mrówki w mrowisku. Jedną z tych mrówek mógł być Hawk.

Kiedy wycieczka ruszyła dalej, Liza wróciła do windy. Głupotą było myśleć, że znajdzie Hawka, ale wcześniej nie zdawała sobie sprawy z ogromu budynku. Porozmawia z nim jutro w jego biurze.

Nikt nie czekał na windę. Weszła na poplamioną olejem podłogę i wcisnęła guzik, by z powrotem zjechać do tunelu. Drzwi przy zamykaniu zaskrzypiały, a potem nagle zaczęły się ponownie otwierać.

Do środka wszedł mężczyzna. Kiedy winda szarpnęła i zaczęła powoli zjeżdżać, spojrzał na Lizę.

Hawk Bohlman.

Odruchowo cofnęła się i skuliła. Dzieliło ich kilka kroków. Przyjechała tu, żeby postawić go pod murem, to jednak teraz ona czuła się zmieszana i przestraszona.

— Zboczyła pani z utartych szlaków? — zapytał. Uśmiech wykrzywił mu usta.

— Skąd pan wiedział, że jestem w tej windzie? — Jej pytanie nawet dla niej brzmiało bezsensownie.

— Nie wiedziałem. Po co pani tu przyjechała?

Winda nagle zatrzymała się z okropnym zgrzytem. Odgłos metalowych kół zębatych, które zakleszczyły się o siebie, wskazywał, że stanęła między poziomami.

Kiedy Liza spojrzała na tablicę, stwierdziła, że znalazła się w kłopotach. Byli kilka metrów nad tunelem; nie było żadnej możliwości wydostania się na zewnątrz.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

Hawk ruszył w jej kierunku... albo w kierunku tablicy, która znajdowała się za nią. Na oślep zaczęła wciskać guziki.

Raptownie bloki i wciągarki wprawiły urządzenie w ruch; winda znów zaczęła zjeżdżać. Hawk zastygł, wpatrywał się w twarz Lizy.

Potem drzwi otworzyły się z piskiem i zgrzytem. Wbiegła do betonowego tunelu i skręciła w kierunku wyjścia. Daleko z tyłu w tę samą stronę szło dwóch robotników. Głęboko wciągnęła powietrze, próbując uspokoić oddech. Odczuła ulgę, zobaczywszy ludzi, których mogła zawołać.

— Hej, do cholery, co się z panią dzieje?! Jest pani stuknięta, czy co?

— Hawk wołał za nią, wyraźnie nie zwracając uwagi na obecność innych osób w tunelu. Jego ostry śmiech podążał za nią korytarzem.

Zatrzymała się z poślizgiem i obróciła. Widziała jego błyskające oczy.

— Hawk, to pan jest Wężojadem? Tym, który zamordował Nate'a, bo on odkrył, co pan robi w laboratorium? Że zwalnia się ludzi, żeby zrobić miejsce fikcyjnym pracownikom.

— Popelnilem bład — odkrzyknął. — Pani nie jest stuknięta, ale obłąkana! Dlaczego miałbym zabijać Nate'a po tym, jak wysłałem go do pani po ocenę jego pracy?

— No właśnie! Proszę mi powiedzieć!

Podszedł bliżej. — Dlaczego pani używa słowa *zamordował*? Śmierć Nate'a to był wypadek.

— Tak jak śmierć Alice? Jak mojego prywatnego detektywa? Jak skoczka w centrum spadochronowym? — Jej serce waliło tak szybko, że z trudem wydobywała słowa z ust. — Hawk, znam prawdę.

— Ja też. — Ruszył w jej kierunku. — Straciła pani kontakt z rzeczywistością.

— Chciałby pan!

— O co, do cholery, mnie pani oskarża? Że mieszam w polityce zatrudnienia? — Mówił ze złością, podniesionym tonem. — Myśli pani, że jestem Bogiem?

— Myślę, że jest pan człowiekiem, który stara się coś ukryć. — Jej słowa odbijały się od betonowych ścian. — Jestem przekonana, że wie pan więcej, niż się przyznaje; o zwolnieniach, o tych przypadkach śmierci i o tym, kto mnie śledzi!

— Pani nie tylko odbiło, ale jest też pani pieprzoną intrygantką, a ja będę tym, który utrzyma pani nosa.

— To groźba?

— Nie, obietnica!

Zamknął przestrzeń między nimi. Cofnęła się. Robotnicy znajdowali się już blisko niego. Zdała sobie sprawę, że jeszcze ich nie zauważył. Ich obecność powstrzymała ją od ucieczki.

— Jakiś problem? — spytał jeden z robotników, kiedy się zbliżyli. Hawk był wyraźnie przestraszony, nie zdążył zamaskować swojej złości przed pojawieniem się mężczyzn.

— Nie, wszystko w porządku — odparł szorstko. — To taka drobna sprzeczka.

Tamci spoglądali na Lizę, czekali.

— Pan Bohlman mówi prawdę — powiedziała, ale jej głos drżał. — Rozmawialiśmy o zwolnieniach w firmie i jego odpowiedzialności za to — dodała, ośmielona po zobaczeniu plaketek z nazwiskami na koszulach robotników.

Wyglądali na nieprzekonanych. Musieli słyszeć więcej, niż sądziła. Głosy odbijały się w tunelu.

— Muszę już iść. — Spojrzała na mężczyzn. — Mogę pójść z wami do wyjścia?

— Oczywiście — odparł wyższy z nich. — My też tam idziemy. Liza towarzyszyła im do schodów, które prowadziły na zewnątrz.

Przed wyjściem z tunelu obejrzała się za siebie. Hawk zniknął.

Biegła do samochodu chyba z dziesięć minut. Przynajmniej nie pada, powiedziała do siebie, otwierając miate. Bieg w porywistym chłodnym wietrze przywrócił jej pewność siebie, choć nie pozbyła się wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Zastanawiała się, gdzie poszedł Hawk, może skorzystał ze skrótu na parking.

Pamiętaj o paranoi, napomniała się cierpko. Nie mógł wiedzieć, gdzie zostawiłaś samochód. Nie jest jasnowidzem.

Jednak szybko wsiadła za kierownicę i miała już zamknąć drzwi, kiedy ktoś chwycił za klamkę z zewnątrz i znów je otworzył.

— Mam cię!

Głos Dave'a wcale nie zapobiegł jej nerwowej reakcji. Jej ręce i nogi zrobiły się bezwładne, pociemniało jej w oczach i przez chwilę czuła, jak



odpływa w kierunku nisko zawieszonych chmur. Potem serce znów zaczęło bić i wrażenie znikło.

— Och, Liza, chyba cię nie wystraszyłem?

Z trudem skinęła głową. — Na parkingu było pusto. Skąd się tu wzięłaś? — Mówiła słabym, cichnącym głosem.

— Właśnie parkowałem, kiedy zobaczyłem ciebie. — Pokazał na swojego mercedesa.

Znów przytaknęła, próbowała odzyskać spokój.

— Dobrze się czujesz? — Kucnął przy otwartych drzwiach i ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Zabrał dłoń Lizy z kierownicy, pogładził ją i pocałował.

Uśmiechnęła się lekko. — Nic mi nie jest, jak widzisz, jestem tylko trochę przestraszona.

— Brązowe Oczy, przepraszam, że cię przestraszyłem. Myślałem, że widzisz, jak biegnę przez parking, żeby złapać cię, nim odjedziesz... — Przerwał. — A tak w ogóle, co cię tu przygnało?

— Hm, umówiłam się na spotkanie — odparła wymijająco.

— No tak, ja też. W hangarze.

Odwróciła wzrok, nie chciała rozmawiać o prawdziwych powodach swojego przyjazdu. Zastanawiała się, czy Hawk go poinformuje.

— Chyba powinnam już jechać — rzekła. — Mam jeszcze trochę do zrobienia w biurze.

Wyprostował się. — No tak, lepiej, jak zdążysz przez godzinami szczytu.

Zamknął drzwi samochodu, a ona opuściła szybę.

— Przepraszam, że zachowałam się tak głupio. Zwykle nie jest tak łatwo mnie przestraszyć.

— To moja wina. Następnym razem najpierw będę krzyczał. — Kiedy odsunął się od samochodu, podmuch wiatru rozwiał i splątał mu włosy. — Jedź — powiedział z uśmiechem. — Jeśli wrócę wcześniej do domu, to wieczorem zadzwonię do ciebie.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Zamknęła szybę i wjechała na pas prowadzący z parkingu.

Po wjechaniu na drogę Liza zerknęła w lusterko wsteczne. Dave nie ruszył się z miejsca, obserwował, jak ona odjeżdża. Ciekawiło ją, o czym teraz myśli.

Po kilku minutach dotarła do autostrady i skierowała się na południe. Uświadomiła sobie, że nic nie zyskała na tej wycieczce do montowni... oprócz niebezpiecznego wroga.

Popołudnie kończyło się uczuciem zawodu. Nie było żadnych dowodów, żadnych konkretnych informacji, które pomogłyby powiązać ze sobą ciąg tragicznych wydarzeń, jakie zaczęły się od zwolnień w firmie. Bez podejrzanego detektyw Barnes nie mógł wszcząć sprawy.

Gdyby tylko miała tę kartkę z nutami. Powinna bardziej jej pilnować od momentu, kiedy pastor Larsen dał jej kopertę.

*Koperta... !*

Przypomniała sobie, że włożyła ją do którejś z książek z hymnami. Może wciąż tam jest. Jeśli tak, to mogłyby się na niej zachować odciski palców, których szuka Barnes. Zmieniła pas ruchu i przyspieszyła. Nie musi jechać do biura, jutro rano nadrobi zaległości. Teraz miała zamiar pojechać do kościoła.

W ten czy inny sposób detektyw Barnes będzie mógł wszcząć śledztwo w sprawie!

## *Rozdział 30*

Ulice wokół placu Pioniera były zapchane samochodami, ze względu na festyn w SAFECO ruch był prawie niemożliwy. Lizie udało się wcisnąć miatą na wolne miejsce, które zostało zignorowane przez posiadaczy większych pojazdów.

Przeszyły ją dreszcze, kiedy wyszła z auta na chłodne popołudniowe powietrze. Ruszyła chodnikiem w stronę świateł. Czekać na rogu, wdychała słone powietrze znad zatoki. Zapach ten wywoływał wspomnienia: pikników na plaży, kiedy ona i Jean były małymi dziewczynkami, obozu organizowanego przez kościół, w lato, przed śmiercią ojca i późniejsze — wypraw z Martinem i Erikiem na jachcie, kiedy podmuchy silnego wiatru znad zatoki kazały mniej doświadczonym żeglarzom szukać schronienia.

*Martin... Gdzie on teraz jest?*

Zmieniły się światła i Liza przeszła przez ulicę z innymi przechodniami. Idąc, zapięła płaszcz, bo zimno przeszywało ją do kości.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła w boczną uliczkę, gdzie nie było takiego ruchu. Zwolniła, kiedy zbliżyła się do kościoła. Rozglądała się wokół siebie, upewniała, czy tym razem nikt za nią nie idzie, nie czai się w którejś z zabitych deskami bram.

Jak zwykle w dzień drzwi do kościoła były otwarte. Weszła do środka. Za murami znikły odgłosy miasta, tak samo syreny promów, gwizdy

pociągów i odgłos ruchu ulicznego. Stojąc w miejscu, zastanawiała się nad złowieszczą ciszą.

O czym, do diabła, myślała. Znowu naraziła się na niebezpieczeństwo. Nikt nie wiedział, że ona jest tutaj. Sama.

To samobójstwo, powiedziała do siebie. Mogła zadzwonić z komórki do pastora Larsena i poinformować go, że jedzie do kościoła, albo przynajmniej zostawić wiadomość dla detektywa Barnes'a. Obiecała mu, że będzie dzwoniła, jak wpadnie na pomysł, żeby prowadzić kolejne śledztwo.

To nie jest śledztwo, napomniała się. Nie znajdowała się w jakimś niebezpiecznym miejscu. Pastor Larsen był przypuszczalnie w swym biurze, w innej części budynku. Oparła się chęci zadzwonienia do detektywa. Nie podda się swojej paranoi i irracjonalnym lękom.

Zatrzymała się w środku kościoła. Spojrzała na puste ławki, potem wzrokiem omiotła główną nawę, ambonę i pianino stojące z boku podium. Za nim znajdowały się drzwi do jadalni. Teraz były zamknięte.

W kościele nikogo nie było.

Dlaczego więc jest tak napięta? Czy to efekt wydarzeń w ciągu ostatnich kilku tygodni? A może coś... albo ktoś obserwuje ją z ukrycia?

To śmieszne, stwierdziła. Powinna kierować się zmysłami, a nie wyobraźnią. Jej oczy mówiły, że jest sama, a uszy nie wychwyciły żadnego podejrzanego hałasu.

Powoli skierowała się do pianina, przypatrując się wszystkim zacienionym miejscom. To jest kościół, przypominała sobie. Bezpieczne miejsce.

Kiedy doszła do pianina, znowu rozejrzała się wokół. Nic się nie poruszyło. Usiadła na stolku i położyła obok siebie torebkę. Drżącymi

rękami przerzucała książki muzyczne. Koperta była między dwoma zbiorami hymnów. Bardzo ostrożnie chwyciła ją za rogi, uważała, żeby nie dotykać jej bardziej, niż to konieczne.

— Pora iść! — powiedziała głośno. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Wątpiła, czy koperta zachowa się przez tyle mszy, na których grali inni pianiści. Jednak kiedy ucichło echo jej słów, Liza znów odczuła niepokój.

Trzymając kopertę za rogi, wsunęła ją do nieużywanej przegródki w torebce. Pamiętając, co mówił detektyw, starała się nie zatrzeć odcisków palców. Wstała i nogi stołka zaszurały po podłodze.

W budynku rozległ się nieuchwytny słaby odgłos. Ktoś jeszcze tutaj jest?

Zamarła, nasłuchując. Była tak podniecona znalezieniem koperty, że przestała koncentrować swoją uwagę, co nakazała sobie czynić. Czy rzeczywiście coś usłyszała? — zastanawiała się. Nie wiedziała dokładnie, co ją zaniepokoiło, ale coś było nie tak.

Odwróciła się w stronę pustych ławek. Nie zauważyła żadnych zmian, ale wiedziała, że jest inaczej. Wydawało się, że ktoś, przechodząc, wzbudził fale powietrza, które poruszały się w ciszy kościoła.

Jakiś zły duch.

Stała sparaliżowana, niepewna. Czy to znów zadziałała jej wyobraźnia? Nie przypuszczała, ale było to możliwe. Ostatnio z trudem odróżniała rzeczywiste zagrożenia od wyimaginowanych niebezpieczeństw.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie znów normalną osobą.

Musiała teraz wyjść na zewnątrz. Czy ktoś ją usłyszy, gdy zawoła o pomoc? Nie była pewna, czy pastor Larsen gdzieś nie wyszedł.

Bądź dorosła, powiedziała do siebie, wciąż tkwiąc w miejscu. Nie ma powodu do krzyku. Zaraz zabiorą cię krasnoludki, jak nie weźmiesz się w garść. Normalny człowiek nie krzyczy bez przyczyny o pomoc.

Liza spojrzała na drzwi za pianinem. Może powinna wyjść tamtędy? Ale jeśli nie ma nikogo w kuchni lub jadalni, znajdzie się w pułapce. Musisz iść nawą do głównego wyjścia, postanowiła. To najkrótsza droga na zewnątrz.

Jednak ktoś mógł ukryć się w ławkach, zobaczy go, gdy będzie za późno.

Jej umysł pracował na wzmożonych obrotach, kiedy próbowała odzyskać właściwy dystans do rzeczywistości. Nikogo tutaj nie ma, bo w przeciwnym przypadku by go zauważyła. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej wyobraźnia wymykała się jej spod kontroli. Weź się w garść, nakazała sobie. Zdobądź się na odrobinę odwagi...

Ruszyła przed siebie, najpierw powoli, a potem, nie mogąc się powstrzymać, zaczęła biec. Już miała otworzyć drzwi, kiedy na ramieniu poczuła rękę.

Nogi ugięły się pod nią, chwyciła za gałkę, żeby się podtrzymać. Oddech uwiązł jej w gardle, nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Liza, wszystko w porządku? — Ktoś objął ją w pasie i podtrzymał.  
— Przepraszam, że cię wystraszyłem.

— Pastor Larsen — wymamrotała drżącym głosem. — Nie widziałam, jak pastor wchodził do kościoła.

Głową wskazał na boczne drzwi przy głównym wejściu. — Myślałem, że mnie słyszałaś. Bardzo przepraszam — powtórzył. — Zaskoczyłaś mnie swoim przyjściem.

Próbowała odzyskać spokój. — Przyszłam po kopertę, którą zostawiłam między książkami z hymnami. — Zdobyła się, by wybuchnąć śmiechem. — Znalazłam ją i zamierzałam już wyjść.

Uważnie wpatrywał się w jej twarz. — Na pewno tylko to cię niepokoi?

Pokręciła głową. Nie miała ochoty wyjaśniać, że była już sparaliżowana ze strachu, zanim on ją przestraszył. — Chyba jestem zmęczona.

— Jedziesz do domu? Przytaknęła.

— Gdzie zaparkowałaś?

— Póltorej przecznicy stąd. — Uśmiechnęła się. — Na ulicy.

— Odprowadzę cię do samochodu.

— Naprawdę nic mi nie jest — odparła. — Nie ma potrzeby.

— A właśnie, że jest. Moi parafianie nie wybaczyliby mi, gdyby znów ktoś zaczepił cię na ulicy. Musisz wciąż być roztrzęsiona.

Znowu przytaknęła. — Przyznaję, że jestem trochę przestraszona.

— Więc uspokoisz się. Odprowadzę cię. — Wziął ją pod ramię, zanim zdążyła zaprotestować. — Liza, pozwól mi wyświadczyć tę drobną przysługę...

Odetchnęła z ulgą, wiedziała, że pastor Larsen nie da się przekonać. Odprowadzając ją do miaty, pozdrawiał i błogosławił bezdomnych koczujących w bramach wzdłuż chodnika. Liza zastanawiała się, czy byli tu wcześniej, kiedy szła do kościoła. Przymuszczalnie tak, ukrywali się w

cieniu, ale ona, mimo że się rozglądała, nikogo nie zauważyła. Byli jak zjawy, która pojawiła się w jej życiu, ale oni byli jej życzliwi. Poczuli się bezpieczniej otoczona przez trzódkę pastora.

— Jestem bardzo wdzięczna za troskę — podziękowała pastorowi przed wejściem do samochodu.

Uściskał ją. — A ja dziękuję za ten cały czas, który poświęciłaś naszemu kościołowi. — Cofnął się z uśmiechem.

Powiedziała do widzenia, uruchomiła silnik i ruszyła. Na pierwszych światłach wyjęła komórkę i zadzwoniła do detektywa Barnesa. Była zdziwiona, że się zgłosił.

— Barnes, słucham — odezwał się.

— Tu Liza MacDonough. Właśnie wyjeżdżam z misji.

— Co się stało?

— Znalazłam kopertę.

— Kopertę?

— Tę, w której była kartka z nutami.

— Ta osławiona kartka z dziwną muzyką?

— Tak. Z muzyką, którą, jak myślę, napisał Nate. Na kopercie mogą być odciski palców.

Cisza.

— I gdzie ona teraz jest?

— W mojej torebce.

— A ty gdzie jesteś?

— Jadę do domu. Jestem na ulicy Jacksona, zatrzymałam się na światłach.



— Okay. Zaraz wyjeżdżam. Spotkamy się przy twoim domu, poczekaj na mnie kilka minut.

— Będę w mieszkaniu.

— Nie, nie wychodź z samochodu. Czekaj przed budynkiem. Nie wyłączaj silnika i nie otwieraj drzwi. W żadnym przypadku nie wsiadaj z samochodu.

— To brzmi groźnie. — Przerwała. — Myślisz, że ktoś za mną jedzie albo czeka na mnie w mieszkaniu?

Na chwilę zapadła cisza.

— Po prostu musisz zachować środki ostrożności. Spotkamy się za pięć minut.

Liza skończyła rozmowę i położyła telefon na kolanach. Powoli jechała pod górę, zatrzymywała się przy każdym świetle ostrzegawczym. Chciała, żeby Barnes jednocześnie z nią dotarł do budynku. Z ulicy Madisona pojechała na skróty, zatrzymała się na placu przed budynkiem.

Chwilę później zza rogu, z ulicy Madisona, szybko wyjechał czarny sedan. Zatrzymał się za jej samochodem. Otworzyły się drzwi i z pojazdu wysiadł detektyw Barnes. Liza odetchnęła z ulgą i opuściła szybę w oknie.

— Były jakieś problemy? — zapytał, podchodząc do miaty. Pokręciła głową. — Czekam tu niecałą minutę.

Wyjęła kopertę i podała detektywowi.

— Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tam była. Nikt nie ruszał moich książek z pianina. Nasi bezdomni parafianie dbają o cudzą własność. To są ludzie, którym mogę ufać, choć na takich nie wyglądają.

Przyjrzał się kopercie. — Poznajesz pismo?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — Może to pisał Nate, ale nie jestem pewna.

Skinął głową. — Sprawdź. Szybko poznamy odpowiedź.

— Mam nadzieję. Dzięki, że przyjechałeś... i za to, że trzymasz moją stronę.

— Po prostu wykonuję swoją pracę. — Uśmiechnął się. — W każdym razie miło mi.

Wzięła telefon. — Zadzwoń do Joego, powiadomię go, że przyjechałam.

— Dobrze. Poczekam, aż wejdiesz do budynku. Niedługo się z tobą skontaktuję.

— Jeszcze jedno — rzekła, zatrzymując go w drodze do samochodu. — Czy wiesz coś o butelce Alice?

— Ciągle czekam na raport w sprawie butelki i pieniędzy — odparł. — Jeżeli chodzi o tę kopertę, nadam sprawie pierwszeństwo, dziś wieczorem zawiozę ją do laboratorium. Możliwe, że jutro po południu będę miał wyniki.

Dodał, że zadzwoni. Potem wsiadł do samochodu i wycofał go, żeby Liza mogła wyjechać. Ruszył za nią podjazdem. Kiedy brama się otwierała, zjawiał się Joe. Odjechał, gdy się za nią zamknęła.

Odczuła ulgę po znalezieniu się w swoim domu. Detektyw Barnes wierzył jej. Było to pocieszające, ale jednocześnie przerażające jak nigdy do tej pory.

*Dlaczego pojechała do kościoła? Nie mógł zobaczyć, co wkłada do torebki. Nie była to kartka z nutami, bo tę już zniszczył. Niezależnie co to było, interesowało na tyle detektywa, że chciał to mieć od razu. Walił w*

*kierownicę. Ból nie ukoił jego złości. Próbował się uspokoić, ale dusił się z frustracji. Wyciągnął butelkę i napił się whisky. Alkohol mu pomoże.*

*Z trudem kontrolował wściekłość. Ale musiał. Zbyt wiele miał do stracenia. Całą swoją przyszłość. Trzeba powstrzymać kobietę.*

*I to szybko.*

RS

## *Rozdział 31*

Liza, do cholery, co się dzieje?! — zapytał ostro Al, kiedy następnego dnia rano wpadł do jej gabinetu. — Myślałem, że już zapomniałaś o tym pieprzonym spisku, zwłaszcza że ostatnio mamy mniej klientów.

— Rozmawiałeś z Hawkiem Bohlmanem. — Wstała i zebrała się w sobie.

— Hawk właśnie przed chwilą wyszedł z mojego biura. Jest bardzo wzburzony twoim zachowaniem. Przekroczyłaś przepisy, przychodząc do jego laboratorium i niepokojąc jednego z programistów. John Ellis powiedział mi o twojej wizycie i o tym, że go przepytowałaś.

Z miejsca wpadła w złość. — To było związane z moją pracą. On zajął stanowisko Nate'a Garreta i...

— Wiem, kim on jest — przerwał jej Al. — Stwierdzam tylko, że John Ellis nie jest twoim klientem, tak samo Hawk, który opowiedział mi też o twoich oskarżeniach, kiedy pojechałaś wczoraj do montowni.

— To Hawk łamie zasady, nie ja — ripostowała Liza. — Nie można nawet prowadzić z nim sensownej rozmowy, bo od razu przyjmuje postawę obronną.

— No właśnie, Liza. Sensownej, z czyjego punktu widzenia? Twojego?

— Nie, Al — rzekła z fałszywym spokojem. — Mówię z punktu widzenia psychologa w IA.

— Fakty pozostają faktami — powiedział, odrzucając jej argumenty. — Nie masz żadnego interesu, żeby chodzić po laboratorium komputerowym i montowni i zadawać pytania, które mają mieć związek z...

hm... duperelami, na których punkcie dostałaś fioła. Na Boga, Liza, to zaszło za daleko. To nie ma sensu.

— Fioła? — Wyrzuciła to słowo z siebie niczym nóż skierowany w jego serce. — A jeśli mam rację?

— Wtedy cię przeproszę.

— A przejrzałaś już listę z fałszywymi adresami? Odwrócił tylko wzrok.

— Jeśli nie, to jak mogę udowodnić, że mam rację? Nie odzywał się. Nabrała powietrza. — *Pieprzony spisek* jest odpowiednim określeniem. A dlaczego? Bo nikt, ani ty, ani Sylvia, Dave czy Hawk nie przywiązujecie wagi do tego, co mówię. Lekceważycie fakty, które z takim trudem, poświęcając swój czas, zdobyłam. — Podeszła bliżej. — Jeszcze raz cię pytam. *Dlaczego?*

Cofnął się o krok, jego twarz nabrała rumieńców.

— Al, wiesz, co myślę? — spytała roztrzęsionym głosem. — Że jestem na tropie czegoś, z czym nikt nie chce się zmierzyć. Najłatwiej zrzucać na mnie winę.

Patrzyli sobie w oczy, ani on, ani Liza nie chcieli się poddać. To Al pierwszy uciekł ze wzrokiem.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego nikt z was nie ma zamiaru się w to angażować? — spytała, wyraźnie podkreślając swoje stanowisko. — Bo wszyscy martwicie się tylko o swoją pozycję, boicie się o pracę. Jesteście przerażeni kontaktami z osobą, którą postrzegacie jako natręta.

— A ty, Liza? — Znow był oburzony. — A ty chcesz poświęcić swoją pozycję w firmie przez te dziwaczne podejrzenia? Wymyśliłaś szalony

scenariusz wydarzeń, bo uwierzyłaś we wszystkie plotki rozsiewane przez niezadowolonych pracowników.

— Byłych pracowników — poprawiła go. — I niczego nie wymyśliłam.

Wypuścił powietrze z płuc. — Liza, czy ty nie widzisz, że jesteś luźną cegłą w murze?

— Co to znaczy?

— Pogubiłaś się.

— Co?!

— Pogubiłaś się — powtórzył ciszej, jakby z żalem.

— Jak możesz mówić coś takiego?

— Bo muszę. — Pokręcił głową. — Wiem, że przez ostatni rok żyłaś w okropnym stresie... od zniknięcia Martina. — Zawahał się. — Chociaż nie jestem tutaj terapeutą, to oboje wiemy, czym jest przenoszenie uczuć na obszar, gdzie możemy sobie z nimi radzić. W twoim przypadku tym obszarem są skargi na firmę.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. — To nie ma nic wspólnego z Martinem i dobrze o tym wiesz.

Błagalnie rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem. — Rzeczywiście? Po krótkich rozmowach z Sylwią Kempton i Dave'em Farrarem wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Nie ma żadnego wielkiego spisku w International Air. Nikt niczego nie ukrywa.

— Nie jestem tym zaskoczona — rzekła chłodno. — Od samego początku wiedziałam, że nigdy mi nie uwierzysz.

— Bo nie chcę brać udziału w grze chorej wyobraźni?

— Nie, nie o to chodzi. Nie wierzysz mi i przy tym zostańmy.  
Obserwowała, jak próbuje kontrolować swoją złość. — Słuchaj, Liza,  
chcę ci pomóc. Wiem, że jesteś przeciążona, twoje życie osobiste znaj-  
duje się w stanie zawieszenia. — Jego głos nabierał siły. — Powinnaś wziąć  
trochę wolnego, może urlop. Poza tym znam wielu doskonałych  
psychoterapeutów i...

— Nie trudź się — odparowała. — Nie jestem paranoiczką. Nie  
potrzebuję szkieł powiększających, żeby zobaczyć, co się dzieje! —  
Szarpnięciem otworzyła drzwi.

— Liza, posłuchaj...

— Niczego nie będę słuchała. Wynoś się do wszystkich diabłów z  
mojego biura. Już dość mnie dziś obrażono.

Zmarszczył czoło, przestraszony jej odpowiedzią. — Ale, Liza...

— Nie odzywaj się więcej. Wbij sobie tylko do głowy, że jak wszystko  
rozgrzę, przypomnę sobie o tej rozmowie, o tym, że nie brałaś mnie  
poważnie. Przedstawię to w moim raporcie dla firmy.

— Grozisz mi?

— Oczywiście, że nie. Wyjaśniam tylko moje stanowisko. Chciała  
zatrzasnąć za nim drzwi, ale zabezpieczone przez ogranicznik zamknęły się  
z lekkim plaśnięciem.

Liza opadła na krzesło, ręce położyła na biurku i opuściła głowę.  
Tłumiła łzy i przełykając ślinę, próbowała się pozbyć uścisku w gardle. Nikt  
w International Air nie traktował jej poważnie. W dodatku teraz groziła jej  
utrata pracy, bo wszyscy woleli uwierzyć, że zwariowała, niż spojrzeć  
prawdzie w oczy.

Pieprzyć ich wszystkich! — pomyślała, zrywając się na nogi. Nie podda się. To ona ma rację, niezależnie czy inni w to wierzą, czy nie. Nie może teraz zostawić tego w spokoju.

Musiała zrobić tylko jedno: udowodnić swoje zarzuty.

Udowodni je albo zginie.

Zbyt zdenerwowana, żeby usiąść, Liza bezmyślnie krążyła po mieszkaniu, z kuchni do jadalni i salonu, potem na korytarz. Wchodziła do swojego gabinetu i sypialni. Czekwała na telefon.

Na zewnątrz niekończący się deszcz zacinał o okna, wiatr gwizdał na osłoniętym tarasie, smagał gałęziami roślin rosnących w doniczkach.

Gdzie oni wszyscy są? Dlaczego Dave lub Erik nie odpowiedzieli na jej telefony? Dave nie dzwonił przez cały dzień, po jej powrocie do domu też się nie odezwał. Podejrzewała, że Hawk opowiedział mu o rozmowie z nią, tak jak Alowi. Jednak była rozczarowana, że to, co powiedział o niej Hawk, mogło mieć na niego wpływ.

Chyba że ma inny powód do niepokoju, który ma mniej wspólnego z nią samą, a więcej z tym, co odkryła.

Nie myśl w ten sposób, poinstruowała się. Takie spekulowanie potwierdzi przypuszczenia Ala, że się pogubiłaś.

Liza miała nadzieję, że Erik jeszcze zadzwoni. Tego wieczoru potrzebowała obecności przyjaciela. W tym momencie czuła, że to jest jedyny, jakiego ma. Po odłożeniu słuchawki uświadomiła sobie, że jej wiadomość do niego o napaści Ala i groźbie utraty przez nią pracy zabrzmiała być może zbyt histerycznie.



Do ósmej nikt się nie odezwał — ani Dave, Erik czy detektyw Barnes, od którego spodziewała się usłyszeć informację odnośnie koperty i butelki Alice.

Z niepokoju kłębiło się jej w głowie, pojawiały się pytania, na które nie miała odpowiedzi. Nalała sobie kieliszek chardonnay. Musiała się uspokoić, odzyskać właściwą perspektywę. Od przyjazdu do domu o szóstej nie mogła ani spać, ani jeść. W dodatku myśl, że najprawdopodobniej zostanie zwolniona z International Air, wprawiała ją w złość

I zdenerwowanie.

Usiadła na krześle przy oknie. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Jean, ale zrezygnowała. Siostra domyśliłaby się, że dzieje się coś złego, i zaczęłaby się martwić. Opowiedzenie Jean o problemach nic by nie dało. Poza tym Jean ma pewnie dziś wieczorem przedstawienie, a Erik szkoli przyszłych skoczków.

Wzięła telefon i wystukała numer do detektywa Barnes'a. Nie zdziwiła się, kiedy odezwała się poczta głosowa.

— Mam nadzieję, że powiadomisz mnie o wynikach z laboratorium — zaczęła. — W pracy sytuacja jest niepewna. Szef uważa, że powinnam wziąć urlop. Sądzi, że się pogubiłam i nie będzie dalej zajmował się moimi zmartwieniami.

Mówiła to piskliwym, niespokojnym głosem. Niech tak będzie, pomyślała. Mów dalej.

— Ponieważ do tej pory niczego nie znalazłeś, a wszyscy uważają, że zwariowałam, powiem jeszcze raz o moim położeniu. Coś się dzieje w IA, ktoś myśli, że wiem więcej niż w rzeczywistości i ta osoba chce mnie zabić.

Barnes, proszę, zadzwoń do mnie... Jestem roztrzęsiona i potrzebuję jakichś nowych informacji. — Odłożyła słuchawkę.

Wylała wino do zlewu w kuchni. Nie pomogło stłumić drażącego ją niepokoju. Zastanawiała się, czy w ogóle jest na to jakieś lekarstwo. Napięcie sięgało zenitu, przypuszczała, że podobnie jest z ciśnieniem krwi. Wirowało jej w głowie, próbowała opanować myśli, które po prostu ją pożerały.

Miała już wziąć słuchawkę telefonu i zadzwonić do Dave'a, powiedzieć mu o Johnie Ellisie i Hawku, ale cofnęła rękę — nagle się namyśliła. Nie ufała już Dave'owi. Nie wiedziała nawet, czy jest po jej stronie. Dla niego najważniejszy był nowy samolot, jego własna kariera. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że coś innego niż pozycja w firmie mogłoby być dla niego istotne.

Może się mylę, powiedziała do siebie.

Mimo wszystko do niego nie zadzwoni.

Wzięła kąpiel, włożyła koszulę nocną i wróciła do salonu. Usiadła przy pianinie. W roztargnieniu zaczęła wybijać z pamięci nuty z tej tajemniczej kartki. Muzyka była w tonacji B-dur: b, a, d, g, e. Jej palce zastygły na klawiszach.

Może ten krzyżyk przy „b” coś znaczy? Jakies ostrzeżenie? *Uważaj?*

Litery złożone razem dawały wyraz *badge*.

Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? — zastanawiała się. Przypuszczalnie dlatego, że próbowała znaleźć sens w samej muzyce. Może wyraz *badge* to hasło dostępu do komputera Nate'a, na którym pracował w IA. Jeśli tak, to przekazał w ten sposób informacje, które stały się przyczyną jego śmierci.

Przerażająca myśl... i ryzykowna próba.

Odchyliła się do tyłu i patrzyła w nocne niebo. Rozmyślała. W jaki sposób i kiedy będzie mogła sprawdzić komputer Nate'a? John Ellis nigdy na coś takiego się nie zgodzi, nawet jeśli Hawk pozwoli jej znów wejść do laboratorium.

Dziś w nocy. Mogłabym pojechać tam teraz, pomyślała. Jednocześnie odczuła radość i przerażenie.

Dlaczego nie? Nikt się nie spodziewa, że wejdzie po kryjomu do laboratorium. Teraz, kiedy oprogramowanie do nowego odrzutowca zostało napisane i czekają je tylko testy końcowe, zlikwidowano nocne zmiany dla programistów. Jeśli tylko strażnik wpuści ją na kartę identyfikacyjną firmy, będzie jak w domu. Musi dostać się do środka, uzyskać dostęp do komputera Nate'a, a potem wyjść, nie wyrządzając żadnych szkód.

Pomysł stawał się coraz bardziej realny. Ze względu na swoje wścibstwo już i tak znalazła się w kłopotach. Jeszcze trochę nie zaszkodzi. Może najwyżej od razu wylecieć z pracy.

Potrzebowała odpowiedzi, tak jak Barnes potrzebował dowodów. Dziś w nocy może jest ostatnia szansa, by je znaleźć. Kto wie, co wydarzy się jutro. Włożyła džinsy i golf, włosy związała w koński ogon. Po pięciu minutach była gotowa do wyjścia.

Powoli, ostrzegła się, wyjmując kurtkę z szafy. Pamiętasz, co się stało ostatnio, kiedy bezmyślnie i nie informując nikogo, zaczęłaś sama prowadzić poszukiwania. Omal się nie stałaś cyfrą w statystyce morderstw.

Znów zadzwoni do Erika, jeśli go nie będzie, zostawi mu informację. Był tylko jego nagrany głos. Szybko powiedziała, co odkryła i gdzie pojechała. Włączyła alarm w mieszkaniu i wyszła z gazem

obezwładniającym w dłoni, z gwizdkiem w kieszeni i telefonem komórkowym w torebce.

Kiedy czekała na windę, przypominała sobie, dlaczego musi działać. Morderca był na wolności i nikt do tej pory nie zdołał go powstrzymać. Należało to do niej, choć nie czuła w sobie tyle odwagi.

Odwaga się pojawi, jak odważnie się zachowasz, pomyślała. Nie miała wyboru. Była następną osobą na liście mordercy.

Miała przewagę zaskoczenia. Nikt nie spodziewa się, co może zrobić. Miała nadzieję, że się nie myli.

RS

## Rozdział 32

Liza nie natknęła się na nikogo w garażu, nikt za nią nie jechał przez miasto. Jednak piętnaście minut później, kiedy zaparkowała na parkingu firmy, straciła nerwy. Położyła rękę na klamce u drzwi i zawahała się.

Nie masz pozwolenia na wejście do laboratorium, napomniała się. Możesz stracić pracę albo, co gorsza, zostaniesz oskarżona, bo praca w firmie nie umożliwia ci dostępu do zabezpieczonych komputerów.

Teraz albo nigdy. Może nie będzie już miała drugiej szansy...

Rozważała w myślach różne przeciwstawne argumenty, podczas gdy jej lęk coraz bardziej narastał. Szukała powodów, dla których musi wyjść z samochodu, dostać się do środka i sprawdzić informacje po złamaniu kodu Nate'a. Po drugiej stronie czekały konsekwencje jej postępowania, jeżeli zostanie złapana. Jedno wiedziała na pewno: była pariasem w firmie, jeżeli brać pod uwagę opinię Hawka i Ala. Najprawdopodobniej Cooper, a nawet Dave wątpili w jej wiarygodność. Co miała do stracenia?

Wolność, jeżeli zostanie skazana i wysłana do więzienia. Ta myśl była przerażająca, ale jeśli wkrótce nie znajdzie żadnego dowodu, będzie kolejną *przypadkową* ofiarą. Więzienie jest lepsze od śmierci.

Ktoś wiedział, że ona tylko musi uściślić posiadane przez siebie informacje i będzie wiedziała, co się dzieje w International Air i kto jest za to odpowiedzialny. Wężojad będzie próbował ją powstrzymać, zanim dowody nie zaprowadzą do niego.

Nie miała wyboru, nawet jeśli jutro będzie musiała zrezygnować z pracy. Za dużo wiedziała. Morderca nie pozwoli jej żyć.

Jednak wciąż się ociągała. Na placu było pusto, stało na nim tylko kilka samochodów. Czowała się bezbronna; nikt by jej nie pomógł, gdyby pojawiły się kłopoty.

Przy drzwiach jest strażnik, przypomniała sobie. Widzi wszystkich, którzy wchodzą i wychodzą z budynku. W jego obecności nikt nie odważy się na żaden krok.

Zebrawszy się na odwagę, Liza wysiadła z samochodu. Zamknęła drzwi. Potem, z ręką na sprayu z gazem, skierowała się w stronę laboratorium komputerowego. Chociaż deszcz przestał padać, czuła go, wiedziała, że kolejna ulewa jest nieuchronna. Jakie to typowe dla Seattle, pomyślała idiotycznie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Gary, strażnik, wstał, kiedy podeszła. Uśmiechnął się, gdy ją poznał. Niedawno napisała mu pozytywną ocenę pracy, w której wspomniała o jego szczęśliwym małżeństwie, udanych dzieciach i o religijności. Pozwoliło mu to zmienić stanowisko.

— Co panią przygnało w tak chłodną noc? — spytał, otwierając drzwi. Wpuścił ją do ciepłego korytarza.

— Teczka, której potrzebuję, żeby napisać raport dla jednego z moich klientów — odparła. — Nie do wiary, ale zapomniałam ją wziąć. — Kręciła głową, improwizując. — Dopiero kiedy usiadłam przy komputerze, żeby przepisać moje notatki, zorientowałam się, że jej nie zabrałam.

— To rzeczywiście pech.

Wzruszyła ramionami, udając zdenerwowanie na siebie.

— Teraz zostało mi niewiele czasu. Jutro rano muszę oddać raport Bohlmanowi.

— Gdzie pani zostawiła teczkę? — Wyglądał na zaniepokojonego.

— W laboratorium komputerowym.

Zapadła cisza. Potem strażnik rzekł: — Nie mam prawa wpuszczać do tej części budynku bez odpowiedniego upoważnienia.

— Zajmie mi to tylko kilka minut — odparła. — Przecież ja mam upoważnienie do pisania ocen pracy pracownikom laboratorium.

— No nie wiem — mruknął, ciągle się wahając.

— Może pan pójść ze mną, sprawdzić, że niczego nie ruszę — zaproponowała, wiedząc, że nie opuści swojego posterunku.

— Wierzę pani, ale takie są przepisy.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Zmarszczyła brwi. — Ja po prostu nie mam pojęcia, co zrobię, jak nie znajdę tej teczki. Nie zdążę napisać oceny... a pan wie, jaki potrafi być Hawk, gdy go ktoś zawiedzie.

— Tak, wiem — rzekł oschle.

Czekała, obserwowała, jak mięknie jego stanowczość. Komentarz na temat Hawka naruszył równowagę. Niemal każdy doświadczył złości tego człowieka, kiedy coś nie poszło po jego myśli.

— Okay. — Otarł ręką podbródek, wciąż był niepewny, ale chciał pomóc. — Ale niech to pozostanie między nami.

— Obiecuję — rzekła zadowolona. Nie mogła wymarzyć sobie lepszego rozwoju wypadków. — Pospieszę się. Wyjdę za pięć-dziesięć minut. — Stłumiła poczucie winy. Zaufał jej, a ona obiecała sobie, że jej kłamstwo nie przysporzy mu kłopotów.

— Proszę wchodzić, zanim ktoś nas zobaczy.

Podziękowała mu i poszła dalej. Mogła potrzebować każdej sekundy z tych dziesięciu minut, żeby sprawdzić komputer Nate'a.

Strażnik obserwował ją. Miał nadzieję, że nie podjął złej decyzji. Instrukcja była jasna: „Nie wpuszczać nikogo bez upoważnienia do laboratorium, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma nocnej zmiany”.

Ale pani psycholog nie była kimś obcym. Jak wyjaśniła, oceniała pracę programistów. Mimo wszystko odetchnąby z ulgą, gdyby znalazła tę teczkę i wyszła z budynku.

Zadzwoił telefon na jego biurku. Podeszedł, żeby go odebrać. Znow zaczął padać deszcz. Strażnika ciekawiło, czy zimy w Seattle zawsze są takie mokre, a w górach pada wyjątkowo dużo śniegu.

— Słucham? — odezwał się.

— Gary?

— Tak. — Przełożył słuchawkę do drugiego ucha. Mógł widzieć teraz Lizę MacDonough na końcu długiego korytarza i upewnić się, że weszła do laboratorium.

— Mówi Dave Farrar. Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Zmarszczył czoło. — Dave Farrar? — głos był zupełnie niepodobny.

— Aha. Słyszysz mnie? Dzwonię z komórki i połączenie jest nie najlepsze.

— Słyszę pana. — Cholera, zaklął w myślach Gary. Miał nadzieję, że żaden szef nie zjawi się w laboratorium teraz, kiedy po raz pierwszy naruszył przepisy. Ta psycholog musi wziąć swoją pieprzoną teczkę i wynosić się stąd do wszystkich diabłów. — Tak, panie Farrar, w czym mogę panu pomóc?

— Dostałem informację, że ktoś próbował dostać się do budynku drzwiami awaryjnymi od północy.



— Jestem przy wejściu od strony południowej. Tamte drzwi powinny być na noc zamknięte.

— Właśnie to masz sprawdzić. Potem poczekaj na ochroniarzy. Już zadzwoniłem po pomoc.

— Ale ja nie mogę opuścić swojego stanowiska — odparł Gary, zdenerwowany, że Farrar śmiał go o to prosić. — Muszę tu być i sprawdzać przepustki.

— Wiem o tym, ale zajmie ci to tylko dziesięć-piętnaście minut i potem zaraz wrócisz na swój posterunek. Upewnij się tylko, że główne wejście jest zamknięte.

— Ale...

— Żadnych ale, Gary. Każdy, kto będzie chciał dostać się do środka, może użyć karty elektronicznej do otwarcia drzwi. To dlatego upoważnieni ludzie mają te karty, żeby wejść w sytuacjach takich jak ta.

— Tak, wiem, ale nic takiego do tej pory nie zdarzyło się na mojej zmianie i...

— Gary, idź już. Liczy się czas.

— Okay, chyba tu nie będzie problemu.

— Będzie problem, jak nie zrobisz tego, co powiedziałem.

— Już idę, panie Farrar.

— To dobrze.

Rozłączyli rozmowę. Gary nastawił drzwi na automatyczne otwieranie, a potem skierował się do drugiej części budynku. Idąc, poklepywał kaburę pistoletu, miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć. Nigdy wcześniej z niego nie korzystał, przyznawał się w myślach, że noszenie broni to jedyny obowiązek w pracy, który go denerwuje.

Spojrzał na zegarek. Ta psycholog powinna wyjść, zanim on wróci. Będzie wiedziała, jak wydostać się z budynku. Co za noc, pomyślał i przyspieszył kroku.

**Liza** weszła do ciemnego laboratorium. Wszystkie światła były wyłączone, ale jarzyły się monitory komputerów; na ekranach przepływały rybki i bąbelki. Czuła się jak w olbrzymim akwarium ze słabo oświetlonymi zbiornikami na wodę.

Zatrzymała się niepewna. Patrzyła na dziesiątki komputerów, z których każdy na dyskach twardych przechowywał fragmenty oprogramowania dla nowego odrzutowca... i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

Co będzie, jeśli przez przypadek skasuję niezbędne dane? — zadała sobie pytanie. Może komputery mają zainstalowany system alarmowy, który powiadomi ochronę, że jakiś intruz chce wejść do systemu?

Po jej głowie krążyły myśli mimo woli przesiąknięte lękami. Jednak jeden był dominujący; kazał jej ruszyć w kierunku dawnego stanowiska pracy Nate'a. Miała tylko kilka minut, potem strażnik będzie jej szukał.

Usiadła przed monitorem, dłonie położyła na klawiaturze. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, ale zlewający się cichy szum komputerów przypominał żywą istotę.

Potwora? — zastanawiała się. Upiora, który mógł nagle wyłonić się z innego wymiaru i ją chwycić?

Jej wyobraźnia znów pracowała. Być może na tym polega mój problem, pomyślała. Możliwe, że połowa tego, w co wierzyła, była tylko jej sposobem interpretacji faktów.

Nie! — zaprzeczyła.

Była po prostu wystraszona, wychwytywała złe wibracje. Gdyby był to tylko wytwór jej wyobraźni, mogłaby zapomnieć o komputerze Nate'a i wrócić do domu, spać bez żadnych snów, a rano pójść do pracy i potwierdzić opinię Ala, że nic się nie dzieje.

Stuknęła w klawisz spacji, żeby włączyć ekran. Nagle rybki i bąbelki zostały zastąpione przez prośbę o hasło.

Cholera! Może powinna się powstrzymać, zanim zaczęła. Powinna wiedzieć, że nie będzie to łatwe. Nie miała pojęcia, jakie było hasło Nate'a lub Johna. Wpisała BADGE, ale komputer nie zareagował. Kursor wciąż mrugał.

Nie miała możliwości uruchomienia oprogramowania dla nowego typu odrzutowca, a być może to było konieczne, by zadziałało hasło. Jednak nie sądziła, że projekty firmy mogą mieć coś wspólnego z fałszywie brzmiącymi nutami z kartki. Jeżeli jej podejrzenie było właściwe, to kompozycja Nate'a przekazywała hasło, które umożliwiało dostęp do ukrytego programu, całkowicie odrębnego od oprogramowania samolotu.

Liza odchyliła się do tyłu, myślała. Zdziwiająca, w jaki sposób od przypuszczenia poprzez podejrzenia doszła do pewności, że to Nate skomponował ten dziwny utwór. Fałszywy trop myślenia? — znów się zastanowiła. Może minęła się z powołaniem; powinna pisać powieści fantastyczne.

Jeszcze raz pochyliła się nad klawiaturą. Przypuszczała, że nie może przez przypadek skasować ważnych programów, wpisując różne kombinacje liter. Co by było jednak, gdyby coś zepsuła?

Niemożliwe, przekonywała się. Na pewno są jakieś zabezpieczenia. Programiści to eksperci, nie dopuścili do takiego przeoczenia. Musi pozbyć

się myśli, które paraliżują jej zdolność działania. Jeśli tego nie zrobi, to może już teraz wyjść z laboratorium.

I stracić jedyną szansę na odkrycie prawdy.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła kartkę z nutami, które odtworzyła z pamięci. Może cała muzyka jest hasłem? Wpisała litery odpowiadające wszystkim nutom z kartki. Chwilę się wahała, a potem wcisnęła klawisz Enter.

Z zaskoczeniem patrzyła, jak ekran natychmiast ożył. Jej talent do grania ze słuchu znów okazał się pomocny. Z początku nie rozumiała, co widzi — na ekranie wyświetlały się nazwiska i liczby. Potem nagle przypomniało się jej, co Alice powiedziała, kiedy rozmawiały o wydruku z nazwiskami zwolnionych.

„Systemy komputerowe ze wszystkich działów są połączone z centralnym bankiem danych. ”

Liza zacisnęła dłoń na ustach, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Wielki Brat naprawdę wszystko obserwował.

Aż do teraz słowa Alice nic dla niej nie znaczyły. Po prostu dotarła do list płac, a nie do tajnego oprogramowania dla nowego odrzutowca.

— O Boże, Nate. W co ty się wplątałeś? — spytała po cichu. Nagle zdała sobie sprawę z konsekwencji tego, co on zrobił. Był geniuszem komputerowym i z pewnych powodów sprostytuował swój talent. Co kierowało tym wrażliwym, bardzo nerwowym człowiekiem, że zajął się przestępczą działalnością?

Znała odpowiedź. Był to wystawny styl życia, który przekraczał jego możliwości finansowe i rozpaczliwa potrzeba posiadania pieniędzy, by go utrzymać.

Biedny Nate nie mógł żyć z tym, co stworzył — tajnym programem zatrudniania fikcyjnych pracowników, by pobierać ich zarobki. Zrobił fatalny błąd, gdy chciał się z tego wycofać. Może nawet zamierzał całkowicie zamknąć ten przestępczy proceder. Wężojad, który najprawdopodobniej jest organizatorem tego przekrętu, nie mógł na to pozwolić; nie chciał zrezygnować z tysięcy dolarów miesięcznie. Zbyt późno Nate zdał sobie sprawę, że jego partner jest zdolny do zbrodni. Dlatego to zadzwonił do niej.

Liza znów odchyliła się do tyłu, patrzyła na nazwiska, adresy i potrącenia podatkowe. Nate'a gryzło sumie i nie mógł sobie poradzić z konsekwencjami swojego postępowania. Fikcyjni pracownicy, których czeki wysyłano pod różne numery skrytek pocztowych w całym mieście, zabierali pracę rzeczywistym ludziom. Ktoś, kogo Nate znał, pobierał ich pieniądze.

Przewinęła obraz. Znalazła kilka nazwisk ze swojej listy. Liza przypuszczała, że Wężojad, korzystając z hakerskiego dostępu, zmieniał nawet staż pracy fikcyjnym pracownikom, by prawdziwi robotnicy byli zwalniani w pierwszej kolejności. Ochrona nielegalnego interesu, pomyślała. Martwe dusze zatrudniane były na określony czas, więc ich rotacja nie przyciągała uwagi.

Dlaczego ostatnio zmniejszyła się liczba zwolnień? Czy Wężojad się wystraszył? Znów ogarnęło ją przerażenie. Gdyby ona znikła, mógłby znów przyspieszyć zwolnienia.

Nate przypuszczalnie postanowił zwierzyć się jej ze wszystkiego w tę tragiczną niedzielę i dać jej kartkę z nutami. Jednak musiał spostrzec osobę, która miała zamiar go powstrzymać, i zostawił kopertę, zanim Liza przyszła do misji.

Liza nerwowo westchnęła. To była naprawdę gra życia ze śmiercią. Alice musiała podejrzewać, co się dzieje, i chciała jej o tym powiedzieć, ale nie zdążyła. Czy Wężojad zamordował też Alice? Czy to jego widziała w przebraniu? Czy to o nim wspomniała Pat, sekretarka Alice, mówiąc, że przezwisko nowego narzeczonego szefowej miało coś wspólnego z wężem? Jej prywatny detektyw szukał Martina, nie zajmował się w ogóle skargami pracowników IA, i też zginął. Czy to oznacza, że zniknięcie Martina ma związek z tym, co się dzieje teraz? Jeśli tak, to Martin mógł współpracować z Wężojadem... i zostać zamordowany.

Westchnęła, próbowała wszystko sobie przyswoić. Jedno wiedziała na pewno: była celem ataku. Zastanawiała się, czy John Ellis w przyszłości też zostanie usunięty. Nie miała wątpliwości, że John również przypadkowo wplątał się w ten brudny interes albo został do tego zmuszony groźbą utraty pracy.

Liza szybko zamknęła program. Wiedziała, że Wężojad nie zdąży skasować niewygodnej dokumentacji, zanim ona przedstawi firmie wyniki swoich poszukiwań. Porównanie listy płac z komputera z dokumentacją w teczkach dostarczy dowodów, że czeki były wysyłane nieistniejącym osobom. Doszła do jeszcze jednego wniosku: Wężojad miał jakiegoś wspólnika w dziale plac, kto gwarantował, że nikt niczego nie będzie podejrzewał. Ciekawiło ją, jak długo to już trwa i w jaki sposób Martin wpasował się w ten schemat przestępstwa. Ktokolwiek był w to zamieszany — Al, Hawk, Dave, czy nawet Sylvia Kempton, którą widziano w centrum spadochronowym — musiał zostać powstrzymany.

A jeśli Wężojad to Martin?

Ta myśl uwolniła lawinę strachu. Boże, nie pozwól, żeby był to Martin. Oznaczałoby to, że żyje... *i próbuje ją zamordować.*

Nie mogła teraz o tym myśleć. Musiała się stąd wydostać. Na ekranie znów pojawiły się rybki i bąbelki.

W pomieszczeniu otworzyły się drzwi. Po kilku sekundach zamknęły się.

Ktoś wszedł do laboratorium.

Ktoś, kto zachowywał absolutną ciszę.

Strażnik? Rzuciła spojrzenie na miejsce, w którym powinien stać. Nikogo tam nie było.

RS

## *Rozdział 33*

Liza zastygła na krześle. Nagle jej serce gwałtownie przyspieszyło. Zaczęła głęboko oddychać, zmuszała się, by robić to spokojnie; nie mogła teraz stracić panowania nad sobą. Wyteżala słuch, próbując wyłować najmniejszy hałas, ale nic nie zdawało się zakłócać monotonnego szumu komputerów. Nie spostrzegła żadnego poruszenia w pomieszczeniu.

Jednak wiedziała, że ktoś tu jest.

Ktoś, kto stał poza poświatą rzucaną przez rybki i bąbelki. Ktoś, kto zamarł w miejscu i nasłuchiwał, szukał jej wzrokiem.

Powoli, by nie przyciągnąć do siebie uwagi, wzięła torebkę z biurka, a potem zsunęła się z krzesła i skuliła pod stolikiem.

Sekundy ciągnęły się niczym minuty. Wciąż nie rozległ się żaden hałas. Czyżby tylko się jej wydawało, że ktoś wszedł do laboratorium? Może to był strażnik, który otworzył drzwi, żeby sprawdzić, czy ona jest w środku, i wrócił na swój posterunek. Może znów wszystko to sobie wyobraziła.

Nagle wyczuła dziwny zapach. Wciągnęła powietrze do nosa, próbując go określić. Ostry zapach potu. Przypomniała sobie, kiedy go czuła: na pomoście między łodziami mieszkalnymi.

Z przerażenia straciła oddech. Zaszumiało jej w uszach, otaczające ją przedmioty zatarły się. Odruchowo drgnęło jej ciało i serce ponownie zaczęło bić.

Czy to Wężojad? Nie знаła odpowiedzi, ale na pewno był to mężczyzna, który ją ścigał. Czy to jedna i ta sama osoba?



Znów pociągnęła nosem. Przykry zapach zniknął, ale wiedziała, co oznacza.

*On* był w pomieszczeniu i to bardzo blisko.

Wiedział też, gdzie jej szukać: przy stanowisku pracy Johna Ellisa. Musiała uciekać od jego biurka.

Spojrzała na przejście między komputerami i stwierdziła, że jeżeli zrobi kilka kroków w obojętnie którym kierunku, zauważy ją ze swojego ukrycia. Zawahała się. Wyjście z ciemności oznaczało, że znajdzie się w świetle rzucanym przez monitory.

Powietrze, którym oddychała, stało się nagle ciężkie, jakby ktoś zabrał tlen. Stłumiła panikę, sięgając po spray z gazem obezwładniającym i gwizdek, jej jedyną broń.

Potem wyczuła ruch za sobą.

Między tylnymi nogami stolika wyciągnął w jej kierunku rękę. Obejrzała się do tyłu i rzuciła przed siebie. Uciekała na czworakach, zanim wstała na nogi. Pojemnik z gazem wypadł jej z dłoni i potoczył się dalej. Siegając po niego, wypuściła też gwizdek. Nie szukała ich, każda sekunda była cenna.

Dysząc, rzuciła się w stronę drzwi. Słyszała go w następnym przejściu między komputerami, próbował odciąć jej drogę.

— Strażnik! Strażnik! Gary! — zawołała. Miała nadzieję, że jej głos dotrze do niego przez ściany pomieszczenia i długi korytarz. — Pomocy! Potrzebuję pomocy! — Cały czas biegła, kiedy krzyczała.

Pięć kroków przed nią z półmroku wychynęła ciemna sylwetka mężczyzny. Zablokował jej drogę ucieczki. Postać była surrealistyczna, niczym zjawą wyłaniająca się z ciemności.

Morderca, który znów będzie zabijał, pomyślała. Zatrzymała się. Jego groźna postawa nie pozostawiała wątpliwości. Zamierzał ją uciszyć. Jeśli nie ucieknie, zginie.

Przez moment oboje się wahali, patrzyli na siebie, on zza czarnej maski zlewającej się z kołnierzem jego długiego luźnego płaszcza. Tak jak poprzednio nie była w stanie zauważyć rysów ani określić jego tuszy. Jednak wiedziała, że znajduje się między nią a jedynym wyjściem z laboratorium; drzwi w prywatnym biurze Hawka były prawdopodobnie zamknięte.

Odwróciła się i pobiegła w kierunku migoczącego światła z ekranów komputerów. Miała nadzieję wtopić się w inne cienie tak, żeby nie mógł jej zauważyć. Zamierzała go przechytryć, oddalić się od drzwi, a nie się do nich zbliżać, potem okrążyć pomieszczenie i uciec.

Będzie to skuteczne, jeśli uda się jej pozostać w ciemnościach.

Już dłużej się nie ukrywał. Słyszała, jak potyka się o stoliki, docierał do niej jego ciężki oddech, gdy jej szukał. W jakiś sposób musiała się stąd wydostać. On chciał ją znaleźć... i zabić? Jej ciało przeszył dreszcz. Mężczyzna był zdesperowany. Nie miał zamiaru wypuścić jej żywej z laboratorium.

Nie czas na melodramat. Strażnik wiedział, że ona jest w laboratorium. Wiedział również, że nikogo więcej nie ma w budynku, nie wytaczając człowieka w czerni. Wężojad, jeśli to on, nie uniknie odpowiedzialności, jak ją tu zamorduje.

Chyba że zewnętrzne drzwi do biura Hawka nie były monitorowane przez kamerę bezpieczeństwa. Może tamtędy dostał się niepostrzeżenie do budynku?

Chciała po raz kolejny krzyknąć na strażnika, ale się powstrzymała. Gary poprzednio nie usłyszał jej wołań. Jeśli zawoła, zdradzi, gdzie jest.

Wsunęła się głębiej w ciemność, uważała, żeby nie robić hałasu, gdy realizowała plan oddalenia się od drzwi. Jej umysł cały czas intensywnie pracował. Nie panikuj, kontroluj się.

Obejrząwszy się za siebie, straciła oddech. Mężczyzna zniknął. Zapadła cisza. Nie miała pojęcia, co się z nim stało.

Skuliła się w kącie, a potem usłyszała słaby odgłos.

Za późno, stwierdziła, kiedy ją zauważył. Jego czarna postać wyłoniła się z mroku. Przewidział jej zamiary.

Rzuciła się do ucieczki, ale ją chwycił; dłoń w rękawiczce zacisnął na jej ustach i krzyk uwiązał jej w gardle. Ugryzła go w palec, na chwilę oderwał rękę.

— Cholera! — mruknął ochryplym głosem.

Mogła zaczerpnąć powietrza. Zanim zdążyła uciec, uderzył ją w twarz tak mocno, że aż zagryzła dolną wargę. Poczowała smak krwi w ustach. Potem objął jej szyję ramieniem i znów zacisnął dłoń na ustach. Odciał jej dostęp powietrza. Gwałtownym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Smród jego potu stanął jej w gardle.

Okazała się strasznym głupcem. Ze złości w jej oczach pojawiły się łzy. Powinna krzyczeć, a nie starać się przechytryć tego osobnika, który najwyraźniej znał to pomieszczenie jak własną kieszeń.

Walczyła z jego uściskiem, rzucała głową we wszystkie strony. Tak mocno zaciskał dłoń, że nie mogła poruszać ustami. Zamiast krzyku wydobył się z niej stłumiony jęk.

Zamierzał ją zabić teraz. Nie wzdragał się przed użyciem własnych rąk, chciał ją udusić, jak to próbował uczynić wcześniej między łodziami mieszkalnymi w Utraconym Raju. Znów się przeliczyła.

Ta świadomość uwolniła w niej zastrzyk adrenaliny. Strażnik jej nie pomoże, bo jeszcze się tu nie zjawił. Musiała sama się uwolnić.

Albo zginie.

Walnęła go torebką, rozcięła mu policzek. Krzyknął i na moment zwolnił uścisk. Wyrwała się, rzuciła się do przodu tak szybko, że upadła na kolana. Zanim ponownie ją złapał, Liza zerwała się na nogi i zaczęła biec.

— Pierdolona suka! — warknął takim głosem, że nie mogła go rozpoznać. — Tym razem się nie wymkniesz.

Biegła, ale on był za nią. Chwycił ją za ramiona i przewrócił na podłogę. Usiadł na niej i nogami przycisnął jej ręce do tułowia. Jego oczy błysnęły w ciemności, kiedy zamknął dłonie na jej gardle. Ścisnął coraz mocniej, stękając z wysiłku. Liza nie mogła wyrwać się spod jego napinających się palców.

Ogarnęła ją słabość. Sztuczne światło rozmyło się, a potem rozpadło na drobne kolorowe fragmenty wraz ze wzmagającym się uściskiem. Ciemność pochłonęła całe życie w pokoju, łącznie z jej. Dzieliły ją sekundy od omdlenia, od śmierci. Zamknęła oczy, jej wysiłki osłabły. Czuła, że jej ciało odpływa.

Wyczuł, że zwiotczała. Wykorzystał okazję, by zmienić pozycję. Na moment zwolnił uścisk. Chwytnąc powietrze, Liza zrozumiała, że to ostatnia szansa, by uciec. Zebrała siły i kopnęła go w krocze.

— Pieprzona cipa! Wredny babsztyl!

Jeszcze bardziej zwolnił uścisk. Znów go kopnęła. Mimowolnie skulił się na boku, próbując się chronić. Liza mogła się uwolnić, wyslizgnęła się z jego rąk. Cały czas przeklinał; wiedziała, że odzyskała wolność tylko na chwilę i ta okazja już się nie powtórzy. Natychmiast zerwała się na nogi. Potykając się i głęboko wciągając powietrze, próbowała dostać się do drzwi. Jej torebka dyndała na ramieniu.

Próbowała krzyknąć, ale ze zmaltretowanego gardła wydobył się tylko ochrypły szept.

Gdzie jest Gary? Dlaczego niczego nie usłyszał i nie przyszedł z pomocą?

Szarpięciem otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Poruszała się tak szybko, na ile pozwalało jej rozdygotane ciało. Biegła w kierunku stanowiska Gary'ego.

Nie było go na posterunku. Rozpaczliwie rozejrzała się wokół. Nigdzie nie było go widać. Nie mógł jej pomóc, bo gdzieś poszedł.

Liza podbiegła do drzwi, ale były zamknięte. Po chwili sobie przypomniała, że na biurku strażnika jest przycisk, który otwiera drzwi. Spojrzała na korytarz. Nikogo na nim nie spostrzegła.

Ten szaleniec już nie ścigał jej.

Rzuciła się do biurka. Znalazła przycisk i wcisnęła. Rozległo się brzęczenie. Wiedziała, że drzwi będzie można otworzyć tylko przez kilka sekund. Podbiegła do nich, gwałtownie pociągnęła i wypadła na parking. Ciężkie szklane drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Zaraz potem w jej głowie pojawiła się kolejna myśl.

Pod nieobecność strażnika nie mogła wrócić do budynku. A jeśli on... *Wężojad*... przewidział jej ruch i wyszedł drzwiami z gabinetu Hawka?

Może czeka na nią na zewnątrz.

Pobiegła do miaty. Żałowała, że nie ma przy sobie sprayu z gazem. Już miała otworzyć samochód, kiedy usłyszała głos Dave'a.

— Liza, na Boga, co ty tu robisz?

Obróciła się szybko. Oparła się o błotnik, była zbyt roztrzęsiona i nie mogła utrzymać się na nogach. Właśnie wysiadał ze swojego mercedesa; znajdował się za daleko od laboratorium komputerowego, żeby być napastnikiem. Spojrzała na drzwi do biura Hawka. Dave przy nich zaparkował i być może odciął przestępcy drogę ucieczki.

Liza próbowała odpowiedzieć, ale odezwała się tylko wymuszonym szeptem. Wskazała na szyję i pokręciła głową. Nie mogła powstrzymać łez. To efekt szoku. Wiedziała, że musi się zmobilizować.

Dave zostawił otwarte drzwi do samochodu i szybkim krokiem przemierzył pustą przestrzeń między nimi. Wyraz jego twarzy zdradzał niepokój. —Jezu, Liza! Ty krwawisz. Co się stało?

— Ktoś usiłował mnie zabić — wychrypiała, wpatrując się w drzwi budynku. Przez szklane drzwi mogła widzieć, że Gary'ego nie ma jeszcze na posterunku.

— Co?! Gdzie?

— W laboratorium komputerowym.

— Byłaś w laboratorium? Mogła jedynie skinąć głową.

— Później mi wszystko wyjaśnisz. Liza, ty jesteś ranna. Potrzebujesz lekarza.

— Nie — odparła słabym głosem. — Chyba wszystko jest w porządku.

— To się okaże, ale najpierw musisz usiąść.

Objął jej ramiona i przytulił, kiedy szli do jego samochodu. Była zbyt rozbita, by protestować. Cieszyła się, że się tu znalazł. Pomógł jej usiąść na skórzanym siedzeniu, potem zamknął drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Spojrzał na nią i wyciągnął z kieszeni chusteczkę, by otrzeć jej łzy i krew z ust. Rozcięta warga ciągle krwawiła.

— Kto ci to zrobił? Pokręciła głową.

— Rozpoznałaś go?

— Włożył maskę. — Mówiła ochryplym szeptem. — Nie mogłam mu się przyjrzeć. Stał w ciemnościach.

Oddychała coraz wolniej i stopniowo dochodziła do siebie, ale wciąż miała kłopoty z mówieniem. Stwierdziła, że ma paskudnie posiniaczoną szyję. Być może później lekarz będzie musiał ją obejrzeć, żeby sprawdzić, czy nie stało się nic poważniejszego. Sądziła, że nie złamała żadnej kości. Miała szczęście.

— Kiedy mnie dusił i...

— Sukinsyn. Ten łajdak cię dusił? — Dave wyciągnął rękę i delikatnie ściągnął do dołu kołnierzyk jej golfa. — Cholera! — syknął. Bardzo ostrożnie przyciągnął ją bliżej. — Gdzie, do diabła, przez ten czas był Gary?

— Nie wiem. Nie było go przy drzwiach, kiedy wybiegałam z budynku.

— Więc ten łajdak, który ci to zrobił, może być jeszcze w budynku... ! Przytaknęła i znów spojrzała na wejście.

— Złapiemy go. Nie uda mu się wymknąć.

Dave wziął komórkę i wcisnął jakiś numer. Zapadła cisza. Potem:

— Hej, Gary. Gdzie, do cholery, jesteś? Milczał, kiedy słuchał.

— Gary, ja nie dzwoniłem do ciebie. Wezwij ochronę. — Przerwa.



— Do kurwy nędzy, teraz!

Dave szybko przekazał informacje na temat intruza, powiedział Gary'emu, że Liza została zaatakowana w laboratorium i może do niego dzwonić albo na komórkę, albo do domu.

— Gary, uważaj. Facet może być ciągle w budynku. — Rozłączył się i spojrzał na Lizę. — Zawiozę cię do lekarza.

— Nie, Dave. Proszę. Czuję się już lepiej. Lekarz niewiele mi pomoże, da jedynie środek uspokajający.

Wziął pod uwagę jej prośbę. — Okay, zabieram cię do mojego domu. Zobaczymy, jak się będziesz czuła, kiedy wypijesz drinka na uspokojenie nerwów. — Przerwał. — Wtedy porozmawiamy o tym, co się stało i dlaczego się tam znalazłaś.

— Weszłam do komputera Nate'a.

— Co? — Uruchomił silnik i zamierzał wyjechać z parkingu, ale gwałtownie odwrócił głowę w jej stronę.

— Dave, coś się dzieje w IA. To jest związane z systemem płac, ze zwolnieniami i...

Ruszył samochodem. — Porozmawiamy o tym w domu. Musisz się najpierw trochę uspokoić. Ja też coś odkryłem.

Jechali w milczeniu aż do Mostu Magnolii. — Co odkryłeś? — spytała. Była zbyt ciekawa, żeby czekać na szczegóły.

Spojrzał na nią. — Liza, wziąłem twoje wątpliwości poważnie. Rozmawiałem na osobności z każdym z programistów.

— I?

— Wszyscy się zgadzają, że ktoś po kryjomu napisał program umożliwiający dostęp do niektórych danych firmy. — Przerwa. — Wydaje



się, że Nate przed swoją śmiercią zdradził się z tym przed kilkoma osobami...

Wypuściła powietrze z płuc. — To musiał być sam Nate. Czuł się winny.

Dave skręcił na drogę równoległą do parku Discovery. Znajdowali się tylko kilka przecznic od jego domu. — Możliwe — rzekł w końcu. — Nie udało mi się dowiedzieć, czy ten tajemniczy program, jeżeli w ogóle istnieje, ma coś wspólnego z oprogramowaniem dla nowego odrzutowca. Jak dotąd wszystkie komputery kontrolujące miliony urządzeń w samolocie sprawdzają się bez zarzutu.

— Tu nie chodzi o ten nowy samolot — podkreśliła, wciąż z wysiłkiem wydobywając z siebie słowa. — Już ci mówiłam, że odkryłam, do którego programu został złamany kod dostępu.

— W jaki sposób? Przecież nie miałaś hasła, żeby dostać się do naszego oprogramowania, nawet jeżeli korzystałaś z komputera Nate'a.

— Oczywiście, że nie. To nie wasze programy wyświetliły się na ekranie, tylko listy płac. A hasło było na kartce z nutami, którą zostawiono dla mnie w misji.

— Myślałem, że ktoś ją ukradł.

— Nuty odtworzyłam z pamięci. Zadziałało. Na długo zapadła cisza.

— Liza, to nie ma sensu. Po co Nate miałby włamywać się do programu z listą płac?

— To ma związek z tym, o czym ci bez przerwy powtarzam: ze zwolnieniami i fikcyjnymi pracownikami. Ktoś powoduje, że ludzie tracą pracę i ta osoba, albo osoby, kasuje tysiące dolarów w czekach za ludzi, którzy nigdy nie pracowali w IA.

Zastanawiał się nad jej słowami. — Cokolwiek się dzieje, twoje wnioski dają nam szansę odkrycia, kto za tym stoi i o co chodzi. — Przerwał. — Najważniejsze to sprawdzić, czy poza listami płac nie chodzi też o sabotaż.

Znów cisza zapadła między nimi.

— Dave, poprosiłeś, żeby przeprowadzono odpowiednią kontrolę?

— Jeszcze nie. — Skrecił w ulicę prowadzącą do jego domu i wjechał na podjazd. Czekał, aż otworzą się automatyczne drzwi do garażu. — Na razie będę prowadził wewnętrzne dochodzenie, aż się dowiem, o co chodzi. Nie można narażać na szwank projektu, nie wspominając o mojej karierze — dodał.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Próbowała ukryć nagłe zdenerwowanie. Przypomniała sobie, że wcześniej odrzucił jej przypuszczenia dotyczące fikcyjnych pracowników i powiązań tego fałszerstwa z Nate'em i laboratorium komputerowym. Wtedy nie sugerował, że nie powinni przekazywać zdobytych informacji kierownictwu firmy.

— Tylko to, że pewne sprawy są kwestią czasu. Muszę być pewien, zanim zacznę robić zamieszanie, które może wstrzymać projekt i kosztować firmę miliony dolarów. Najmniej ważne, że zwolniliby mnie wtedy z projektu.

— Więc możesz nie poinformować o złamaniu hasła?

— Chyba to nie jest konieczne. Planuję rozpoznać problem, wziąć go pod uwagę, a po wszystkim zapomnieć.

Patrzyła na unoszące się drzwi. Ostudziła ją jego logika. Czowała się tak zbędna, jak zwolnieni pracownicy. — Dave, a co z zabójstwami? — spytała zwodniczo cichym głosem.

— Jakimi zabójstwami?

— Nate'a, Alice, skoczka w centrum spadochronowym, Steve'a Wendalla... może Martina.

— Na Boga, Liza. To przypadek, nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, a jeżeli chodzi o Martina, to nikt nie wie, co się z nim stało.

— Ktoś usiłował mnie zabić. To nie przypadek.

— Ta osoba zostanie skazana, jak ją złapiemy. Liza, to zupełnie inna sprawa — rzekł spokojnie. — Nie widzę żadnego związku z tymi przypadkowymi zgonami.

Ponieważ nie chcesz widzieć niczego, co mogłoby zagrozić twojej karierze, powiedziała do niego w myślach. Jej narastające wątpliwości na temat Dave'a były słuszne. Utracił zdolność odróżniania zła od dobra. Kariera stała się dla niego ważniejsza od prawości.

Wjechał do garażu i drzwi automatyczne zamknęły się powoli. Liza nagle poczuła się jak w pułapce. Kiedy Dave obszedł samochód, nie miała wyboru: musiała wziąć torebkę i wysiąść.

Po wejściu do domu wzrósł jej niepokój. Skąd mogła wiedzieć, czy w ogóle rozmawiał z Garym. Słyszała tylko jego część rozmowy.

— Przygotuję drinki — rzekł, idąc do barku w salonie. — Usiądź i odpręż się. Jak będziesz gotowa, opowiesz o tych fałszerstwach na liście płac. — Uśmiechnął się z niedowierzaniem. — I o tym człowieku, który morduje, żeby wszystko ukryć.

Liza zatrzymała się w drzwiach, zastanawiała się, w jaki sposób może skrócić wizytę u niego. Postanowiła nie mówić mu wszystkiego, co wiedziała, poczekać i opowiedzieć o wszystkim komuś bardziej odpowiedniemu, na przykład detektywowi Barnesowi.

Nagły dzwonek telefonu komórkowego, który dobiegł z jej torebki, wystraszył ich oboje. — Zapomniałam go wyłączyć — rzekła, próbując mówić normalnym głosem. — Muszę odebrać. To pewno Jean. Będzie się martwiła, jak się nie odezwę.

Skinał głową, a potem usłyszała, jak wrzuca kostki lodu do szklanek.

— Halo — powiedziała.

— Liza, to ty?

— Tak — odparła, poznawszy głos Erika.

— Gdzie jesteś? — W jego głosie dało się słyszeć niepokój.

— Jestem u Dave'a.

— U Dave'a?

— Aha. — Zmusiła się, by się roześmiać. — Przyszedł mi z pomocą po ataku jakiejś zjawy w laboratorium komputerowym.

— Co?! Czy myślisz, że był to Wężojad?

Mówił tak ostrym głosem, że aż zaboląło ją w uchu. Nie oderwała telefonu, tylko przycisnęła go bardziej do ucha, bała się, że słowa Erika dotrą do Dave'a. *Przestała ufać Dave'owi.*

— Nie mogłam poznać, kto...

— Zapomnij o moich pytaniach i tylko słuchaj. Kiedy odebrałem twoją wiadomość, zadzwoniłem do Barnes'a, który właśnie zamierzał do ciebie zatelefonować z najświeższymi informacjami. — Słyszała, że jest zdenerwowany. — Liza, musisz być bardzo ostrożna. Na kopercie były odciski palców Nate'a i Maggie potwierdziła, że to on napisał tam twoje nazwisko. Alice otruto. Martin prawdopodobnie też został zamordowany... zapewne przez osobę ukrywającą się pod pseudonimem Wężojad. Barnes

jeszcze go nie zidentyfikował, ale wszystkie dowody, które zebrałaś, wskazują, że był związany z Nate'em i laboratorium.

— Tak, to było miłe ze strony Dave'a — powiedziała do telefonu i uśmiechnęła się do Dave'a, który obserwował ją z drugiego końca pokoju.

— Zrozumiałem. Masz rację, Dave może być w to zamieszany. — Przerwał. — Jedziemy z Barnesem po ciebie. Liza, bądź ostrożna. Uciekaj stamtąd, jak tylko pojawią się jakieś kłopoty. Możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie.

— Dziękuję, Jean. Zgadzam się z tobą, zrobię, jak powiedziałaś.

Włożyła telefon z powrotem do torebki, podziwiała swoje opanowanie, choć była tak mocno przerażona. Kolejne spojrzenie w stronę Dave'a powiedziało jej, że było za późno.

Już znalazła się w kłopotach.

## Rozdział 34

Liza, co się dzieje?

Dave odstawił szklanki i stanął naprzeciw niej w drugim końcu pokoju. Mówił podniesionym głosem. — Ty nie rozmawiałaś z Jean. Kto to był?

Oblizła usta i poczuła krew. — Oczywiście, że była to Jean — odparła, unikając jego spojrzenia. — Dzwoniła do mnie do domu, a potem na komórkę.

— Dlaczego kłamiesz?

— Nazywasz mnie kłamcą? — odparowała. Tą ripostą uniknęła bezpośredniej odpowiedzi.

— Chciałem powiedzieć tylko, że twoja siostra martwi się o twoje bezpieczeństwo. — Zrobił krok w jej kierunku. — Nie mówiłaby banałów, gdyby wiedziała, że zostałaś zaatakowana.

— Jean wie, że teraz jestem bezpieczna. Właśnie jej to powiedziałam — odparła, ale znów wrócił niepokój, aż ścisnęło ją w żołądku. — Potrzebuję drinka, a najpierw chciałabym umyć twarz. Muszę być zakrwawiona.

— Pomogę ci. Trzeba odkazić ranę.

— Nie — zaprotestowała nerwowo. — Nic mi nie będzie, trochę wody wystarczy.

Zapadła głucha cisza.

Dave skinął głową, wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć.

Liza ruszyła w stronę łazienki z tyłu domu, znajdującej się przy drzwiach do

garażu. Kontrolowała swój chód, świadoma, że ją obserwuje. Z ostrożności spojrzała za siebie.

Nagły strach niemal ją sparaliżował. Szedł za nią, dywan leżący w salonie tłumiał odgłos jego kroków.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Miał dziwny wyraz twarzy, którego wcześniej nie widziała. Stanowczy — takie słowo przyszło jej do głowy.

Musiała się stąd wydostać.

Pobiegła obok łazienki i zatrzymała się, by gwałtownym ruchem otworzyć drzwi do garażu. Pasek od torebki zahaczył o gałkę u drzwi i torebka spadła na podłogę. Bez wahania ją podniosła, minęła próg i zaryglowała drzwi od strony garażu. Potem wcisnęła przycisk otwierający drzwi automatyczne. Zanim podniosły się do końca, Liza przecisnęła się pod nimi i wybiegła na podjazd.

Dobiegł ją głos Dave'a. — Liza! Co się stało?! — Walił w drzwi. — Na Boga, wracaj, tu będziesz bezpieczna. Nie jestem twoim wrogiem!

To wołanie sprawiło, że się zatrzymała. Wydawało się, że jego niepokój jest szczery. Ale czy mogła mu wierzyć? Już nie wiedziała, komu ufać. Zawsze jej pomagał, kiedy była w kłopotach. Ale dlaczego zawsze zjawiał się w odpowiednim momencie? Przypadek?

Może dlatego, że był Wężojadem?

Nie -odpowiedziała na jego wołanie.

Przestał wołać — domyśliła się, że poszedł do frontowych drzwi. Musiała się stąd wydostać. Jeśli się myliła co do niego, przeprosi go później.

Zaczęła biec w kierunku ulicy. Zatrzymała się na rogu, wzrokiem oceniała różne możliwości. Droga prowadziła w stronę zamieszkałego

obszaru, ale otaczały ją zagajniki parku Discovery. Przypomniała sobie, jak mroczne i przerażające są w deszczowy zimowy wieczór.

Z drugiej strony, za posiadłością Dave'a, znajdowały się domy, a ulica była oświetlona. Zdecydowała, że ten wybór jest najlepszy. Mogła szukać pomocy u sąsiadów Dave'a, a potem bezpiecznie czekać na przyjazd Erika i detektywa Barnes'a. Gdyby ze względu na późną porę odnosili się do obcej przecież osoby nieufnie, poprosi, żeby zadzwonili na komórkę do Erika albo pod numer detektywa.

Chowając się w cieniu, Liza zaczęła wracać drogą, którą przysła. Wiedziała, że w ten sposób daje Dave'owi dodatkowe sekundy na znalezienie jej. Zrobiła tylko kilka kroków, gdy z laurowych krzewów okalających podwórze Dave'a wyłoniła się ciemna postać. Liza zastygła.

Zdażył już wyjść na zewnątrz. Minęło więcej czasu, niż sądziła. Był między nią a domami sąsiadów.

Wpatrywała się w ciemność. To ten napastnik, który zaatakował ją w laboratorium: czarna maska, ciemne ubranie i groźna postawa.

Czy to rzeczywiście jest Dave? Nie była pewna.

Rzucił się przed siebie.

Przerażenie odebrało jej oddech. Mimowolny krzyk, który wyrwał się jej z gardła, popchnął ją do działania.

Liza obróciła się i pobiegła w stronę parku. Nie miała innego wyboru. Jedyłą jej nadzieją było ukrycie się w zaroślach.

Był blisko za nią.

Wbiegła na ścieżkę prowadzącą w dół zbocza, w kierunku urwiska. Myślała, że po drodze znajdzie zarośla, w których będzie mogła się ukryć. Znowu popełniła błąd. Krzewy na zimę straciły liście.



Głupia. Głupia. Głupia. Jeśli Wężojad jej nie złapie, zginie, spadając z urwiska.

Przedzierała się po nierównym terenie. Modliła się, żeby nie upaść. Wężojad przygniecie ją do ziemi, nim zdąży wstać. Słyszała, jak biegnie za nią.

Na dole stoku ścieżka skręcała na północ i prowadziła po piasku wzdłuż urwiska. Liza nie zastanawiała się. Jedyna jej szansa, to znacznie go wyprzedzić. Poniżej wody Cieśniny Pugeta uderzały o skalisty brzeg.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. Nie spadniesz z urwiska.

Jednak trudno było o tym nie myśleć w tak strasznej okolicy. To doskonałe miejsce na kolejny „wypadek”. Ścieżkę od urwiska oddzielał tylko pojedynczy łańcuch. Zmusiła się, by nie myśleć o niebezpieczeństwie; łańcuch znaczył tylko ścieżkę, której nie można było opuszczać. Musiała dostać się do domów po drugiej stronie parku.

Gdzie jest Erik i detektyw Barnes? — zastanawiała się. Jak daleko byli, kiedy Erik zadzwonił? Jechali razem czy osobno?

Pomyślała o ich rozmowie. Zjawią się za dziesięć-piętnaście minut.

Kolejna przerażająca myśl była niczym cios. Może Erik i Barnes wcale po nią nie jadą? Co się stanie, jeśli Erik zadzwonił na jej komórkę z podwórza Dave'a? A jeśli to Erik, a nie Dave, jest Wężojadem?

Bez sensu. Nie powinna się rozpraszać, bo inaczej wcześniej się dowie, kto jest Wężojadem, zanim znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Odczuwała zmęczenie, każdy oddech palił ją w piersi, ale musiała biec. Nie miała innego wyboru.

Słysząc było, że zbliżył się do niej. Nie odważyła się zwolnić, by obejrzeć się za siebie. Jeszcze bardziej przyspieszyła, ale za każdym krokiem zapadała się w głęboki piasek.

Niespodziewanie chwycił ją za ramię i obrócił tak gwałtownie, że wpadła na niego. Uszło z niej powietrze, nogi zrobiły się jak z waty, upadła na kolana. Przypominała teraz jedną z lalek Jean.

— Dziwka! Zapłacisz za wszystkie kłopoty. — Maska tłumiała jego głos. Na chwilę do jej nosa dotarł obrzydliwy zapach potu, taki sam jak w laboratorium. — Na zawsze usunę cię z drogi.

Jego słowa przywróciły ją do życia. Nie pozwoli się zabić. Nie teraz. *Nie bez walki.*

— Puść mnie!

Drapała i waliła pięściami. Próbowwała wstać. Kiedy stanęła na nogach, zaczęła kopać, bić pięściami, drapać i szczypać. Poruszała rękami tak szybko, że nie mógł ich złapać. Najpierw w twarz, potem w żołądek, a na końcu w krocze. Kiedy chronił jedną część ciała, uderzała w inną. Skrzywił się z bólu i zwolnił uścisk, by zmienić pozycję i bronić się przed jej ciosami.

Natychmiast się wykręciła, ale nie była w stanie całkowicie się uwolnić. Dysząc i stękając, szybko ją obezwładnił. Dłonie zacisnął na szyi, a plecy przycisnął do swoich kolan. Po upadku na ziemię Liza wiedziała, jaki będzie nieuchronny koniec, chyba że uda się jej w jakiś sposób unieruchomić napastnika. Ugryzła go w nogę i poczuła skórę.

Wrzasnął.

Jednak nie była w stanie się wyswobodzić. Klęknął na kolana i odciągnął ją do tyłu po mokrym piasku. Usiadł na niej okrakiem. I po chwili

ten Wężojad, jak była przekonana, usiłował ją udusić. Był całkowicie skupiony na tym, by ją zabić.

A potem zrzuci jej ciało z urwiska?

Ręce Lizy były unieruchomione przez jego nogi. Siedział na jej brzuchu, a dłonie zaciskał na szyi, odcinając jej dostęp powietrza. Nie mogła unieść swojego tułowia. Zostało jej tylko kilka sekund, później zemdleje. Jednak nie przewidział możliwości obrony, jaka jej pozostała. Nie miał tyłu rąk i nóg, by odebrać jej ostatnią szansę.

Kolano wymierzone w krocze trafiło w delikatne gruczoły.

Zgiął się i chwycił za genitalia. Zwolnił uścisk. —Ty suko! —jęknął.

W jednej chwili Liza wyczołgała się spod niego, zerwała na nogi i zaczęła biec. Udało się jej zrobić tylko kilka kroków. Znow ją dopadł i rzucił na ziemię.

— Teraz już mnie nie kopniesz. — Położył się na jej nogach i łapał oddech.

Jej serce waliło jak oszalałe, a ciało drżało z wysiłku. Była wyczerpana. Walcz, nakazała sobie. Walcz, bo zginiesz.

Szarpnęła i się skrzyła, próbowała uwolnić nogi. Był silniejszy. Kiedy doszedł do siebie, przeniósł ciało wyżej, jeszcze raz ją uwięził.

Nie rezygnuj. Nie rezygnuj. Była to jej mantra.

Walka trwała. Uderzył ją pięścią w szczękę. Przetoczyli się pod łańcuchem oddzielającym ścieżkę od osuwającego się zbocza i zbliżali się do przepaści. Nagle zaczęli nabierać szybkości.

— Urwisko! — wrzasnęła. — Spadniemy z urwiska!

— Kurwa mać! — Próbował się czegoś złapać.

Liza chwyciła w garść kępę chwastów i powstrzymała zsuwanie. Pozwoliło mu to przytrzymać się innej kępy zielska. Nagle zaczął uderzać ją w ramiona, chciał, żeby rozluźniła dłoń.

— Jestem wdzięczny, pani psycholog. — Nie przestawał jej uderzać.  
— Ale nie będzie zmiłowania.

— Powinnam pozwolić, żebyś spadł w przepaść! Jesteś bez sumienia! Roześmiał się cierpko. — Z późno na żale. Nie pochlebiaj sobie. Ostrzegłaś mnie, żebyś sama nie zginęła.

— Ja mam sumienie. Nie morduję ludzi.

Wbiła nogi w piasek, żeby się zatrzymać nieruchomo. Potem była w stanie uwolnić prawą rękę, zaczęła nią drapać. Wygiął się do tyłu i jej palce sięgały tylko do ubrania, zacisnęły się na kluczach, które nosił u paska na splecionym w warkocz sznurze. Odepchnął ją i klucze się urwały.

Ziemia zaczęła się usuwać jej spod nóg.

Pokaleczyła sobie rękę, szukając czegoś do przytrzymania, chwyciła za zrobioną na drutach maskę, pod którą ukrywał twarz. Zsunęła mu się z głowy, gdy jej ciało pod wpływem siły ciężkości zjeżdżało w kierunku stromego urwiska nad Cieśniną Pugeta.

Rozpaczliwie próbowała się zatrzymać. Splątany krzew żarnowca zaczepił się o jej kurtkę i na chwilę zatrzymał ją na drodze ku przepaści. To była jej ostatnia nadzieja. Na skałach poniżej czekała ją pewna śmierć.

— Co za cholera! — zaklął nad nią. — Suka! Dlaczego nie chcesz umierać?!

— Bo chcę zdemaskować ciebie i to, co zrobiłeś niewinnym ludziom!  
— odkrzyknęła. Stopami rozpaczliwie szukała jakiegoś zaczepienia, żeby

wspiąć się w bezpieczniejsze miejsce. Jednak wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy spadnie. Potrzebowała pomocy, a żadna nie nadchodziła.

— Na pewno to ci się uda — roześmiał się demonicznie. — Trupy nie zdradzają tajemnic.

— To ty jesteś Wężojadem?! — wykrzyknęła, próbując rozpoznać jego głos teraz, kiedy nie miał maski. Nie widziała jego twarzy ze względu na ciemność i dużą odległość między nimi. — Zamordowałeś Nate'a, Alice i innych, bo bałeś się, że zdemaskują twoje złodziejstwo!

— Liza, to twój problem. Jesteś jak inne kobiety. Uważasz, że jesteś wyjątkową, twoje gówno nie śmierdzi! Tym razem się przeliczyłaś. — Znow się roześmiał. — Tak, to ja jestem Wężojadem.

— I ich zamordowałeś. Przyznaj się!

— Zgadza się. Lizę, Nate'a, Alice, skoczka, nawet tego głupiego prywatnego detektywa. Co chcesz zrobić z tą informacją przez te kilka sekund, zanim nie spadniesz pieprzoną dupą w przepaść?

Potem uświadomiła sobie, że wciąż ma breloczek z kluczami. Udało się jej wepchnąć klucze do kieszeni kurtki i zasunąć suwak. Jeśli zginie, zaprowadzą do niego. Ale ten kształt kluczy i sznura coś jej przypominał.

O Boże, pomyślała, kiedy nagle zdała sobie sprawę, dlaczego wydały się znajome. Należały do Martina. Jeśli Wężojad nie dołożył swoich kluczy, policja uzna, że były jej, bo pasowały do jej zamków.

Czy mężczyzna, który stoi nad nią, to Martin? Nie. Z miejsca odrzuciła tę myśl. Budowa ciała i głos były inne.

Nie myśl teraz o tym. Nie myśl o Martinie.

Stłumiła strach, który całkowicie pozbawiłby ją możliwości działania, jednak nie mogła uciec od rzeczywistości. Wężojad użył tych kluczy, żeby włamać się do jej samochodu i mieszkania.

W tym momencie uświadomiła sobie, że Martin został zamordowany przez tego mężczyznę, z powodów, których pewnie nigdy nie pozna.

— Martina też zabiłeś? — Nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

Nie odpowiedział.

Liza wpatrywała się w ciemną sylwetkę Wężojada, zastanawiała się, jaki będzie jego następny krok. Poczekaj, aż w końcu zsunie się w przepaść?

Znów ją zaskoczył. Ruszył w dół po niestabilnym zboczu, ostrożnie stawiając nogi. Świadomy niebezpieczeństwa nie spieszył się, był pewien, że nikt nie wie o toczącej się na śmierć i życie walce w parku Discovery. Jeśli dojdzie do niej, ona zginie. Miał nad nią przewagę: był wyżej i nie musiał czepiać się małych krzaczków.

Nie mogła pozwolić, żeby wymigał się od kary.

Musiała w jakiś sposób się uratować. Zmieniła pozycję i znalazła występ w skale tuż obok krzewu. Jednak niewielki ruch spowodował, że korzenie się obluzowały.

Wrzasnęła ze strachu. Przerażona, że za chwilę może wyrwać krzew, znów krzyknęła, niezdolna, by się powstrzymać. Jej głos odbił się echem od urwiska.

Mimowolnie wzdrygnął się na ten krzyk.

Nagle grunt usunął mu się spod stóp, szybko zamienił się w lawinę piasku. Mężczyzna upadł na bok i zaczął zjeżdżać w kierunku Lizy.

— Wielki Boże! — wrzasnął. — Pomocy!

Nie mówił już cicho i spokojnie. Po raz pierwszy rozpoznała ten głos. Próbował się jej chwycić, gdy zsuwał się obok. Instynktownie wyciągnęła rękę, chcąc go złapać. Chociaż był mordercą, nie mogła beczynnie patrzeć, jak zjeżdża w przepaść.

— Pieprzona cipa! — wrzasnął. — Chcesz, żebym zginął!

— Nie mogę cię sięgnąć!

Na krótko spotkał się ich wzrok. W jego oczach dostrzegła przerażenie, uczucie, które było im wspólne. Chwycił się kępki trawy, ale po chwili wyrwał ją z korzeniami.

Znów zjeżdżał w dół, tym razem wolniej, bo przytrzymał się jakiegoś krzaku, a nogami szukał oparcia w usuwającym się gruncie. Mogłaby podzielić jego los, gdyby puściła żarnowiec. Na szczęście napastnik nie zsuwał się w jej kierunku.

Na chwilę przytrzymał się krawędzi urwiska i spojrzał Lizie w oczy z oskarżycielskim wyrazem twarzy.

— Nie wygrasz, suko!

Jego słowa podążyły za nim w przepaść. Krzyk odbił się echem od całego urwiska. Została w absolutnej ciszy. Wiedziała teraz, kim był Wężojad.

To nie Dave, Hawk lub Erik. Był to Cooper.

Twarz jego żony, Abbey, i chorego synka, Brandona, pojawiły się w jej wyobraźni. Jak do tego doszło? Jak ojciec tego delikatnego dziecka mógł stać się mordercą?

Potem przypomniała sobie Alice i innych. Nie powinna teraz o tym myśleć. Jednak nie mogła powstrzymać wstrząsającego nią szlochu. Za każdym jej ruchem żarnowiec wydawał się coraz słabiej trzymać ziemi. Liza



walczyła o odzyskanie kontroli. Myliła się co do Dave'a, Hawka, nawet Erika. Choć mogli uczestniczyć w przestępstwie, nie byli mordercami. Jednak będzie o tym rozmyślała, jak znajdzie się na pewnym gruncie. Jeśli przeżyje.

Niewielkie strumyki piasku sypały się za Cooperem w przepaść. Nie odważyła się poruszyć. Naruszyli stabilność stoku i w każdej chwili mogła stoczyć się za Cooperem w przepaść. Jej życie zależało od korzeni dzikiego krzewu. Zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzymają jej ciężar. Czuła, że niedługo.

Czas zdawał się zatrzymać. Zaczęło padać, co jeszcze bardziej pogorszyło jej położenie. Jej umysł odrętwiał od rozmyślań o tym, co się stało, a ciało przemarzło do kości. Kiedy dotarły do niej jakieś głosy, na początek nie zareagowała. Jednak kiedy się zbliżyły, zaczęła wołać o pomoc. Omiótł ją snop światła z latarki, a potem się na niej zatrzymał.

— O Boże, Liza, nie ruszaj się! — krzyknął Erik. — Zaraz przyniesiemy linę. Zejdę po ciebie. Wytrzymasz jeszcze parę minut?

— Spróbuję. — Nie powiedziała mu, że krzew może w każdej chwili puścić albo zdrętwieją jej palce.

— Jesteś ranna? — tym razem spytał detektyw Barnes.

— Nie. Mam tylko siniaki i jest mi zimno. — Zawahała się. — Cooper Delmonte usiłował mnie zabić. To on ma ksywę Wężojad.

— Gdzie jest teraz? — spytał z niepokojem Barnes.

— On... spadł z urwiska i...

— Nie odzywaj się — przerwał jej Erik. — Nie poruszaj.



Musisz go posłuchać, stwierdziła. Zrób tak, jak każe ci Erik. *Nie poruszaj się*. Potem zauważyła jakiś ruch nad sobą, usłyszała inne głosy. Erik spuścił się na linie.

Opuszczał się powoli, unikał drogi, którą zsunął się Cooper, uważał, żeby nie obruszyć piasku. Nagle odczuła radość, że jest on doświadczonym skoczkiem spadochronowym i alpinistą, nie zepchnie jej w przepaść. Kiedy znalazł się na jednej wysokości z nią, przesunął się w poziomie w kierunku krzewu, którego się chwyciła.

— Trzymam cię — wyszeptał jej do ucha, objąwszy ją w pasie. Potem obwiązał ją liną na piersi i zabezpieczył pod pachami. — Teraz nas wyciągną. Liza, jesteś gotowa?

Skinęła głową i poczuła brodę na swoim policzku.

— Puść ten krzak — poinstruował ją delikatnie, rozumiejąc jej strach. — Pamiętaj, że cię trzymam.

Był to akt wiary. Bez żadnego kontaktu z ziemią, czuła, jakby pofrunęła nad ciemną przepaścią. Erik mówił do niej, kiedy liny powoli wciągały ich do góry. Po znalezieniu się na szczycie stanęła na nogach, ale nie mogła się utrzymać. Upadłaby, gdyby Erik nie przytrzymał jej w pasie.

— Trzeba ją zanieść. — Był to głos Dave'a. — Najlepiej do mojego domu.

Otworzyła gwałtownie oczy, zobaczyła go i dwóch umundurowanych policjantów. — Nie, chcę jechać do swojego domu.

— Ależ, Brązowe Oczy, do mojego domu jest tylko pięć minut drogi — rzekł Dave. Próbował ją pocieszyć, chwytając jej chłodne dłonie. — Potrzebny jest lekarz.

Liza wyrwała się i pokręciła głową. Teraz już wiedziała, co czuje do Dave'a. Dziś wieczorem otworzyły się jej oczy, kiedy powiedział jej, jak zamierza rozwiązać problemy w laboratorium. Brakowało mu uczciwości i prawości. Nigdy tego nie odzyska.

— Ja zabiorę cię do domu — zaproponował stanowczym tonem Erik.

Barnes po rozmowie przez policyjne radio zwrócił się do Dave'a: — Musi pan pojechać na komendę.

— Co? — W głosie Dave'a pojawiło się zaskoczenie.

— Musi pan odpowiedzieć na kilka pytań i wypełnić parę formularzy.

— Słowa detektywa Barnes'a nie pozostawiały Dave'owi żadnego wyboru.

— Dowiedziałem się też — kontynuował — że dwóch policjantów znalazło Coopera Delmonte'a. — Jeszcze żył. Zawieźli go do ośrodka dla ofiar wypadków.

Liza poczuła się lepiej. Opowiedziała, co zdarzyło się tego wieczoru, skończyła na ucieczce nad przepaść. — Cooper przyznał się, że jest Wężojadem, że zamordował Nate'a, Alice, mojego prywatnego detektywa i skoczka...

Spróbowała bez pomocy pójść do wozu Erika. Wsiadła do środka. Opuściła szybę, żeby porozmawiać jeszcze z detektywem Barnesem, zanim ten odjedzie i zabierze ze sobą przygnębionego Dave'a.

— Wstąpisz do mnie, jak skończysz? — spytała. — Chciałabym usłyszeć, co odkryłeś. Opowiem ci szczegółowo o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

— Będzie za późno. Nie masz zamiaru iść spać?

Pokręciła głową. — Jutro się wyśpię. Teraz chcę tylko jechać do domu, ale nie zasnę, dopóki się wszystkiego nie dowiem.

— Okay, najpierw zadzwonię.

Chwilę później jechała do swojego domu, cieszyła się z ciepła panującego w środku samochodu. Erik prowadził w milczeniu, wiedział, że Liza potrzebuje czasu, by dojść do równowagi psychicznej. Przez moment nie myślała o tym, co się wydarzyło ani o Davie. Była po prostu szczęśliwa, że nie spadła z urwiska.

Erik czekał z nią na Barnesa, który nie zatrzymał się u niej na długo. Przekazał jej tylko znane już informacje z laboratorium kryminalnego. Alice została otruta, a na kopercie znaleziono odciski palców Nate'a — Nate to Bojangles.

— Kiedy zamknięto sprawę Nate'a i pochowano Alice, stało się jasne, że dzieje się coś złego, że ktoś może posunąć się do ostateczności, nawet do morderstw, żeby się chronić — rzekł Barnes. — Jakiegokolwiek dowody, które mogły być przy twoim prywatnym detektywie, spłonęły wraz z samochodem.

Liza zamyśliła się. — Wendall zawsze woził ze sobą butelkę z wodą. Był przekonany, że woda z kranu jest niezdrowa. Zastanawiam się tylko...

— Tak. Ja też o tym pomyślałem. Mógł wsypać trochę trucizny do butelki Wendalla tak jak do pojemnika Alice... — Zawiesił głos. — Ze względu na pożar samochodu nigdy się tego nie dowiemy, chyba że Cooper nam powie.

— Ale wiemy, na czym polegała jego przestępcza działalność — stwierdziła Liza. — Pisał oceny pracy fikcyjnym pracownikom, w razie potrzeby zwalniał ich i zatrudniał, dzięki ukrytemu dostępowi do programu manipulował na liście płac. Przez cały ten czas płynęły do niego czeki z wypłatami.

— To smutne — zauważył Erik. — Ten facet był błyskotliwy. Źle, że nie użył swojej inteligencji do szlachetnych celów.

— Tak, był błyskotliwy. — Barnes pokręcił głową. — Dotarł również do dokumentów zmarłych dzieci, użył ich nazwisk i numerów ubezpieczenia społecznego dla swoich fikcyjnych pracowników. Potrzebował tych danych do celów podatkowych.

— Widzę, że cały czas prowadziłeś śledztwo — rzekła Liza z uśmiechem. — Przepraszam, że ci nie ufałam.

— Detektywi od morderstw to pracowici ludzie — odparł półżartem. Wstał. — Jadę teraz do szpitala zobaczyć, co z Cooperem.

— A Martin? — spytał Erik. — Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim? Wiem, że Cooper miał klucze Martina. Liza jest przekonana, że Cooper go zabił...

— Nie przyznał się do tego — dodała Liza. Przybita na myśl o Martinie. — Chociaż przyznał się do innych morderstw.

— To jedna z rzeczy, którą mam nadzieję usłyszeć od Coopera. Lekarze nie pozwolili mi go przesłuchać. Kazali przyjechać później. Może teraz z nim porozmawiam, jeżeli będzie żył.

Detektyw i Erik wyszli razem i Liza położyła się do łóżka. Następnego dnia rano wzięła chorobowe. Barnes wpadł do niej krótko przed południem.

— Cooper zmarł godzinę temu — poinformował ją. — Rozmawiał ze mną, nie dlatego, że gryzło go sumienie... on nie miał żadnego sumienia. Chciał powiedzieć, że gdyby nie ty, to by wyszedł ze wszystkiego obroną ręką...

Cooper potwierdził, że zdesperowany Nate, który znalazł się na krawędzi bankructwa, był geniuszem komputerowym i przygotował dla

niego całą nielegalną operację. Potem czuł wyrzuty sumienia i chciał się z tego wycofać, więc Cooper go zabił. Zadaniem Ellisa w zamian za możliwość utrzymania pracy było odzyskanie kartki z muzyką Nate'a. To on ukradł kartkę z torebki Lizy.

Barnes objaśniał: — Cooper był mężczyzną, który na ciebie napadał. John Ellis był być może zaangażowany we włamania, ale się tego nigdy nie dowiemy, chyba że się przyzna. Laboratorium sprawdzi, czy na kartce z nutami nie ma jego odcisków palców.

— Czy Cooper powiedział coś o Martinie? — spytała Liza.

Barnes przytaknął. — Cooper był na tym bożonarodzeniowym rejsie. To on wypchnął Martina za burzę. Najwyraźniej Martin domyślił się, co Cooper robi, i zagroził, że go wyda. Martin przyjął od Coopera pieniądze i zaszył je w lalce. Cooper myślał, że go przekupił. Martin nie miał zamiaru milczeć i chciał użyć pieniędzy jako dowodu po zgłoszeniu się na policję. Błędnie sądził, że uwiarygodni w ten sposób swoje zarzuty. Wobec tego Cooper go zabił, potem próbował odzyskać pieniądze, włamując się do twojego mieszkania zaraz po zniknięciu Martina. Wtedy nic nie znalazł, ale kiedy w jego obecności wspomniałaś, że Martin pomagał robić lalki, olśniło go. Szukając pieniędzy, ukradł lalki.

— Biedny Martin — rzekła łagodnie Liza. — Zawsze był takim uczciwym człowiekiem.

Barnes mówił dalej. Powiedział, że Cooper otruł jej prywatnego detektywa, bo Wendall zaczął łączyć Martina z tym, co się dzieje w International Air. Śmierć początkującego skoczka spadochronowego to pomyłka; Cooper miał zamiar zabić Erika, który widział go z Sylvią. Bał się, że gdyby Erik i Wendall porozmawiali ze sobą, mogliby powiązać fakty. Liza

wcześniej się domyślała, że to Sylvia pomagała Cooperowi ukryć w archiwum fałszerstwo. Obie, Sylvia i Alice, były wykorzystywane przez Coopera. Cooper był tajemniczym mężczyzną Alice. Sylvia i John Ellis szybko okazałoby się zbyt tani.

Barnes miał już wyjść, ale się zawahał. — Wcześniej sprawdziłem przeszłość Coopera, dziś rozmawiałem z jego matką, kobietą po sześćdziesiątce. Była zszokowana, że jej syn mógł być mordercą. Powiedziała, że zawsze był dobrym chłopcem, nie tak otwartym jak jego starszy brat ani też lubiany jak młodsza siostra, ale nigdy nie sprawiał kłopotów... jedynie jako dziecko moczył się w łóżku. — Barnes wzruszył ramionami. — Chyba nigdy się nie dowiemy, co porobiło się w jego głowie.

Po wyjściu Barnes'a Liza popadła w zadumę. Biedna Abbey Delmonte. Pewnie wiedziała, kim jest Cooper pod maską troskliwego, uczciwego człowieka. Jednak Liza jej nie oskarżała, miała bardzo chore dziecko, którym musiała się opiekować.

Cooper o nic się nie troszczył, nawet o małego synka. To jego żona martwiła się o ubezpieczenie medyczne, podczas gdy on — zgodnie z tym, co powiedział Barnes — ukrył tysiące dolarów w sejfach pięciu banków w Seattle. Wybiegi to specjalność Coopera.

Kiedy Liza wróciła do pracy, Al pokajał się i przeprosił, że jej nie poparł. Widziała, że ciągle chowa swój tyłek. Hawk został oczyszczony z zarzutów. Pozycja Dave'a nie była zagrożona, bo oszustwo związane z listą płac nie miało nic wspólnego z projektem nowego samolotu. Słuchała, jak próbował uzasadnić swoje rozumowanie, ale nie była już zainteresowana, żeby przedłużać z nim bliższą znajomość. John Ellis i Sylvia Kempton

zostali zwolnieni i wniesiono przeciw nim akty oskarżenia. Współczuła Sylvii — wierzyła, że Cooper ją kocha.

Wiosna przyniosła jeszcze więcej próśb do zespołu Jean o przedstawienia lalkowe i dwie radosne wiadomości: ona i Bill w październiku zostaną rodzicami, a wszystkie lalki zostały odtworzone.

Liza w czasie kuracji rozważała propozycję Erika, by stać się jego partnerką w pracy. Ale postanowiła pozostać w International Air. Jej klienci potrzebowali buforu między sobą a szefem takim jak Hawk. O innym partnerstwie mogliby pomyśleć z Erikiem w przyszłości.

Najważniejsze, że Liza w końcu się dowiedziała, że Martin nie żyje. Nie był tym człowiekiem, który ją tropił. W końcu mogła uporządkować swoje życie.

